HENRYK NAGIEL.

TAJEMNICE NALEWEK.

ROMANS

NA TLE STOSUNKÓW WARSZAWSKICH.

(Z seryi p. t. „KRWAWE DRAMATY").

WARSZAWA.
NAKŁAD BIBLJOTEKI ROMANSÓW I POWIEŚCI.
Ulica Złota № 23.

1888.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Мая 1888 года.

Druk C. Przybylskiego w Warszawie, ulica Marszałkowska № 116.

* * *

Ktoś nazwał Nalewki „kieszenią Warszawy.“

Określenie jednostronne. Jest to raczej olbrzymie laboratorjum, wytwarzające i pochłaniające pieniądz, targowica na towary dozwolone i zakazane, mrowisko poprzecinane mnóstwem krętych drożyn, chowające w swem łonie miljon obok ostatniego steku nędzy i uczciwą pracę obok wszelkich łotrostw, a zawsze pełne ożywienia, wrące gorączkowym, przyśpieszonym ruchem...

Nalewki wraz ze swemi, że się tak wyrażę, dopływami, Franciszkańską, Gęsią i Muranowską, nie są podobne do żadnej z ulic Warszawy.

Takiego tłumu, pędzącego na zabój, gestykulującego i rozprawiającego głośno, zaczepiającego się wzajem, obrabiającego interesa na trotuarze, gorączkowego, nie tracącego ani chwili czasu nie znajdziesz nigdzie indziej w Warszawie. Przedrzeć się przez to ludzkie mrowie ani podobna! Środkiem biegną z głośnemi dzwonkami tramwaje, jadą dorożki; turkoczą ciężkie, ładowne wozy. Przy trotuarach wyładowują towary. Wszędzie ruch. Niekiedy fala ludzka, nie znajdując dość miejsca na chodniku, wylewa się na środek ulicy...

A same domy... Nie spostrzeżesz na nich ani jednego łokcia wolnego muru: wszędzie—szyldy. Na parterze sklepy, na piętrach składy—i tak dalej, aż do poddasza. W podwórzu również sklepy. I zajrzeć tylko do której z tych ciemnych nor: znajdziesz tam towaru nieraz na setki tysięcy rubli...

Domy mają specjalny charakter i fizjognomję. Brudne i obdarte, ale pakowne. Kilka podwórz, cały labirynt oficyn, jakieś pochylone domki, rodzaj stajenek, to wszystko mieści kilka tysięcy nieraz osób. Takie olbrzymie domy, małe miasteczka, mają odrębną ludność. Straganiarka, co przez pół wieku na trzeciem podwórku sprzedawała sąsiednim bachurom makagigi; oto bakałarz, co z chederu w drugiem podwórzu przez lat dziesięć na ulicę nie wyjrzał...

Czego zresztą nie znaleźć na Nalewkach? Są tu i fabryki i warsztaty i składy i kantory i hotele i restauracje. Jest tu i ludność przyjezdna, specjalna, o długich kędzierzawych brodach, twarzach wschodnich, zapachu cebuli i długich chałatach, przedsiębiorcza, robiąca obroty na tysiące, przybyła z Odessy, Tyflisu, nieraz z Ispahanu, ale zawsze z Nalewkami tysiącem węzłów związana, mówiąca ich językiem i interesy ich rozumiejąca...

To strona zewnętrzna Nalewek, strona na pokaz.

A co się jeszcze kryje wewnątrz, pod tem mrowiskiem, w suterenach, na poddaszach, w spokoju zamkniętych mieszkań prywatnych i tajemniczych tylnych gabinetach sklepów i kantorów?.. Kto wie...

Jakkowielkbądź, widok Nalewek prawdziwie jest

wspaniałym, czy w dzień powszedni, gdy wszystko wre pracą i ruchem, gotuje się i biegnie naprzód, czy bardziej jeszcze—w *sabbat.* Wówczas sklepy zamknięte, turkot ładownych wozów ustał, wszędzie milczenie i spokój. Rankiem, powoli, z powagą na ustach i zawiniątkami w ręku, przeciągają szeregi patrjarchów w powrocie z synagogi, a wieczorem, gdy księżyc osrebrzy skwer na Nowolipkach, suną w milczeniu pary, pełne biblijnej ekstazy, ciche i takie jakieś powłóczyste, jak gdyby duchy ich przodków z dalekich krain Palestyny...

Od czasu do czasu słychać tylko nucony z cicha pół-majufes, pół-hymn jakiś biblijny, trącający w struny serca żałością za zburzoną Jerozolimą i odbrzmiewający tryumfem, że owej Jerozolimy szczątki nad brudną falą Wisły wybrany lud odbudować zdołał.

A księżyc ozłaca zakurzoną zieleń drzew skweru na Nowolipkach, ślizga się po brudnych murach głównego więzienia karnego, które się za skwerem ciężkie i nieforemne rozsiadło, i wreszcie wieńczy swoim pieszczotliwym blaskiem srebrzystą koronę synagogi, co się z po za murów więzienia wychyla.

Dziwna apoteoza: niżej więzienie, wyżej szczyt synagogi!

Słusznie powiedział jakiś rzymianin:

„*Per aspera—ad astra.*“

Część I-sza.

EJTELES i Sp.

ROZDZIAŁ I.

Zamknięta kasa.

Dzień 4-ty Września 1877 r. był pamiętnym dla firmy Ejteles i Spółka, której kantory i składy mieściły się na jednej z ulic, łączących dzielnicę Nalewek ze środkiem miasta.

Firma „Ejteles i Sp.“ nie miała po za sobą poważniejszej przeszłości bynajmniej, powstała ona niedawno, tem świetniej jednak zabłysnęła. Był to zresztą czas, kiedy nowe firmy wyrastały, jak grzyby po deszczu. Naczelnikiem i głową firmy był Abraham Ejteles, stary bankier Nalewek, od lat czterdziestu prowadzący tam operacje, pewne, a spokojne, na własną rękę. Dopiero od dwóch lat energja obecnych spólników potrafiła go wyrzucić ze zwykłej kolei interesów, na których powoli robił miljony i pchnąć na nową dotąd nieznaną drogę. Obroty interesu

starego Abrahama zostały potrojone i urozmaicone... Miejsce brudne brudnej izdebki w lewej oficynie jednego z olbrzymich domów przy ulicy Franciszkańskiej zajęła wspaniała amfilada bogatych pokojów, szeregi biurek i kratek, tłumy zgiętych kantorzystów, przestronne składy i książęce przedpokoje...

Interes bankierski, komisowy i ekspedycyjny „Ejteles i Sp.“ zajmował całą połowę wielkiej posesji, długą piętrową oficynę i przylegające do niej składy... Za biurami znajdował się ogród, a w głębi ogrodu rodzaj maleńkiego pałacyku, służącego za mieszkanie dla Abrahama, jego rodziny i dwóch spólników.

W oficynie, zajętej na biura, na parterze mieścił się interes komisowo-ekspedycyjny i cukrowy, a na pierwszem piętrze kantor bankierski, kasa i gabinety szefów interesu.

Mijając galonowanego szwajcara, wchodzimy na pierwsze piętro.

Już godzina jedenasta rano. Biura kontoru pełne są pracujących, znajdują się też i interesanci. Na wybitej czerwonym pluszem ławce, obiegającej połowę pierwszego pokoju, siedzi kilka osób. Inni przechadzają się niecierpliwie wzdłuż pokoju.

Wogóle kantor ma jakiś dziwny, niepraktykowanie ospały i zagadkowy wygląd. Nie ma tego ciągłego ruchu pracujących i interesantów, skrzypu drzwi, śpiesznych kroków, całego owego zwykłego życia. Zdaje się, że koła maszyny stanęły w ruchu.

Jeden z interesantów, przechadzający się niecierpliwie po pokoju, naraz przystanął i uderzył laską w po-

dłogę. Był to gruby izraelita w długim surducie, o dużej czarnej brodzie.

— No, ja nie rozumiem, co to jest! — zawołał, nie zwracając się specjalnie do nikogo — godzina jedenasta, ja się spóźnię na giełdę... Kasa ma być otwarta o wpół do dziesiątej, a tu dotąd jeszcze nic nie widać... Ja mam odebrać pieniędzów, ja potrzebuję kryć jeszcze dziś. Ja mogę stracić...

Alokucja ta wywarła na zgromadzonych znaczne wrażenie. Dało się słyszeć jeszcze kilka wykrzykników, niektórzy z interesantów podnieśli się z ławek i zaczęli coś szeptać...

Z głębi pokoju, z za kratki, wyszedł młody człowiek, jasny blondyn, w złotych binoklach, pełen elegancji.

— Proszę szanownych państwa—rzekł, wyciągając rękę, gestem pełnym wdzięku — wybaczyć chwilowe spóźnienie się naszego kasjera. Posłaliśmy już po niego do domu...

— Co to jest spóźnienie, ja w interes nie rozumiem spóźnienie—przerwał mu zapalczywie gruby kupiec—ja mogę mieć stratę...

— Posłaliśmy w tej chwili po kasjera... — ciągnął zdetonowany blondynek.

— A jak un jest w Amerykę!—przerwał jakiś mały z żółtym zarostem żydek za plecami blondyna.

Kilka osób się roześmiało. Blondyn zupełnie był zdetonowany. Postał jeszcze chwilkę, a następnie szybko wyszedł do następnych pokojów. Tutaj nie widać było interesantów, znajdowali się tylko sami pracownicy.

Wszyscy byli jak gdyby pomorzeni. Robota ustała, pióra leżały obok książek. Szeptano do siebie, pytając, co mogło być powodem spóźnienia się kasjera.

Bo też fakt ten nie był wcale tak powszednim, jakby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka. Kasjer, pan Mojżesz Halberson, starzec dobrze już pochylony przez lata, lecz wcale krzepki, odznaczał się wyjątkową punktualnością. Od czasu zorganizowania kantoru to jest od dwóch lat, niósł on klucze kasy i nigdy nie opuścił ani jednego dnia biurowego. Najpierwszy ze wszystkich przychodził do biura i ostatni wychodził. Na półtorej godziny przed otwarciem kasy siedział już nad swemi książkami; nie chorował nigdy.

Był to w swoim rodzaju oryginał. Owdowiawszy w bardzo młodych latach, po pierwszej żonie, którą miał wielce miłować, wbrew zwyczajowi u żydów przyjętemu, nie ożenił się powtórnie, pomimo nawet, że z tego małżeństwa nie pozostało mu dzieci... Odtąd mieszkał samotnie, żył skromnie i nie komunikował się prawie z nikim. Wiedziano zresztą, że ma spore fundusze, bo ze starym Ejtelesem robił nieraz do spółki interesa. Jak tylko Ejteles przed dwoma laty otworzył interes bankierski na wielką skalę, Halberson, uproszony przez przyjaciela, wstąpił do firmy, w charakterze kasjera. Spólnicy mieli doń bezwzględne zaufanie i on też głównie choć na stanowisku względnie drugorzędnem, kierował obrotami bankierskiemi firmy.

Wszyscy przywykli, że na pierwszem piętrze, właściwym kierownikiem, był Halberson. Głowa interesu stary Ejteles, ciężko chory, ciągle prawie pozostawał

w mieszkaniu. Z dwóch pozostałych wspólników, pan Natan Lurje bywał tylko na parę godzin, resztę zaś czasu przepędzał na giełdzie i w mieście. Trzeci wspólnik pan Joachim Lendsberger prawie zawsze znajdował się w wyjazdach, głównie zagranicą.

To też nieobecność Halbersona niepokoiła wszystkich. Gdy młody blondyn szedł przez szereg pokoi, witały go ze wszech stron zapytania:

— Cóż tam? Nie ma wiadomości od „starego?“ Jakże interesanci?

Blondyn zbywał pytania machnięciem ręki i szedł dalej. Wreszcie, stanął przed przymkniętemi drzwiami gabinetu. Zapukał.

— Proszę wejść!—odezwał się łagodny głos z wewnątrz.—A to pan, panie Henryku!—witał dalej wchodzącego blondyna główny buchalter p. Krośnowski. — Cóż, pan Halberson jest?

— Właśnie, że nie. I doprawdy, nie wiem sam co robić. Interesanci prawie, że wymyślają... Robi się wprost skandal. Przyszedłem prosić pana buchaltera o dyspozycje...

Pan Krośnowski aż uniósł się na fotelu.

— A... doprawdy, cóż ja wam na to poradzę?.. Proście, mitygujcie, niech zaczekają... Ja nie wiem... Widzisz pan, mam tu właśnie pilną robotę... Zresztą, to do mnie nie należy.

Blondyn patrzył skonfundowany.

— Ja wprost boję się tam powrócić — dorzucił.— Możeby dać znać szefowi?

— Ależ, zmiłuj się pan—zawołał główny buchalter

i znów rozwiódł rękoma—Ejteles chory niebezpiecznie, będziecie go truć takiemi drobnostkami... Halberson przyjdzie. Zresztą, róbcie jak chcecie.

Usiadł na fotelu, opuścił podniesione okulary i wziął się do papierów.

Blondyn, wzruszywszy ramionami, wyszedł. Przystanął chwilkę w obszernym pokoju, poprzedzającym gabinet szefa buchalterji.

— No i cóż?

— A nic. „Cyfra", jak zwykle umył od wszystkiego ręce... Nic więcej nie umie, jak tylko swoje kurtaże i procenta obliczać.

— Co będzie?—rzucał ktoś zapytanie.

— Albo ja wiem. Biurka nam połamią.

— Możeby zawiadomić szefa.

— Ba, kiedy chory...

— Ależ w takim razie potrzeba iść do Strzeleckiego. On przecież ma podręczną kasę; to człowiek energiczny, wprawdzie on do naszego wydziału nie należy, ale zawsze potrafi wszystkiem zarządzić.

— Ba, czy nie wiecie, posyłałem do niego na dół, ale jak na złość i jego dotąd nie ma...

— Nie może być!

— Na dole tak samo nie wiedzą, co robić... Ale tam przynajmniej, nie ma wypłat, więc jakoś czekają.

— To szczególne.

Przypuszczenie o czemś nienormalnem zaczęło powoli kiełkować nawet w umysłach urzędników. Czuć było w powietrzu, burzę. „A może *un* jest w Amerykę!" zrobił pół-humorystyczną uwagę rudy żydek. Przypu-

szczenie nadużycia, w tych słowach zawarte, zaczęło stawać się prawdopodobnem, pomimo znanej solidności kasjera i zacnego charakteru Janka Strzeleckiego, głównego magazyniera firmy, kierującego właściwie wydziałem ekspedycyjno-komisowym. Ich nieobecność uderzała wszystkich. Jednocześnie szef firmy był chory, czy też udawał chorego, a o obudwu wspólnikach ani słychać. Przytem firma istnieje tak niedawno, a czasy są tak chwiejne...

Kantorzyści spoglądali po sobie znacząco.

Ponure widmo bankructwa zdawało się już zaglądać do wysokich salonów razem z złotemi promieniami wrześniowego słońca.

— Zdaje się, że w tym roku trochę za dużo straciliśmy na wekslach Lewina z Moskwy?—rzucił ktoś półgłosem.

— Albo ta operacja z cukrem! Można było zarobić trzykroć, a jak się stało, kto to wie? Chyba Lurje i Strzelecki...

— Hm, hm! — chrząknął ktoś.

Wszyscy wstali z miejsc i zgromadzili się w kupkę. Szeptali. Naraz ze strony dalszych pokojów, zkąd niedawno przyszedł Henryk Jerzykiewicz (imię i nazwisko blondyna) wybuchnął jakiś hałas. Były to zmięszane i stłumione jakieś głosy, po nad któremi górował potężny bas. Za chwilę głosy ucichły. Wbiegł młody człowiek, chudy, szczupły, dość zaniedbany, z piórem za uchem.

— Panie Henryku!—zawołał, spostrzegając bezpośredniego swojego zwierzchnika, tam coraz więcej osób. Chcą tu wejść. Postawiłem woźnego i nie kazałem pu-

szczać. Ten gruby kupiec, z brodą; woła, że pójdzie po policję...

Wrażenie tych słów było potężne. Wszyscy jeszcze raz spojrzeli po sobie. P. Henryk powtórzył ruch ramionami, który był odpowiedzią, jaką mu przed chwilą dał na jego intencję pan Krośnowski. „Jeśli się już w to wtrąca policja", zdawał się mówić on i inni „to cóż możemy na to poradzić".

W tej chwili, jak gdyby ilustrując położenie, wdarła się przez całą amfiladę pokojów, nowa fala krzyków, nad któremi dominował potężny bas grubego kupca i świszczący falset woźnego, odmawiającego mu wstępu do wnętrza biura...

Nastąpiła chwila milczenia.

— Kiedy tak, to niewiadomo co będzie... — rzekł wreszcie przyciszonym głosem jeden z obecnych. — Nie mamy tu chyba co robić.

Znów nastąpiło milczenie. Na jednej z sąsiednich wież uderzyła dwunasta.

— Przepraszam! — odezwał się w tej chwili głos energiczny, pewny siebie, trochę gardłowy, o akcencie litewskie przeciąganie przypominającym.

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku tego głosu. W najciemniejszym kącie salonu, za stolikiem oddzielnie od wszystkich, zgromadzonych na środku, widniała jakaś postać. Był to młody chłopiec lat najwyżej dziewiętnastu, dosyć na swój wiek wysoki, ale niezmiernie szczupły, o wydatnych rysach semickich i dwojga wielkich, czarnych, inteligentnych oczu. Był to jeden z bardzo nielicznych tutaj pracowników żydów, ponieważ

firma, sformowana na nowy europejski sposób, starała się obchodzić bez żydów i wszystkie miejsca, z małym wyjątkiem, obsadzała chrześcjanami.

— Ach, to Josek!—zawołał ktoś półgłosem.

Josek (nazywajmy go tak przez pewien czas), od samego początku sceny postępował inaczej, aniżeli jego towarzysze. Od przybycia do biura, to jest od dziewiątej, pracował uporczywie, podczas, gdy inni wypoczywali. Z chwilą rozpoczęcia narad na środku sali, rzucał tylko od czasu do czasu przenikliwem, pełnem ognia, wejrzeniem na sejmujących, ale sam ani się odrywał od pracy, ani wtrącał do gawędy. Nie zwracali nań uwagi.

Teraz stał z roziskrzonym wzrokiem z zaczerwienioną twarzą, w długim surducie, przypominającym krój chałatów współwyznawców z Nalewek.

— Przepraszam! — powtórzył chropawym głosem, przypominającym litewski akcent—panowie się mylicie... Firma nasza nie bankrutuje, firmie naszej nic nie brak, prócz panów—dorzucił, zapalając się — trzeba tylko jakiegoś nieporozumienia, jakiegoś drobnego zbiegu okoliczności, ażeby sami pracownicy firmy, która im daje utrzymanie i pracę, ogłosili jej upadłość... Wstyd panom!

— No, no! — odezwał się ktoś. — Patrzcie, Josek moralizuje.

Wogóle wszyscy patrzyli dość z góry na tego smarkacza, pisarczyka, któremu tylko wyjątkowo firma Ejteles i Sp., pozwoliła pracować pośród swego chrześcjańskiego personelu. Niektórzy zaczęli się uśmiechać. Ale uśmiech ich natychmiast zmroziły nowe hałasy, nadbiegające od wejścia.

— Tak!—mówił dalej chropawym głosem Josek — zamiast starać się odwrócić przykre skutki nieporozumienia, panowie zwiększacie tylko nieporządek i swojem zachowaniem pragniecie zachwiać położenie domu... Tak się nie robi, choćby dla własnego interesu. Jestto wszystko głupstwo, ale z tego głupstwa nawet dla was mogą wyniknąć przykrości i straty.

„Josek" mówił z taką przekonywającą energją i logiką, że niektórzy z słuchaczy zaczęli się nawracać. Spoglądali po sobie i myśleli: „Ależ on chyba ma rację, to tylko zbieg okoliczności!"

— Więc, co pan radzisz? — odezwał się wreszcie jeden z odważniejszych.

— Ja? Nic wielkiego. Chcę tylko, żebyśmy zawiadomili o wszystkiem natychmiast kierowników interesu i uspokoili chwilowo publiczność.

— Jest myśl, jak Boga kocham!

— A więc co robić?—pytał pan Henryk.

— Co? — siadaj pan w dorożkę; jedź w tej chwili do Halbersona i nie wracaj dotąd, dopóki, albo go nie przywieziesz, albo się nie dowiesz, co się z nim stało?

— Dobrze!—i pan Henryk wybiegł w tej chwili.

— Pan, panie Emiljanie—ciągnął dalej „Josek"— jedź na giełdę i sprowadź pana Lurje. A ja—dorzucił po chwili—pójdę uspokoić interesantów, a następnie zawiadomić o wszystkiem pana Ejtelesa.

ROZDZIAŁ II.

D w a m i l j o n y!

Upłynęło pół godziny. Energja Joska odniosła jaki taki rezultat. Uspokoił on najbardziej hałasujących i za kwadrans powrócił od starego Ejtelesa z kilkoma paczkami storublówek...

Gruby kupiec dostał, co mu się należało, a z nim razem zniknął rudy żydek, widocznie jego faktor. Ci byli najgwałtowniejsi! W pierwszym pokoju zapanowała względna cisza, tem bardziej, że „Josek“ ciągle uspakajał obecnych, a o ile interes polegał na załatwieniu kwestji formalnej, odsyłał do właściwych urzędników i wogóle regulował cały ruch.

W biurze zaczęto się brać do pracy.

Urzędnicy spoglądali z podziwem na tego smarkacza, pisarczyka, który dotąd odznaczał się tylko kaligraficznem pismem, a teraz wyrosł, odrazu zmężniał i potrafił od kwadransa całem biurem rządzić. Niektórzy śmielsi, zapytywali go, jakiem prawem to robi. Pokazywał im wówczas energicznym ruchem kartkę, na której jego pięknym charakterem było wykaligrafowane polecenie utrzymania w biurze porządku aż do czasu przybycia p. Lurje lub kasjera, ze znanym wszystkim podpisem starego Ejtelesa. Zresztą co kilka chwil przychodziła do „Joska“ służąca od szefa z kartkami, na które on w paru słowach odpowiadał.

„Josek“ właśnie, szepcząc coś, oddawał służącej kartkę, gdy wtem jak huragan, wpadł na pierwsze piętro Henryk Jerzykiewicz. Pod złotemi binoklami miał twarz bladą i rozstrojoną. Kapelusz, zawsze utrzymany wybornie, odmuchany, oczyszczony i ulokowany na ładnej głowie z elegancją, tym razem przekrzywiał się na bakier. Zaledwie młody człowiek wbiegł, oczy wszystkich skierowały się ku niemu. Chciał coś mówić, ale „Josek“ pochwycił go za rękę i wyprowadził do następnego pokoju.

— Co takiego?—zapytał, kiedy już drzwi przegrodziły ich od tłumu ciekawych.—Tylko mów pan ciszej... na miłość Boga!

Henryk zdjął kapelusz, otarł czoło z potu i zaczął wreszcie mówić, oparty o ścianę:

— Nieszczęście!..

— Jak to?

— Z Halbersonem napewno stało się coś złego...

— Mów pan, mów.

— Przybiegłem—odezwał się po chwili, chwytając oddech, Henryk — do domu, gdzie mieszka Halberson. W podwórzu widzę tłum... Pierwszą osobą, którą spotkałem, jest nasz woźny, posłany niedawno po kasjera. W jednej chwili objaśnił mnie, że zastał drzwi Halbersona zamknięte, a stróż i sąsiedzi twierdzili, że „stary“ wcale nie wychodził od rana. Zajrzał przez dziurkę: klucz był we drzwiach... Zrobił tedy alarm. I oto zebrał się tłum w podwórzu. Oczekiwano właśnie na policję...

— Niepotrzebny skandal!—syknął „Josek“.—Może jeszcze nic niema...

— Ale gdzie tam!—przerwał mu Henryk.—Posłuchaj pan... Natychmiast pobiegłem do drzwi Halbersona, oblężonych przez ciekawych. Rzeczywiście klucz tkwił w zamku... Schyliłem się do dziurki, ale czy rozkład mieszkania był już taki, czy też w pokoju panowała ciemność, dość, że nie można było nic widzieć w wewnątrz... Stałem przy drzwiach niezdecydowany, nie wiedząc co robić, biedz w tej chwili do biura, czy też zaczekać na policję, gdy wtem na podwórzu dał się słyszeć hałas... Zbiegłem na dół i dowiedziałem się o przyczynie hałasu. Oto jakiś łobuziak żydowski odkrył okno od sąsiednich schodów, które w skutek załomu muru pozwalało zajrzeć do mieszkania Halbersona przez jedyne okienko. Mieszkanie Halbersona znajduje się na pierwszem piętrze, pobiegłem więc czemprędzej na drugie piętro na schody. Ale przekonałem się niebawem, że i w ten sposób nic pewnego dowiedzieć się nie można. Okna pokoju Halbersona, o ile się zdaje, z podwójnemi ramami, a szyby pokryte warstwą kurzu... Dość, że z trudnością można widzieć łóżko, na którem zdaje się leży coś dużego, może człowiek... Jeśli to przypuszczenie się sprawdzi, Halberson musiał umrzeć...

— Umrzeć?

— Tak, jeśli tylko nie pozostaje w najgłębszem omdleniu, ponieważ stukano i pukano do drzwi mieszkania bez żadnego rezultatu... Jakiś łobuziak rzucił nawet kawałem gruzu w okno i zbił szybę. W środku nic się nie odzywało: ani ruchu, ani jęku—nic, zupełnie nic...

— I cóż więcej?

— Wsiadłem w dorożkę i oto jestem. Woźnemu

kazałem czekać na policję i w tej chwili przyjeżdżać z wiadomością... Od niego się zaraz dowiemy, czy rzeczywiście „stary“ nie żyje...

— Kto... nie żyje? — odezwał się w tej chwili nad uszami rozmawiających dźwięczny głos.

Do pokoju wpadł w towarzystwie jednego z pracowników, wysłanych przed chwilą przez „Joska“ na giełdę, Natan Lurje, spólnik firmy. Był to wysoki brunet, lat czterdziestu, pełny, nawet trochę otyły, z małą łysinką na wierzchu głowy, o rysach regularnych, noszący długie, czarne wąsy. Ubrany był bardzo elegancko, a od palców bił mu blask brylantów w pierścieniach...

— Kto... nie żyje?—zapytał jeszcze raz.

— Niewiadomo — odrzekł spokojnie, powoli „Josek“—ale zdaje się, że pan Halberson.

W kilku słowach wyjaśnił położenie panu Lurje, następnie oddał upoważnienie starego Ejtelesa, dające mu władzę na parę chwil. Ani jedna zmarszczka nie ukazała się na twarzy pana Natana podczas opowiadania.

— Dobrze—odrzekł po chwili—ponieważ już pan byłeś u szefa, idź do niego powtórnie, opowiedz mu to, czego jeszcze nie wie i poproś, ażeby koniecznie i jak najprędzej, pomimo wszystko, zaszedł do biura. Koniecznie i jak najprędzej!—dodał z naciskiem—rozumiesz pan...

„Josek“ wyszedł.

— Pan, panie Henryku, zawołaj którego z twoich kolegów i poślij go po ślusarza i policję. Sam zaś siadaj przy tym stoliku. W tej chwili powiem, co masz robić. Oto weź tę paczkę pieniędzy, tu powinno być dwadzieścia trzy tysiące rubli... Policz.

Zatrzymał się dłuższą chwilę i czekał, a Henryk przeliczył storublówki.

— Tak?

— Najzupełniej.

— Otóż będziesz wypłacał każdemu, kto się do ciebie zgłosi, za mojemi asygnacjami, odpowiednie sumy. Zostajesz na dziś kasjerem. Rachunek zdasz mi o trzeciej. Gdyby ci zabrakło pieniędzy, zawiadomisz mnie. Jestem w sąsiednim pokoju. Bądź pan przygotowany, za pięć minut zacznie się wypłata.

Henryk, poleciwszy jednemu z obecnych wykonać pierwsze rozporządzenie pana Lurje, to jest przywołać ślusarza i policji, siadł i czekał.

Pan Natan skierował się ku drzwiom.

— Ale, ale! — zawołał po chwili, zwracając się do innego z urzędników — panie Sztember, proszę wziąć ten przekaz i pojechać do banku. Dostaniesz pan tam trzydzieści sześć tysięcy rubli. Numera proszę zanotować, jak zwykle. Pieniądze będą mi potrzebne dziś jeszcze przed trzecią. Proszę się pośpieszyć.

Polecenia zostały spełnione szybko i energicznie. Pan Natan wyszedł do sali, gdzie tymczasem zgromadziło się coraz więcej publiczności.

— Przepraszam szanownych państwa za chwilową przerwę—rzekł do zgromadzonych—powodem chwilowego nieporozumienia był wypadek, który się zdarzył naszemu kasjerowi. Rzecz już załatwiona. W tej chwili zacznę przyjmować wszystkich. Woźny będzie wpuszczał szanownych państwa kolejno.

Pośród tłumu rozszedł się szmer zadowolenia. Pan

Natan posunął się dalej, gdy naraz u samych drzwi spostrzegł siedzącą na ławce młodą kobietę, ubraną elegancko, a nawet bardzo strojnie. Wzrok jego skrzyżował się z jej wzrokiem. Zadrżał... Przystanął.

— Ach, to pani, panno Temo!—rzekł wreszcie.

— Ja.

— Co panią sprowadziło w nasze skromne progi i to w chwili takiego zamętu.

— Interes.

— Czem mogę służyć?

— O, niczem... Chciałam się zobaczyć z panem Strzeleckim...

— Ze Strzeleckim?

Pan Natan ściągnął brwi. W głosie jego czuć było drżenie; gdy następnie przemówił, próbował akcentować głos ironją...

— Czyżby pani spekulowała na... cukrze?

— Może być... ale nie zatrzymuję pana, tyle osób czeka na niego—dorzuciła chłodno.

Skłonił się i wyszedł. Za nim pociągnął tłum. Kobieta została prawie sama. Wtuliła się w róg salonu, przymknęła wspaniałe oczy długiemi czarnemi rzęsami i oczekiwała.

Korzystając z tej chwili, przyjrzymy się jej. Była to skończona piękność. Wysoka, wspaniała, świetnie rozwinięta, miała przy kruczych włosach olbrzymie błękitne oczy, głębokie, pełne melancholji, zadumane. Bardzo blada, o płci przezroczystej niemal, posiadała rysy klasyczne, z pośród których wytryskały jak dwie ogniste róże, usta, pełne, namiętne, czerwone. Rozchyliła cokol-

wiek wargi i przymknęła oczy. Zdawało się, że pragnie pocałunku.

Osamotnienie jej trwało nie długo. Przez salon, stanowiący komunikację pomiędzy schodami i gabinetem pana Natana, a pokojem, w którym znajdowała się improwizowana kasa pana Henryka, z drugiej, zaczęli coraz częściej przechodzić interesanci. Nieśli oni do Henryka kartki z podpisem pana Lurje, a wracali z szeleszczącymi papierkami... W salonie zrobiło się gwarno.

Upłynął znów pewien przeciąg czasu. Na schodach dały się słyszeć kroki jakiegoś większego grona osób. W tej chwili wszedł do salonu p. Natan Lurje, za nim urzędnik policyjny, kilku ajentów, wreszcie ślusarz. Pan Natan w kilku słowach objaśnił położenie przedstawicielowi policji, wreszcie dodał:

— Mógłbym wprawdzie otworzyć kasę, ponieważ oprócz klucza posiadanego przez kasjera, mam na mój i wspólników użytek, drugi klucz do kasy ogniotrwałej, ale ze względu na wyjątkowe okoliczności nie chciałem tego czynić bez udziału władzy. Zresztą drzwi do pokoju, mieszczącego kasę, zamknięte są przez kasjera, a drugiego klucza od nich nie posiadamy!

Urzędnik skinął głową na znak aprobaty.

— Prowadź pan—rzekł.

Za chwilę byli przed grubemi drzwiami kasy. Po kwadransie zamki ustąpiły. Zgromadzeni znaleźli się w pokoju kasowym, zupełnie prawie ciemnym. Rolety u okien były zapuszczone. Po chwili, kiedy je podniesiono, żywa fala światła zalała pokój. Za kratką wznosiła się wspaniała, imponująca rozmiarami, kasa ogniotrwała,

urzeczywistnienie Złotego Cielca, przez wiek 19-ty stworzone...

— Gdzie klucz?—zapytał urzędnik.

— Oto jest—odrzekł pan Lurje.

— W takim razie bądź pan łaskaw otworzyć kasę.

— Ba, to może być cokolwiek trudnem, ponieważ nie znam wyrazu, zamykającego kasę... Ach, oto i pan Ejteles! On nam pomoże w tym kłopocie.

Rzeczywiście, przez otwarte drzwi pokoju kasowego, za któremi gromadzili się pracownicy firmy, wchodził w tej chwili poważny starzec o siwej, długiej brodzie, oparty na ramionach „Joska" i lokaja w liberji firmy. Głowa starca, jak gdyby poruszana wiatrem, chwiała się w ciągłem drżeniu.

— Fotel dla szefa! — zawołał pan Natan. — Czemprędzej!

Niebawem ulokowano starca w wygodnym fotelu. Po zamianie przywitań, pan Natan rzekł do urzędnika:

— Kasjer obowiązany był codziennie, wychodząc z biura, zostawiać szefowi w kopercie wyraz, na który zamykał kasę. Będziemy się mogli dowiedzieć od pana Ejtelesa, na jaki wyraz kasa jest obecnie zamknięta. Jeśli tylko—dodał—tym razem doręczono szefowi ów wyraz.

Urzędnik zwrócił pytający wzrok ku Ejtelesowi.

— Wyraz?.. — odezwał się po chwili namysłu starzec, głosem drżącym i chrapliwym. — Wyraz?.. Powinienem go mieć, nawet przy sobie.

— A więc był doręczony?—zapytał pan Natan.

Pierwszy to raz w tej chwili na jego zimnej dotąd

i spokojnej twarzy ukazało się coś, niby zdziwienie; w głosie czuć było rodzaj niepokoju.

— Tak. Nawet zdziwiło mnie trochę, że przyniósł go nie sam Mojżesz, ale Strzelecki...

— Strzelecki?

— Kto to taki?—zapytał urzędnik.

— Nasz główny magazynier, właściwie kierujący wydziałem komisowo-ekspedycyjnym i towarowym.

— Czy ten pan jest tutaj?

— Właśnie to rzecz dziwna — wysunął się naprzód pan Henryk—że dotąd nie ma go wcale. Zawsze bywał bardzo punktualny.

Urzędnik pokręcił głową.

Pan Natan zdawał się być coraz mniej pewnym siebie.

Tymczasem stary Ejteles, przeszukawszy kieszenie, znalazł nienaruszoną jeszcze kopertę. Otworzono ją. W środku znajdowała się kartka, na której charakterem Halbersona wypisany był jeden wyraz: „Debet."

Pośród powszechnego milczenia pan Natan, dziwnie teraz blady, wszedł za kratkę i przystąpił do olbrzymiego sprzętu, noszącego miano kasy ogniotrwałej. Szczęknęła machinerja, brzękły klucze i szafa otworzyła się na roścież. Wszyscy pochylili naprzód głowy.

Kasa była próżna.

Ani jednego papierka, ani jednej srebrnej lub złotej monety, nic. Napróżno pan Natan wysuwał różne szuflady i skrytki, naciskał sprężyny, otwierał coraz nowe przedziały. Nic i nic.

Wrażenie tej sceny było przygniatające. Pan Natan,

przystroiwszy już twarz w zwykły swój lodowaty półuśmiech, stał nieruchomo; Ejteles, blady, jak kreda, stał, opierając się o poręcze fotelu, z wyciągniętą szyją, jak gdyby szukając jeszcze wzrokiem tysięcy, które się ulotniły. Po chwili upadł na fotel, ciężko oddychając.

Urzędnik pierwszy przerwał milczenie:

— Czy nie mógłby pan choć w przybliżeniu określić sumy, jaka powinna znajdować się w kasie i która prawdopodobnie stanowi przedmiot kradzieży?—zapytał pana Natana.

— Chyba bardzo w przybliżeniu... Halberson posiadał całkowite nasze zaufanie i szczegółowy stan kasy był sprawdzany tylko raz na tydzień, albo też w razie przewidywanej potrzeby zgromadzenia większych funduszów. Po za tem kontrolę prowadził sam kasjer. Zresztą, o ile mogę mniej więcej skombinować, w kasie powinno było się znajdować wczoraj z zamknięciem rachunków od stu do stu kilkunastu tysięcy rubli gotówki.

Szmer podziwu dał się słyszeć pomiędzy zgromadzonymi.

— Czy nie byłoby sposobu dokładniejszego sprawdzenia brakującej sumy?—pytał dalej urzędnik.

— Chyba... ale tego nie przypuszczam wobec okoliczności wypadku... wykazaćby ją mogły książki kasjera. Zresztą zajrzyjmy.

Otworzył książkę i pod badawczym wzrokiem obecnych zaczął przeglądać szeregi cyfr. Naraz zadrżał; twarz jego wyrażała żywy niepokój. Nawet pobladł.

— To nieprawdopodobne! — zawołał—nieprawdopodobne!

— Co, co?

Przetarł oczy ręką, zbliżył księgę aż do samej twarzy i po chwili, głosem drżącym ze wzruszenia, rzekł:

— Wczorajszy stan kasy—*trzykroć dwanaście tysięcy* rubli *sześćdziesiąt cztery* kopiejki i *pół*. W samej rzeczy, kasjer podniósł wczoraj kilka znaczniejszych sum, o czem nie wiedziałem...

Przez chwilę panowało grobowe milczenie.

Naraz z kąta, w którym siedział stary Ejteles, rozległo się spazmatyczne łkanie. Starzec ukrył twarz w rękach i pochylony drżał od wstrząsających nim łkań. Pan Natan podbiegł doń szybko.

— Zlitujcie się, ojcze, nie róbcie widowiska—szepnął po cichu.

Ale konwulsyjne łkania nie przestawały wstrząsać chorym starcem.

— Dwa miljony, dwa miljony! — powtarzał przez łzy—ciężko zapracowane moje dwa miljony...

Liczył jeszcze na złote: był za stary, żeby się mógł do nowego sposobu liczenia przyzwyczaić...

— Dwa miljony!..

ROZDZIAŁ III.

Na śladach.

Kiedy za kwadrans pan Natan, odprowadziwszy Ejtełesa, wrócił do pokoju kasowego, zastał obecnych niespokojnych i zatrwożonych. Urzędnik policyjny, który w tej chwili dyktował rodzaj protokółu jednemu z towarzyszących mu, postąpił szybko na jego spotkanie.

— Są nowości—rzekł.

Pan Lurje zatrzymał się, pytając oczyma.

— Sprawdzono, że wasz kasjer nie żyje. Ten pan przyniósł tę wiadomość...

— Samobójstwo, czy...—zapytał pan Natan głosem zupełnie już równym i spokojnym.

— Niewiadomo... Wizja przekona. Prawdopodobnie będę musiał tam być... Tymczasem skończymy protokół i jeszcze zadam panu kilka dodatkowych pytań.

— Jestem na pańskie rozkazy.

Po chwili urzędnik, przejrzawszy rodzaj protokółu, zbliżył się do pana Lurje.

— Uprzedzam pana — rzekł — iż pytania moje nie należą bynajmniej do urzędowego śledztwa, które prowadzić będzie odpowiednia władza sądowa. Ja pragnę tylko zebrać ważniejsze informacje, ażeby dać materjał tej władzy...

Pan Natan skłonił się.

— Proszę pana — ciągnął dalej urzędnik — czy do pokoju kasowego, oprócz drzwi, które otworzyliśmy, nie ma innego wejścia?

— O ile wiem, nie! — odrzekł po namyśle pan Natan.

— A więc w żadnym razie nie przypuszcza pan, żeby można się było dostać do kasy z zewnątrz?..

— Tak przypuszczam.

W tej chwili pomiędzy zgromadzonymi dały się słyszeć szepty. Z grona zebranych urzędników wystąpił jeden i, zwracając się do urzędnika, rzekł:

— Przepraszam pana, ale mnie się zdaje, że do kasy powinno być drugie wejście...

Obecni obwiedli dokoła wzrokiem: nigdzie żadnych drzwi, żadnego śladu wejścia.

— To byłoby dziwne!—zrobił uwagę p. Lurje.

Mówiący był człowiek stary, nizki i pochylony. Odrzekł on po chwili:

— Kiedy pan Ejteles wynajął dwa lata temu ten dom na nasze biuro, robione tu były konieczne przeróbki i ja wtedy nadzorowałem nad takowemi, jako dawniejszy rządca domu p. Ejtelesa na Nalewkach.

— No i cóż?

— I pamiętam doskonale, że pomiędzy tym pokojem, a pokojem znajdującym się pod nim na parterze znajdowały się schodki żelazne wewnętrzne... Była nawet mowa o tem, czy komunikację tę zostawić, ale ostatecznie, ponieważ tutaj miała być kasa, a na dole biuro magazyniera i przejście mogłoby przeszkadzać kasjerowi

w pracy, postanowiliśmy drzwi zamknąć, czy też zamurować, dobrze nie pamiętam...

— Nic a nic o tem nie wiedziałem — szepnął pan Natan.

— Gdzież są te drzwi?—pytał dalej urzędnik policyjny.

Dający objaśnienia obejrzał się do około, wreszcie skierował się ku wielkiej szafie, stojącej około jednej ze ścian.

— Oto, zapewne tu, za szafą—rzekł.

Urzędnik zajrzał w szczelinę.

— Tak—rzekł po chwili—tutaj muszą być drzwi. Stan ich sprawdzi sędzia śledczy, a ja tymczasem opieczętuję pokój. Nasza czynność skończona. Ale, ale — dorzucił po chwili—chciałbym też wiedzieć, kto obecnie pracuje w pokoju prawdopodobnie połączonym schodami z kasą.

Była chwila milczenia.

— Pan Strzelecki, nasz główny magazynier, jest to jego gabinet—odrzekł wreszcie pan Natan.

— Pan Strzelecki?.. Czy to przypadkiem nie ten sam urzędnik, którego nieobecność dziś od rana skonstatowano i który doręczył panu Ejtelesowi wyraz, zamykający kasę?..

— Ten sam.

— Czy nie mogliby mi panowie udzielić dokładnego adresu tego pana?

Była króciutka chwila milczenia. Naraz przy półotwartych drzwiach pokoju kasowego dał się słyszeć jakiś hałas.

— A, oto i pan Strzelecki!—zawołał ktoś.

Zebrana u drzwi gromadka rozstąpiła się, jak gdyby cofając się z przerażeniem, i na progu ukazał się Strzelecki. Był to wysoki, przystojny mężczyzna, w sile wieku, o sympatycznej twarzy. W tej chwili jednak postać jego nie obudzała sympatji. Twarz czerwona, z oczyma, jak gdyby zaspanemi, nosiła wyraźny ślad całonocnej biesiady, czy też jakichś strasznych wzruszeń; odzież była zmięta, a bielizna nawet rozerwana.

Przybyły, jak gdyby nie zdając sobie sprawy z dziwnego wrażenia, jakie sprawiał, zbliżył się do pana Natana i chciał coś powiedzieć. Urzędnik policji zamienił w tej chwili dwa słowa z jednym ze swych sąsiadów. Zbliżył się do Strzeleckiego.

— Jestem przedstawicielem prawa—rzekł—i aż do dalszego rozporządzenia właściwej władzy aresztuję pana.

— Mnie? za co? — zawołał chrapliwym głosem Strzelecki.

Urzędnik, nie wdając się w dalsze objaśnienia, skinął na ajentów i polecił im wyprowadzić przytrzymanego. Ten ostatni spoglądał osłupiałemi oczyma na obecnych. Zdawało się, że zapadł w jakiś stan półsenny. Pozwalał powodować sobą.

Ajenci wyszli. Urzędnik policyjny opróżnił tymczasem pokój kasowy i polecił przyłożyć na drzwi pieczęci. Około Strzeleckiego, wyprowadzonego pod konwojem tłoczyli się obecni.

Naraz nowy wypadek zwrócił uwagę ogólną. Przy przejściu Strzeleckiego przez pierwszy pokój, z ławki

podniosła się młoda kobieta, która rozmawiała poprzednio z panem Lurje.

— A, to pan, panie Strzelecki!—rzekła, zastępując mu drogę, widocznie nieświadoma jego aresztowania.—Co panu jest—pytała—czy pan chory?..

Strzelecki patrzył na nią osowiałym wzrokiem; przeciągnął ręką przez czoło.

— Dobrze, że pana widzę... Umyślnie się tu wybrałam i czekam na pana przeszło godzinę. Wczoraj, będąc u mnie wieczorem, widać przez roztargnienie zostawiłeś pan to...

Zręcznie otworzyła małą skórzaną torebkę i wyjęła z niej paczkę biletów bankowych.

— Przynoszę pańską zgubę, tylko pięć tysięcy rubli—rzekła, śmiejąc się perłowym śmiechem.

Strzelecki patrzył na nią osłupiały.

— To nie moje!—zawołał wreszcie głosem chrapliwym, jak gdyby mu kto gardło dłonią ściskał.

Scena ta sprowadziła już wszystkich do pierwszego pokoju. Urzędnik policyjny znalazł się tuż obok młodej kobiety. W dwóch słowach objaśnił jej położenie rzeczy.

— Nazwisko pani? — zapytał wreszcie, gdy na jego żądanie złożyła mu pieniądze.

— Tema Z...—odrzekła, obwodząc zgromadzonych dumnym wzrokiem.

— Adres?

— Wspólna Nr. ...

. . . .

Tego dnia, w jednem z najbardziej rozpowszechnio-

nych pism codziennych czytano następującą wiadomość:

„Podwójne przestępstwo.

„Jeden z najpoważniejszych domów bankierskich i towarowych w Warszawie padł ofiarą olbrzymiej kradzieży.

„W niepojęty dotąd sposób skradziono z kasy ogniotrwałej bez użycia gwałtu, sumę około trzechset tysięcy rubli.

„Jednocześnie kasjera firmy znaleziono w mieszkaniu nieżywego. Dotąd nie wiadomo dokładnie: czy jestto samobójstwo, czy też zabójstwo?

„Niezmiernie zawikłana ta sprawa przedstawia wiele tajemnic, które sprawiedliwość niewątpliwie wyjaśni.

„Jak dotąd, przypuszczać można, iż kasjer padł ofiarą zbrodni i że ta sama ręka, która spełniła kradzież, zadała cios śmiertelny.

„Są to zresztą tylko przypuszczenia...

„Z powodu pewnych poszlak aresztowany został jeden z pracujących w kantorze; walczą przeciwko niemu bardzo poważne dane.

„Mówią także, iż w sprawę zawikłana została jedna z przedstawicielek lekkiego świata Warszawy.

„Zapewnić wreszcie możemy czytelników, iż wypadki powyższe nie zachwieją wcale wybornego położenia firmy, której solidność jest powszechnie znana".

ROZDZIAŁ IV.

„Złota loża".

Jesteśmy w gabinecie jednej z pierwszorzędnych restauracyj. Dokoła dywany, złocenia, lustra i marmury. Wygodne, miękkie meble zapraszają do spoczynku; przy ścianie stoi fortepian. Na środku gabinetu stół nakryty białym obrusem z zastawą, przy stole trzech młodych ludzi. Garson krząta się około stołu.

Znajdujemy się w tak zwanej „Złotej loży".

Obecni są to: doktór Zerman, wesoły Lolek i adwokat Julek.

„Loża" stanowi miejsce zwykłych zebrań całej, że się tak po warszawsku wyrażę, „paczki" młodych ludzi, inteligentnych, względnie zamożnych lub przynajmniej posiadających pewne środki, związanych mniej lub więcej ścisłemi węzłami znajomości i przyjaźni...

Pierwotnie przychodzili tutaj pojedyńczo na kolacje różnemi czasy, bez planu i systematu. Następnie zaczęli się gromadzić przy jednym stole, aż wreszcie na propozycję właściciela restauracji objęli niejako w posiadanie jeden z gabinetów. Posiedzenia „Złotej loży" nie były ani obowiązkowe, ani bardzo stałe. Zdarzało się, że nieraz po kilka dni nikt nie zajrzał do „Loży", zdarzało się, że całemi tygodniami wszyscy byli w komplecie.

Dostęp do „Loży“ nie był wcale trudny. Jeden warunek był ściśle przestrzegany: przyjmowano tylko nie żonatych. Kobietom także dozwalano niekiedy wstępu, za ogólną zgodą zebranych. Ma się rozumieć, dam tu przyjmowanych, nie można było uważać za wzory cnót domowych.

W „Loży“ gawędzono i jedzono kolację Przedewszystkiem gawędzono...

W chwili, kiedy wchodzimy do „Loży“ kompletu niema. Trzej zasiadający przy stole jakoś nie bardzo widać przystają do siebie. Niema gawędy i wesołego śmiechu, który się zwykł o złocony sufit tej salki obijać. Doktór kołysze się na krześle, Lolek bębni palcami po stole i przegląda się w lustrze, a Julek wtłoczył nos w jakąś gazetę.

Naraz, jak huragan wpadł do gabinetu młody człowiek lat trzydziestu sześciu, wysoki, mocny brunet o przystrzyżonej brodzie i po rajtarsku sterczących wąsach, postać butna, pełna energji, widocznej z każdego ruchu, tryskającej z dużych czarnych oczów.

— Słyszeliście? — wołał już od progu — skandal, nieprawdopodobieństwo, niemożebność!

Wszyscy zerwali się od stołu.

— Co takiego? Co?—pytali.

— Książe Bismarck przeszedł na katolicyzm?

— Świat się przewrócił do góry nogami?

— Czy może kto z „Loży“ się ożenił?

— Cóś bez porównania gorszego... Ale pozwólcie mi odetchnąć. Niema tu zresztą powodu do żartów.

Trzej obecni zgromadzili się dokoła przybyłego, który ciężko oddychał.

— Więc cóż?—zapytał niecierpliwszy Lolek.

— Janek Strzelecki jest w tej chwili w więzieniu.

— Nie może być!

— Oskarżony o kradzież trzech kroć stu tysięcy rubli i zabójstwo...

— Co? jak?

— Gadanie...

— Ależ to ohydne posądzenie, to nieprawdopodobne, niemożebne!—wołał Julek.

Doktór Zerman spoglądał z niedowierzaniem na przybyłego.

— Czy to tylko nie nowa farsa Władka? — zrobił sceptyczną uwagę.

— Czytajcie!—zawołał Władek, rzucając im numer gazety, w której była wzmianka o fatalnych wypadkach.— Za pół godziny będzie zresztą „Cyfra," którego spotkałem na ulicy. Opowie wam wszystko szczegółowo: jest biedak strasznie zdekoncertowany, biegł do mnie, jako do przyjaciela Janka, uprzedzić o nieszczęściu. Prosiłem go, ażeby zaszedł do „Loży", wzdragał się ale będzie... Opowie wszystko nam, którzy Janka kochamy i cenimy...

— A jeżeli Strzelecki rzeczywiście jest winien?— zrobił uwagę doktór.

— Ja za niego ręczę — wołał głośno, bijąc się w piersi Władek Stawinicz—ja ręczę... To jest nieporozumienie, które trzeba wyjaśnić. Strzelecki niema ro-

dziny, niema nikogo, my powinniśmy się zająć jego sprawą i wyprowadzić ją na jaw.

— Ja jestem tego samego zdania—dorzucił gorąco adwokat.

W tej chwili do „Loży“ weszło jeszcze paru młodych ludzi. Wiedzieli już oni o fatalnym wypadku i przychodzili wzruszeni, niespokojni... Stanęli wszyscy na środku saloniku i przerzucali się uwagami i pytaniami...

Ogólna opinja była, że Strzelecki padł ofiarą nieporozumienia i że do przyjaciół należało zajęcie się jego losem... Panowało ogólne wzburzenie.

Bo też Strzelecki był jednym z najstalszych członków „Loży“. Nazywano go żartobliwie wice-prezesem, podczas kiedy tytuł prezesa przyznawany był bezspornie Stawiniczowi. Zresztą Janek Strzelecki, o charakterze serdecznym, pełnym wylania, gotów zawsze do przysług i nawet poświęceń, był lubiony i kochany przez wszystkich. Pomiędzy zebranymi nie było pewno ani jednego, któryby nie doznał od niego przysługi lub grzeczności. To też wieść o jego aresztowaniu wywołała prawdziwą burzę.

— Onegdaj był jeszcze tutaj... Siedzieliśmy do trzeciej w nocy—zrobił ktoś uwagę.

— A wczoraj?

— Wczoraj go nie było.

— Właśnie też, jak mówi „Cyfra“—wtrącił Stawinicz—przestępstwo popełniono wczoraj.

Doktór znacząco pokiwał głową...

— Szczegóły! gdzie są szczegóły?— wołał adwokat.

— Ach, jak to dobrze, że ty jesteś tutaj Julku—rzucił się ku niemu Stawinicz. — Dotąd nie zwróciłem na ciebie, a właściwie na twój charakter odpowiedniej uwagi. Panowie—dorzucił, zwracając się do wszystkich — oto mamy radcę prawnego, który nam dopomoże do rozplątania fałszywych niewątpliwie poszlak, otaczających Janka.

— Z całego serca...

W tej chwili ktoś dyskretnie zapukał do drzwi. Do gabinetu wsunęła się pochylona postać znajomego już czytelnikom naczelnika buchalterji firmy Ejteles i S-ka p. Krosnowskiego. „Cyfra“ jak go pospolicie nazywano, stał we drzwiach niezdecydowany. Władek Stawinicz poskoczył ku niemu w jednej chwili, wprowadził do środka, usadził na krześle i przedstawił obecnym, jako szczerze życzliwego dla Strzeleckiego.

Po chwili głosem drżącym, cichym, niekiedy odpoczywając, p. Krosnowski zaczął opowiadać. Opowiadanie było krótkie, ale dokładne i ścisłe. Po kwadransie wszyscy byli najzupełniej świadomi rzeczy...

Gdy mówca zamilkł, zapanowało chwilowe milczenie.

— Poszlaki są, niewątpliwie—zabrał wreszcie głos adwokat Julek—ale ja, jako prawnik i były sędzia śledczy, najlepiej was mogę zapewnić, że takie poszlaki nic jeszcze bezwzględnie nie dowodzą... Jesteśmy w pierwszym dniu po spełnieniu występku, czy występków, śledztwo właściwe nie zaczęte, dotąd więc nic nie wiadomo. To, co w tej chwili zdaje się strasznem, może

być tylko drobnostką, którą jutro niewątpliwe fakta obalą. Zdarza się bardzo często, iż śledztwo kilkakrotnie błędną zdąża drogą, zanim trafi na właściwy tor. Jutro lub pojutrze może okażą się stokroć poważniejsze poszlaki przeciwko komu innemu...

— Przyznać jednak trzeba, że tak, jak jest, rzecz przedstawia się głupio!—zrobił uwagę sceptyczny doktór.

— Bynajmniej! Jak tu jesteśmy, wszyscy mamy najgłębsze przekonanie, że Strzelecki jest niewinny.

— Niewątpliwie...

— Otóż, jeżeli zechcemy, wychodząc z tego punktu, poszukać dziś jeszcze, nawet przed bliższem zbadaniem faktów, przypuszczalnego wyjaśnienia wszystkich jakoby walczących przeciw niemu poszlak, napewno je znajdziemy... Co więcej, znajdziemy przypuszczalne środki dowiedzenia nicości tych poszlak.

— No, no? — pokręcił głową doktór. — A cóż naprzykład powiesz o tym wyrazie, doręczonym właśnie w przeddzień zbrodni nie przez kasjera, ale przez Strzeleckiego?

— Może to być, najzwyklejszy przypadek. Nie można przecież przypuszczać, ażeby Halberson zabrał kopertę ze sobą domu, a Strzelecki, dopiero po zamordowaniu go doręczył takową Ejtelesowi. Zabójstwo, jeźli to tylko w samej rzeczy zabójstwo, mogło być dokonane jedynie wieczorem lub w nocy. Koperta musiała być doręczona w chwili zamknięcia biura, między 4 a 5, kiedy niewątpliwie jeszcze kasjer żył. Halberson musiał więc ją oddać z dobrej woli Strzeleckiemu, prosząc o doręczenie szefowi, ponieważ nie mógł sam dla jakich-

kolwiek powodów udać się z kopertą. Mogło to być w biurze lub na podwórzu, byli przytem napewno świadkowie, którzy tę okoliczność stwierdzą. Zestawienie czasu pomiędzy oddaniem koperty Strzeleckiemu, a wręczeniem jej Ejtelesowi przekona, że przez czas tak krótki koperta nie mogła być otworzona; sprawdzić można samą kopertę, która przecież istnieje...

— A schody?

— A zlitujcie się ludzie, przecież te schody właśnie mogą być ratunkiem naszego przyjaciela. Czyż nie rozumiecie, że skoro on niewinny, to i na schodach, nie znajdziecie żadnych śladów przejścia. A wtenczas—wszystko jest jak najlepiej...

— Lecz jego stan nienormalny, późne przybycie do biura, wreszcie Tema i pięć tysięcy?..

— To najłatwiejsze do wyjaśnienia. Pieniądze, to drobnostka. Wiem przecież i nawet moglibyście w razie potrzeby świadczyć, że Janek miał zawsze trochę pieniędzy, a ostatniemi czasy mógł nawet rozporządzać większemi sumami. Nie można powiedzieć, żeby te sumy pochodziły z nadużyć, ponieważ przedewszystkiem nie miał on w ręku kasy, a po drugie nadużyć nie było. Co do późniejszego przybycia do biura i dziwnego stanu, zlitujcie się! kto bez winy, niech nań rzuci kamieniem. Czy z obecnych tu nikt nigdy nie znajdował się w stanie mniej poczytalnym po kilkunastu kieliszkach szampana? To właśnie tłomaczy jego mniej jasne odpowiedzi na to, co miała mówić Tema, podobno jakieś zaprzeczenie.

— Rzeczywiście! — zrobił uwagę na pół już przekonany doktór Zerman.

— I pomyślcie sami, jeżeli punktem wyjścia musi zawsze być przypadkowe w ten lub inny sposób poznanie wyrazu zamykającego kasę, który mu przypadkowo powierzył kasjer, to jakże sobie wytłomaczyć przygotowanie, przedsięwzięcie i wykonanie na razie, *ex promptu* tak trudnej roboty, jak przeniknięcie do środka pokoju kasowego i otworzenie kasy ogniotrwałej—bez kluczy? Jeśli kasjer doręczył Jankowi kopertę z wyrazem o 4-ej, to kiedyż dobrał on klucze, kiedy dostał się do kasy, kiedy to wszystko obmyślił i wykonał? Wreszcie jedna jeszcze uwaga: czy, zamierzając spełnić podwójną zbrodnię, Janek byłby tyle nieostrożnym, ażeby wprowadzać odrazu kogo należy na swój ślad, doręczając zamiast Halbersona, wyraz zamykający kasę?.. Przecież najprostszem byłoby podrzeć kopertę, a „wyraz“ włożyć do kieszeni... I oto znikłaby odrazu pierwsza nitka, która zaczęła prowadzić do kłębka niewątpliwie fałszywych poszlak... Zapytuję się, kto mu kazał koniecznie oddawać kopertę, kiedy mógł ją sobie najspokojniej zatrzymać?..

Ale tymczasem entuzjazm obecnych, podniecony wybornemi uwagami i logiką Julka, doszedł już do najwyższych granic; nie pozwolono dalej mówić adwokatowi.

— Dość, dość!—wołał ktoś—idź, powtórz tylko to samo sędziemu śledczemu, a jutro będziemy tu jedli ze Strzeleckim kolację...

— Ale też gada, jak najęty!—robił uwagę wesoły Lolek.

— Brawo Julek, perła adwokatów warszawskich— krzyczał na cały głos Stawinicz.

— Więc jutro Janek będzie wolny?—pytał kto inny naiwnie.

Julek wreszcie zebrał się na odpowiedź.

— Jesteście warjaci, mówić z wami poważnie niepodobna. Wszystko, com tu powiedział, jest tylko przypuszczalne; mówiąc to, co mówiłem, chciałem wam dowieść, że poszlaki nawet tak pozornie silne, jak walczące przeciwko naszemu przyjacielowi, mogą przy pewnych okolicznościach nie mieć żadnego znaczenia. Tymczasem zresztą nic stanowczego powiedzieć nie podobna, brak nam bowiem faktów. O tem tylko mogę was zapewnić, że postaram się być *au courant* sprawy Janka i że użyję wszystkiego, ażeby go wyciągnąć z toni, do której tak strasznie pociąga go zbieg okoliczności... Tymczasem trzeba czekać!

— Czekać, jakto czekać! — odezwał się naraz od drzwi głośny okrzyk z akcentem wyraźnie przypominającym Nalewki.

Jak huragan wpadł przez otwarte na roścież drzwi młody człowiek o typie wybitnie żydowskim, o długim, krogulczym nosie, czarnych, przylepionych do skroni włosach, i sinawo podkrążanych oczach. Do rumianej twarzy miał jak gdyby przylepiony pół głupawy, pół szyderczy uśmiech, który szeroko rozchylał jego wargi. Był ubrany elegancko, podług ostatniej mody; w butonierce miał kwiatek. Ciągnął on dosłownie, za rękę, znaną już nam pannę Temę Z., która opierała mu się trochę, śmiejąc się.

— Czekać—ryczał dalej przybyły.—Pan potrzebujesz nie mówić takie paskudne słowo, panie mecenas... Co to jest czekać, kiedy jemu w kozę gryzą stonogi, karaluchy i inne z przeproszeniem ptactwo...

— A—Szmulek! książę Stasz!—wołano zewsząd!—co za losy cię przywiodły?

— Ja już tak zawsze... jak pięść do nosa—odpowiedział przybyły.

— Słuchaj no, Ejteles, czy można gadać z tobą poważnie?

— Za co nie, jak wół do karety...

— Czegożeś więc wpadł tutaj, jak bomba i przywlókł jeszcze ze sobą Temę?..

— Ty potrzebujesz nie robić niewłaściwe porównanie. Ja tu przyleciałem na ratunek naszego Janka. Mój dziadek, ten *ganef*, wsadził go do kozy. To rozbój, gałgaństwo! Naszego wice-prezesa, Janka Strzeleckiego, co ja go kocham tak prawie, jak Temę... I o co? O marne trzysta tysięcy... Ty wiesz, Lolek co to są moje te trzysta tysięcy. Ja pozwalam staremu wydziedziczyć mnie na tych pieniądzów i cicho, sza... Jak pies z dziadem w wązkiej ulicy!

Zgromadzeni z uśmiechem, lecz z prawdziwem zajęciem przysłuchiwali się lawinie bezładnych słów, wypadających z ust przybyłego, zaczerwienionego i roznamiętnionego. Tema stała nieopodal, oparłszy się o fortepjan. Wybornie skrojona, gustowna suknia opinała bogate jej kształty. Na jej ustach przestał już błądzić uśmiech, który było widać przed chwilą.

— Potrzebujecie, moi panowie, wiedzieć, że i ona

rozpacza o tego biedaka... Dziś, kiedy do niej przyszedłem, zastałem ją taką spłakaną, jak groch z kapustą. Nie może sobie darować, że ona stała się trochę przyczyną jego nieszczęścia. Ale ja jej powiedziałem: kpij sobie z tego, jak kwiatek do kożucha...

— W samej rzeczy, powiedział mi to — rzekła, uśmiechając się lekko Tema.

— A bo nie? I dodałem: że to nie prawda, Janek nie może być zbójca, złodziej, rabuśnik...

Stawinicz zbliżył się do zapeżonego Ejtelesa i uścisnął mu serdecznie dłonie.

— Poczciwy jesteś Szmulek!—rzekł.—Z całem sercem przyjmiemy twą pomoc w celu wykrycia niewinności Strzeleckiego.

— Tak, ale i pomoc Temy także... Ja bez niej jestem cały kapcon, tak jak, te kucharek sześć, co to niema co jeść...

— Właśnie!—roześmiała się przez łzy Tema.

— No, kiedy tak — zawołał Szmulek, a właściwie Stanisław Ejteles, rodzony wnuk szefa firmy Ejteles i Sp. — to my potrzebujemy się napić szampana... Hej garson, szwinia chce pić—zamrożone! — zakonkludował z powagą—tylko cały kosz...

ROZDZIAŁ V.

W Wogezach.

W dwie godziny potem zebrani siedzieli jeszcze przy stole w „Złotej loży". Strzelecki był ciągle przedmiotem rozmowy. Komentowano przedmiot ze wszystkich stron. Tema, wbrew zwyczajowi, tym razem milcząca i jakaś poważna, dorzucała niekiedy tylko do rozpraw jakie słówko... Brakło jej zresztą humoru całkowicie.

— Jeżeli chcecie się najdowodniej przekonać, że niemożebnem jest, ażeby Janek Strzelecki popełnił te ohydne zbrodnie—rzekł wreszcie Stawinicz—posłuchajcie, opowiem wam, jakem się z nim zaprzyjaźnił...

U dalszego końca stołu gwar jeszcze nie ucichał.

— Słuchajcie, słuchajcie — wołał „Szmulek" albo „książe Stasz"—będzie historja... Prezes gada, a on ma takie język, jak ta dziura w moście...

— Bliżej zeszedłem się z Strzeleckim w Wogezach. Było to w roku 1871, z górą sześć lat temu, podczas wojny francusko - pruskiej. Przed wojną studjowałem w Paryżu prawo czy coś innego, dobrze już nie pamiętam. Właściwie szlifowałem bruki, włóczyłem się po bulwarach i kawiarniach. Miałem sporo pieniędzy i hulaszczy Paryż za Cesarstwa bawił mnie wybornie.

Znałem już wtenczas z widzenia Strzeleckiego, który bawił od trzech lat w nowożytnym Babilonie. Napoczął

on dobrze jakąś sukcesję, którą mu już po raz pewno czwarty w życiu zesłała Opatrzność, a nawet, jak powiadali niektórzy, był na dnie worka... Przez dwa lata zresztą, jako polski hrabia, którego nazwiska w żaden sposób niepodobna wymówić, zachwycał swemi szaleństwami bulwary. Znałem go, lecz z widzenia i wiedziałem to tylko, że tak coś przed samem wypowiedzeniem wojny, papiery Strzeleckiego poszły na dół. Wierzyciele sprzedali mu pałacyk, meble, konie i obrazy. Strzelecki zniknął z horyzontu...

Zaczęły się czasy wojenne i potężna gorączka, która nas nawet, względnie obcych, zarażała... Kiedy niemcy zaczęli się zbliżać ku Paryżowi, porwany przykładem kilku moich przyjaciół francuzów, porzuciłem stolicę i udałem się wraz z nimi w Wogezy. Zaciągnęliśmy się tam do wolnych strzelców.

Nie będę wam tu opisywał bohaterskich moich czynów, bo ich potroszę wcale nie było. Wojna partyzancka, którą uparcie prowadziliśmy, nie zapisała się wybitniej na kartach historji. Biliśmy, gdzie było można, a jeśli nas niemcy mieli ochotę bić, zmykaliśmy. Była to ciężka, przykra służba, tem bardziej, że zapadła zima i że na każdem urwisku nie przygotowano dla nas wcale łóżek z miękkimi materacami...

Było to akurat pewnego wieczoru, kiedy wiatr, jak na złość, zdawał się stokroć zimniejszy, niż zwykle, a śnieg padał małemi płatkami, przejmującemi nas wilgocią do kości... Po utarczce, w której straciliśmy kilkunastu towarzyszów, drapaliśmy się przez pół dnia po urwiskach, i oto obecnie, dość daleko od prusaków, rozłożyliśmy się

kwaterą w jakimś wąwozie, u podnoża skały, której występ chronił nas wcale skutecznie od śniegu... Z boku osłaniały nas krzaki, w tej chwili białym puchem śniegu pokryte.

Zaledwo zaczęliśmy rozkładać ognie, gdy w tem dała się słyszeć trąbka. Był to sygnał naszych. Za chwilę drugi, znacznie mniejszy i znacznie więcej poturbowany oddział wolnych strzelców wchodził do miejscowości, widocznie znanej, jako dogodna kwatera i po oddaniu nam honorów wojskowych, roztasowywał się obok. Zaczęła się gawęda. Zkąd? dokąd? kogo bili? Żołnierze obydwóch oddziałów przyjaźnili się ze sobą. Dały się słyszeć śmiechy, gdzieś poderwała się wesoła piosenka z „*Madame Angot.*"

Zbliżyłem się do jednego z ognisk naszych gości. Bliżej ognia siedział jakiś młody człowiek, bandażujący chustką od nosa lewą rękę. Na chustkę występowały plamy z krwi... Twarz wydała mi się jakaś znajoma, nie mogłem zresztą przypomnieć sobie, gdzie ją widziałem. Stałem tak, gdy naraz z ust siedzącego wyrwało się takie dosadne, mazurskie przekleństwo, zapewne wywołane bólem, że nie mogłem dłużej wątpić. Żaden francuz nigdy w życiu takby nie zaklął. Miałem przed sobą rodaka. Przyjrzałem się mu jeszcze uważniej.

— Czy nie pan Strzelecki?—zapytałem naraz.

Siedzący podniósł głowę, a potem skoczył na równe nogi.

— On sam!—zawołał, a potem dodał, przyglądając mi się.—Z kim mam przyjemność?

Wymieniłem mu moje nazwisko i objaśniłem, dla

czego go znam. Za chwilę zapanowała między nami łatwo zrozumiała w takich okolicznościach zażyłość, a niebawem nawiązała się i sympatja. Na rano znaliśmy się już, jak łyse konie. Bo też prawie całą noc przegawędziliśmy przy ognisku o sobie, o wspólnych paryskich znajomościach, wreszcie o kraju, którego się już kawał czasu nie widziało. Muzyka ojczystego języka nas upajała.

Odtąd jakoś dwa nasze oddziały zaczęły chodzić razem, wreszcie po kilkakrotnem przetrzepaniu sobie wzajem skóry z prusakami, z dwóch dużych oddziałów zrobił się jeden mały. Staliśmy się w tej włóczędze dwojgiem nierozłącznych, Kastorem i Polluksem. Nie obchodziło się bez pewnego antagonizmu. Szło o to, kto kogo w różnych warjactwach prześcignie. Mieliśmy taką ambicję: kto więcej utłucze zjadaczy kiszki grochowej. A trzeba wam wiedzieć, że byliśmy, a i jesteśmy do dziś dnia, wcale nienajgorszymi strzelcami. Janek brał nagrody na *Tir aux pigeons*, a nawet ma do dziś dnia wykupiony z paryzkiego lombardu, otrzymany za celne strzały na jakimś konkursie w Szwajcarji, puhar srebrny. Ma się rozumieć warjowało się i nadstawiało głowy pod guza, czasem nie wiadomo po co i na co...

— Tfu! do licha—przerwał sam sobie Stawinicz— i to wszystko po to, żeby teraz siedzieć w kozie...

— Bez przerw, bez przerw! opowiadać! — dało się słyszeć z dalszych stron stołu.

— Otóż powiadam wam — ciągnął dalej Stawinicz, podniósłszy opuszczoną przez chwilę na ręce głowę — wtenczas dopiero zdołałem poznać do gruntu naszego

Janka. Serce złote, prostota gołębia, uczciwość nieskalana, a przytem nie bardzo rachujący się z warunkami, więcej lekkomyślny, niż poważny, więcej wesół, niż smutny...

Tysiączne wyprawiał szaleństwa. Raz, nastrzelawszy sporo prusaków, najspokojniej przedefilował sobie kilkaset kroków pod ogniem iglicówek, ażeby podnieść jakiegoś kociaka, któremu zabłąkana kula oberwała nogę, i następnie go opatrzeć.

Kiedyindziej ze złamanym kordelasem rzucił się na niedźwiedzia (w Wogezach są jeszcze niedźwiedzie), który po chybionym strzale przyparł mnie do skały i lada chwila miał ze mną skończyć. Janek rzucił się na niedźwiedzia potężnym skokiem i pchnął go tak silnie, że niedźwiedź razem z nim spadł z krawędzi skały w bezdenną przepaść. Ja zostałem uratowany. Jak się to stało, że ani ostre iglice skał, ani ostrzejsze jeszcze szpony niedźwiedzia nie dobiły go raz na zawsze? doprawdy nie wiem. Nazajutrz rano przynieśli go bez życia prawie do naszego obozu górale. Zatrzymał się podobno na krzakach rosnących w szczelinach kamienistej ściany, ztamtąd spadł na występ skał, gdzie też przeleżał sporo czasu omdlony. Przy swej żelaznej kompleksji, w tydzień był zdrów.

Raz znowu, kiedy właściciele jakiejś chaty spalonej od naszych kul, przyszli błagać o pomoc, Janek najspokojniej wyjął zaszyte w koszuli ostatnie trzysta franków i oddał im.

Na drugi dzień nie mieliśmy co jeść...

Był to chłopak, zdolny iść za pierwszym, zawsze

szlachetnym popędem serca, prędki, jak ogień, energiczny i dzielny. Jak dziś, groszem i pracą, tak wtenczas krwią i życiem szedł w pomoc każdemu... Francuzi, których nie wiele co porusza, wyróżniali go z pomiędzy siebie, nazywając „*Un brave Polonais*".

Raz do naszego sierżanta, kościstego, niezgrabnego górala przyjechała w odwiedziny żona z synem. Chata ich znajdowała się właśnie nieopodal naszej chwilowej kwatery i biedacy z całego serca korzystali ze sposobności powitania męża i ojca. Nie zrażały ich niebezpieczeństwa wojny, które, mówiąc nawiasem, stały się z czasem czemś bardzo prostem, do czego wszyscy przywykli. W rezultacie sierżant miał wielką ochotę spędzić wieczór z rodziną...

Aż tu przypomina sobie, że ma wieczorem straż, a właściwie rond do obejścia. Prusacy stali o trzy strzały karabinowe, trzeba się więc było mieć na baczności...

Zanim sierżant otworzył usta, ażeby kogoś prosić o zastępstwo, Janek już był przy nim i błagał o ten zaszczyt. Biedak sierżant, trochę się wzdragał, obawiając się jakiego nieszczęścia dla zucha, który zdawał się zupełnie nie bać śmierci, ale nareszcie przystał.

Poszliśmy zresztą obydwaj razem, jako dwaj nieodłączni.

Zaledwo przeszliśmy kilkadziesiąt kroków (a było to ciemnym wieczorem), wiatr przyniósł do nas jakieś szepty...

— Baczność! — zawołał po polsku Julek, tłumiąc głos.

Zbliżaliśmy się powoli, starając się robić jak najmniej hałasu. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze.

Byliśmy właśnie za załomem skały, z po za którego odzywały się dwa głosy. Mówiono po niemiecku. Pojedyncze wyrazy dochodziły do nas, ale ogólny sens rozmowy trudny hył do zrozumienia.

Posunęliśmy się jeszcze naprzód. Uważnie słuchając, odróżnialiśmy dwa głosy: gruby bas, trochę chrapliwy, widocznie głos męzki i srebrzysty sopran kobiety. Słuchaliśmy. Mówiono o wolnych strzelcach i osnuwano w paru wyrazach piekielny plan, dążący do wytępienia naszych oddziałów...

A więc mieliśmy przed sobą zdradę.

Janek zrobił mi energiczny ruch, zachęcając do naśladowania go. Jednym skokiem rzucił się naprzód— i za chwilę, minąwszy występ, znaleźliśmy się wobec dwóch cieniów przytulonych do skały. Ogień rozświecił ciemności. Jeden z cieniów strzelił do nas...

Za chwilę Janek mocno trzymał w atletycznych rękach młodego oficera pruskiego, drżącego jak liść osiny. Obok stała kobieta, której kształtów i wieku nie pozwalał rozpoznać zmrok nocny. Jej zamiary nie były także pokojowe.

Odrazu skoczyła ku mnie. Garść miałkiej gliny rzuciła mi w oczy, omal mnie nie oślepiła. Zasłoniłem się i cofnąłem. Jednocześnie strzałem z karabinu starałem się zaalarmować oddział. Janek żelazną ręką pochwycił kobietę za piersi i w ten sposób trzymał obydwoje, drżących z przerażenia. Ja skierowałem na nich pistolety.

— Szpiegi — syknął pomiędzy zębami Janek. — I gdzie się ta zgnilizna zaczyna szerzyć? Oficer—i ko-

bieta. Miejmy nadzieję, że ta kobieta nie należy do liczby francuzek. W każdym razie trzeba ich przykładnie ukarać... Dla zdrajców i szpiegów miejsce na szubienicy.

Zanim na nasz strzał nadbiegli towarzysze, upłynęło kilka chwil. Strzegliśmy naszych więźniów, jak oka w głowie. Mężczyzna był zupełnie spokojny, tylko kobieta rzucała się, jak wilczyca w żelaznej klatce

Było ciemno, choć oko wykól. Księżyc schował się za chmury. Ani twarzy, ani nawet figury naszych więźniów odróżnić nie mogliśmy.

Naraz na skały trysnęło złotawe, blade światło księżyca. Wązki sierp nocnego towarzysza ziemi, wysunął się na horyzont. W tym blasku mignęła przed nami młoda, wcale przystojna, o dziwnie demonicznym uśmiechu twarz kobiety, rzekłbyś—dziewczęcia.

— To ty!—zawołał Janek, puszczając prusaka.

Gdyby nie moja baczność, szpieg zdołałby w tej chwili umknąć. Przytrzymałem go. Była chwila milczenia.

— Tak, to ja!—odrzekła kobieta po francuzku.

— Więc zostałaś szpiegiem!—zawołał Janek.

— Sądź, jak chcesz!—było jej odpowiedzią. Jednocześnie wybuchnęła spazmatycznym śmiechem; po chwili dodała: Więc pan ciągle przypuszczasz, że masz nademną jakieś prawa, jak tam na *Avenue de l'Imperatrice*, w Paryżu... To zabawne.

— Nie ma tu mowy o prawach. Jestem żołnierzem w szeregach Francji—ukazał jej przy mgle księżyca tornister przewieszony za plecami—mam prawo karać wrogów mej przybranej ojczyzny.

Śmiech, tym razem mniej pewny siebie, był odpowiedzią kobiety.

Tymczasem powoli w sąsiednich wąwozach i na drogach zaczęły się ukazywać pochodnie z łuczyw i latarnie. Wierzchołki skał odbijały czerwonawe ognie. Jednocześnie słychać było szmery i odgłosy; to zdążali nasi na alarm.

W Janku toczyła się widocznie jakaś walka. Naraz pochwycił mocno kobietę za ramię.

— *Juliette!* — zawołał — za chwilę zginęłabyś... Chodź ztąd.

Nieznajoma znów się roześmiała sucho. Rzekła:

— Jeśli chcesz, i owszem...

— Władku, trzymaj tego łotra i nie dziw się niczemu—rzucił mi niespodziewanie Janek i za chwilę znikł w rozłamie skał razem z kobietą.

W sekundę po jego odejściu nasi byli na miejscu wypadku. Pytano, żądano wyjaśnień. Nie mogłem zdać sobie sprawy ze sceny, która miała miejsce przed chwilą. Opowiedziałem wszystko, przeczuwając niejasno grożące niebezpieczeństwo...

Prusaka wolni strzelcy wzięli pomiędzy siebie. Nazajutrz rano wisiał on już na najwyższej sośnie doliny.

Co się działo z Jankiem?.. Oto pytanie, które zadawali sobie wszyscy. Już, powracając z naszego rekonesansu, słyszałem do koła nieprzyjazne szmery. Powszechnie sądzono, że za wspólniczką schwytanego zdrajcy popędziła go zwykła młodzieńcza namiętność, i już taki dość nawet zwykły objaw traktowano bardzo źle. Nikomu jeszcze do głowy nie przyszło, że mógł ją znać po-

przednio i że starał się umyślnie szpiega w spódnicy usunąć po za obręb słusznej zemsty naszych.

Około dziewiątej rano—znajdowałem się wówczas właśnie na służbie przy zaimprowizowanym namiocie dowódcy, przybył Janek. Wbrew zwyczajowi kiwnął mi tylko zlekka głową i kazał się zameldować kapitanowi Légrand. Po przez dziurawe skrzydła namiotu słyszałem całą rozmowę.

— Kapitanie — rzekł, oddawszy należne honory wojskowe, Janek—przychodzę ci powiedzieć, że wczoraj około dwunastej wieczorem, spotkawszy dwóch szpiegów, zmawiających się na bezpieczeństwo naszego oddziału, postąpiłem wbrew obowiązkowi żołnierza. Mianowicie, korzystając ze znajomości ścieżek i mroku nocy, uprowadziłem jednego ze szpiegów, kobietę... Znajduje się ona obecnie po za obrębem naszych poszukiwań.

Kapitan podskoczył do góry zdumiony. Janek (widziałem to najwyraźniej przez szczeliny namiotu) miał niezmiernie dziwny wyraz twarzy. Był, niby zapłakany, niby rozespany.

— Ależ kapralu—zawołał naraz kapitan—oskarżasz się najwyraźniej o zdradę...

— Tak jest.

— Opamiętaj się. Może to było przypadkiem, może byłeś nieprzytomny... Przecież znamy cię, jako dzielnego żołnierza, daj jakiekolwiek wystarczające objaśnienie. Przyjmiemy wszystko, uwierzymy ci.

Janek milczał. Po chwili rzekł z wysiłkiem:

— Nie mam nic do dodania...

— W takim razie — rysy starego wojaka zachmurzyły się—sprawę twą rozpatrzy sąd wojenny...

Tegoż dnia o piątej nad wieczorem przed tarcicą położoną na bębnach zasiadł sąd wojenny, złożony z młodziutkiego porucznika Lavigne, starego kłusownika Jean Marie i sierżanta Jolibois, tego samego, którego zastąpiliśmy we dwóch w owym fatalnym rondzie. Dwa stare wiarusy (Jean Marie bił się pono, jako młody trębacz, pod Waterloo) zaledwo wstrzymywali westchnienia, a młodziutki, rumieniący się, jak dziewczątko, porucznik, prezes sądu, co chwila ocierał nabiegające mu do oczu łzy.

Sąd robił tysiączne wysiłki, ażeby uratować Janka, zadawał mu pytania, starał się wprowadzić rzecz na inną zupełnie drogę. Wszystko się obijało o zimną obojętność Janka. Odpowiadał:

— Uprowadziłem szpiega. Nazwiska tej kobiety nie wyjawię. Mam do tego swoje powody. Róbcie, co chcecie...

Sąd skazał go na śmierć.

Wielce charakterystyczną była scena, po ogłoszeniu wyroku. Jeden ze sędziów, stary sierżant, Jolibois, z chwilą, gdy się skończyły jego obowiązki sędziowskie, wybiegł z za improwizowanege stołu i rzucił się ku siedzącemu nieopodal na polowem krześle kapitanowi.

— Ulituj się, komendancie! — wołał, rzucając się do jego nóg—ułaskaw go...

— Ułaskaw!—wołali zebrani żołnierze.

Kapitan potrząsnął smutnie głową. Znaczyło to odmowę. Wszyscy, znający nieugięty charakter naszego dowódcy, rozumieli, że jest to wyrok stanowczy...

Nie trudno sobie wyobrazić mój stan, podczas gdy Janka odprowadzono do aresztu, tym razem zaimprowizowanego w ruinach chaty góralskiej. Egzekucja była wyznaczona na drugi dzień na ósmą rano. Janek miał zostać rozstrzelany. Calutką noc myślałem nad sposobem uratowania mego druha; nie znalazłem nic.

O szóstej rano, z pozwolenia kapitana, byłem już u jego boku. w prowizorycznym areszcie. Była to scena, której nigdy nie zapomnę... Wyniosły, niemal zimny, Janek, zdawał się nie zwracać uwagi na oczekujący go za chwilę los. Patrzył gdzieś daleko w przestrzeń. Przycisnął mnie gorąco do piersi, a wtedy w nieruchomem jego oku ujrzałem łzę, jedyną chyba w życiu.

— Powiedz w kraju—rzekł z gorzkim uśmiechem—że umieram nie bardzo może winny...

Po chwili powiedział:

— Ta kobieta jest moim złym duchem. Znam ją i pomimo wszystkiego szaleję za nią. W Paryżu kosztowała mnie niezmiernie dużo, omal że nie... honor. Widać przeznaczonem mi paść z jej ręki. Pomimo to wszystko, kocham ją do szaleństwa!

Nie dodał nic więcej.

Zauważyłem że ciągle wyglądał, jak nieprzytomny. Oczy miał zaczerwienione, niby zaspane, a spojrzenie—mętne...

Nastąpiła wreszcie fatalna chwila. Poprowadzono go na małą polankę. Szedł wyprostowany, wysoki, z podniesioną do góry głową, w płaszczu żołnierskim. Stanął pomiędzy krzakami, pokrytemi śniegiem, odrzu-

ciwszy płaszcz, z odsłonioną piersią. Naprzeciw niego znajdowała się grupa strzelców z nabitą bronią.

Wszyscy milczeli. Zabrzmiało pierwsze słowo komendy...

Wtem, z za krzaków, wybiegł, jak szalony, sierżant Jolibois. Trzymał w ręku jakiś złożony papier. Egzekucję wstrzymano. Za chwilę kapitan miał w ręku dekret ułaskawiający Janka, wydany przez najbliższego zwierzchnika na jego przedstawienie. Stary wiarus zrobił to w sekrecie przed nami. Jolibois był jego posłem.

Rzuciłem się, jak szalony, w objęcia Janka. Był równie spokojny, jak przed chwilą, tylko w spojrzeniu miał coś bardziej miękkiego. Kapitan Légrand z łzami radości uściskał skazanego przed chwilą na śmierć.

— Rozumiem to...—rzekł doń—historja z kobietą, to tak zawsze... Ach, te kobiety!

Po chwili dodał surowo:

— Swoją drogą, moje dziecko, w moim oddziale dłużej nie możesz pozostawać. Przedewszystkiem subordynacja.

Kiedyśmy odeszli na stronę, ażeby swobodniej pogawędzić, pierwszem słowem Janka do mnie było:

— Wiesz, z czego jestem zadowolony? Oto, że może zobaczę jeszcze ją...

Na drugi dzień już go nie było w naszym oddziale.

Władek Stawinicz zatrzymał się.

— Od tego czasu—dodał—los nas stykał ze sobą jeszcze kilkakroć... Ostatecznie siedzimy w Warszawie już blisko trzy lata. Sądzę, że zdołałem poznać Strze-

leckiego. Epizod, który opowiedziałem, dał wam próbkę jego charakteru. Mniemam, że taki człowiek nie mógł popełnić nic podłego, zamordować starca i okraść kasy.

Odpowiedziano ogólnem twierdzeniem. Nawet „książę Stasz“ nie błaznował, jak zwykle...

. . . .

Była druga nad ranem. Przez Plac Teatralny szło powoli paląc cygara i włożywszy ręce do kieszeni, dwóch członków „Loży“.

— Cóż o tem wszystkiem ostatecznie sądzisz, doktorze?—pytał inżynier Benda.

— Doprawdy nic pewnego. Patrząc chłodniej, argumenta Julka—to przypuszczenia... To znów, co opowiadał Stawinicz, nie bardzo mówi na korzyść Strzeleckiego. Jest to najwidoczniej charakter, może śmiały i nawet sympatyczny, ale awanturniczy. Zbyt gorące namiętności prowadzą za daleko... Przytem stosunki materjalne tego człowieka są niejasne.

Obydwaj idący przyspieszyli kroku.

— Na wyjaśnienie rzeczy trzeba czekać — zakonkludował doktór Zerman.

ROZDZIAŁ VI.

W izdebce Halbersona.

Była godzina jedenasta rano. W małej izdebce, Halbersona, przy łóżku, na którem spoczywało zimne już ciało, zebrało się sporo osób. Był tu sędzia śledczy, prokurator, lekarz, znany już nam urzędnik policyjny, kilku agentów, ślusarz, wreszcie rządca domu i stróż. Przystępowano do pierwszych czynności śledztwa.

Pokoik zajmowany przez Halbersona, był mały, ciasny, nizki, bardzo skąpo umeblowany. Znajdowało się tutaj łóżko, szafka nie wielka, komoda, stół, parę krzesełek i więcej nic... W pokoju nie widać było żadnego szczególniejszego nieładu, któryby świadczył o walce, o odbytym dramacie. Ciało Halbersona leżało na łóżku zarzucone prześcieradłem. Na znak dany przez sędziego jeden z agentów zdjął pokrycie. Od pierwszego rzutu oka można było dostrzedz, iż śmierć nastąpiła w skutek uduszenia. Charakterystyczne cechy asfiksji były aż nadto widoczne. Co więcej, na sinej szyi po za brodą, białą, jak mleko, widać było zaciśnięty silnie sznurek, którego, jak gdyby zerwany koniec leżał na pościeli. Nieboszczyk był tylko w jednej bieliźnie...

Widok ten zrobił na obecnych potężne wrażenie. Wszyscy aż odstąpili w tył.

— Cóż, doktorze, jakież twe wnioski? — zapytał wreszcie prokurator.

Doktór zbliżył się do łóżka i przez chwilę badał ciało wzrokiem.

— Najwidoczniejsze uduszenie. Nieboszczyk powiesił się lub... został powieszony. Przekonywa o tem choćby sznurek zaciśnięty na szyi i to...

Tu doktór wskazał wzrokiem mocny hak wbity w ścianę na wysokości około czterech stóp nad łóżkiem i wiszący na haku kawałek sznurka.

— W samej rzeczy—rzekł sędzia śledczy.

— Nie potrzebuję więc panom mówić, że według tego, co tu widzimy, Halberson musiał się powiesić, a następnie sznurek, zbyt słaby, pękł i ciało upadło na łóżko...

— Jest to, jak dotąd, zupełnie prawdopodobnem.

— Zresztą należy sprawdzić, czy rzeczywiście śmierć nastąpiła z tej tylko przyczyny i czy przypadkiem nie zostało powieszone ciało już martwe?..

Nastąpiły bardzo szczegółowe i skrupulatne oględziny. Wszyscy obecni oczekiwali z niecierpliwością ich rezultatu.

— I cóż? — zapytał prokurator, gdy wreszcie doktór wyprostował postać pochyloną dotąd nad łóżkiem.

— Prawie stanowczo mogę twierdzić, że każdy inny organ zasadniczo nie został naruszony... i że śmierć nastąpiła w skutek uduszenia. Wątpliwość jest prawie niemożebna.

— A więc przypuszczasz pan samobójstwo?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa...

— Czy nie można przypuszczać, że nieboszczyk zo-

stał wprost uduszony sznurkiem a następnie przygotowano otoczenie, nasuwające myśl powieszenia?

— Sądzę, że nie... ciśnienie sznurka na szyję byłoby inne, znacznie mniejsze.

Urzędnicy widocznie byli zadziwieni. Rezultat śledztwa był wprost nie zgodny z ich domniemaniami. Sędzia śledczy rozglądał się uważnie po mieszkaniu, mierzył wzrokiem wysokość haku, wreszcie rzekł, zwracając się tym razem do urzędnika policyjnego:

— Czy pan nie sądzisz, że w stosunku do wzrostu nieboszczyka hak wbity jest zbyt wysoko?

— Być może.

Była chwila milczenia.

— Trzeba wreszcie kończyć nasze zajęcie — rzekł prokurator. — Niech agenci zajmą się przeszukaniem mieszkania... Ale, ale — dorzucił po chwili, zwracając się do rządcy domu — czy w pierwszej chwili po otworzeniu mieszkania nie znaleziono nic, żadnego listu, papierka?..

— Zupełnie nic. Zresztą przy pierwszem otworzeniu drzwi znajdował się ten pan.

Wskazał ręką na jednego z agentów policyjnych nizkiego bruneta, szczupłego i niezmiernie ruchliwego. Mógł on liczyć dwadzieścia kilka lat. Miał twarz i wygląd dziecka ulicy, gamena.

Agent potwierdził oświadczenie rządcy domu.

— To dziwne — zauważył prokurator. — Samobójcy, szczególniej ze sfery cokolwiek inteligentniejszej, zwykle zostawiają parę słów, wyjaśniających w ten lub inny sposób powody samobójstwa... Mają oni zawsze coś do powiedzenia światu, który opuszczają na zawsze.

Tymczasem agenci zajęli się pilnie przeglądaniem mieszkania. Przeszukiwali szafę i pościel, zaglądali do wszystkich kątów, wybierali różne drobne przedmioty. Największą ruchliwością odznaczał się ów mały agent ruchliwy, jak żywe srebro. Twarz jego nie wyrażała jednak zadowolenia; dotąd nie znaleziono nic poważniejszego, nic, coby dorzucało jaki nowy szczegół do sprawy, coś wyjaśniło i tłumaczyło...

Z początku urzędnicy pilnie śledzili za poszukiwaniami, po kilku chwilach jednak, nie widząc nic ciekawego, stanęli w jednym z rogów izdebki i zapytywali o różne szczegóły rządcę...

— Jakie życie prowadził zmarły Halberson?—pytał sędzia śledczy.

— Nadzwyczaj spokojne, wychodził i przychodził o jednej godzinie, wieczorem chodził na spacer, nikogo u siebie nie przyjmował.

— Czy robił on na panu wrażenie człowieka zamożnego?..

— Trudno na to odpowiedzieć. Żył bardzo oszczędnie, nawet skąpo. Mówiono jednak o nim, że ma pieniądze i to dość znaczne... Komorne płacił jak najregularniej.

— Czy przypadkiem nie wiadomo, jak spędził lub mógł spędzić wieczór dnia onegdajszego? — prowadził dalej indagację sędzia.

— To chyba może wiedzieć stróż... Janie, chodźcie no tutaj.

Rządca powtórzył Janowi pytanie sędziego. Jan podrapał się w głowę, wreszcie rzekł:

— Jakoś mi się ochapia, że pan Halberson wrócił do domu około piątej w dzień. Stałem wtenczas w bramie. Szedł prędko i tak mi się zdaje, że musiał być trochę czegoś markotny...

— Czy potem nie wychodził z domu?

— Nie.

— I u niego nikt nie był?

— A chyba że nie... Chociaż kto to może wiedzieć? Tyle się tu włóczy różnych od rana do wieczora!

Sędzia śledczy zwrócił znaczące spojrzenie na prokuratora i szepnął:

— Najwidoczniejsze samobójstwo!.. To zupełnie zmienia rzecz.

W tej chwili urzędnik policyjny, który nadzorował czynności agentów, przystąpił do prokuratora.

— Znaleźliśmy pugilares—rzekł.

Wszyscy skierowali się do komody, w której szufladzie leżał duży, czerwony, safjanowy pugilares. Obok znajdowała się sakiewka i kobiałka do drobnej monety. Po skrupulatnem przejrzeniu tych trzech pomieszczeń, znaleziono razem sto kilkadziesiąt rubli. Była jedna storublówka, znajdowało się trochę papierków, w kobiałce było za kilkanaście rubli drobnych, a sakiewka mieściła parę złotych monet. Co zwróciło uwagę obecnych, to ta okoliczność, że w sakiewce znaleziono krzyżyk złoty.

— U żyda? — zapytał sam sędzia śledczy. — Czy tylko Halberson do ostatnich chwil życia był żydem?

— Niewątpliwie.

— Czy więcej pieniędzy nie ma? jakich dowodów,

obligów, papierów, dowodzących lokację kapitałów w instytucjach bankowych.

— Nic...

— To dziwne! Przecież nieboszczyka uważano za kapitalistę... Proszę pana — rzekł nagle, zwracając się do rządcy domu — pan twierdzi, że u Halbersona nikt nigdy nie bywał...

— Prawie nikt.

— A więc jednakowoż wizyty zdarzały się, choć bardzo rzadko...

— O ile wiem, to przez czas, kiedy tu jestem rządcą, to jest zawsze pięć lat z górą, podobne wypadki mogły się zdarzyć dwa lub trzy razy.

— Czy w liczbie odwiedzających Halbersona nie było kobiet?..

— Kobiet? Ach, właśnie... Przed kilku miesiącami zajeżdżała do Halbersona jakaś dama w karecie. To zwróciło uwagę całego domu...

— Czy nie widziano dokładniej tej damy, nie dostrzeżono jej twarzy, czy kto nie może przypadkiem dać wskazówek, kto to taki?..

— Wątpię. Ot, gapiło się całe podwórze, ale trwało to tylko chwilę. Dama była przytem podobno za woalką. Ja bo sam jej nawet nie widziałem...

Sędzia śledczy pokiwał głową. Naraz zwrócił się do stróża:

— Słuchajcież, czy nie zdarzało się, że nieboszczyk Halberson wracał do domu czasami, bardzo rzadko, późną godziną, o dwunastej, drugiej albo trzeciej w nocy?

Jan się zamyślił.

— E, chyba nie... A może... może raz zdaje mi się to tak było...

— Aha!

— Jeszcze jedno — tym razem sędzia śledczy pytał rządcę — czy przypadkiem nieboszczyk nie wyjeżdżał niekiedy na kilka lub kilkanaście dni za granicę lub do Cesarstwa? Pan, jako prowadzący książki meldunkowe, powinieneś o tem dobrze wiedzieć...

— Raz, trzy lata temu, wyjeżdżał do wód. A potem... kiedyś pamiętam... nawet niedawno, nie było go w domu przez dni kilka. Mówił, że wyjeżdża, ale paszportu nie brał...

Sędzia śledczy coraz bardziej był zamyślony. Kręcił głową.

Wtem z drugiego rogu izdebki od strony łóżka dał się słyszeć lekki okrzyk. Przy łóżku na czworakach leżał prawie nasz ruchliwy agent „Fryga“, jak go nazywali towarzysze, a zaglądał pod łóżko.

W tej chwili wszyscy już byli obok niego.

— Światła!—wołał „Fryga“—światła! Albo nie—dodał po chwili—zrobi się inaczej...

Podniósł się.

— Czy można, proszę pana naczelnika, odsunąć łóżko?

Prokurator skinął głową.

Niebawem, w rogu pokoju, w miejscu, gdzie stało przed chwilą łóżko, obecni spostrzegli żelazne drzwiczki niewielkiej kasetki, wpuszczonej w podłogę... Drzwiczki widocznie były otwarte, misterny klucz leżał obok.

Sędzia śledczy nachylił się i otworzył drzwiczki. Z ust obecnych wyrwał się mimowolny okrzyk...

W kasetce leżała kupka listów zastawnych i jakieś rachunki i kwity. W parę chwil rachunek został zrobiony. W kasetce znajdowało się listów zastawnych za dwadzieścia tysięcy rubli z górą. Dołączone rachunki i specyfikacje dowodziły, że listy zastawne zostały nabyte różnemi czasy u różnych bankierów. Rzecz więc coraz bardziej upraszczała się. Najwidoczniej nie mogło tu być zbrodni, lecz tylko samobójstwo... Wszystko było jasnem. Przecież zbrodniarz, gdyby istniał, nie zaniedbałby także rabunku. Innych motywów zbrodni ani można było przypuszczać. Zresztą wszystkie dane materjalne dowodziły stanowczo samobójstwa.

Pomimo to, sędzia śledczy kręcił głową niedowierzająco.

Dość sceptycznie musiał się również zapatrywać na owo przypuszczenie „Fryga“, a przynajmniej zdawał się on mniemać, że w sprawie jest jeszcze wiele do odkrycia. Bo, nie kontentując się jeszcze znalezieniem kasetki i pieniędzy, rzucał na około wzrokiem badawczym, przeskakującym z przedmiotu na przedmiot.

Musimy go nawet wydać z sekretu. W chwili, gdy po odsunięciu łóżka od ściany, uwaga wszystkich skierowaną była na kasetkę, „Fryga“ bardzo zręcznie zdołał zeskamotować kilka drobnych kawałków papieru, leżących przy ścianie.

W tej chwili „Fryga“, nachylony nad kasetką, znowu z wielką pilnością ją badał.

— Czego tam jeszcze chcesz?—pytał go urzędnik.

— E, nic, proszę pana naczelnika... Aha!—zawołał naraz.

— Czy co nowego?

— Tak, skrytka...

Znowu głowy wszystkich pochyliły się ku podłodze. Rzeczywiście jedno z bocznych ścian kasetki pod palcami „Frygi“ ustąpiła i ukazało się maleńkie zagłębienie. „Fryga“ z tryumfującą miną wydobył ztamtąd — dwie fotografje.

Podał je sędziemu śledczemu. Jednocześnie przecież do jego palców przylepił się niewidzialny kawałek papieru, wydobyty również z tej samej skrytki... Równie niepostrzeżenie powędrował on do kieszeni agenta.

Wszyscy tymczasem zajęci byli fotografjami. Przedstawiały one dwie nieznane postacie kobiece, typu wcale nie żydowskiego, ubrane wykwintnie. Nikt z obecnych nie znał tych twarzy. Jedna z dam, przedstawionych na fotografji, była to osoba poważniejsza, w dojrzałym już wieku, z wyrazem powagi w twarzy i śladami piękności. Druga—młodziutkie dziewczę—był to prawdziwie Rafaelowski aniołek, postać pełna wdzięku i uroku... Tak przynajmniej można było sądzić z fotografji.

— Znowu zagadka!—szepnął sędzia śledczy.

Po chwili prokurator z sędzią śledczym, po naradzie, postanowili zamknąć czynności. Nie spodziewano się już nic więcej znaleźć. Przystąpiono do spisania protokółu.

„Fryga“ ciągle jeszcze myszkował po pokoju, czegoś szukając i ciągle przyglądając się czemuś... Szczególniej długo stał nachylony nad łóżkiem, przyglądając

się sinej twarzy nieboszczyka. Nawet jak gdyby poprawiał pościel... Tym razem jednak nie zrobił żadnego nowego odkrycia, a przynajmniej nie zakomunikował nic obecnym.

ROZDZIAŁ VII.

Drobne tajemnice „Joska".

Znajdujemy się na Nalewkach w głębi jednego z najbrudniejszych podwórz.

Jestto drugie podwórze. Na tylnym planie, na końcu posesji, wązkiej, a długiej, spostrzegamy oficynę jednopiętrową, starą, obdrapaną. Nie licuje ona wcale z trzypiętrowemi oficynami, które wznoszą się z boków drugiego podwórza. Widocznie nizka obdrapana oficyna jest dawnym zabytkiem, który nie wiadomo dla czego zachowują nietkniętym właściciele posesji.

Oficyna wygląda zupełnie martwo; niema tu zwykłego nawet w nalewkowskich podwórzach ruchu i ożywienia. Do środka prowadzi sień, nad którą wisi lakoniczny napis „kantor". Żadnych dalszych objaśnień.

Gdyby zapytać sąsiadów, jaki interes prowadzi właściciel „kantoru", byliby rzeczywiście w kłopocie. Odpowiedzieliby:

— Handluje z towarami.

Wejdźmy do wnętrza oficyny. Z sieni na prawo na parterze znajduje się obszerny, ale brudny i słabo oświetlony pokój. W głębi są jakieś kratki. Wszędzie po pokoju rozstawiono mnóstwo przedmiotów różnego rodzaju i użytku.

W pokoju znajdują się w tej chwili (godzina wieczorna) dwie osoby.

Jedną z nich jest właściciel, a może współwłaściciel „Kantoru“ pan Apenszlak, człowiek już dobrze stary, o niezmiernie ciekawej i charakterystycznej twarzy.

Nos zakrzywiony jak dziub krogulczy, oczki małe i latające, duża głowa łysa, tylko gdzieniegdzie kępkami żółtawo-brudnych włosów pokryta, ani wąsów, ani brody—oto rysopis tej osobistości. Dodać potrzeba do tego jeszcze niezmiernie charakterystyczne zmarszczki, ściągające całą skórę na jego twarzy w jakieś fantastyczne fałdy, ażeby wyobrazić sobie tego człowieka...

Naprzeciwko niego za stołem siedzi znany już czytelnikom—„Josek“.

Rozmowa jest widocznie bardzo ożywiona.

— Więc pan—zapytuje w tej chwili „Josek“—nie chcesz mi tym razem zrobić tego, czego od pana żądam?

— Tak...

— I dla czego?

— Ja panu, mój młody panie, powiem jedną powieść, co jest w talmudu: Jeden rabin miał jednę kozę, co mu bardzo dużo dobre mleko dawała. To wiesz pan, co un zrobił. Un chciał ją siedm razy na dzień doić. To wiesz pan, co ona zrobiła? Wzięła—i zdechła...

— Chociaż — dorzucił po chwili sentencjonalnie— mogła także, jakby była mądra, i ucieknąć...

Zapadał mrok. „Josek“ patrzył pilnie w oczy Apenszlakowi. Po chwili rzekł:

— Przypowieści mnie nie obchodzą. Nie przyszedłem tutaj na słuchanie bajek i dowcipów... Co chcę, musi być zrobione!

Apenszlak pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Zresztą nie mam czasu i przystępuję od razu do rzeczy...

Wyjął z kieszeni gruby pugilares i położył go na stole.

— Czy pan znasz Charków?—zapytał po chwili.

— Ja? zkąd mam znać?..

— Czy nie słyszałeś pan przypadkiem o niejakim Rabinersonie, którego tam poszukują za rabunek, liczne oszustwa i fałszerstwa weksli?..

Apenszlak podniósł się. Głosem zmienionym i drżącym rzekł:

— A pan zkąd słyszałeś o Rabinersonie?

— To moja rzecz... Powiem panu więcej, panie Apenszlak, posiadam tu w tym pugilaresie jeden z weksli sfałszowanych przez tego pana. Nie bój się, inne są w ręku władzy sądowej...

„Josek“ powoli, spokojnie roztworzył pugilares i wyjąwszy weksel, pokazał go zdaleka Apenszlakowi.

To, co nastąpiło, było dziełem jednej sekundy. Stary, jak gdyby drapieżny zwierz, rzucił się na „Joska“, pragnąc mu wyrwać papier. Ale ten ostatni, z siłą, jakiejby się po nim nie można było nigdy spodziewać, odep-

chnął tak silnie starego, że ten upadł na ziemię przy drugiej ścianie.

W tej chwili z błyskawiczną szybkością „Josek“ wydobył z kieszeni rewolwer i skierował go na powstającego z upadku starca.

— Ani kroku dalej!—zawołał głosem równym i spokojnym.—Na takich, jak pan, mam broń...

Ale Apenszlak już się uspokoił. Ciężko dysząc, siadł na krześle. Dopiero po chwili rzekł:

— Pan masz ciężką rękę... Taki młody! Czego pan chcesz od Rabinersona?—dorzucił po chwili, zmieniając.

— Żeby wytłumaczył panu, panie Apenszlak, że powieść o kozie nie może mieć do nas dwóch zastosowania...

Stary kręcił głową, cmokał ustami. W oczach jednak świecił mu się jakiś dziki i złowrogi ogień.

— No, pan mnie przekonałeś—rzekł.

— Bardzo mnie to cieszy. Tem bardziej, że już czas. Lurje za chwilę przyjdzie.

— Pan żądasz, żebym pana ukrył tak, ażebyś pan mógł słyszeć naszą rozmowę.

Odrzucił różne przedmioty, zakrywające ścianę.

— Oto są drzwi — rzekł — za niemi będziesz pan wszystko słyszał ..

Josek miał już wyjść. Naraz zatrzymał się i spojrzał ostro w oczy staremu.

— Muszę pana uprzedzić — dorzucił — że jeźli pan chcesz użyć wiadomej gwizdawki, to nie nawiele się panu przyda... Pańscy ludzie, ci, co pracują tam—wskazał w ziemię—znają mnie bardzo dobrze i może pan być

spokojnym, że mnie ani jednego włosa na głowie nie dotkną...

Słowa te wywarły ogromne wrażenie na Apenszlaka. Dosłownie osłupiał z podziwu. Szeroko otworzył oczy i patrzył na „Joska“, jak nieprzytomny.

— Zkąd pan to wiesz?—zapytał, robiąc ruch ręką ku ziemi.

— Wiem to i bardzo wiele innych rzeczy... Naprzykład proponowałbym, ażebyś pan przypadkiem nie kasłał przy wejściu Lurjego. Po takim sygnale rozmowa wasza stałaby się mniej interesującą i moje ukrycie byłoby zupełnie niepotrzebne...

Uśmiechnął się też ironicznie i zniknął za wskazanemi mu poprzednio przez Apenszlaka drzwiami.

Starzec został sam. Stał ciągle śród izby nieruchomy. Pochwycił się wreszcie za głowę i zawołał:

— Djabeł, to prawdziwy djabeł!

Prawie w tej chwili zastukano do drzwi. Starzec przez jedną chwilę stał jeszcze, ale niebawem oprzytomniał. Twarz jego wróciła do zwykłego wyrazu. Otworzył drzwi.

— A to ty nareszcie... Czekam z niecierpliwością...

Przybyły był to w samej rzeczy elegancki wspólnik firmy Ejteles i Sp. Nie mówiąc nic, zrzucił paltot, poklepał starca po ramieniu i siadł przy stole.

— No, stary, do roboty...

Apenszlak zapalił lampę i zajął miejsce po drugiej stronie stołu zawalonego papierami i księgami handlowemi.

— Co nowego?—pytał dalej pan Natan.

— Oto listy... Landsperger pisze, że w tych dniach będzie duży interes. Można zarobić gruby grosz. Ale żąda zbyt dużej prowizji. My nie możemy dać takiej. Przecież i my musimy coś zarobić...

— Pokaż list.

Pan Natan zaczął się wczytywać w piękne, charakterem handlowym, skreślone pismo listu. Tymczasem Apenszlak coś sobie przypomniał.

— Ale, ale—rzekł—z jakiego interesu Joachim żąda od ciebie pieniędzy.

Twarz pana Natana zachmurzyła się.

— Et, głupi, przypomina mu się zawsze jakiś stary interes, który robiliśmy razem i z którego niema nic.

Apenszlak spojrzał na pana Natana podejrzliwie. Ten ostatni machnął ręką. Pytał dalej:

— Cóż, transporta zagraniczne dla Zyskinda i Rajnmana poszły dalej?

— Już od tygodnia.

— Faktury są dobre? Plomby, jak się należy?

— Lepszych nie potrzeba...

— Czy prowizja wpłynęła?

— Jeszcze nie, ale wpłynie napewno. Posłałem wiernych ludzi, możesz być spokojny, nie wydadzą dotąd towaru, dopóki nie będzie *bares Geld.*

— Wybornie... Ja, a właściwie firma Ejteles i Sp. ma do ciebie interes.

— Słucham.

— Idzie o dostawę przez nasze pośrednictwo paru tysięcy sztuk materji jedwabnej z Lyonu. Żąda firma petersburgska. Tylko, że, uważasz, tam będą patrzyli na

plomby, jak się należy. Trzeba, żeby było zrobione artystyczniej. Ejteles i Sp. skompromitować się nie mogą...

— Bliższe szczegóły interesu.

— Są na tej kartce. Pamiętaj o wszelkich ostrożnościach. Stary Ejteles coś mi się domyśla, a ten Strzelecki, to nawet wąchał wcale nieźle. Szczęściem — złamał kark...

— Przez kogo?—zapytał naraz Apenszlak.—Wogóle ta wasza cała historja wydaje mi się ogromnie dziwna. Chciałbym wiedzieć, kto mu podstawił nogę...

Pan Natan zamyślił się; oparł łokcie o stół.

— Dałbym tysiąc rubli, żeby coś w tem widzieć... To jest nawet dla mnie — położył akcent na tych słowach — zupełnie ciemne... Strzelecki nie jest winien; ktoś go urządził... Ale kto?

Apenszlak spojrzał na pana Natana niedowierzająco:

— Więc to nie ty? Przypuszczałem, że to twoja sprawka.

Elegancki pan Natan wcale się nie oburzył na to posądzenie. Podniósł głowę:

— Daję ci słowo—rzekł — że w urządzeniu Strzeleckiego nie maczałem ręki. Znasz mnie i możesz wierzyć. Ale kto? To jest zagadka, którą muszę zbadać.

Znów się zamyślił.

— Słuchajno—rzekł po chwili do Apenszlaka—ty znasz dużo różnego tałałajstwa u nas na Nalewkach i wszędzie. Powiedz mi, nie znasz ty kogo, mającego stosunki z naszą firmą, ktoby mógł to zrobić.

— Nie znam—rzekł powoli Apenszlak.

— Dość zresztą o tem głupstwie — przerwał pan Natan.—Jestto mój własny interes i ja go sam załatwię... Mówmy o naszych interesach. Pamiętaj o obstalunku, który dopiero co zrobiłem. Jest terminowy. A jakże tam „obrazki?“

Na tem ostatniem słowie położony był specjalny akcent.

— Robota idzie, ale powoli. Rozumiesz dobrze, że inaczej być nie może. Lepiej się cokolwiek spóźnić, żeby tylko wszystko było wykonane dokładnie.

— Ile będzie?

— Na początek coś koło miljona. Lepsze od tych z Londynu.

— Słowem, jeśli się wszystko uda, na ile w roku bieżącym może liczyć każdy z nas?

— Na trzykroć...

Pan Natan podniósł się z krzesła.

— Tak to warto!—rzekł, uderzając starego po ramieniu.—Tylko, żeby jeszcze dowiedzieć się dokładnie, kto zasypał Strzeleckiego... To jedno mnie niepokoi.

Wązkie usta Apenszlaka ściągnął uśmiech ironii.

— Muszę ci powiedzieć—rzekł—że ja mam trochę złych przeczuć. Ciekawym, czy one się sprawdzą!..

— Głupstwo, mój stary... *Qui ne risque rien, n'a rien!* Ach prawda, że ty nie umiesz po francuzku. No, do widzenia, a pamiętaj o obstalunku.

Za chwilę ,,Josek“ wyszedł za drzwi. Posunął się on ku starcowi.

— Dobrześ pan zrobił—rzekł doń—iż przyznałeś, iż nie znasz nikogo w otoczeniu Ejtelesów, kto mógłby

wpłynąć na sprawę, o której mówił przed chwilą pan Lurje.

Spojrzenia dwóch rozmawiających spotkały się, jak dwa ostrza w ręku dwóch wyćwiczonych szermierzy.

„Josek" uchyliwszy kapelusza, zmierzał ku drzwiom. Apenszlak zatrzymał go.

— Powiedz mi pan jedną rzecz. Kiedy pan tak dobrze wiesz wszystko, powiedz mi, po co potrzebowałeś słuchać dzisiejszej naszej rozmowy.

— Dowiesz się pan potem... Trzeba być cierpliwym!

ROZDZIAŁ VIII.

Róża Apenszlak.

Jesteśmy na pierwszem piętrze tej samej oficyny.

Przechodzimy przez pokój jadalny i znajdujemy się w małym pokoiku, pełnym gustu i uroku. Jest to prawdziwie dziewicze gniazdeczko. W głębi pokoju stoi białe łóżko, skryte muślinowym pawilonem. Dywan rościela podłogę. Na oknie widzimy kwiatki, a bluszcz opina festonami ramę okna. Niedaleko od okna znajduje się mały stoliczek do roboty, na którym stoi lampa, płonąca przyćmionem światłem. .

Zapewne czytelnik dopatruje postaci dziewczęcej, siedzącej spokojnie przy lampie, pracującej nad robotą i snującej równo jasne i niewinne marzenie młodości...

Postaci takiej nie znajdzie.

Tylko z głębokiego kąta, ukrytego w półcieniu za łóżkiem dochodzą jakieś niby westchnienia, niby jęki. To łkania...

Na klęczkach, wtuliwszy głowę w poduszki szezlągu, biedna Róża Apenszlak zanosi się od płaczu. Usta jej szepczą słowa modlitwy, a jednocześnie łkania podnoszą jej piersi.

A jednak czegóż może brakować 18-letniemu dziewczęciu, pięknemu, jak wschodzące słońce, prawdziwej perle Nalewek, na którą z zachwytem spoglądali nie tylko żydki z Nalewek, ale i bankierowie i nawet hrabiowie!..

Róża Apenszlak była skończoną pięknością, choć nie można jej było przyznać piękności w stylu wschodnim. Włosy nie miały tej barwy kruczej, którą się słusznie szczycą córy Wschodu, oczy były błękitne, jak lazurowa toń nieba, wreszcie rysy niczem nie przypominały semitki. Były one posągowe, klasyczne. Przy tem uderzało z tej twarzy coś niezwykłego, co się szczególniej w tej sferze trafia bardzo rzadko, raczej — nigdy. Była to jakaś zaduma, powaga pełna melanholji, połączona z dziwną słodyczą.

Jeśli nie można było bezwzględnie powiedzieć o rysach, wyraz twarzy stanowczo dawał jej pozór nieżydowski. Nikt w niej nie poznawał żydówki i nie chciał wierzyć, ażeby nią była!

A już rysów ojca, którego szkicowany portret staraliśmy się nakreślić w poprzednim rozdziale, doszukać u niej ani było podobna.

„Książę Stasz“, który bardzo gorąco, choć zdaleka umiłował posągową Różę Apenszlak, mówił zawsze:

— Oni są tak do siebie podobni, jak wół do karety...

Charakterem i usposobieniem Róża odskakiwała zupełnie od otoczenia, śród którego ją losy umieściły. Było to dziewczę słodkie na zawsze, inteligentne, a przytem w gruncie rzeczy pełne siły i woli. Otrzymawszy bardzo staranne wychowanie na jednej z lepszych pensyj warszawskich, Róża stała bez porównania wyżej umysłowo od swego ojca. Pomimo to i pomimo, że dopiero od kilku lat zamieszkiwała z nim pod jednym dachem, kochała go lub przynajmniej zmuszała się, ażeby go kochać...

W latach dziecięcych, po śmierci matki, przez ojca zamieszkałego w Cesarstwie, została odesłaną do krewnych do Warszawy. Tutaj się wychowywała, tutaj poznała stosunki; to też Warszawa była jej ulubionem miastem, którego nad żadne inne nie przeniosła.

Dopiero od kilku lat, jej ojciec, jak mówił, owdowiawszy po raz drugi, przyjechał na stałe do Warszawy i tu zaczął robić interesa. Od razu ten nieznany jej dotąd ojciec, który, pomimo dość znacznego majątku, troszczył się o nią bardzo niewiele, zrobił na niej niemiłe wrażenie. Nie chciała przed sobą przyznać, że twarz jego zdawała się wprost wstrętną... Ze sposobem wyrażania się tego ojca, z jego inteligencją w żaden sposób godzić się nie mogła.

Jak powiadamy, postarała się stłumić pierwsze wrażenie i obudzić w sobie ku niemu nawet rodzaj miłości, czy przywiązania...

Wkrótce jednak pomiędzy nimi wyniknąć musiały nieporozumienia. Prawda, że pomimo ogromnej różnicy gustów i usposobień, Róża starała się zrobić wszystko, ażeby uniknąć owych nieporozumień. W małych rzeczach udawało się to jej najzupełniej...

Ale za to przyszły poważniejsze powody do starcia, których niepodobna było uniknąć.

U rodziców-żydów, pierwszą troską po dojściu dziecka, czy to płci męzkiej czy żeńskiej, do pewnego wieku, jest—małżeństwo. Otóż Apenszlak nie stał bynajmniej tak wysoko po nad swymi współwyznawcami, ażeby módz zapomnieć o wydaniu córki za mąż o ile można najwcześniej. Widział w tem zresztą własną korzyść, bo przy wdziękach Róży mógł dostać zięcia, który mógłby i jemu samemu dopomódz pod wielu względami w interesach.

Ma się rozumieć, wybór przyszłego męża dla Róży, z jego strony, musiał mieć grunt całkiem praktyczny, handlowy, jeśli się tak wolno wyrazić. Szło nie tyle o męża dla córki, ile o spólnika i o pomoc dla siebie.

Zupełnie inaczej patrzyła na to Róża. Punkt milczenia ojca był jej zupełnie obcym. Wykształcona na literaturze i poezji, może cokolwiek nawet zbyt wyidealizowana, znajdując się w ciągłych stosunkach z koleżankami ohrześcijankami, nie mogła inaczej patrzeć na małżeństwo, jako na prosty wynik miłości i związek dwóch dusz... Chciała, ażeby w głębi jej serca zadrgały najdelikatniejsze

struny, zanim zwiąże na całe życie swą dłoń. Zresztą— nie spieszyło się jej; dziewczęca swoboda, urozmaicona przyjaźnią koleżanek z pensji, wystarczała jej zupełnie.

Wreszcie osoby, które jej przedstawiał, jako kandydatów na mężów stary Apenszlak, w żadnym razie nie mogły odpowiadać jej wymaganiom.

Ztąd też już oddawna pomiędzy ojcem a córką wybuchały nieporozumienia. Róża starała się je łagodzić i miarkować, ale nie ustępowała ani na krok. Jej stanowczy charakter nie pozwalał maskować uczuć, wypowiadała to, co myślała, bez ogródek... Z drugiej strony stary Apenszlak gorączkował się, unosił!

W ten sposób przeszła bez powodzenia cała serja kandydatów do ręki pięknej Róży.

Było to parę miesięcy przed wypadkami przez nas opisywanemi. Stary Apenszlak postawił właśnie kandydaturę syna jakiegoś bankiera z Odessy, który według jego zdania odpowiadał wszelkim najbardziej fantastycznym wymaganiom. Był bogaty, młody, względnie przystojny, umiał się dobrze ubierać i z szykiem wydawać pieniądze, odznaczał się nawet pewnem wykształceniem. Młodzieniec przyjechał za interesami do Warszawy, ujrzał Różę w Ogrodzie Saskim, zakochał się i zaraz zrobił jej ojcu, przez osoby trzecie, propozycję... To też Apenszlak bronił z zapałem tej kandydatury.

— Czego chcesz—wołał do córki—on nawet umie po francusku!

Pomimo tej niewątpliwie poważnej zalety Róża stanowczo i bezwzględnie odpowiedziała: nie. Elegancki

bankierowicz wcale nie odpowiadał jej ideałowi i bynajmniej nie budził tajemniczych drżeń jej serduszka.

Zaczęły się zwykłe nieporozumienia. Ażeby ich uniknąć, Róża starała się jak najmniej bywać w domu, szczególniej wtedy, kiedy ojciec miał czas. W tym celu odwiedzała koleżanki i przyjaciółki, których sympatje umiała zawsze zyskiwać.

Na jednej z wizyt ujrzała młodego człowieka, który zdawał się na niej robić pewne wrażenie... Na jego widok rzeczywiście zaczęło jej bić serduszko. Od razu zrozumiała niebezpieczeństwo, tem bardziej, że ów młody człowiek był chrześcijaninem. Ale cóż poradzić, kiedy serce głośno puka?..

W miesiąc potem dumna Róża Apenszlak, dotąd śmiała i z obojętnością spoglądająca na wszystkich wielbicieli, była zakochana. Trzeba przyznać, że odpowiadano jej zupełną wzajemnością.

Dwie iskry elektryczne, spotkawszy się, muszą wybuchnąć. To samo stało się z dwoma sercami. Najpierw oczy, a potem usta powiedziały sobie wzajem wszystko, co miały do powiedzenia. Nie tając przed sobą trudności, jakie się przedstawiały, postanowili dojść do celu, którym było—małżeństwo.

Ona wyznawała judaizm—tem gorzej. Zostanie katoliczką!

Raz spotkali się przypadkiem—o! zupełnie przypadkowo—na Krakowskiem-Przedmieściu. Było to popołudniu. W jednej ze świątyń skończyły się właśnie nieszpory. Nieliczna garstka ludzi opuszczała kościół.

Korzystając z tego żywego parawanu, który ich

przed oczyma ciekawych z ich świata zasłaniał, stanęli i przez chwilę zwierzali się przed sobą wzajem z wrażeń i uczuć.

Wtenczas pierwszy raz przyszła im na myśl konieczność zmiany religji z jej strony. A więc cóż? Zmieni wiarę; nigdy zresztą nie była fanatyczną żydówką, a całe usposobienie i wychowanie stawiało ją bez porównania bliżej chrześcijan, niż żydów.

Tymczasem gromadki pobożnych były coraz rzadsze.

— Wejdźmy do kościoła!—rzekł do Róży.

Weszli. W kościele już prawie nikogo nie było. Panował tutaj półmrok i chłód, pomimo ciepłego na zewnątrz powietrza. Dziad kościelny gasił ostatnie światło w żyrandolu. Tylko przed ołtarzem migotały kolorowe, niebieskie, czerwone i złote lampki.

Uklękli przed jednym z bardziej oddalonych ołtarzów i półgłosem powtórzyli przysięgę, że do siebie na wieki będą należeli. Przed wizerunkiem Chrystusa, który dobrotliwie przy bladem świetle lampek, z krzyża na nich spoglądał, zaręczyli się uściskiem dłoni.

Odtąd uważała się przed Bogiem za chrześcijankę i narzeczoną, niemal żoną jego.

Od tego czasu upłynęły zaledwo dwa tygodnie. Wtulona w poduszki szeslągu, klęcząc, kurczy się w spazmatycznym płaczu; całe jej ciało wstrząsają łkania.

Co jest tego powodem?

Odpowiedź prosta. Owym narzeczonym jej, niemal mężem, jest Janek Strzelecki, dziś shańbiony, oskarżony o zbrodnię, zamknięty w więzieniu. Ona go jednak nie przestała kochać.

W tej chwili do pokoiku dziewczęcia wchodzi stary Apenszlak, nie zapytawszy się, bez zapukania.

— Rózie, Rózie—woła już zdaleka—ty potrzebujesz wiedzieć, że ja dla ciebie mam męża, *fajn* męża, takiego męża, co ty go przyjmiesz z pocałowaniem ręki... *Un* jest prawie *goj!*

Na te słowa odpowiadają tylko przyciszone łkania Róży.

— Rózie! gdzie ty jesteś? — zapytuje pan Apenszlak.—Co ty robisz?.. Ty płaczesz?

ROZDZIAŁ IX.

U sędziego śledczego.

Dwóch żołnierzy z bagnetami wysadza Strzeleckiego z zakratowanego omnibusu, stanowiącego inwentarz „Pawiaka“. Wchodzą na pierwsze piętro. Tu znajduje się oddzielna celka, gdzie kilku aresztantów w szarych więziennych kostjumach lub we własnem ubraniu oczekuje wezwania do sądu albo do sędziego śledczego.

Janek Strzelecki nosi własne ubranie.

Twarz jego przez czas, odkąd znajduje się pod zamkięciem, zmieniła się do niepoznania. W chwili, kie-

dy go widzieliśmy po raz pierwszy, podczas zaaresztowania, znajdował się także w stanie nienormalnym, jak gdyby nieprzytomny lub niewyspany. Widocznie jednak było to chwilowe...

Obecnie cała twarz, jak gdyby osunęła się na dół. Pod oczyma ma głębokie sine doły. Usta zacięły się. Nieogolony od kilku dni, w brudnej bieliznie, robi tem przykrzejsze ogólne wrażenie. Na twarzy zastygł mu jakiś niby uśmiech, niby skrzywienie...

W chwili, kiedy go wprowadzono do izdebki, upadł ciężko na ławę i nie poruszał się. Upłynęło kilkanaście minut.

— Aresztant Strzelecki!—odezwano się z korytarza.

Janek podniósł się machinalnie i pomiędzy dwoma żołnierzami, ciężko uderzającymi kolbami o podłogę, poszedł. Za chwilę znaleźli się w kancelarji sędziego śledczego.

Sędzia był to człowiek jeszcze dość młody, o twarzy sympatycznej i inteligentnej, okolonej blond bakombardami. Usiadł za biurkiem i rzekł:

— Siadaj pan...

Strzelecki machinalnie skorzystał z pozwolenia sędziego. Milczał, skinął tylko głową na podziękowanie.

— Przy pierwszym protokóle, zdjętym w 24 godzin po zaaresztowaniu pana, który był w danym wypadku więcej formą wymaganą przez prawo, niż aktem śledczym, prowadzącym do celu, oświadczyłeś pan, pomimo tylu i tak poważnych poszlak, walczących przeciwko panu, że jesteś niewinny.

— Tak.

— Czy i teraz powtarzasz pan to samo?

— Najzupełniej?

— Czy pan masz co do powiedzenia lub do wyjaśnienia na swoją obronę?

— Nic. Wiem, że walczą przeciwko mnie straszne poszlaki. Objaśniłeś mnie pan o tem pokrótce już wtenczas. W tem wszystkiem jest wiele dla mnie niewytłomaczonego.

— Jakże pan chcesz, ażeby sprawiedliwość to wytłomaczyła, jeśli pan sam tego nie potrafisz?

— Ja też nie żądam nic od sprawiedliwości—rzekł Janek z bolesnym uśmiechem. — Niech sprawiedliwość czyni co uzna za słuszne...

— Ależ tak nie można opuszczać rąk, panie Strzelecki!..

Janek spojrzał na sędziego ździwiony; zdawał się słyszeć w jego głosie sympatję.

— Panie sędzio!—rzekł, a policzki jego zaróżowały się cokolwiek, napływającą do nich krwią. — Wierz mi pan, jestem fatalistą... Próbować ratunku byłoby napróżno. Cios, który mi wymierzył zbieg okoliczności, a może i kto inny, jest zbyt silny. Sieci, któremi mnie opętano, zbyt mocno trzymają swą ofiarę. Już to trzeci raz w życiu dziwne, niewytłomaczone okoliczności stawiają mnie w położeniu bez wyjścia. Dwa razy uratował mnie przypadek... Trzeci raz—wątpię o ratunku...

Chciał dalej mówić; sędzia go zatrzymał.

— Panie Strzelecki! — a głos jego tym razem był daleko surowszy, niż poprzednio — otwarcie panu powiem, że uprzedzono mnie sympatycznie dla pana. Masz

pan przyjaciół, którzy wierzą bezwzględnie w pańską niewinność i przypuszczają, że w samej rzeczy padłeś pan ofiarą zbiegu okoliczności. Z drugiej strony dane, wykryte od czasu pierwszego pańskiego przesłuchania, nie tylko nie pogarszają pańskiej sławy, ale nawet do pewnego stopnia mogą być uważane za mówiące na jego korzyść... Dla tego też proszę pana bardzo, nie staraj się pan sam psuć swojej sprawy jakiemiś fantastycznemi historjami o fatalnych i tajemniczych siłach, które pana postawiły, niezależnie od niego, w obecnem położeniu...

Strzelecki, który przed chwilą podniósł głowe, znów ją opuścił na piersi. Odrzekł głosem przytłumionym:

— Bierz pan to z jakiej strony chcesz, panie sędzio... Mówiłem to, com czuł i o czem jestem szczerze przekonany...

— Ależ, panie Strzelecki—przerwał tym razem cokolwiek już zniecierpliwiony sędzia — nie bądźże pan dzieckiem. Jako człowiek inteligentny, powinieneś pan rozumieć nie tylko nieprawdcpodobieństwo, ale i banalność pańskich słów. Coś podobnego słyszałem nieraz od najordynarniejszych zbrodniarzy... Co więcej chciałbyś mi pan powiedzieć, wyjaśnić?

— Jestem niewinny!..

Sędzia siedział przez chwilę zadumany.

— Widzę, że będę musiał z panem zmienić system badania. Zadaniem sprawiedliwości jest ściganie zbrodniarzy, ale jednocześnie nie powinna ona pozwolić niewinnemu, jeśli tylko jest niewinnym, kłaść niepotrzebnie zdrowej głowy pod Ewangelję. Będziemy prowadzili śledztwo i wykryjemy prawdę...

Zatrzymał się przez chwilę.

— Proszę uważać na moje pytania i odpowiadać— rzekł dość szorstko.

Strzelecki skłonił się.

— Zkąd pan przyszedłeś do posiadania „wyrazu“, na który była zamknięta kasa?

— W sposób niezmiernie prosty. W chwili, kiedy już nikogo nie było w biurze, coś około piątej, zamknąwszy mój pokój, poszedłem do kasy po odebranie pensji, której, pomimo, że już od paru dni przeszedł pierwszy, jakoś nie odbierałem...

— Czy to była pensja już panu należna, czy też tylko zaliczka na pensję?

— Pensja za zeszły miesiąc. Było to 3-go, tak, 3-go, a pensje płacił kasjer wszystkim pierwszego. Zresztą rzecz tę można sprawdzić, w odpowiedniej książce, w której biednego Halbersona z odbioru pieniędzy pokwitowałem... Pamiętam jeszcze, był wówczas taki jakiś nieswój, że on, wzór akuratności, wypłaciwszy pensję, zapomniał zażądać pokwitowania. Sam mu to przypomniałem, śmiejąc się.

— A więc pan wtenczas odebrałeś pensję.

— Tak.

— Jaką sumę?

— Sto czterdzieści dwa ruble...

— I dla czegóż była panu właśnie potrzebną tak niewielka suma, kiedy jednocześnie, jak pan o tem już poprzednio wspominałeś, miałeś w domu znaczniejsze kwoty do rozporządzenia.

Janek podniósł głowę do góry.

— Czyż dla tego miałem może darować firmie Ejteles i Sp. ciężko zapracowane pieniądze?

Przez chwilę trwało milczenie.

— Cóż dalej?—pytał sędzia śledczy?

— Widząc jakiś niezwykły stan Halbersona, dla którego, mówiąc nawiasem, żywiłem zawsze pewną sympatję, stanąłem przy kratce i zacząłem pytać, co mu jest. „Nic“ odparł z gwałtownym gestem. Po chwili spojrzał na zegar. „Ach, już tak późno!“ zawołał, a potem, jakby sobie co przypomniawszy, dodał: „Dobrze, że tu jesteś, panie Janie, zrobisz mi pewną przysługę... Sam śpieszę się bardzo, bądź łaskaw wyręczyć mnie i zanieść „Staremu (tak zazwyczaj nazywaliśmy pana Ejtelesa) tę kopertę, jest w niej wyraz“.

— Więc pan wiedziałeś, co zawierała koperta? — przerwał sędzia.

— Wiedziałem. Uczyniłem tedy stosownie do prośby kasjera, a on jeszcze został. Dziwiło mnie to nawet, że pomimo pośpiechu, o którym zapewniał, nie wychodził wcale...

— Czy przy tem wszystkiem byli jacy świadkowie?

Janek zamyślił się.

— Żadnych — odrzekł po chwili — Halberson i ja wychodziliśmy później, aniżeli wszyscy. Ostatni był zawsze Halberson. On zanosił zwykle do „Starego“ wyraz od kasy i klucze od biura.

Janek naraz zatrzymał się.

— Ach!—zawołał, uderzając się w czoło.—Ciekawym, co się stało z kluczami. Kto i kiedy oddał je szefowi? Czy je oddał? Kto nazajutrz rano otworzył biuro?

Sędzia śledczy schylił się nad biurkiem i notował.

— Rzeczywiście — rzekł — jest to kwestja bardzo ważna, na którą dotąd nie zwrócono uwagi. Należy to wyjaśnić... Czy pan nie mógłbyś—dorzucił po chwili—donieść w jakikolwiek sposób, o której godzinie wyszedłeś z biura i coś pan potem robił? Poszedłeś pan zapewne na obiad do restauracji? a może do domu?

— Właśnie, że nie...

— Więc cóż pan robiłeś?

— Głowa mnie trochę bolała... Byłem zmęczony i zamyślony. Wieczorem miałem mieć spotkanie, które mnie wprawiało w pewne rozdrażnienie i wzruszało z góry.

— Spotkanie, czy nie z Temą?..

— O, nie...

— A jednak pan byłeś u niej tego pamiętnego wieczoru lub nocy.

— Nie. Przynajmniej tego nie pamiętam.

— Więc pan znów zaczynasz wracać do fantastycznego systematu przeczenia oczywistym faktom.

— Powtarzam tylko prawdę i nic więcej.

Sędzia machnął ręką.

— Więc cóż pan zrobiłeś, wyszedłszy z biura?

— Byłem zdenerwowany i postanowiłem się przejść.

— Słusznie. Nie sposób jednak, ażeby pana nie widziano. Udałeś się pan zapewne w stronę Alei Ujazdowskiej, pieszo lub dorożką. Musiałeś pan spotkać kogoś ze swoich znajomych lub przyjaciół. Masz ich pan tak wielu... Może nawet ktoś znajomy towarzyszył panu? To byłoby najlepiej!

— Bynajmniej. Poszedłem w stronę Nalewek.

— Nalewek?

— Tak jest. Już od dawnego czasu miałem zwyczaj, w razie jakiejś niedyspozycji, lub wprost, chcąc się chwilę znaleźć samotnym, udawać się w tamte strony. Tam przynajmniej nie napotykałem tylu natrętnych znajomych. Następnie udawałem się w stronę Powązek, albo ku rogatkom Mokotowskim.

— A tym razem?

— Byłem na Powązkach.

— I nikogo znajomego nie spotkałeś pan po drodze?

— Chyba nikogo... Nie uważałem; byłem zawyślony. A przepraszam, zapomniałem... W samej rzeczy, na Nalewkach, przy rogu Franciszkańskiej, potrącony przez jakiegoś tragarza, odwróciłem się: wówczas widziałem idącego po drugiej stronie ulicy, w przeciwnym kierunku, znajomego mego d-ra Zermana. Czy on jednak mnie widział? wątpię...

— Tak?..

Sędzia śledczy bębnił palcami po stole i siedział przez chwilę nieruchomo.

— Początek był dość zadawalniający — mruknął między zębami—ale teraz się psuje... To zdenerwowanie, to jakieś niewytłomaczone spotkanie, obecność nad wieczorem w okolicach mieszkania Halbersona, to wszystko djabelnie nikła rzecz.—A cóż z tem spotkaniem—zapytał głośno—o którem pan wspominałeś? Kiedy się pan tam udałeś? Z kim ono było? Czy nie da się ztąd wyprowadzić jakich wniosków, przemawiających na pańską korzyść?

Strzelecki pochylił głowę.

— Wątpię—odrzekł po chwili—to jest właśnie najsłabsza strona mojej obrony...

— Najpierw przyrzekłem osobie, z którą się miałem widzieć, zupełną dyskrecję i przyrzeczenia tego dotrzymam...

— Dotrzymasz pan? Ależ zrozumiej, że obecne położenie uwalnia cię w zupełności od wszystkich przyrzeczeń i przysiąg...

— Przysiągłem na popioły mej nieboszczki matki i takiej przysięgi nigdy nie złamię. Wiedziano, w jaki sposób mnie skrępować. Jeśli to machinacja, to piekielna...

— Znów?—przerwał sędzia, po chwili jednak, machnąwszy ręką dodał: — Zresztą mów pan dalej, mów wszystko. Będziemy przynajmniej wiedzieli, czego się trzymać.

— Powtóre, gdybym nawet powiedział nazwisko tej osoby, zapewne w tej chwili już oddawna nieobecnej w Warszawie, objaśnił stosunki, jakie nas poprzednio łączyły, wreszcie cel spotkania, aniby mi uwierzono, aniby można sprawdzić tego, cobym powiedział, ponieważ to jest właśnie najfantastyczniejsza część mej historji.

— Słucham jednak—mruknął sędzia.

— To tylko powiem, że w samej rzeczy spotkałem się na ulicy w umówionem miejscu z tą osobą i że poszedłem za nią. Tu urywają się moje wspomnienia. Dalej już nic nie pamiętam...

— Jakto? Nie pamiętasz pan?

— Najzupełniej. O ile teraz widzę, straciłem na jakieś kilkanaście godzin świadomość moich czynności. Był to rodzaj głębokiego snu, z którego nie mam żadnych wspomnień. Do świadomości przyszedłem dopiero wtenczas, kiedy mnie zaaresztowano... Do biura musiałem zapewne przyjść machinalnie.

Sędzia śledczy aż podskoczył na krześle. Twarz jego wyrażała zdziwienie.

— Sen, w którym pan chodzisz i działasz — zawołał.—Ależ to bajki z tysiąca nocy... Jakże pan chcesz, żeby można czemuś podobnemu uwierzyć. Dla czego pan nie mówiłeś o tem podczas pierwszego przesłuchania?..

— Było ono zbyt sumaryczne.

Sędzia powstał z za biurka. Przechadzał się po pokoju, założywszy ręce na piersiach. Nagle zatrzymał się przed Strzeleckim.

— Pomimo wszystkiego, przyznam się panu — zaczął—czuję dla pana sympatję. Ma ona powody czysto zewnętrzne. Pańscy przyjaciele mają rację: widząc pana, słysząc ton jego głosu, z góry nie chce się wierzyć, ażebyś pan popełnił czyn zbrodniczy. Wogóle nie chcę przesądzać w tej chwili kwestji, czy jesteś pan winien lub niewinny. Chcę panu tylko wykazać, jak na dłoni, że pański system obrony, pańskie opowiadanie o rzeczach niemożebnych, w każdym razie tylko panu szkodzi. Jeśli jesteś pan winny, wykręty, których się zdajesz chwytać, posłużą tylko do zwiększenia kary. Jeśli przeciwnie, jesteś pan niewinny, dość tej jednej legendy, ażeby pana najniewinniejszego w świecie skazano. Pro-

szę pana, błagam, zmień to tłomaczenie. Wszakże to niedorzeczność!

— A jednak ta niedorzeczność jest szczerą prawdą.

— Niepodobieństwo dość z tym człowiekiem do ładu!—zawołał wreszcie sędzia.

Zbliżył się do biurka i zadzwonił. We drzwiach ukazała się straż.

— Wyprowadzić aresztanta. Niech zaczeka. Za godzinę będę prowadził dalej badanie.

ROZDZIAŁ X.

Dalszy ciąg śledztwa.

We dwie godziny potem do gabinetu sędziego śledczego znowu wprowadzono aresztanta Strzeleckiego. Sędzia tym razem miał twarz bardzo surową. Nie wezwał oskarżonego, ażeby ten usiadł.

— Gdzie są pieniądze skradzione z kasy firmy Ejteles i Sp.—rozpoczął odrazu badanie.

Strzelecki spojrzał nań zdziwiony.

— Nie wiem o tem tak samo, jak i pan, panie sędzio—odrzekł.

— Proszę nie robić niepotrzebnych porównań. Ja jestem sędzią, a pan oskarżonym.

— Wiem o tem...

— Czy nie mógłby pan przynajmniej wytłomaczyć. zkąd pochodzą pięć tysięcy rubli, które złożyła panna Tema Z., twierdząc, że pan zostawiłeś u niej takowe „przez zapomnienie“. wieczoru, którego została spełniona zbrodnia?

Strzelecki wzruszył ramionami.

— I to będzie trudne. Pamiętam, że wychodząc z biura miałem oprócz odebranej od Halbersona pensji zaledwo kilkanaście rubli papierkami? Zkąd się wzięły owe pięć tysięcy rubli? Czy byłem u Temy? Tego, jak już powiedziałem, nic a nic nie pamiętam. Wogóle, jak już wspominałem panu sędziemu, nie mam najmniejszej świadomości tego, co się ze mną działo od jakiej dziewiątej lub dziesiątej owego wieczoru, aż do przybycia do biura.

— Hm, hm...

— Zresztą może być, iż nie wiedząc nawet o tem, wstąpiłem do domu i zabrałem ze sobą z gotówki przezemnie posiadanej pięć tysięcy rubli i w jakimś celu, którego sobie nie przypominam, udałem się do panny Temy Z., którą poprzednio znałem... Może być! W takim razie możnaby tę rzecz sprawdzić. Pan sędzia będzie łaskaw polecić zrobić u mnie w domu rewizję i sprawdzić stan mojej kasy. Będzie to tem dogodniejsze, że może zabezpieczyć moje pieniądze od możebnej kradzieży. Wspominałem już panu sędziemu, że posiadałem w domu, w dniu, kiedy nastąpił wypadek, dwadzieścia z górą tysięcy rubli, najwidoczniej są to te same, które zostawić miałem u panny Temy.

— Słusznie. Otóż powiedzieć muszę—zabrał głos

sędzia—że władza sprawiedliwości rozumowała zupełnie tak samo, jak pan, bo trzeba panu jeszcze raz wiedzieć, że nie jest naszym celem gubić niewinnych. Zrobiliśmy na drugi zaraz dzień po pańskiem aresztowaniu rewizję, która wreszcie była konieczną i z innych proceduralnych przyczyn, i w mieszkaniu pańskiem nie znaleziono wcale żadnych pieniędzy. Co pan na to powiesz?

— Nie może być! Jestem okradziony...

— Przypuszczałem ten wykrzyknik, bo trzeba panu wiedzieć, a zresztą wiesz pan pewno o tem, że w mieszkaniu pańskiem znaleziono rzeczywiście pozory, powtarzam pozory, kradzieży, to dla tego, że przypuszczam, iż pan umyślnie sam takowe przygotowałeś, ażeby wytłomaczyć nieobecność tych mniemanych, posiadanych przez pana sum.

— To nieprawda...

— Czy przynajmniej możesz się pan wylegitymować z posiadania tych pieniędzy?

— O tyle, o ile...

— Jakiż bank je panu wypłacił?

— Pieniądze przyszły do mnie zupełnie inną drogą. Jestto spadek po moim wuju, który zamieszkiwał oddawna w Cesarstwie i zmarł przed kilku laty...

— No, więc można znaleźć dowody sądowe o otrzymaniu i regulacji tego spadku... To bardzo dobrze!

— Przeciwnie! niema żadnych dowodów tego rodzaju.

— Ponieważ pieniądze te od czasu śmierci mego wuja, która nastąpiła już przed kilku laty, znajdowały się w depozycie u jego przyjaciela. Dopiero przed paru

tygodniami depozytarjusz spadku dowiedział się o mojem istnieniu, przybył do Warszawy i doręczył mi pieniądze...

— Znów historja, która... A jakże się nazywał ów depozytarjusz?

— W. Kupiec W. z Moskwy...

— Bliższego adresu jego pan nie znasz?

— Nie. Był to człowiek niski, gruby, z szeroką błond brodą...

— Rysopis i nazwisko, którym odpowiadać będzie przynajmniej paręset osób w Moskwie. W., o ile mi wiadomo, jest nazwiskiem w tem mieście bardzo pospolitem. Zresztą będziemy szukali. Jest to pewien ślad.

Była chwila milczenia.

— To jednak dziwne — zrobił uwagę sędzia śledczy—jak w tej pańskiej historji wszystko przybiera coraz bardziej zawikłany, nieprawdopodobny obrót...

Nagle Strzelecki uderzył się w czoło.

— Panie sędzio! mogę panu w tej oto chwili przedstawić dowód, który pana zaraz przekona o prawdziwości pewnej przynajmniej części moich twierdzeń. W tej oto chwili machinalnie przesuwając po szwie mego surduta trafiłem na jakiś papier, zabłąkany za podszewką... Dla tego też widać nie odebrano mi go przy rewizji...

— Co za papier?

Strzelecki tymczasem wydobywał papier z za podszewki. Za chwilę podał go sędziemu.

— Oto dowód na złożone przezemnie w banku handlowym 6,000 rubli. Zapomniałem o tem na śmierć. Jest to część spadku, o którym mowa. Resztę, dwanaście

tysięcy paręset rubli trzymałem w domu. Wszystkiego było coś około dziewiętnastu tysięcy rubli.

Sędzia tymczasam przeglądał skrupulatnie przedstawiony mu dowód.

— W samej rzeczy. To bardzo mówi na pańską korzyść...

Ale Janek już ciągnął dalej:

— Ażeby ostatecznie roztrzygnąć, czy pięć tysięcy, które złożyła Tema, pochodzą rzeczywiście z moich pieniędzy, można użyć bardzo prostego środka. Pan sędzia będzie mi łaskaw pokazać pieniądze złożone przez Temę lub przynajmniej opowiedzieć, z jakich składają się papierków, a ja będę mniej więcej w stanie objaśnić, czy są one podobne do pieniędzy posiadanych przezemnie.

— Pięć tysięcy rubli złożone przez Temę, są w samych storublówkach.

— Doprawdy?.. W takim razie, to nie moje pieniądze...

— Dla czego?

— Ponieważ miałem za sześć tysięcy rubli papierów procentowych, sześć czy ośm zaledwo storublówek, a reszta były to dwudziestopięciorublówki.

Sędzia aż syknął.

— Nowa kwestja, nowe zawikłanie! Więc pieniądze złożone przez Temę nie pochodzą od pana?..

— Nie...

— Zkądże więc u licha się wzięły? Ostrzegam pana, że ten fakt prowadzi do nowych, nader dla pana niekorzystnych wniosków...

— Cóż robić? Jest to fakt... Powiedziałem już

panu sędziemu, że mówię tylko prawdę, choćby ta tworzyła nowe przeciwko mnie poszlaki...

Była znów chwila milczenia.

— Zresztą—dorzucił po chwili Strzelecki—jestem niewinny i sądzę, że bliższe zbadanie faktów, tylko wyjaśnić może tę niewinność. Dla tego też nie obawiam się bynajmniej najbardziej skrupulatnego śledztwa... Można jeszcze w inny sposób sprawdzić, że tych pięciu tysięcy w każdym razie nie skradłem Ejtelesowi. Trzeba tylko skontrolować numera banknotów. Halberson prowadził zawsze taką kontrolkę i jestem przekonany, że numera storublówek, w taki niewytłomaczony sposób znalezionych w mem posiadaniu, nie będą mogły odpowiadać numerom zapisanym w jego kontrolce...

— Dobrze!—odrzekł krótko sędzia.

Po chwili zabrał głos:

— Panie Strzelecki, jak widzę, ani pan nie jesteś zwykłym oskarżonym, ani sprawa nie ma bynajmniej zwykłego typu... To też sądzę, że mogę mówić z panem zupełnie inaczej, aniżeli z każdym podsądnym. Sprawa na tem nie ucierpi. Jestem przekonany, że przedstawiwszy panu otwarcie pańskie położenie, skłonię pana do wyjaśnień, które pozwolą nam nareszcie wyjść z tego labiryntu. Przeciwko panu walczyło z początku wiele jednakowej siły poszlak. Niektóre znikły lub zmniejszyły się, inne stały się daleko groźniejsze. Naprzykład oddanie wyrazu Ejtelesowi wobec pańskich prawdopodobnych wyjaśnień nie może panu szkodzić. Schody, prowadzące z pańskiego gabinetu do kasy, nie były wcale otwierane, lub przynajmniej rewizja nie wykryła tego. Co do Hal-

bersona, ostateczna opinja lekarzy jest za samobójstwem. Nadto nie wyjaśniono, w jaki sposób mógłbyś pan posiadać klucze od kas. To strona dodatnia sprawy... Przejdźmy teraz do strony ujemnej. Nieobecność pańska w biurze, dziwny jakiś stan w chwili przybycia, nieprawdopodobne objaśnienia co do stracenia przytomności na całe 15 godzin, zupełny brak wiadomości, co pan robiłeś od 9-ej wieczorem, a nawet wcześniej, do 6-ej rano, posiadanie 5000 rubli, które, jak sam pan twierdzisz, nie należą do pańskich własnych pieniędzy, wreszcie pański sposób tłomaczenia się, często niezgodny z prawdą, to wszystko potępia pana...

— Jak to? niezgodny z prawdą! Więc ja kłamię?

— Nie wiem—odrzekł flegmatycznie sędzia.—Ale mogę panu wskazać jeden szczegół przez nas sprawdzony, o którym pan milczysz... Władza, trzeba panu wiedzieć, nie drzemie i od samego początku prowadzi energiczne śledztwo Sprawdzono naprzykład, że w nocy, kiedy spełniono przestępstwo, o godzinie 6-ej nad ranem przyszedłeś pan do pewnej Loli, kobiety bardziej, niż lekkiego życia, która mieszka na ulicy Krolewskiej i pozostawałeś pan tam do 12-ej w południe. Ztamtąd wprost przyszedłeś do biura...

— To nie może być!

— Oczekiwałem tego wykrzyknika... Otóż właśnie, co pana zabija, to system obrony, ciągłe przeczenie i powoływanie się na brak świadomości. Z innym podsądnym, pomimo szczęśliwego usunięcia pierwszej grupy poszlak, nie robionoby sobie w takiem położeniu żadnej ceremonji. Akt oskarżenia, nie o zabójstwo, ale o kra-

dzież byłby gotowy. Ale pan masz jeszcze coś, co przemawia za panem: oto pańską sympatyczną powierzchowność, pańską logikę, która, w niektórych punktach, zdaje się szczęśliwie dążyć do rozwiązania trudności, a przynajmniej nie obawia się sprawdzenia faktów, mogących być dla pana niekorzystnemi, czasami pańskiej prawdomówności, wreszcie położenie materjalne, trudno usprawiedliwiające spełnienie kradzieży i opinję pańskich przyjaciół... Dla tego też śledztwo będzie jeszcze prowadzone.

Strelecki skłonił się.

— Znasz pan teraz swoje położenie — ciągnął dalej sędzia—tak dobrze, jak ja sam... Czy wobec tego nie zechciałbyś pan coś dodać? Nie ja skłaniam pana do wyznań, ale pański własny interes...

Była chwila milczenia. Janek rozłożył tylko ręce z gestem przeczenia...

— Ha! rób pan, co pan chcesz...

— Muszę panu jeszcze powiedzieć—dodał po chwili sędzia, że pańscy przyjaciele prosili o tymczasowe zwolnienie pana za kaucją lub poręczeniem. Wobec jednak komplikacyj, jakie się przedstawiają, zaledwo to jest możebne. Wreszcie samo prawo nie pozwala oznaczyć kaucji mniejszej, aniżeli suma, którą stracił poszkodowany. Dla tego też mogę tylko zrobić jedno ustępstwo formalne. Oto uwolnię pana za złożoniem kaucji gotówką, w sumie równającej się skradzionej. Jak pan widzisz, praktycznie, na nic się to panu nie przyda.

Strzelecki znów się skłonił.

— Jeszcze jedno. Ponieważ pan się upierasz przy

swojem twierdzeniu co do braku świadomości, wezwę lekarza dla zaopinjowania, czy podobny stan można było u pana wywołać środkami sztucznemi i czy pański organizm nie zachował śladów tego znieczulenia. A teraz, jak na dziś, badanie skończone...

ROZDZIAŁ XI.

Stary Ejteles.

Jesteśmy w zacisznym, urządzonym z konfortem gabinecie. Pomimo ciepłej pory, na kominku pali się ogień. Na miękkim, wygodnym szeslągu leży schorowany starzec z siwą brodą, okryty futrzaną kołdrą. To stary Ejteles.

Przy szeslągu siedzi znany już nam doktór Zerman i bada puls chorego. Po chwili odzywa się:

— Dla czego pan nie chcesz leżyć w łóżku? Jesteś pan osłabiony, to panu może zaszkodzić...

— Tak mi lepiej...

— Tak się to mówi, szanowny panie, a tymczasem nieposłuszeństwo lekarzowi wywołuje nowe powikłania...

Starzec tylko westchnął.

— Prosiłem pana naprzykład, ażebyś się pan starał nie myśleć o kłopotach, które pana ostatnio dotknęły,

ponieważ to szkodzi kuracji. Tymczasem widzę, iż pan myślisz tylko o tem. W tej chwili z oczu pańskich to spostrzegam. To bardzo źle!

— Cóż na to poradzić!—westchnął starzec.

— Trzeba się starać odsuwać od siebie tę myśl. A oto, widzę— dorzucił naraz doktór, spojrzawszy na stojący obok stolik—karmisz się pan ciągle gazetami, które nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko puszczać w świat najniedorzeczniejsze pogłoski co do stanu śledztwa... A to co znowu? Książki firmy...

— Sprawdzałem je trochę.

— Tego tylko potrzeba. Pan widocznie źle sobie życzysz.

Starzec znów westchnął.

— Widzę — ciągnął doktór — że trzeba się będzie inaczej wziąść do pana. Oto lekarstwo, które zapisuję tymczasem. Jutro będę z kolegami; zrobimy konsyljum. A teraz chciałbym się zobaczyć z panną Felą...

— Czy koniecznie? — zapytał trochę bojaźliwie starzec.

— A widzisz pan — na pół roześmiał się doktór — jakże z pana niepoprawne dziecko... Jak tylko chcę sobie znaleźć sumienną wykonawczynię moich zaleceń, w tej chwili pan probujesz mi się wymknąć.Nic z tego. Koniecznie trzeba poprosić pannę Felę...

— Ha, kiedy tak, zadzwoń pan.

Za cbwilę ukazał się lokaj, któremu stary bankier przerywanym głosem wydał odpowiedni rozkaz, a w dwie minuty potem na progu gabinetu stanęła postać niewieścia.

Była to kobieta najwyżej lat trzydziestu dwóch lub trzech, ubrana w zwykłą, czarną sukienkę, o dość oryginalnej postaci, niska, na pierwszy rzut oka zdawała się mieć coś nienormalnego w figurze. W samej rzeczy, gdy się za chwilę obróciła, spostrzegamy, iż ma jedno ramię cokolwiek niższe i wypukłe—jest garbata. Rysy twarzy regularne, tylko nos semickiego kształtu, zgarbiony, zakrzywiony, psuje harmonję. Za to oczy pełne dobroci, spoglądają jasno i wesoło...

— Co tatko rozkaże?—zapytała przybyła.

Doktór w paru słowach wyjaśnił, o co mu idzie. Prosił mianowicie o ścisłe przestrzeganie zaleceń dyjety; o zupełny spokój dla chorego, o usunięcie odeń powodów wszelkich wzruszeń.

— Bądź pani nieubłaganą—zakończył doktór—bo nasz chory trochę za bardzo lekceważy sobie doktorów.

— Nie ucz ją pan tego — przerwał stary bankier— jest to i tak tyranka.

— Tem lepiej.

Panna Fela jeszcze poprosiła doktora o powtórzenie niektórych zaleceń. Po zadość uczynieniu temu żądaniu doktór zabierał się już do odejścia. Naraz Ejteles zatrzymał go gestem.

— Panie doktorze... panie doktorze—zaczął głosem cokolwiek przerywanym. — Zgadzam się na pańskie rozkazy, ale musisz pan zrobić mi jedno ustępstwo

— Żadnych ustępstw.

— To konieczne. Posłuchaj pan. Jestem chory i nie wiadomo, jak się to skończy... Nie przecz pan, ja czuję, że jestem słaby. A kto słaby, może umrzeć! Po-

zwól mi pan popracować, nie samemu, z Felą, nad mojemi osobistemi papierami, z jakie dwie godziny.

Doktór się zamyślił.

— Dwie godziny? To za dużo... Zresztą, chociaż pański stan nie jest wcale niebezpieczny, żądanie należy do liczby tych, dla których nie może być odmowy... Zgoda, tylko staraj się pan pracować, jak można, najmniej. Polecam to najbardziej względom pani! — dodał doktór, zwracając się do Feli.

W parę chwil po wyjściu doktora panna Fela zajęła miejsce, na którem przed chwilą siedział doktór. Wzięła rękę starego wychudłą, drżącą, jak gdyby w febrze i ucałowała...

— Daj pokój!—starał się oponować stary.

— Czego też tatko — zaczęła melodyjnym głosem Fela — dziwaczy?.. Po co to przeglądanie papierów? Przecież nic pilnego niema.

Stary potrząsnął głową.

— Widzisz, moje dziecko, tak trzeba—rzekł.—Nie wiadomo, co być może...

— Czy się tylko na co bardzo przydam?—ciągnęła dalej panna Fela—przecież ja się nic a nic na interesach nie znam. Możeby lepiej poprosić pana Lurje, albo Stasia?

— Nie, nie — odrzekł z pewną gwałtownością stary — Staś, to dziecko, dobry dzieciak, ale głupi, pędziwiatr... A Lurje? Nie, nie...

Była chwila milczenia. Stary z pod poduszki wydobył pęk kluczyków i wybrał dwa z pomiędzy nich.

— Tym—rzekł—otworzysz szafę, która tam stoi, a tym drugim oddzielną przegródkę w szafie. Ale przed-

tem trzeba trzy razy pocisnąć guziczek, który się będzie z boku przegródki znajdował. Wszystko, co jest w przegródce przyniesiesz tutaj. Zrób najpierw miejsce na stole.

Panna Fela dosłownie wykonała polecenie ojca. Za chwilę przyniosła i położyła na stole całą kupkę różnych papierów i pakietów.

— Co tatko dalej każe?—zapytała.

— Widzisz, moje dziecko — zaczął powoli, przymknąwszy oczy, starzec—jakkolwiekbądź chcę z tobą pomówić poważniej... Jestem już bardzo stary i bardzo zmęczony. Pewno za moje grzechy, Jehowa, przy końcu życia, ciężko mnie dotykał swoim gniewem. Z moich sześciorga dzieci, zostałaś mi tylko ty jedna, z wnuków Staś... Resztę zabrał Jehowa.

Przerwał na chwilę; dopiero, zebrawszy oddech, ciągnął dalej:

— W ostatnich latach pomimo pozornej pomyślności interesa moje wcale nie szły świetnie. Ponosiłem i ponoszę straty, które mi się dotkliwie dają uczuwać...

Panna Fela zrobiła gest zdziwienia.

— Tak jest, moje dzecko... Dokładniej będziesz to mogła zrozumieć dopiero po mojej śmierci, bo ja pewno niedługo umrę. To wszystko mnie truje... A może są i inne przczyny mojej śmierci. Ci wspólnicy, ci wspólnicy—ciągnął już jakby sam do siebie stary Ejteles—ach, ten Lurje!..

Panna Fela coraz bardziej była zdziwiona, wpatrywała się niespokojnie w ojca.

— Ależ niech się tatko uspokoi—przerwała—prze-

cież strata trzystu tysięcy rubli przy stanie naszego majątku nie mogła nas podkopać.

— To głupstwo... Tu idzie zupełnie o co innego.

— O cóż?

Stary naraz zatrzymał się.

— Dowiesz się o tem nie długo—rzekł po chwili—tymczasem mówię ci to dla tego, żebyś zrozumiała, iż to wszystko są rzeczy poważne i że ty zostaniesz po mojej śmierci opiekunką Stasia i wogóle moją zastępczynią. Nie wyszłaś dotąd za mąż i zapewne, o ile znam ciebie, nie wyjdziesz, nie będziesz więc miała własnych dzieci...

Starzec westchnął.

— Opiekuj się więc — ciagnął dalej — Stasiem, bo to jest dziecko, które bardzo potrzebuje opieki... A przytem nie pozwól łotrom, ktorzy czychają na ostatnie szczątki mojego majątku, zapracowanego w pocie czoła, wyrwać sobie i Staśkowi ostatnich okruszyn...

Silny kaszel pochwycił starca. Przez długą chwilę nie mógł się uspokoić.

— Ależ, co robić, jak postępować? — zapytała wreszcie Fela—doprawdy tak mało to wszystko rozumiem.

— Zrozumiesz później. Tymczasem bądź łaskawa podawać mi kolejno papiery leżące na stole.

Fela wykonała polecenie ojca. Stary bankier powoli przeglądał je; niektóre czytał i następnie odkładał na dwie różne kupki. Jedna z nich urosła w duży stos, podczas gdy w drugiej znajdowało się zaledwo kilka papierów. W większej kupce mieściło się także parę paczek listów. Na stole leżały jeszcze dwa pakieciki, z których

jeden zawierał w sobie jakąś szkatułkę lub pudełeczko, a nadto dwa zwitki papieru.

Ejteles wskazał Feli większą kupkę papieru.

— Weź to—rzekł—i wrzuć w ogień...

Panna Fela wachała się się chwilę.

— Ależ będzie z tego dym, może tatce zaszkodzić—zrobiła uwagę.

— Zrób, o co cię proszę.

Za chwilę płomienie na kominku, podsycone świeżym, łatwo palnym materjałem, żywiej wybuchnęły w górę... Starzec z pół uśmiechem spoglądal na migocące iskry.

— A teraz resztę, oprócz tego oto papieru bądź łaskawa zabrać do siebie i schować dobrze. Ta gruba paczka to są pieniądze. Bardzo być może, iż po mojej śmierci to tylko wam zostanie, może cały pozostały majątek stanie się łupem kruków...

Tak, tak, moje dziecko — mówił po chwili. — Tamte papiery, które otworzysz i odczytasz dopiero po mojej śmierci, wyjaśnią ci wiele, bardzo wiele różnych rzeczy, których anibyś się nigdy domyśliła. Bardzo być może, iż znajdą się tacy, którzy będą chcieli zabrać i tę resztkę. Dla tego też powinnaś pilnować tego depozytu, jak oka w głowie, wolałbym ażeby nie był on zachowany tutaj w domu. Zresztą zostawiam to twojej roztropności. Żeby ci tylko tych pieniędzy nie wydarto!

Fela pochyliła głowę na znak przyrzeczenia. Była tak wzruszona, że kompletnie nie mogła mówić. Stary bankier znów zrobił przerwę.

— Tamten papier jest to mój urzędowy testament,

Powtarzam, „urzędowy“, ponieważ to, co ty masz w ręku, wyraża daleko lepiej ostateczną moją wolę i mówi o różnych rzeczach, których tamten nie może dotykać. Ten „urzędowy“ testament trzeba złożyć u rejenta. Dziś jeszcze napiszesz, do mojego rejenta pana Z... ażeby jak najprędzej załatwił wszelkie potrzebne formalności.

— Jeszcze została jedna paczka — zwróciła uwagę Fela, wskazując gestem pakiecik, mający formę szkatułki.

— Podaj mi ją—rzekł bankier.

Przycisnął paczkę do ust i następnie oddał ją z powrotem córce.

— To jest depozyt, który tobie powierzam—odezwał się wreszcie. — W papierach, które ci oddałem, znajdziesz adres pod którym ją odeślesz. Przyrzeknij mi, że nie będziesz się starała zajrzeć wewnątrz, zobaczyć, co tam jest.

— Przyrzekam...

Głos starego Ejtelesa się przerwał. Leżał na szezlągu ciężko oddychając, a pierś jego z wysiłkiem podnosiła się do góry. Był blady. Zapadać już zaczął mrok. Przy blaskach ognia dopalającego się na kominku, twarz bankiera miała dziwnie przykry wygląd...

— Jeszcze jedno dodał—po chwili.

— Czy tylko tatko nie zabardzo zmęczony?—przerwała zaniepokojona jego bladością Fela—może odłożylibyśmy rozmowę na jutro...

— Nie! To rzecz bardzo ważna...

— A wiec słucham, tylko proszę się nie męczyć.

— Otóż chciałem ci powiedzieć, żebyś się strzegła pana Natana. Nie powinien wiedzieć ani słowa z tego

o czem tu mówiliśmy... Zresztą nie powinien wiedzieć nikt, ale on—przedewszystkiem .. Wydaj także polecenie, ażeby mu nie pozwalano wchodzić do naszego mieszkania bez zameldowania tobie i zawsze pilnie uważaj na jego wszystkie postępki u nas .. Rozumiesz?

W tej chwili drzwi gabinetu gwałtownie się otworzyły. Na środku pokoju stanął „książe Stasz“ inaczej „Szmulek“ inaczej młody Stanisław Ejteles. Był jeszcze w paletocie i w ręku trzymał kapelusz.

— Dopiero co przychodzę z ulicy. Dowiedziałem się, co ciocia jest u dziadzi już z pół godziny i pomyślałem sobie, że dziadzio ma się lepiej, tak, jak te piąte koło u wozu... I oto jestem.

— Ach ty szaleńcze, zdejmże chociaż paletot.

„Książe Stasz“ w tej chwili wykonał to polecenie i niebawem znalazł się przy dziadku.

— Proszę dziadzi—wołał po chwili, przywitawszy starca—ja nie rozumiem, czego dziadzio potrzebuje tak chorować, jak ta dziura w moście... Ja teraz to mam tylko same zmartwienia. Dziadzio chory i nie możemy pojechać za granicę, a mój przyjaciel Strzelecki siedzi w kozę, jak ten wróbel na dachu...

Stary uśmiechał się, słuchając tej trochę niedorzecznej gadaniny wnuka.

— Czy dziadzio nic na niego nie może poradzić, żeby jemu wypuścili z kozy?

— Ależ nie męczże dziadka ciągłemi pytaniami!—strofowała go panna Fela.

— Nie, moje dziecko, to nie odemnie zależy... Ja

i sam nie przypuszczam, ażeby Strzelecki był winien — odpowiedział bankier zmęczonym głosem.

— No, proszę państwa—rzekł „książe Stasz" sentencjonalnie — ten Janek, to jest taki nieszczęśliwy, jak ten niedźwiedź, co jak na niego spadnie gałązka, to on mruczy...

Mówiąc to, jak zawsze żywy, młody człowiek wykonał energiczny ruch obydwiema rękoma. Jedna z jego rąk uderzyła w paczkę, leżącą na stole, którą niedawno miał w ręku Ejteles.

Paczka upadła na ziemię, papier rozdarł się i na podłogę wypadły jakieś przedmioty.

— Oj, oj! a to ze mnie zgrabny, jak nogi w pokrzywach!—pochwalił sam siebie „książe Stasz".

Jednocześnie, za nim panna Fela lub stary Ejteles mogli mu przeszkodzić, żywy, jak zawsze, schylił się i zaczął zbierać przedmioty, które upadły...

— Acha, dwie fotografje, obie kobiety, jedna stara baba, ale druga... aj, aj, aj, jaka śliczna. I krzyżyk złoty... Co to jest? — pytał, podnosząc do góry wymienione przedmioty wraz ze szczątkami opakowania.

Ale stary bankier tymczasem aż się nniósł do połowy z szeslągu. Był blady jak płótno.

— Po...łóż to!—zaledwo zdołał wybełkotać.

Panna Fela odbierała już od roztrzepańca podniesione przedmioty.

— Patrz, coś zrobił!—mówiła, wskazując na starca, który opadł na poduszki...

— Ja? Co ja jestem winien?—tłomaczył się „książe Stasz".

— Leć w tej chwili po doktora... Zawołaj Ludwika i pokojówki.

— No, dobrze, już dobrze, lecę, jak ten, co to ani w pięć, ani w dziewięć... Za minutę będę z powrotem.

. . . .

Omdlenie starego Ejtelesa było chwilowe. Nie pociągnęło ono za sobą gorszych dla jego zdrowia skutków. Pomoc doktora była zbyteczną...

Wypadek z paczką odbił się jednak dotkliwie na jego humorze. Pomimo odbytej z panną Felą ponownej dłuższej konferencji, był od tego czasu ciągle jakiś smutny i osowiały.

ROZDZIAŁ XII.

Dwa listy.

Jesteśmy w gabinecie panny Feli Ejteles. Jestto pokoik bardzo skromny, umeblowany z wielką prostotą. Fela siedzi przed biurkiem, nieruchoma zadumana. Przed nią leży mały arkusik różowego papieru listowego. Fela oparta głową na rękach.

Korzystając z tej chwili, rzekniemy słówko o tej nowej postaci, dopiero w poprzednim rozdziale przedstawionej czytelnikowi.

— Jak widzimy, panna Fela była, ażeby użyć dość brutalnego wyrażenia, „starą panną“ i to panną nieobdarzoną wdziękami. Za to wszyscy przyznawali jej wysokie przymioty umysłu. Była to kobieta wysoce wykształcona i rozwinięta. Stary Ejteles, który dopiero od niedawna złamany chorobą i potrosze wypadkami, stał się bardziej dostępnym, dawniej zaś, kiedy jeszcze miał rodzinę, panował pośród niej niemal despotycznie, zawsze uważał ją za nader rozsądną: często zasięgał nawet jej rady.

Panna Fela w życiu przeszła wiele. Wewnętrzne dzieje licznej niedawno rodziny Ejtelesa, z której obecnie pozostało tylko ich troje, przedstawiały wiele ciemnych stron. Stary bankier przez całe życie odznaczał się niezmiernie twardym, despotycznym charakterem. Dzięki olbrzymiej energji, umiejętności obchodzenia się małem, wreszcie silnej woli, doszedł on prawie z niczego do ogromnego majątku. Z uporem, który go zawsze charakteryzował, starał się także urządzać swoje stosunki familijne. Dało to powód do wielu cichych, wewnętrznych dramatów. Fela, mająca zawsze niejaki wpływ na ojca, starała się łagodzić te starcia, interwenjować i rzecz na dobrą drogę sprowadzać. Udawało się to jej rzadko. Ale ile te dramata kosztowały ją samą, ile ona przebolała!

Fela, pomimo kilku nadarzających się partyj nie chciała wyjść za mąż. Niechęci do małżeństwa nie zdołał przemódz nawet Ejteles, który zresztą jej wyjątkowo nigdy zbytecznie woli swojej nie narzucał... Mówiła zawsze: „Jestem zbyt brzydką, ażeby mnie miano wziąć nie dla pieniędzy. A tego nie chcę.“

Od czasu śmierci trojga dzieci starego Ejtelesa dwóch synów i jednej córki, co nastąpiło wkrótce po sobie, od czasu choroby starego bankiera, Fela była zupełną gospodynią domu. Ona zarządzała wszystkiem. Ona także uprosiła starego, że do domu został sprowadzony młody Stanisław Ejteles, który dotąd wychowywał się u rodziny matki; ona opiekowała się potroszę i młodym wartogłowem; ona rozbrajała gniew dziadka wobec wnuka i wreszcie starała się ukrywać przed starcem różne szaleństwa „księcia Stasza“. To też młody szaleniec kochał ją, jak rodzoną matkę...

Wróćmy jednak do chwili obecnej.

Mały arkusik różowego papieru, który leży przed Felą jest zapisany na wszystkie strony drobniutkiem pismem; to list. Otarła łzę, która jej się zakręciła w oku, wzięła raz jeszcze do ręki list ten, zmięty, widocznie już parękroć czytany, i czyta go raz jeszcze z uwagą.

Oto treść listu:

„Najdroższa Felo!

„Wiesz dobrze, że nie znałem nigdy matki, nie miałem siostry, którejbym się mogła zwierzyć z tem, co każe bić mocniej memu sercu, co mnie wzrusza, martwi, albo raduje. Wiesz także dobrze, jaką do ciebie uczułam sympatję od pierwszej chwili, kiedy cię tylko poznałam. Pomimo różnicy wieku, pomimo, że nigdybym ci nie potrafiła dorównać w tysiącznych przedmiotach, w dobroci, w szlachetności, w zdrowym sądzie o rzeczach, odrazu uczułam się pociągniętą do ciebie, odrazu spostrzegłam, że w tobie będę mogła położyć zaufanie.

„Byłaś tyle dobrą, że raczyłaś przyjąć tę przyjaźń,

którą ci tak po dziecięcemu otwarcie od pierwszej chwili ofiarowałam. Stałaś się moją starszą siostrą, dzięki radom której wielekroć już uniknęłam nieprzyjemnych chwil i przykrości dla siebie i dla innych... Ile razy rozstawałam się z tobą, czułam się lepszą i doskonalszą, niż przedtem. Moja najdroższa Felo! powinnam ci być tak wdzięczną, a jednakże tak przed tobą zawiniłam. Zawiniłam nieszczerością.

„Jest to wina tem większa, że ze zwykłą tobie przenikliwością przeczuwałaś do pewnego stopnia moją tajemnicę. Kiedy ostatni raz widziałyśmy się u ciebie, spojrzałaś w głąb moich oczu tak, jak ty tylko jedna umiesz spoglądać, i zapytałaś: „Co ci maleńka?“ Zarumieniłam się i nie odpowiedziałam nic... chociaż miałabym ci tyle do opowiedzenia. A kiedy spoglądałaś znacząco, z uśmiechem pół-dobrotliwym, poł-surowym, na owe rumieńce, wykwitające na mojej twarzy, nie mogłam wytrzymać i uciekłam...

„Jest to zaledwo kilkanaście dni temu. Pomimo owych rumieńców, które mi tak paliły policzki, byłam wówczas szczęśliwą. Dziś zmieniło się wszystko... Niebo zdaje mi się nie błękitnem, lecz szarem, a słońce uroczno-purpurowem... Surowo zostałam ukaraną za brak zaufania do ciebie. Jestem bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwą...

„Chciałam sto razy biedz i powiedzieć ci wszystko. Ale wstyd zawsze mnie powstrzymywał. Bałam się, boję się twoich oczu tak jasnych i przenikliwych.“ Droga moja Felo! Wierzę w skarby pobłażliwości, które chowa twoje serce, ale ty nie kochałaś dotąd... mężczyzny.

Patrz, jak to dziwnie brzmi, nawet pod piórem! nigdy pewno nie będziesz nikogo kochała i trudno, ażebyś była odrazu dla tego wyrozumiałą... Boję się mówić, więc piszę, piszę ci całą prawdę, wszystko, bo jestem przekonaną, że ty jedna potrafiisz, uspokoiwszy się z pierwszego wrażenia, zrozumieć mnie, usprawiedliwić i wyratować z odmętu rozpaczy, w którym ginę... Ty jedna!

„A więc masz oto wszystko, co mi napełnia serce. Kocham, tak, kocham po raz pierwszy w życiu, całą duszą, całem sercem... Przysięgłam, że nie będę nigdy niczyją inną, tylko jego. Jestem pewna wzajemności; on kocha mnie także, jestem dla niego wszystkiem. Ale pomiędzy nami stanęła straszna przepaść. Jego oskarżono o zbrodnię, uwięziono. On jednak nie może być winien!..

„Skracam tę moją spowiedź. Czuję, że pióro mi drży w palcach... Człowiek, którego kocham i który wie o tem, jest to ten sam urzędnik z biura twojego ojca, którego oskarżają o kradzież i zabójstwo...

„Skończyłam. Jeśli nie uważasz mnie za bardzo, ale to bardzo winną, jeśli masz w sercu jeszcze trochę pobłażania, dla twojej małej Róży, jeżeli wreszcie nie chcesz jej pogrążyć w falach rozpaczy i smutku, napisz jedno słowo „Przyjdź", a w tej chwili przybiegnę do ciebie uskarżyć się na wszystko, co mnie boli i znaleźć pociechę przy twem sercu...

„Przy twojej dobroci i rozsądku, a mojej miłości, nie sposób, ażebyśmy nie znalazły środka wykrycia jego niewinności, bo on jest niewinny...

„Jeszcze jedno, moja najdroższa. Nieszczęście nigdy

nie idzie samo. Mój ojciec znalazł dla mnie partję i tym razem tak świetną, że nie sądzi, ażeby był możebny jakikolwiek opór z mej strony. Uważa rzecz za zdecydowaną ostatecznie. Pod wielkim sekretem, który mi, jak dotąd, zaleca ojciec, powiem ci, najdrosza, iż kandydatem do mojej ręki jest—p. Lurje. Już to ty i twoje otoczenie, bliższe i dalsze dziwnie się zaczyna do mojego życia wplatać... Jedno z drugiem męczy mnie niewymownie.

„Pozwól mi przyjść, najdroższa Felo, napisz do mnie słówko, a przybiegnę opowiedzieć ci wszystko długo, szczegółowo...

„Czekam twego wyroku z drżeniem.

„Pomimo wszystko, zawsze twoja, zawsze cię kochająca:

Róża A.

Różowy arkusik wypadł z rąk Feli.

— Ty nie kochałaś dotąd mężczyzny! — wyszeptała głosem zaledwo dosłyszalnym, stłumionym głębokiem wzruszeniem—nigdy pewno nie będziesz kochała nikogo! Jak to dziecko prędko i stanowczo decyduje...

Zatrzymała się. Głowę znów podparła na rękach i przez chwilę siedziała nieruchoma.

— A przecież ta mała ma serce, ja ją kocham i czuję, że ona mnie kocha... I to dziecko tak spokojne w czterech wyrazach wydało wyrok, pozbawiający mnie raz na zawsze jednego z przeznaczeń życia... Jej się zdaje, że to tak proste, tak naturalne; jest na świecie kobieta, która nie kochała, ani nie będzie nigdy kochała mężczyzny i ta kobieta to właśnie—ja.

Roześmiała się nerwowym śmiechem. Podniosła głowę i patrzyła przed siebie zaczerwienionemi trochę oczyma...

— A, gdyby właśnie pokazało się — mówiła dalej z odcieniem gryzącej ironji w głosie — że ta kobieta, przeznaczona na nie kochanie, kocha, że pokochała tego samego, o którym pisze to naiwne dziecko?.. Coby było wówczas? Gdyby, nie mając nadziei pozyskania sobie wzajemności, chciała jednak zapewnić sobie zemstę?..

Wstała i przeszła się po pokoju. Zbliżyła się do okna. Stanęła, przytuliła gorące czoło do szyby i, spoglądając na zachodzące po za drzewami ogrodu i murami sąsiednich kamienic słońce, powtarzała:

— Zemstę?.. Na kim i za co? Czyż to biedne wierzące we mnie, jak w matkę, jest mi co winne? Czy mogę winić jego, który widział mnie może parę razy, a nie wiem, czy uważniej spojrzał raz?..

Odeszła od okna. Stanęła przed toaletą:

— I gdyby nawet spojrzał? Trudno żeby się zakochał w tem — wskazała palcem swą postać, szarzejącą śród mroku, który zapadał na tle lustra...

Przeszła kilkakrotnie przez pokój, wreszcie siadła znowu przy biurku.

— A jednak ja jestem kobietą! — rzekła po chwili głosem, w którym czuć było łzy. — I ja mam prawo do życia, jak inne. Nieraz ofiarowywali mi siebie za mój posag, różni; udawali mniej lub więcej gorącą miłość. Rozumiałam dobrze, że to pieniądze skłaniały ich do błagania o moją rękę. Odepchnęłam ich. Nie chciałam kupować sobie męża... Z nim co innego! Czuję, że byłabym

zdolną popełnić coś, coś, coby mnie samą napawało wstrętem... Jego kupiłabym za moje pieniądze. Ale on— czuję to—nie sprzedałby się...

Uderzyła niecierpliwie nogą w podłogę:

— Los jednak w dziwnych czasem stawia ludzi położeniach... Narzuca on komuś niespodzianie rolę, w której każe mu być nieskończenie, zawsze i wszędzie dobrym i szlachetnym, nie czuć bólu i nie sarkać. Jednocześnie przypadek daje temu dobremu i szlachetnemu w rękę piorun, którym może ugodzić. I los chce, ażeby ów szlachetny złamał piorun i koił balsamem pociechy cudze rany, kiedy jego własna pali go zarzewiem...

Roześmiała się gorzko.

Mrok tym czasem zapadał powoli. Przy biurku, wcisnąwszy głowę pomiędzy ręce, siedziała długo, długo, milcząca. Czasem tylko zdawało się, że jakiś konwulsyjny spazm wstrząsa jej postacią.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Już z godzinę pewno pozostawała tak bez ruchu.

Naraz podniosła się i zadzwoniła.

— Światła! — rzekła krótko do służącej, która weszła.

Kiedy przyniesiono lampę, na twarzy Feli widoczne były ślady łez. Zaczerwienione powieki zdawały się jeszcze drżeć. W rysach twarzy jednakowoż nie było widać wzruszenia. Z oczu uderzał spokój i silna wola. Widocznie powzięła postanowienie.

Siadła i pewną ręką nakreśliła następujących kilkanaście słów:

„Moje najukochańsze dziecko!

„Przychodź—serce moje jest dla ciebie otwarte.

„Nie tylko ci wybaczam, ale cię rozumiem... Nie trzeba mówić o żadnej kobiecie, że nigdy nie kochała.

„Jestem niewymownie kontentą, że zwróciłaś się do mnie. Ja właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności bęgę mogła najlepiej odpowiedzieć twemu zaufaniu. Może być, że mnie właśnie losy pozwolą rozplątać węzły wypadków, których ofiarą stał się twój narzeczony.

Twoja starsza siostra

Fela.“

. . . .

W dwie godziny potem dwie kobiety, stanowiące ze sobą tak uderzający kontrast zewnętrzny, jedna piękna jak słońce, druga pełna macierzyńskiej powagi, spoczywały w swoich objęciaeh.

Róża płakała, jak dziecko, tuląc się do piersi Feli.

— I wierzysz, że on jest niewinny?—pytała.

— Wierzę.

— I masz sposób dowiedzenia *jego* niewinności?

— Sądzę, że będę miała wkrótce!

ROZDZIAŁ XIII.

„F r y g a“.

Zapadał wieczór. Poważne kamienice Starego-Miasta powoli zaczynały tonąć w mroku. Wysokie ich kontury sterczały czarnemi linjami. Ledwo w jednym końcu placu połyskiwały żółtawe światełka latarni gazowych, przy Zapiecku ku przeciwległej stronie staro-miejskiego kwadratu biegł szybko młody, niewielkiego wzrostu mężczyzna w jakimś surducie, czapce i w długich butach. Miał pozór rzemieślnika. Pod pachą niósł węzełek...

Za chwilę znalazł się przed jedną z wązkich sieni prowadzących do któregoś ze starych domów tej poważnej dzielnicy. Przebyć pięć piętr ciasnych i stromych schodów było dziełem jednej minuty dla tego małego ruchliwego człowieczka. Niebawem otwierał już drzwi do jednego z mieszkań.

W pierwszym pokoju panował półmrok. Była to właściwie kuchnia, ale, o ile można było dostrzedz utrzymana bardzo schludnie.

— Kto tam? — odezwał się głos kobiecy z po-za uchylonych drzwi drugiej izdebki.

Mały człowieczek nie odpowiedział nic, rzucił tylko węzełek na stół kuchenny i sam pobiegł do następnego pokoiku.

— A to ty' — zawołała z odcieniem radości młoda

kobieta, siedząca przy otwartem oknie, zastawionem kwiatami w doniczkach.

Nastąpiło powitanie. Młoda kobieta, nadstawiła przybyłemu czoło, które mały człowieczek, wspinając się trochę na palcach, ucałowawszy serdecznie. Nastąpił długi serdeczny uścisk dwojga młodych ludzi.

— Jestem dziś wolny, przybiegłem czemprędzej do ciebie—rzekł wreszcie mężczyzna.

— Ach, jak to dobrze!—była odpowiedź.

— Żebyś się nie fatygowała, moje dziecko, bieganiem przez tyle piętr nadół, sam kupiłem wszystko co potrzeba na kolację... Oto tam leży — rzekł, wskazując w stronę kuchni. — Zapal tymczasem światło, bo mam trochę roboty. A gdzież Stach? — dorzucił po chwili głosem, w którym czuć było radość i dumę ojcowską.

— Nie widzisz? Śpi w kołysce, obok łóżka.

Przybyły zbliżył się niemal na palcach do kołyski, stojącej w najciemniejszym kącie pokoiku, pochylony nad nią przypatrywał się czemuś małemu, różowemu, wyglądającemu z pośród białych poduszek...

Za chwilę na stole stanęła lampa. Kobieta zbliżyła się do młodego człowieka zatopionego w kontemplacji nad kołyską i wziąwszy go pod rękę, zaprowadziła do stołu.

— Oto światło — rzekła. — Proszę mi malca nie budzić, bo będzie krzyczał. Można się wziąć do roboty, a ja tymczasem pomyślę o kolacji...

Młody człowiek roześmiał się, pocałował kobietę w rękę i usiadł na krześle przy stole.

Dopiero teraz gdy światło lampy upadło mu na twarz,

poznajemy w nim „Frygę“, owego ajenta policyjnego, którego dość dziwne zachowanie się podczas rewizji u Halbersona zapewne czytelnik już zauważył.

Pokoik, w którym go znajdujemy, jest maleńki, ale schludny. Całe umeblowanie stanowi łóżko, obok kołyska, komoda, nad którą parę obrazów, a w tej liczbie obraz Matki Boskiej z gorejącą przed nią lampką, dalej stała, maleńka kanapka i parę krzeseł. Na stole robótka, parę książek, pióro, atrament i papier. Białe firanki u jednego okna, kilka doniczek rozkwitających kwiatów, jasne i świeże tapety oklejające ściany, wreszcie czystość tu panująca, nadają temu skromnemu pokoikowi pewien urok...

Z okna pokoiku roztacza się szeroki widok na brzeg Wisły, na rzekę i Pragę; w tej chwili to wszystko pogrążone w ciemności, tylko gdzieniegdzie błyszczą, jak świętojańskie robaczki, światełka latarni gazowych lub latarki na statkach...

W pięć minut po zapaleniu lampy przez Karolcię (takie jest imię młodej kobiety) „Fryga“ albo Józio jak ona go nazywała siedział przed stołem zadumany. Okno przymknął, ażeby wdzierający się od czasu do czasu do pokoiku lekki wietrzyk nie przeszkadzał mu w robocie. Przed nim na stole leżało kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt drobnych kawałeczków papieru, które układał w różny sposób, przestawiał i kombinował, pragnąc z nich utworzyć całość. Czynność ta absorbowała go całego. Głowę podparł na obiedwu rękach, czoło ścisnął i myślał.

— Niepodobieństwo!—zawołał po chwili.

Znów zaczął przekładać papierki. Po chwili wziął

gorączkowym ruchem pół arkusza papieru i szybko coś pisał. Zbliżył następnie ów arkusz do oczu i uważnie go odczytywał.

Tak był pochłonięty tem zajęciem, że nie zauważył nawet, iż tymczasem Karolcia weszła do pokoiku i zaczęła się krzątać. Musiała aż zbliżyć się doń sama i trącić go w ramię.

— Proszę cię, Józieczku—rzekła—odłóż na chwilę robotę... Kolacja już gotowa.

Za chwilę kawałki papieru spoczywały w pugilaresie „Frygi“, a stół został uprzątnięty i nakryty przez młodą kobietę.

— Co ci jest?—zapytała Karolcia, siedząc naprzeciwko niego przy kolacji. — Jesteś taki zamyślony, nie swój...

— To ciągle ta sama sprawa, wiesz...

— Jakto, więc dotąd nie doszedłeś z tem jeszcze do ładu?

— Ciągle stoję na miejscu.

— To bardzo źle, mój kochany, bardzo źle...

— Sam to rozumiem.

— Tem bardziej—ciągnęła dalej kobieta—że postąpiłeś sobie trochę nieopatrznie, zabierając samowolnie te kawałki papieru... Bardzo być może, iż sędzia potrafiłby z nich dojść czego, zrozumieć o co idzie.

„Fryga“ roześmiał się z pewnym przymusem.

— No, o to niema obawy. Jeśli ja już niczego nie doszedłem...

Młoda kobieta położyła na stół nóż i widelec.

— Mój Józiu—rzekła tonem poważnym—ty, widzę

zbyt sobie lekceważysz. A jednak to rzecz najzupełniej serjo. Może być, że trzymasz w ręku zupełny dowód niewinności człowieka, któremu grozi hańbiąca kara, który do tej chwili pozostaje w więzieniu. Z dowodu tego nie potrafisz skorzystać, gdy tymczasem w ręku innych on może mieć znaczenie.

„Fryga“ zrobił wątpiący ruch ramionami.

— W każdym razie, jeśli już sam nie potrafisz tego zużytkować, trzeba to jak najprędzej oddać sędziemu...

— Sprobuję jeszcze.

— Chociaż i tak nie wiem, co z tego będzie. Czy ci uwierzą, że ten papier został znaleziony przy rewizji? Mogą powiedzieć, że byłeś interesowany w przedstawieniu go sądowi, że to nie jest autentyczne...

— O, o to się nie bój — roześmiał się „Fryga“. — Najpierw oni mi trochę wierzą. A powtóre nie jestem ja taki naiwny. Przedsięwziąłem przecież swoje środki...

— Jakież?

— Przed tobą mogę powiedzieć. Oto, widzisz nie zabrałem wszystkich kawałków papieru. Niektóre zostawiłem w pokoiku nieboszczyka Halbersona, są tam pod dobrą strażą pod pieczęciami... I to właśnie przyprowadza mnie do rozpaczy, bo gdybym miał tamte kawałki na pewno potrafiłbym zrozumieć co znaczy ten cały list.

— I cóż chcesz ostatecznie zrobić?

— Ostatecznie, będę probował. A, jeśli mi się nie uda, zaniosę do sędziego i poproszę, ażeby zestawił z tamtemi kawałkami co są pod pieczęciami i doszedł do jakiego wniosku.

Chwilę trwało milczenie.

— Zawsze to niebezpieczna gra — zauważyła Karolcia.—Miałeś już parę przykrości z powodu tych śledztw na boku... Powiedz mi dla czego je wiecznie rozoczynasz?

„Fryga“ skończył w tej chwili kolację Oparł się na krześle i rzekł:

— Widzisz, moje dziecko, dałem sobie już co prawda słowo, że nigdy się w coś podobego bawić nie będę... Ale tym razem to mnie wzięło—po raz ostatni. Wyobraź sobie, moja kochana, jak mnie tylko wezwano do tej fatalnej sprawy, kiedym zobaczył wieczorem u nas w wydziale chłopca, oczekującego omnibusu na Pawiak, powiedziałam sobie: „Nie, to nie może być, ten człowiek nie jest winnym.“ Mów co chcesz, ale ja wierzę w moje przeczucia. Cokolwiekbądź przeciwko niemu mówi, jakiekolwiek są poszlaki, on jest niewinien I powiedziałem sobie zaraz: Jakby to było dobrze, gdyby odkryć dowody jego niewinności i jednocześnie znaleźć winowajców! To zapewniona karjera i może nawet kawałek chleba... To przecież nie głupie, zwyczajne kradzieże, które trafiają się codzień...

— I cóżeś zrobił w tym celu?

— Dotąd nie wiele, chociaż robiłem dużo. Zgodnie z moim systematem, postarałem się najpierw poznać stosunki. Umiem je teraz na pamięc. Wiem, co ten biedak robił każdego niemal dnia i godziny, znam jego historję, jak moje pięć palców, mam też trochę pojęcia o domu handlowym Ejteles i Sp. Przy tej okoliczności, zdaje się, że wpadłem na trop dosyć ciekawych odkryć... No, ale o tem potem, chociaż i to może się przydać...

Ostatecznie mam grunt przygotowany.

Przez chwilę patrzył w płomień lampy, marszcząc brwi.

— U Halbersona, w jego izdebce, czułem to, musiał się znajdować klucz zagadki. I oto jest—dodał, uderzając po leżącym przed nim pugilaresie—cóż, kiedy ten klucz nie chce się otworzyć. Sądziłem, że wziąwszy te kawałki papieru, będę mógł za trzy dni, kombinując to, co tu napisane, z tem co wiem, przyjść i powiedzieć: Oto wszystko, jak na tacy!

Wyjął z pugilaresu drobne kawałki papieru, i oglądając uważnie, zaczął układać na stole. Karolcia przysunęła krzesło i pilnie uważała na jego pracę.

— Jak widzisz—rzekł—kawałki są ułożone zupełnie prawidłowo i przystają do siebie najzupełniej.

— Tak...

— Ponumerowałem je na drugiej stronie ołówkiem, ażeby uniknąć niepotrzebnej pracy.

Za chwilę papier leżał na stole w tym samym porządku, co poprzednio. Tworzył on dość szeroki szemat zapisany w cztery linje, z przerwami, w skutek braku niektórych kawałków. To, co było złożone, przedstawiało się, jak następuje.

....źorg...... ćy....zsin..r.. ipapr..... e iw a
t.. ...ei... e ..nanoky. hca. wzrd...... p ć .. ..
o łzą..odaiw... ..zrć .borz........wó..m e z c
.... tyz....on abs..akzor................ i ne i m iw

„Fryga“ głośno odczytał te nie zrozumiałe dźwięki.

— Powiedz mi co to wszystko może znaczyć?—

rzekł po chwili.—Trzy noce przesiedziałem nad tem. Mało nie zwarjuję, gdybym miał resztę!

— Czyż niepodobieństwo dojść czegokolwiek? — zaczęła łagodnie Karolcia.

— Sprobuj, moja kochana. Najwidoczniej jest to pisane po polsku; dowodzą tego litery, których w innych językach brak, np. „ł“, „ą“, „ź“. Jeszcze jedno widać od pierwszego rzutu oka, to, że cały frazes, całe cztery wiersze te, napisane bez rozdzielania słów. Ale też tylko tyle można się domyśleć. Po za tem—więcej nic.

— Jeszcze jedną uwagę dodałabym — rzekła po po chwili Karolcia. — Nie jest to pismo zwyczajne, lecz umówione. Takiego zbiegu liter, jak „wzrd“, „zrć“, „pć“ w wyrazach naszego języka niema. Jest on niemożebny, choćby nawet przypuścić, że w tych miejscach kończą się jedne wyrazy, a zaczynają drugie...

— Zupełna racja. Wiesz przecież, że przez ciekawość pracowałem trochę nawet niedawno nad pismem symbolicznem. Probowałem zastosować który z systematów do tego oto i nie, zupełnie nie ..

— To dziwne!

— Co jeszcze ciekawsze, że pomiędzy zgłoskami kompletnie nie zrozumiałemi znajdują się dźwięki, które bardzo łatwo można uważać za należące do zwykłej mowy, np., ,,łzą“, ,,oda“, ,,ona“ ,,borz“.

Karolcia i ,,Fryga zamyśleni siedzieli przed chwilą nad stołem. Ona po chwili podniosła jeden z większych kawałków papieru i zbliżyła go ku lampie. Zaczęła przeglądać pod światło z jednej i z drugiej strony.

— Ach!—zawołała naraz.

— Co takiego?

— To szczególne.

— Co?

— Papier. Spojrzyj no tu—rzekła do „Frygi“. Ten ostatni zbiżył do niej głowę.

— Nie widzę nic...

— Patrz uważniej. Papier przeglądany pod światło, ma jakieś znaki.

— Rzeczywiście... Czyżby to były znaki sympatyczne, które uzupełniają to pismo?

— Nie zdaje się. Są to, jak gdyby znaki wodne podobne do znajdujących się na banknotach lub wekslach...

— W samej rzeczy. Rozwidnij trochę lampę...

Przy jaśniejszem teraz świetle widać było rodzaj znaków wodnych po papierze w regularnych odstępach, znaczki były maleńkie, podobne do siebie przedstawiały coś w rodzaju miniaturowych gwiazdek... Oboje patrzący przyglądali się tym znakom z ciekawością. Wtem Karolcia wydała znowu okrzyk.

— Cóż jeszcze?—pytał z gorączkową niecierpliwością „Fryga“.

— Jedna myśl.

— Jaka? Mów, mów prędzej...

— Gdyby tak czytać to, co tu napisano na odwrót, od końca ku początkowi? Patrz, tak, jak teraz trzymam papier, obrócony pismem ku lampie, litery idą w odwrotnym porządku. Zdaje się, że w ten sposób można sobie wytłomaczyć wiele.

Kawałek papieru, który trzymała w ręku Karolcia, był jednym z największych i mieścił na sobie końcowe wyrazy wszystkich czterech wierszy.

— Rzeczywiście — zawołał po chwili „Fryga“ — „eiwa“ odczytane na odwrót będzie „awie“, co może być zakończeniem wyrazu „prawie“, „łaskawie“, sprawie“ i wiele innych spotykanych w naszym języku, „mezc“ — to najprostszem „czem“; „ineimiw“ — to odwrócone „w imieni...“, zapewne „w imieniu“ lub w imieniny“; jedno „ćp“ jest równie nieprawdopodobnem, jak „pć“, chociaż może właśnie stanowić zbieg dwóch wyrazów.

— Sprawdzimy resztę tym samym systematem — rzekła Karolcia. — Pamiętam, na pensji, często, chcąc uniknąć kontroli przełożonej, pisywałyśmy do siebie w ten sposób listy... To mnie nawet naprowadziło na myśl.

„Fryga“ tymczasem odzyskał już całą swoją gorączkową ruchliwość, którą widzieliśmy podczas rewizji w mieszkaniu Halbersona. Był na tropie i to go zagrzewało. Oczy mu świeciły fosforycznie. Pochylił się nad źdźbłami papieru; zdawało się, że chciał je pochłonąć. Żyły na skroniach, ruchliwych jak u królika, nabrzmiały mu. Ręce mimowoli poruszały się, jak gdyby przebierał na klawiszach.

Upłynął kwadrans. Korolcia przyglądała się mu ciekawie. Naraz odrzucił się gwałtownym gestem w tył.

— Mam! — rzekł do niej. — Niewątpliwie twój pomysł jest trafny. Nie tylko pozwala ona objaśnić prawie wszystkie dźwięki i kombinacje liter, ale nawet daje do

pewnego stopnia pojęcie o treści tej kartki. Do pewnego tylko stopnia!—dodał po chwili.—Braki są tak ważne, że bez nich dokładnego pojęcia o wszystkiem mieć niepodobna...

— A więc już odczytałeś część tego pisma?

— Tak, posłuchaj. Ma się rozumieć trzeba zacząć od samega końca i iść wierszami od dołu do góry. „W imieni(u) ...... rozka(z) stano(w)czy t.... czem...ów ....zrob(i)ć rz.... wiado(m)ą zło.... ćp..... drzw(i)ach (w)ykonan(i)e ....ie, ...tawie....r papi(e)r ..nisz(cz)yć .... groź(b)a.“

— To nieprawdopodobne! — mimowoli wyrwał się Karoli wykrzyk.

— A jednak bardzo proste. Sprawdź. Jak widzisz, tymczasem z tych szczątków dowiadujemy się, że kartka jest rozkazem danym zapewne Halbersonowi w imieniu, czyim? dowiemy się z pozostałych cząstek papieru. Kazano mu coś „zrobić“, zapewne rzecz „wiadomą“ i to... zwróć uwagę... w „drzwiach“ lub przy „drzwiach“. Czy to nie było otwarcie drzwi, zepsucie zamka? Wreszcie w kartce znajduje się polecenie zniszczenia papieru, co też nieboszczyk chciał uskutecznić. Na szczęście nie udało mu się to. Ostatecznie rozkaz przypieczętowany jest groźbą... jaką?.. to należy zbadać.

Karolcia spoglądała z podziwem na „Frygę“, w którego twarzy w chwili, kiedy to wyjaśniał, wszystkie muskuły były w ruchu.

— Ale, jakież to może mieć znaczenie dla owego biednego młodego człowieka, którego oskarżają o tę zbrodnię?—zapytała po chwili.

— Widzisz, w tej chwili wiedzieć nie można. Jesteśmy dopiero w samym początku nitki przewodniej, a przedewszystkiem nie mamy nawet całej kartki. Zresztą trzeba skombinować. Jakkolwiekbądź, zbliżamy się do wykrycia tajemniczej dotąd prawdy, a prawda, jeśli mnie przeczucie co do niewinności owego młodzieńca nie myli, zawsze będzie dla niego korzystną...

„Fryga“ zamyślił się przez chwilę.

— Zresztą jest tu wiele niewyjaśnionego. Dla czego Halberson zabił się? A może został zabity, niewykonawszy „rozkazu“ i to właśnie stanowiło urzeczywistnienie groźby? W każdym razie dla Strzeleckiego ztąd wynika zawsze jedna pomyślna szansa. Widziałem jego charakter pisma i stanowczo twierdzę, że „to“ nie jest przez niego pisane. Nadto przy jego sposobie życia i przeszłości, niemożebnem jest, ażeby posiadał jakąś specjalną, tajemniczą władzę nad Halbersonem...

„Fryga“ milczał parę minut.

— A wreszcie, najważniejsze. Kartka nie może pochodzić od niego. Pismo zawsze jest niebezpiecznem. Strzelecki widział się tegoż dnia z Halbersonem, mógł się z nim widzieć dziesięć razy dziennie, po cóżby pisał?.. Nie, ten młody człowiek jest stanowczo niewinny.

Karolcia położyła „Frydze“ rękę na ramieniu.

— Więc go uratuj!—rzekła.

— Uratuję — odrzekł, podnosząc ruchliwą główkę „Fryga“. — A wiesz dla czego? Dla tego, że ma oczy podobne do twoich...

Gorący uścisk zakończył rozmowę.

ROZDZIAŁ XIV.

Dramat — i sielanka.

Niejeden z czytelników, przerzucając poprzedni rozdział, wzruszył ramionami. „Sielanka ajenta policyjnego?“ Czyż to prawdopodobne?

Odpowiemy na to: W życiu niema nic niemożebnego. Życie, rzeczywiste, prawdziwe życie posiada w swem łonie tyle niespodzianek, że nigdyby im najbujniejsza fantazja powieściopisarza nie sprostała.

Do sielanki zresztą każdy ma prawo po przejściu dramatu.

Oto dzieje tych dwojga jeszcze młodych ludzi; dowiodą one, że biedacy mają oboje prawo do wypoczynku, do odetchnienia po burzach życia. Życie nie szczędziło im wcale swej chłosty...

Józef X.. został bardzo wcześnie osierocony przez rodziców, ludzi względnie cokolwiek zamożniejszych. Opiekun, człowiek obcy i zupełnie prawie obojętny, dbał o niego bardzo niewiele. Oddał go na pensję, na której chłopiec, obdarzony zresztą wybornemi zdolnościami, uczyć się prawie nie chciał. Miał on przesadzone wyobrażenie o spadku, który mu się po rodzicach należał. Rwał się w świat, ażeby używać...

To też, jak tylko doszedł do 18 lat wieku, opiekun pospieszył go usamowolnić, zadowolony, że zwalił z ra-

mion niepotrzebne brzemię. Kuratorem usamowolnionego, mianowano na jego własne żądanie, jednego z jego przyjaciół, starszego od niego zaledwo o lat pięć, który po opuszczeniu tejże pensji przed czterema laty, był urzędniczkiem w jakimś biurze.

Odtąd zaczęło się wesołe życie. Hulanka i zabawy wyczerpywały dochód od kapitału, a kombinacje z usłużnymi żydkami i z poczciwym kuratorem, wybornym koleżką i uczestnikiem wszystkich zabaw, pozwalały czerpać z samego kapitału... Jednem słowem w parę lat po usamowolnieniu w dwa miesiące po dojściu do pełnoletności Józef X... znalazł się na bruku i bez grosza. Usłużni żydkowie sprzedali mu przez licytację resztki, które posiadał, a sumienny kurator gdzieś się ulotnił.

Pomimo wszystko w gruncie był to niezły, choć wysoce lekkomyślny chłopiec, ten Józef X... Miał jeszcze tyle dumy, że nie poszedł do swoich byłych znajomych i towarzyszów hulanki żebrać. Chciał pracować—i zaczął szukać pracy. Ale nie umiał nic, nie potrafił nic, a fałszywy wstyd nie pozwalał mu chwycić się najcięższych, najgorszych robót. I o te było zresztą trudno...

Odtąd zaczął się dla niego upadek, stopniowy, a coraz cięższy. Sypiał po skwerach, całemi dniami nic nie jadał, chodził w dziurawych butach, a raczej bez butów. Pół roku takiej nędzy zdołało przytępić w nim uczucia moralne. Poznajomił się z różnymi i z włóczęgami i ze złodziejami pobytowemi.

Pewnego razu, kiedy mu bardziej doskwierały głód i zimno, poszedł z dwoma innymi, więcej zresztą może przez ciekawość, niż w chęci współdziałania, na wypra-

wę złodziejską. Kiedy oni kradli, on stał przed domem. Schwytano ich wszystkich trzech. Znalazł się w więzieniu.

Było to straszne przebudzenie z ciężkiego odrętwienia, w jakiem od pół roku pozostawał. Wszystkie zdrowsze instynkta, cała wrodzona uczciwość podniosły głos w jego piersi. Zanim osądził go sąd, już tam został przez siebie osądzony. „Powinienem był pracować, jako robotnik, jako stróż, mówił sam do siebie, albo—umrzeć z głodu“.

Do więziennej jego celi, pełnej dla niego podwójnego mroku, zstąpił jednak niedługo jaśniejszy promień...

Józefowi wyznaczono obrońcę z urzędu. Był to znany już nam adwokat „Julek“. Nazwisko podsądnego odrazu zwróciło jego uwagę. Brat młodszy adwokata znajdował się na tej samej pensji, co i Józef; ztąd znajomość. Przybyłemu do więzienia w celu naradzenia się z klijentem, prawnikowi Józef omal do nóg się nie rzucił. Z gorzkiemi łzami wyznał mu wszystko, od początku do końca...

Znamy już adwokata „Julka“, jak go krótko nazywano. Było to zawsze złote, wyborne serce. Podczas opowiadania młodego chłopaka nieraz mu się zakręciła łza w oku. Podniósł go klęczącego, uspokoił i obiecał zrobić wszystko...

Na posiedzeniu, z szlachetną otwartością Julek powtórzył sędziom to, co usłyszał w więziennej celi i zapytał: czy chcą wrócić społeczeństwu pożytecznego członka, żałującego niezbyt zresztą zbrodniczej przeszłości, czy też pragną przysporzyć jeszcze jednego niewolnika występkowi? Odpowiedzią był—wyrok uniewinniający.

Adwokat „Julek“ nie kontentował się tem jeszcze. Zaopatrzył biedaka Józefa w jaką taką garderobę i w parę złotych na tymczasem, tłomacząc, że to wszystko pożyczka, a potem wyrobił mu miejsce do straży ogniowej, co jednocześnie, podług ówczesnych przepisów, uwalniało od służby wojskowej.

Odtąd zaczęło się dla Józefa życie spokojne, równiejsze. Pracy było dosyć, czasami za dużo, niekiedy nienajprzyjemniejszej, wogóle za ciężkiej na jego wątłe siły, był bowiem zawsze chuderlakiem, ale przynajmniej miał gdzie spać i co jeść.

Służba jednak była dlań za ciężką. Po kilku miesiącach rozchorował się. Trzeba było myśleć o znalezieniu innego zajęcia. Zaproponowano mu posadę ajenta policyjnego. Pomimo odradzania kolegów-strażaków, którzy odtąd gadać z nim przestali, jako z kompromitującym ich szlachetny stan, Józef przyjął propozycję... Żywy jego umysł odrazu dostrzegł całą ciekawą, interesującą stronę tego zajęcia. Przytem znał już trochę świat przestępców z czasów swej nędzy i włóczęgi.

Sprawowanie się Józefa w straży było jak najlepsze. To też wkrótce nastąpiła jego nominacja.

Józef, pomimo że z powierzchowności niczem się nie odróżniał od kolegów, a nawet starał się nie dać im uczuwać swej intelektualnej wyższości, był jednak wyższym od nich pod wielu względami. Szkoła, dała mu zawsze pewne wykształcenie, a ocieranie się przez lat parę w inteligentniejszem bądź co bądź towarzystwie i praca nad sobą już w straży i w służbie, w charakterze ajenta, uzupełniły braki.

Ostatecznie stał się z niego wyborny i rozumny pracownik, a naczelnicy byli z niego zupełnie zadowoleni. Zarzucali mu jedno: oto zbytnią gorączkę—i jak się wyrażał jeden z nich „romantyczność“.

— Z tego „Frygi“ (bo wkrótce z powodu swej ruchliwości otrzymał to przezwisko) — mówił — to cały Lecoq. Ty mu pokaż zwykłego złodzieja, a on ci z niego na jutro cały romans przyniesie. No, ale niczego chłopak, porządny, sprawny, a grunt, trzeźwy...

Już parę lat „Fryga“ pozostawał w służbie. Przy oszczędności zdołał on nawet dojść do jakiego takiego zasobiku. Gdy oto nastąpił wypadek, który zmienił tryb jego życia.

Pewnego razu, gdy znajdował się na służbie w wydziale, przyprowadzono jakąś aresztantkę. Była to młoda kobieta, raczej dziewczyna wyjątkowej piękności. Pomimo zaniedbanego ubioru, znamionującego ciężki niedostatek, pomimo położenia, w którym się w tej chwili znajdowała, twarz jej miała wyraz jakiejś dumy i jednocześnie wielkiej boleści. Oskarżano ją o dzieciobójstwo; ma się rozumieć, ofiarą miało paść dziecię urodzone z nieprawego związku.

Podczas służby „Fryga“ nie raz i nie setki razy widział młode i ładne kobiety, oskarżane o najróżnorodniejsze przestępstwa, nawet o ten sam czyn, który spowodował uwięzienie tej młodej dziewczyny, ale żadna nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Zdało mu się odrazu, że to musi być tak samo ofiara fatalnych okoliczności, jaką on sam był kiedyś. Serce „Frygi“ było zawsze miękkie

i dobre, a, choć je życie i ciężka nieraz służba hartowały, od czasu do czasu podnosiło ono głos...

Młoda kobieta pozostawała przez pewien czas w areszcie policyjnym. „Fryga“ widywał ją ciągle, nawet parę razy zdołał jej oddać drobne grzeczności. Powoli w jego sercu litość zaczęła się przerabiać na... miłość. Sam nie wiedział, jak to nastąpiło.

Tymczasem młodą kobietę przewieziono do głównego więzienia śledczego, a w parę tygodni nastąpiła jej sprawa. „Fryga“ schowany na jednej z dalszych ławek, z wytężoną uwagą słuchał przebiegu rozpraw.

Historja dziewczyny była bardzo prosta. Pozostawała w zamożnym domu w charakterze guwernantki. Niedoświadczona, młoda, padła ofiarą eleganckiego młodzieńca, kuzyna pani domu. W chwili, kiedy się wszystko wydało, kiedy miała zostać matką, ze zgrozą wypędzono ją ze świętobliwego domu. Gdzieś na poddaszu urodziła dziecko, które w dwa dni potem znaleziono zakopane na podwórzu. Twierdziła, że dziecko urodziło się nieżywe...

Cała kwestja rozbijała się oto, czy dziecko zabiła, czy też tylko urodzone nieżywe pochowała bez zachowania formalności. I jedno i drugie pociągało za sobą karę, ale stopniowanie kary ogromne. Obrońca jej — był to znowu adwokat „Julek“, uproszony tym razem przez „Frygę“—na zasadzie opinji lekarzy doniósł, że nie mogło tu być zabójstwa... Sąd skazał winowajczynię, za pochowanie żywo urodzonego dziecięcia — na trzy tygodnie aresztu...

Czas ten prędko upłynął. Gdy, po wypuszczeniu z więzienia, dziewczyna wyszła na świat bez grosza przy

duszy i prawie w łachmanach, ów świat bynajmniej się jej nie uśmiechał. Nie wiedziała, co z sobą robić... wyciągały do niej wstrętne swe ramiona—nędza i prostytucja.

Wówczas stanął przed nią mały człowieczek, w długich butach w jakimś wyszarzanym surducie i w zwykłej czapce na głowie, o fizjognomji niezmiernie ruchliwej, którego już nieraz zdołała zauważyć podczas pobytu w areszcie i w słowach względnie jak na jego wygląd doborowych, oświadczył jej swoje zainteresowanie i chęć pomocy. Kiedyindziej, w innem położeniu młoda kobieta miałaby pewne skrupuły, podejrzywałaby zamiary „Frygi", ale teraz—cóż jej pozostawało do wyboru? Poszła za nim. Tem bardziej, że on umiał przedstawić rzecz w sposób delikatny i nie obrażający jej godności.

„Fryga" umieścił Karolcię (bo to była ona), jako sublokatorkę u znajomej straganiarki ze Starego-Miasta, poczciwej babiny, nastręczył jej trochę roboty, ale sam pokazywał się bardzo rzadko... Było tam młodej kobiecie może nie nazbyt wygodnie, nie obfitowała w dostatki, ale zyskała wreszcie trochę tego spokoju, który jej po tylu wstrząśnieniach tak był potrzebny...

Powoli przyzwyczaiła się cenić tego małego człowieczka, który jej nie pozwolił upaść w ostateczną przepaść nędzy i rozpaczy, który niczego za to od niej nie wymagał, poznała jego przeszłość, z której wyspowiadał się, nie tając nic, poznała wreszcie jego serce.

Po półtora roku przenieśli się do zacisznej izdebki Starego-Miasta, gdzieśmy ich niedawno widzieli. „Sielankę", jaka się tam dla nich rozpoczęła, on chciał

uświęcić małżeństwem. Ona się temu oparła. Powiedziała: „nie potrzeba“. I tak zostało.

Wogóle ona miała po za sobą pewne tajemnice, z których się jemu nie zwierzała. Kiedy się czasami pytał o stosunki familijne, o życie poprzednie, odpowiadała—milczeniem. Przy rozpoczęciu wspólnego pożycia postawiła za główny warunek nieporuszanie tej kwestji...

Po za tem byli szczęśliwi. Nie komunikowali się ze światem obcym, żyli tylko sobą, i trochę książkami. Zresztą jego zajmowała służba, ją gospodarstwo i praca. Szyła, ażeby zarobić trochę pieniędzy. Mieli spokój. Ich charaktery, ich umysły, stojące mniej więcej na jednym stopniu rozwoju, odpowiadały sobie wzajem. Sielankę tę uzupełniły narodziny małego Stacha.

Jednym zresztą z najciekawszych i najczęstszych przedmiotów ich rozmów były powierzane jemu śledztwa. Bądź co bądź interesowało ją to w wysokim stopniu. Wieczór, jak opisany w poprzednim rozdziale, nie był wcale wyjątkowym.

Jej żywa, oryginalna inteligencja pozwalała nieraz „Frydze“ wpaść na trop, którego już ze zmyślnością wytrawnego ogara nie tracił.

ROZDZIAŁ XV.

„Fryga“ działa.

Była zaledwo godzina siódma rano nazajutrz.

Przez Nalewki, w stronę Muranowa biegł zwykłym swym pośpiesznym krokiem „Fryga“. Obecność jego tutaj wytłumaczyć łatwo. O szóstej rano stawił się już na służbę, i zaraz otrzymał polecenie sprawdzenia czegoś w okolicach Powązek. Biegł właśnie wykonać to, co mu zalecono.

Pomimo wczesnej pory, Nalewki już były w ruchu. Otwierano sklepy. Tu i owdzie izraelici powracali z modlitwy. Ukazywały się ładowne wozy. Słowem, Nalewki budziły się do całodziennego, ożywionego życia. Gdzieniegdzie na trotuarach trudno już było nawet przejść...

„Fryga“ biegł, jak strzała. Nie trzeba się tedy dziwić, że niespodzianie wpadł na wychodzących z jakiejś bramy dwóch panów. Jeden ubrany elegancko, był w stroju cywilizowanym, drugi nosił surdut, który nie miał ochoty być kapotą, ale nie śmiał jeszcze zamienić się w tużurek; obydwaj mieli rysy semickie.

— A to niezgrabjasz! — zawołał pierwszy z dwóch panów.

„Fryga“ zgromiony w ten sposób, przyjrzał się bliżej spotkanym. Na jego ruchliwej twarzy uwydatniło się zdziwienie.

— Aa—pomyślał sobie—co oni tu mogą robić o tak wczesnej godzinie? No, Apenszlak, przypuśćmy, ale pan Natan Lurje... To może być ciekawe.

Przystanął i spojrzał na numer domu. Rozmyślał dalej:

— U kogo też byli?

Wzrok jego padł w tej chwili na stróża, polewającego podwórze.

— Ten mi powie—rzekł do siebie ajent.

Za chwilę, dzięki powadze swego urzędu „Fryga“ wiedział już, że dwaj panowie odwiedzali niejakiego Fajnhanda, kapitalistę na 6⁰|₀ miesięcznie, zamieszkującego w tym domu na pierwszem piętrze od frontu. Stróż zamiatając przed chwilą schody, widział jak ich wyprowadzał sam stary Fajnhand w szlafroku. Kiedy przyszli? W tym względzie stróż nie mógł dać żadnego objaśnienia. Od pół godziny był ciągle na podwórzu, ale ich nie widział wchodzących.

— Ranne ptaszki! — mruknął „Fryga“ pomiędzy zębami—i pobiegł dalej.

Około dwunastej w południe widzimy go jednak przed drzwiami Fajnhanda. Była to stara znajomość „Frygi“. Parę już razy zdarzało się ajentowi bywać tu na rewizji, Fajnhand przyjmował dawniej różne rzeczy na zastaw i z tego powodu bywał w stosunkach z policją. Podejrzewano go, że zajmował się także paserstwem.

Pan Fajnhand, gruby, otyły mężczyzna, przyjął „Frygę“ jak najuprzejmiej. Poprosił go do swego gabinetu, zmusił do siedzenia i poczęstował dobrem cygarem.

— Pan, panie Fryge — mówił — potrzebujesz wypalić tego cygaro. To mi dał takich trzy jeden hrabia, co chce, żebym ja jemu zdyskontował weksle z fałszywem podpisem jego żone... Un jest głupi! Na co mi to? Ja mogę i tak wziąźć dobry procent bez fałszywe podpisy. Od czego są nieletnie?.. Ale cygara dobre, prawda?

„Fryga" z powagą prawdziwego gentlemana obciął cygaro, zapalił, pociągnął parę razy i rzekł:

— Wyborne!

— Widzisz pan... Czemu mam zawdzięczyć godne pańskie wizyte, panie Fryge? — pytał dalej z wykwintną grzecznością Fajnhand.

„Fryga" przez chwilę milczał.

— Pan wiesz — zaczął po chwili — że jestem panu życzliwym...

Fajnhand spojrzał trochę zdziwiony na ajenta.

— A pan masz wielu nieprzyjaciół. Oto niedalej jak wczoraj jeden złodziej twierdził, że panu sprzedał za psie pieniądze jakieś klejnoty...

Fajnhand porwał się z krzesła.

— To gałgan, to rabuśnik! — zawołał.

— Ja też mu to powiedziałem pierwszy... I tak nagadałem, że się przyznał, iż klejnoty sprzedał, ale Szmaragdowi, temu, co mieszka tu niedaleko.

— No, to bardzo być może — rzekł uspokojony trochę Fajband.

— Ale pomimo to, on jakoś ciągle i o panu także wspowina...

— O mnie? Jak on się nazywa?

— Właściwie, nie powinienbym panu tego mówić,

bo to rzecz urzędowa... Ale tak po przyjaźni, powiem. Jestto Icek Kruk.

Fajnhand odetchnął. Zrobił minę pogardliwą.

— Potrzebujesz pan wiedzieć, że ten Kruk, ja go znam, to łapserdak, gałgan, łobuz on był pobytowy... Un jest stały klijent od tego Szmaragda. Ja wiem, to ten Szmaragd jemu namawia, żeby on na mnie gadał. To głupstwo. On mnie nie sprzedał ani za jeden grosz...

— Od czterech lat... — dorzucił z uśmiechem „Fryga".

Fajnhand roześmiał się także.

— Po co takie żarty? Pan potrzebujesz wiedzieć, że cztery lata to już jest nawet przedawnienie.

— Tak... Ale czy nie znasz pan także przypakiem Piekarczyka?

Fajnhand, klepiący się w tej chwili łagodnie ręką po brzuchu, znów aż podskoczył.

— Zkąd ja mam znać taki łobuz?..

— Jeżeli pan go nie znasz, to zkądże wiesz, że to łobuz?—zrobił flegmatyczną uwagę „Fryga".

Ale Fajnhand już się uspokoił. Przyjemny uśmiech wrócił na jego szerokie oblicze.

— Panie Fryge—odezwał się po chwilce—pan potrzebujesz ze mną nie bawić się w ślepego babkę... Krótko mówiący, po co to wszystkie gadanie? Powiedz pan, co chcesz... Panu potrzeba pożyczyć trochę pieniędzy? Trzeba było przyjść i powiedzieć. Fajnhand nie jest zły. Fajnhand umie ocenić swoje przyjaciele... Może pan pozwolisz drugie hrabiowskie cygaro?

„Fryga" roześmiał się mimowoli.

— Ile panu potrzeba?—pytał dalej Fajnhand.

— Tak ze sto pięćdziesiąt rubli...

— Sto pięćdziesiąt? Ja z panem będę mówił otwarcie.—Fajnhand do swoje przyjaciele mówi zawsze otwarcie. Ja panu mogę na pańskie słowo pożyczyć, nawet bez procent, biały papierek, *fünf und zwanzig*.

— To za mało. Potrzebuję koniecznie sto pięćdziesiąt.

Fajnhand aż cmoknął ustami. Był w kłopotliwem położeniu. Nie chciał sobie narażać ajenta, który mógłby mu nieraz być użytecznym, a z drugiej strony sto pięćdziesiąt rubli na bezzwrotną pożyczkę, bo za taką ją uważał, wydawało mu się trochę za dużo. Namyślał się chwilę. Wreszcie szerokie jego oblicze, które zdawało się być stworzonem do uśmiechu, rozjaśniło się.

— To można zrobić — rzekł do „Frygi“ — ale pan potrzebujesz znaleźć poręczyciela.

— Kogóż takiego? — rzekł ajent, udając zakłopotanie.

— Ma się rozumieć, kogoś odpowiedzialnego.

„Fryga“ chwilę milczał.

— Przecież nie poręczą za mną — roześmiał się z pewnym przymusem — ani Apenszlak, ani pan Natan Lurje...

Fajnhand rzucił nań ukośne spojrzenie.

— Zkąd panu przyszli do głowy te panowie?—zapytał powoli.

— Tak sobie... Ot, widziałem ich dzisiaj rano, biegnąc za interesami, wychodzących z tego domu. Przypuszczam, że pewno byli u pana. To mnie nawet

naprowadziła na myśl zwrócenia się do pana z moim kłopotem... Czy oni także pożyczyją?

Fajnhand był ciągle poważny.

— Pożyczają i nie pożyczają...

Zamyślił się; po chwili zwrócił się do „Frygi“.

— Panie Fryga, ja się namyśliłem. Ja panu dam te sto pięćdziesiąt rubli bez żadne poręczenie na pański jeden napis. Ja panu nawet dam dwieście rubli... Fajnhand lubi pokazać swoje przyjacioły, co *un* jest wart. Ale pod jeden warunek. Pan potrzebujesz nie dowiadywać się tak bardzo, kto bywa w mojego domu. To panu jest wcale niepotrzebne, a nawet ja panu co powiem, to może być niezdrowe... Pan za to możesz mi oddać przysługę. Jakby kto co gadał o mnie, pan potrzebujesz przyjść i powiedzieć mnie. Fajnhand zna się na grzeczności...

Fryga musiał użyć całej władzy nad sobą, ażeby grą muskułów swej ruchliwej twarzy nie dać poznać lichwiarzowi całego zdziwienia z tego niespodziewanego obrotu rzeczy. Zdołał tylko odpowiedzieć:

— Zgoda. Kiedyż dostanę pieniądze?

— Pan pewno nie masz blankiet wekslowy?.. Niech będzie dzisiaj wieczorem. I pamiętaj pan, między nami wszystko cicho—sza...

Fajnhand roześmiał się szerokim, głośnym śmiechem.

Za chwilę „Fryga“ zbiegał ze schodów. Był trochę oszołomiony. Biegł przez ulicę gwiżdżąc pod nosem coś z „Mamy Angot“; to dowodziło, że był zaskoczony niespodzianie przez wypadki.

Niedługo znalazł się na Daniłowiczowskiej. Wpadł do knajpki, położonej w tyłach ratusza, gdzie go znali

dobrze i zadysponował kieliszek miętówki i przekąskę... Siedział tam blizko kwadrans zamyślony. Palcem umaczanym w rozlanem piwie kreślił jakieś plany i znaki na stole. Wreszcie podniósł głowę.

— Mam!—rzekł do siebie.

Myśli jego powoli wyjaśniły się. Rozumował tak: Musiał mimowoli, przypadkowo trafić na coś bardzo poważnego, skoro Fajnhand, lichwiarz, od którego gorszego nie znała cała Warszawa, chciał go przekupić. Zapewne, że nic dotąd nie wiedział, ale tem ciekawszą była gotowość Fajnhanda, na prostą tylko wzmiankę o Apenszlaku i Lurjem, dać mu nie już sto pięćdziesiąt rubli, umyślnie tak przez niego wygórowaną cyfrę, ażeby interes nie przyszedł do skutku. ale nawet—dwieście rubli...

— To nie może być bez związku ze sprawą Ejtelesa—powtarzał sobie „Fryga“.—Mój węch mnie nie myli. W każdym razie, jeśli oni chcą coś ukryć, to „coś“ musi być warte odkrycia. Tak wskazuje prosta logika... Jesteśmy na tropie. Trzeba jednak przedewszystkiem nie wzbudzać ich nieufności i wziąść od Fajnhanda pieniądze... Ten weksel, którego żąda odemnie lichwiarz, może mieć dla niego tylko jeden skutek. Nie myśli on wcale o odebraniu pieniędzy, bo przecież zna moją słabą odpowiedzialność. Wekslem chcą mnie trzymać w szachu. Gdyby dostrzegli jakiekolwiek działania z mojej strony na ich niekorzyść, postaraliby się mnie usunąć z drogi. Weksel znalazłby się w ręku mojej zwierzchności z odpowiednim komentarzem, a nazajutrz byłbym już dla nich nieszkodliwym — bo wyrzuconoby mnie ze służby...

Fryga wypił jednym haustem stojący przed nim kieliszek miętówki. Uśmiechnął się drwiąco.

— Tylko, że to ze mną sprawa... Trzeba będzie pójść do naczelnika i opowiedzieć mu tę historję, nie wtajemniczając go zresztą zbytnio w szczegóły.

Stanowczo tego dnia „Fryga“ był niezmęczony. Kiedy po dłuższej konferencji wyszedł z gabinetu zwierzchnika i załatwił parę jego zleceń na mieście, rozpoczął niebawem nową wędrówkę na własne konto. Zmienił przedtem kostjum tak, że teraz w kapeluszu na głowie i przyzwoitem ubraniu, wyglądał niemal na eleganta.

Odwiedzał składy papieru. Przebiegł Długą, Elektoralną, był na Śto-Jerskiej i na kilku innych ulicach, dotąd bez rezultatu. Znajdujemy go w tej chwili w jednym ze składów na Nalewkach.

— Proszę pana — pyta „Fryga“ subjekta, jakiegoś młodego żydka z czarną bródką — czy tu u pana nie mógłbym znaleźć papieru w rodzaju tego?

Wyjmuje z pugilaresu skrawek papieru i pokazuje subjektowi.

— Ten rodzaj papieru — mówi dalej — bardzo mi się podoba. Chciałbym obstalować większą ilość papieru listowego w podobnym gatunku. Posiadam sklep materjałów piśmiennych. Byłem już w paru składach i nigdzie nie mogę znaleźć nic, odpowiadającego memu żądaniu...

Subjekt przez dłuższą chwilę przypatrywał się szmatowi papieru.

— Panu idzie o takie gwiazdki?—zapytał.

— Tak.

— Nie możemy panu służyć... Papieru takiego dotąd nie ma wcale w handlu.

— Zkądże się mógł wziąść ten skrawek?

— To rzecz zapewne przypadkowa...

„Fryga“ poruszył głową z ruchem wątpiącym.

— I nawet panu powiem, że u nas, w transporcie papieru z papierni Y.. pomiędzy innemi arkuszami zwykłemi znalazły się dwa czy trzy arkusze podobne — z gwiazdkami.

— Z papierni Y?..

— Przypuszczamy, że są to braki. Albo też może papiernia robi próby z jakim nowym gatunkiem towaru...

— W samej rzeczy?

— Za to możemy panu ofiarować wybór najlepszych papierów listowych w innym gatunku.

Subjekcik zaczął wychwalać swój towar i przedstawiać próbki. Lecz „Fryga“ niedługo słuchał wyliczenia; zbył subjekta paru słowy i niebawem znalazł się na ulicy.

Wędrówka jego była skończona.

. . . .

Wieczorem tegoż dnia podpisany został w mieszkaniu zacnego p. Fajnhanda weksel na 200 rubli. Pieniądze zostały wypłacone. Oryginalnem było to, że Fajnhand żądał, ażeby na wekslu oprócz nazwiska ajenta, było dodane u dołu: „zwany Fryga“.

Ajent zgodził się i na to.

W godzinę potem dwie storublówki złożone zostały przez „Frygę“ do urzędowego depozytu jego zwierzchnika.

ROZDZIAŁ XVI.

Pan Joachim Landsberger.

Jesteśmy w Hamburgu w dzielnicy portowej, zacieśnionej domami staremi i czarnemi.

W jednej z wązkich uliczek stał, a zapewne i do dziś dnia jeszcze stoi wielki dom w stylu staro-niemieckim, z czerwonej surowej cegły, z belwederem i przystawkami u wierzchu, wogóle jednak dość brudny. Na wysokości pierwszego piętra pod dość misternie rzeźbionym balkonem, zawieszonym na drugiem piętrze, znajdowała się wielka złocona karta, na której wielkiemi gotyckiemi literami wysztychowano: „*Joachim Landsberger aus Warschau*“.

Była godzina jedenasta rano. W drugim pokoju swego niewielkiego biura, stanowiącym raczej wykwintny gabinet, siedział przed wielkim stołem biurowym, zarzuconym papierami, p. Joachim Landsberger, trzeci spólnik firmy Ejteles i Sp. Był to mały, pulchny blondyn o twarzy różowej, ufryzowany bez żadnej nagany; twarz jego, zaopatrzona w niewielkie blond faworyty, wycackana i wymuskana, wyglądała trochę, jak lalka z za wystawy fryzjerskiej.

Pan Landsberger, w tej chwili ubrany dopiero w elegancki szlafrok, leżał na wygodnym fotelu. Jedną ręką trzymał szklankę z wonną herbatą, drugą przerzucał

masy zgromadzonych na stole listów, niektóre z nich otwierał i czytał. Twarz jego miała wyraz niczem niezamąconego dobrego humoru i zupełnego zadowolenia z siebie.

W tej chwili zapukano do gabinetu.

— *Herein*—rzekł pan Landsberger.

Do pokoju wcisnęła się jakaś niepoczesna, nizka, niezręczna figurka, o czerwonej, miejscami aż czarnej twarzy i niepomiernie długich rękach, w stroju, przyjętym przez marynarkę handlową w Niemczech.

— A, *Herr Skrschiwanek!*—odezwał się do przybyłego pan Landsberger—siadaj pan.

Przybyły niezręcznie obracał czapkę w rękach.

— No, cóż tam nowego, *Herr Skrschiwanek?* Co za interes? Zwyczajna asekuracja?

— Nie, gdzież tam!—burknął jakimś twardym głosem, zapytany — nie niepokoiłbym pana, od tego jest przecież biuro. Co innego!

— Cóż?

— Mam partję jedwabiu lyońskiego do sprzedania.

— *Loco?*

Stary wilk morski roześmiał się:

— Może jeszcze z kwitami od zapłaconego cła? Ma się rozumieć na morzu, z dostawą do brzegu, gdzie pan każesz. Może być nawet pod Królewiec.

— A po ile?

Skrschiwanek wymienił cenę. Pan Landsberger skrzywił się. Rozpoczął się targ; ostatecznie decyzja odłożona została do popołudnia.

— Widzisz pan, muszę się namyśleć—rzekł w kon-

kluzji pan Landsberger. Stosunek z panem jest trochę niebezpieczny. Pruska straż celna zna pana, jak zły szeląg. Już i teraz pewno dali znać, że pan tu jesteś u mnie... Lepiej, gdybyś pan przychodził nie sam. Wogóle tym prusakom nie trzeba się narażać, bo to bestje sprytne i zapamiętałe. Im wolałbym już nawet zapłacić cło... Główny interes jest na naszej granicy. Ale zobaczymy... Może coś obmyślę. Bądź pan, albo lepiej przyślij pan kogo dowiedzieć się. W tych dniach posyłać będę pewno większą partję towaru tam, gdzie pan wiesz... Może i to pchnęłoby się razem.

Począwszy od tego interesanta zaczęła się w gabinecie p. Landsbergera cała procesja gości. Były to najróżnorodniejsze osobistości: eleganccy panowie, robotnicy, marynarze, to znów jakieś osobistości brudne, podejrzane, z któremi nie bardzo przyjemnie byłoby spotkać się na uboczu. Były tu damy, byli i żydkowie różnego kalibru, począwszy od elegantów, a skończywszy na husytach, w wielkich kapeluszach i brudnych pończochach, z grajcarkowatemi pejsami, jakich tylko gdzieniegdzie jeszcze w Austrji i Prusach spotkać można.

Od czasu do czasu konferencję przerywał jeden z trzech kantorzystów, pracujących w pierwszym pokoju, zapytując w tej lub innej kwestji.

Jednym z pierwszych po niezgrabnym marynarzu przybyszów, był wysoki, młody mężczyzna, o wybornym żydowskim typie, ubrany niezmiernie wykwintnie. Wpadł on do pokoju, rzucił głośne „*Morgen*“, zdjął rękawiczki i rzucił się w fotel. Pan Landsberger przysunął doń cygara, uścisnąwszy kordjalnie dłoń przybyłego.

— Mam dla pana obstalunek—zaczął prędko młody człowiek — od jednego z naszych najlepszych klijentów Szwalbina z Charkowa. Trzeba mu dostarczyć koronek za 8 tysięcy marek.

Wyjął z kieszeni arkusz papieru.

— Oto szczegółowy wykaz z wskazaniem fabryk, od których trzeba kupić. A oto przekazy i weksle — ciągnął dalej, wyjmując zwitek papierów—wszystko dobre pieniądze.

Pan Landsberger przerzucił wykaz i przeglądał przekazy i akcepty.

— Ma się rozumieć—prowadził dalej młody człowiek—zamiast cła, w rachunku pomieszczona tylko bonifikacja... No, ale to już pańska rzecz, ponieważ towar ma iść aż do miejsca przeznaczenia na pańskie ryzyko. Za to tam w końcu dodano $^1/_2$ % na asekurację. Zgoda?

Pan Landsberger uśmiechał się.

— Cło, to moja rzecz—odrzekł.—Dobrze, że pana widzę, chciałem do waszego domu pisać. Oto do przyszłego pierwszego jestem zmuszony na niektórych towarach podnieść cenę bonifikacji.

— Czy to nie zaszkodzi interesowi?

— Nie sądzę. Zresztą koszta handlowe ostatniemi czasy tak się zwiększyły, że jest mi niepodobieństwem robić inaczej. Oto wykaz podwyżki—dorzucił, podając kartkę.

— Dobrze—rzekł młody człowiek.—A teraz pozostaje tylko nasza prowizja od Szwalbina i jak zawsze, zalecenie dyskrecji... Pamiętaj pan, żeby w korespondencji pańskiej ze Szwalbinem nie było o nas wzmianki.

Pan Landsberger rzucił parę słów na papier.

— Oto kartka do kasy. Jak zawsze, $^{1}/_{10}\%$ procentu od sumy brutto. Co do dyskrecji, jest to nasz własny interes.

Młody człowiek roześmiał się; kładł w tej chwili rękawiczki.

— Pan wiesz — rzekł po chwili — że ja jestem bez przesądów... Ale firma istnieje przecież przeszło dwieście lat. I trochę byłoby niezręcznie, szczególniej dla mojego starego, który jest radcą na giełdzie, gdyby się dowiedziano, że zastępujemy sobie cło—bonifikacją...

Roześmieli się obydwaj. Nastąpił uścisk ręki. Młody człowiek już wychodził.

— Ale, ale—zatrzymał go na progu pan Landsberger—czy uprzedziłeś pan Szwalbina, że transport może być spóźniony w stosunku do normalnej drogi od 15 do 20 dni? Żeby nie miał pretensji...

— Ma się rozumieć. Przecież wiem, że wasze transporta muszą iść na Warszawę.

Następni interesanci przychodzili z takiemi lub podobnemi interesami. Kupowali i sprzedawali, wreszcie polecali p. Landsbergerowi ekspedycję najróżnorodniejszych towarów, herbaty, galanterji, wyrobów żelaznych, kawy, materji łokciowych i t. d. i t. d. A zawsze i wszędzie wzmianka o „cle“ wywoływała na ustach rozmawiających pól-ironiczny uśmiech. Pomimo, że miejscem dostawy była przeważnie Warszawa, wreszcie różne miejscowości Królestwa i Cesarstwa, cło nie wchodziło nigdzie w rachubę, natomiast p. Landsberger liczył sobie—„bonifikację“. Przeważnie transporta miały być skiero-

wane na imię Apenszlaka, niekiedy na imię Fajnhanda. Wypłaty miały się odbywać przez pośrednictwo firmy Ejteles i Sp.

Pod koniec audjencji, do gabinetu pana Landsbergera wszedł człowiek o nieprzyjemnej twarzy, rudawych rzadkich włosach i rozciętym nosie; nadawało mu to trochę pozór buldoga.

Skłonił się nizko i stał przy drzwiach.

— Co tam?—zapytał p. Landsberger.

— Mam do sprzedania...

— Co?

— Trochę złota i srebra...

— Proszę pokazać.

Człowiek zbliżył się lisiemi krokami do biurka pana Landsbergera i zaczął wykładać złote pierścionki, kolczyki, broszki z brylantami, dwa lichtarze, parę łyżeczek srebrnych.

Pan Landsberger spojrzał na leżący nieopodal niego na biurku rewolwer, a następnie zaczął szczegółowo oglądać położone przed nim przedmioty. Trwało to kilka minut. Wreszcie odsunął na bok łyżeczki i parę kolczyków.

— Tego nie biorę. Za resztę dam sto dwadzieścia trzy marki.

Człowiek o podejrzanej fizjognomji podrapał się w głowę.

— Mało—rzekł po chwili—przecież to warte piętnaście razy tyle...

— To sprzedajcie komu innemu — odrzekł, uśmiechając się ironicznie pan Joachim. — Wiecie, że u mnie

powiedziana cena jest zawsze ostatnia. Nie chcecie, weźcie sobie i idźcie...

Człowiek znów się podrapał w głowę.

— Ha, cóż robić? Ale dla czego wielmożny pan nie chce brać tamtego?

Pan Landsberger spojrzał na niego z uśmiechem, pełnym szyderstwa.

— No, miałem was za rozsądniejszego!—rzekł po chwilce.—Na łyżeczkach są cyfry, a na jednym z kolczyków... krew,

Człowiek zmięszał się. Poskoczył ku biurku, aż pan Landsberger położył rękę na rewolwerze; pochwycił łyżeczki i kolczyki i ukrył je w głębi swej kieszeni.

— To... to... krew mi leciała z nosa—mruczał pomiędzy zębami.

Pan Landsberger spoglądał nań chwilę z szyderczym uśmiechem; wreszcie podał mu skreśloną przez siebie kartkę.

— Oto asygnacja do kasy—rzekł.—Proszę powiedzieć, żeby tu nie wpuszczano nikogo, dopóki nie dam znać.

Po wyjściu interesanta, pan Landsberger zbliżył się do ściany w jednym z dalszych kątów pokoju i cztery razy zapukał z różnemi przerwami. Niebawem w ścianie otworzył się rodzaj lufcika, w którym ukazała się ręka. Pan Landsberger podawał jej kolejno kupione kosztowności, półgłosem wyliczając je szczegółowo, jak gdyby dyktując.

W dziesięć minut lufcik został zamknięty, a najwprawniejsze oko nie odkryłoby śladu otworu w ścianie. Na

biurku pana Ladsbergera nie było już kawałka złota lub srebra.

Czas upływał. Wybiła pierwsza godzina na bronzowym zegarze w głębi pokoju. Pan Landsberger wstał z fotelu i zadzwonił.

— Więcej nie przyjmuję nikogo — rzekł do wchodzącego kantorzysty.

— Ależ tam czeka jeszcze parę osób...

— Powiedziałem, że nie przyjmuję... Niech przyjdą jutro.

W pół godziny potem pan Joachim wychodził z dalszych pokojów wyświeżony, wykrygowany, jak lalka, nawet upudrowany. W drzwiach, prowadzących z pierwszego pokoju do gabinetu, czatował już na niego kantorzysta.

— Co takiego?—zapytał trochę niecierpliwie zacny negocjant.

Kantorzysta zbliżył się niemal do ucha pryncypała:

— Proszę pana — zaczął półgłosem — jest tu jakiś człowiek... Chce asekurować towar, który ma podobno wysłać z Torunia do Warszawy przez „Czerwonego Janka“. Pytałem go się o rekomendację, powołuje się na von Wildowa, naszego korespondenta w Alkonie.

— Więc cóż? — zapytał opryskliwie pan Landsberger.

— Otóż ten człowiek zdaje mi się podejrzany...

— Dla czego?

— Nie ma nic na piśmie, żadnego znaku...

— To jeszcze głupstwo!

— I przy tem Sperl mówi, że coś mu się przypomina, iż to indywiduum pracowało dla Weinmana...

— Dla Weinmana?

— A już mówiłem panu, że są złe wieści o „Czerwonym Janku“...

Pan Landsberger zamyślił się ..

— Chciałbym go zobaczyć.

Kantorzysta otworzył trochę drzwi:

— Oto tam siedzi...

— Tak—mruczał pod nosem pan Joachim — to nie może być inaczej... Ten Weinman chce mi zrobić sztukę.—Myśli że złapie starego wróbla na plewy. A jaka wartość towaru?—dorzucił głośniej.

— Czterdzieści trzy tysiące marek...

— Ba, ba... To widoczny kawał. Weinman chce mnie wziąść. Każe „Czerwonemu Jankowi“ dać się złapać na granicy, żebym ja zapłacił pieniądze. Na czyje imię asekurują.

— Na imię Schlafenberga...

Pan Landsberger zaczął się śmiać.

— A to osły... To jasne, jak słońce, Szlafenberg przecież to szwagier Weinmana. Idź pan, powiedz mu, żeby sobie poszedł do djabła albo do Weinmana, który ma kantor tu zaraz na drugiej ulicy... Od nieznajomych nie przyjmujemy interesów.

— A cóż będzie z „Czerwonym Jankiem?“

— Rzeczywiście—rzekł powoli pan Landsberger— z tym trzeba będzie coś zrobić.. Ten może nam lada dnia zrządzić spory kłopot. Pomyślimy o tem, a tymczasem nie trzeba przyjmować asekuracji transportów, idących przez niego... Należy je kierować na innych naszych ludzi.

Kantorzysta skłonił się i wyszedł.

Pan Landsberger, został sam. Przechadzał się po pokoju, uderzając laską w dywan.

— A to szelma Weinman—rzekł—nie dość, że mi wlazł pod bok i robi konkurencję, ale jeszcze chce mnie urządzać!.. Ten człowiek mnie nie zna. Trzeba z nim także zrobić porządek...

Groźny uśmiech wykrzywił wargi pana Landsbergera, nadając jego pulchnej różowej twarzy niezwykły wyraz krwiożerczości.

W tej chwili za ścianą dało się słyszeć kilka uderzeń w pewnych odstępach.

— Jeszcze coś nowego! — zawołał pan Joachim.— Ja dzisiaj nie wyjdę z domu.

Zamknął drzwi od kantoru na zasuwkę i, zbliżywszy się do ściany, odpowiedział pukaniem. Lufcik w ścianie, który widzieliśmy przed chwilą, znów się otworzył.

— Co tam?—pytał zacny negocjant półgłosem.

— Żądają pożyczki 5000 marek—odezwał się z lufcika przyciszony również głos niewidzialnej osoby.

— Kto taki i na co?

— Messer... Idzie o małą wyprawę do Baden-Baden... Tam mieszka jakiś stary portugalczyk, posiadający podobno brylanty za parę miljonów. Messer będzie miał kilku towarzyszów. Muszą przekupić służbę starego. Warunki zwykłe: sprzedają wszystko nam podług naszych cen, z potrąceniem ze sumy sprzedażnej 10000 marek

Pan Landsberger namyślał się...

— Czy w kasie jest w tej chwili dość pieniędzy?— zapytał.

— Przeszło 30000 marek.

— W takim razie można. Tylko jedna ostrożność. Messer niech da na czas wyprawy na zastaw swoją Bertę. Maleńka zostanie przez ten czas u pana. Z nim inaczej nie można...

— Dobrze...

— Jeszcze jedno. Muszę widzieć Messera. Niech o piątej będzie u ciebie. Przyjdę tam. Rozumiesz?..

— Rozumiem.

Lufcik się zamknął.

— No, idźmy — i wreszcie... Grosberg czeka mnie od pół godziny.

Pan Landsberger przebiegł swój gabinet i kantor. We drzwiach jednak zagrodził mu znowu drogę bryftrygier.

— List do wielmożnego pana... Napisano na kopercie „bardzo pilno!“

Pan Joachim machnął tylko ręką i chciał włożyć list do kieszeni, gdy wtem rzucił okiem na kopertę...

— No, dziś same nowości—mruknął między zębami.—Czego do licha tak pilno Natanowi?

Stanął w oknie, rozerwał kopertę i przebiegł oczyma długie pismo. Oczy jego wyrażały zdziwienie. Jeszcze raz przeczytał list uważnie i schował go do kieszeni. Zwrócił się do starszego z dwóch kantorzystów, ciągle piszącego coś za kratkami. Rzekł do niego:

— Panie Ringhof, dziś wieczorem wyjeżdżam. Niech przygotuje wszystko, co jest do załatwienia, na szóstą wieczorem. Dam panu wszelkie instrukcje.

Obydwaj kantorzyści założyli pióra za uszy. Spoglądali z podziwem na swego zwierzchnika.

— Kiedy... kiedy pan pryncypał wyjeżdża?—wyjąkał wreszcie starszy z nich.

— Powiedziałem, że dziś wieczorem... Proszę, żeby wszystko było gotowe.

. . . .

Rzeczywiście o godzinie wpół do jedenastej wieczorem pan Joachim Landsberger, otulony w pled, siedział w wagonie pierwszej klasy pociągu osobowego, wyruszającego do Berlina. Jeszcze raz czytał list, który był powodem tak nagłego wyjazdu.

Krótki ów liścik, pisany po niemiecku, brzmiał, jak następuje:

„Kochany Joachimie'

„Przyjeżdżaj jak najprędzej. Jest tutaj bardzo gorąco. „Stary“ zaczyna nam płatać figle. Ostatnia historja przybiera obrót, którego ja sam w żaden sposób nie rozumiem. „Stary“ musi mieć zkądś wiadomości. Potrzeba działać. Przytem „ta“ zaczyna przewąchiwać coś o „bonifikacjach“. Słowem, trzeba, żebyś był. Musimy koniecznie zażegnać burzę.

Twój

Natan“.

Pan Landsberger zamyślił się. Tymczasem dawano ostatnie sygnały. Lokomotywa gwizdnęła przeraźliwie; pociąg ruszył.

— Niepodobieństwo, żeby Weinman w tem ręki nie umoczył — mówił sam do siebie zacny negocjant. — To też dobrze, że się rozmówiłem przed wyjazdem z Messerem...

Część II-ga.

NALEWKI.

ROZDZIAŁ I.

Kantor realizacyi i inkasa.

Na jednym z domów, położonych na Nalewkach, zdaleka już widniał na wysokości drugiego piętra olbrzymi szyld: „Kantor realizacyi i inkasa".

Rzeczywiście, kantor ów imponował całemu domowi. Właściciel kantoru, pan Abraham Meiner, zajmował całe drugie piętro, a cała ulica wiedziała, że w „biurze", jak je nazywał sam pompatycznie, znajdują się kratki, oddzielające publiczność od personelu, siedzi kasjer, korespondent i trzech pisarzy, że nadto, w mieszkaniu prywatnem pana Abrahama znajdują się szafy dębowe, każda sztuka w sztukę warta po 170 rubli, garnitur mebli za 900 rubli i nawet podobno taka maszyna, co sama gra (kupiona na licytacji).

Cały świat wiedział, że p. Abraham Meiner, cho-

ciaż człowiek jeszcze młody, ma już pieniądze i jest, chwała Bogu, szanowany.

Nie można powiedzieć, ażeby się p. Abraham urodził na stopniach tronu — bynajmniej! Jego matką była śledziarka, która dała Abramkowi wykształcenie o tyle niedostateczne, że — jak twierdzili bliżej wtajemniczeni — właściciel „kantoru” umiał się zaledwie podpisać, zaś ani czytać pisanego, ani pisać nie potrafił. Ale to pewno była potwarz... Bo trzeba było tylko zobaczyć naszego p. Abrahama (Abrahamowicza—jak się zwykł był w urzędowym języku wyrażać), kiedy przed kratkami sądu wymownie wprowadzał sprawę... Fale wymowy wypływały z jego ust całemi masami, a nierzadko tę elokwencyę, może niezbyt poprawną, ale pełną energji i zapału, ożywiały artykuły prawne, cytowane zresztą dość opacznie...

Bo p. Abraham miał zawsze, dzięki swym zdolnościom i temu, że zamiast plenipotencyj brał od klijentów cesje, mnóstwo spraw, więcej pewno, niż dziesięciu wziętych razem adwokatów.

Mówiąc krótko, p Abraham był pokątnym doradcą, ale pokątnym doradcą genjalnym. Pomimo mniemanej czy rzeczywistej swej niepiśmienności, p. Abraham od rana do wieczora uwijał się po sądach, wnosił podania, stawał w sprawach, uzyskiwał zabezpieczenia, brał wyroki, odwiedzał komorników, chodził na zajęcia i licytacje, ogłaszał upadłości, wsadzał za długi do kozy, pracował sam i zatrudniał kilku ludzi — słowem, trudził się od świtu do późnej nocy. Ma się rozumieć, w pracy pomagał mu zwykle sekretarz, po-

nieważ rzeczywiście p. Abraham nigdy nie pisał sam, jak mówił, dla kurczu w ręce.

Co jednak było najpotężniejszą bronią i najpoważniejszem żródłem dochodu p. Abrahama, to udzielanie porad w delikatnych kwestjach prawnych. Tam, gdzie adwokaci nic nie mogli poradzić, albo klijenta, ze względu na charakter sprawy, byli zmuszeni wyrzucić za drzwi, gdzie trzeba było obejść najwyraźniejszy przepis prawa lub wynaleźć nowy kawał— tam zaczynała się działalność p. Abrahama.

Szczególniej sprawy upadłościowe były jego tryumfem. Urządzić tak podstępne bankructwo, że bankrut miał minę nowo narodzonego dziecięcia, lub przeci .nie, w interesie wierzycieli, z najuczciwszego upadłego zrobić nierzetelnego bankruta, było dla p. Abrahama igraszką.

To też biegły do niego tłumy pragnących się oświecić i poradzić.

Prawda, że profesja p. Abrahama przedstawiała pewne trudności, narażała go bowiem na zetknięcia ze sprawiedliwością i szykany sędziów śledczych; prawda, że raz z powodu jakiegoś fałszu popełnionego w dokumencie, o mało go nie zaaresztowano i tylko złożona sędziemu śledczemu kaucja w kwocie 10,000 rubli gotówką, uwolniła go w danej chwili od tej nieprzyjemności, ale — cóż robić? — każdy fach ma swoje przykrości.

Zresztą niewinność p. Abrahama zawsze zdołała zabłysnąć jak słońce; np. w danym wypadku, z powodu fałszu, dowiódł on najuroczyściej, że jako niepi-

śmienny, fałszu popełnić nie mógł. Sam w chwilach wywnętrzenia się mówił nieraz przed przyjaciołmi:

— Abraham Meiner nie taki głupi... Abraham Meiner ogłosił już w życiu trzydzieści kilka upadłości, a ile zajęć zrobił! Abraham Meiner był siedm razy pod sądem, a wiecie na ile skazany?... Na głupie sześć dni aresztu!...

Była godzina siódma wieczorem. W „biurze” p. Abrahama w najlepsze jeszcze wrzała robota. Pisarze zapisywali wielkie arkusze podaniami, korespondent odbijał list w księdze kopjowej, a kasjer przerzucał wielkie „szczoty”. Kilku „klijentów” opartych o kratkę, oczekiwało.

Drzwi w głębi pokoju otworzyły się. Ukazał się w nich młody chłopiec najwyżej lat dziewiętnastu, o szczupłej, wysokiej figurze, posiadający rysy wybitnie semickie i dwoje czarnych, wielkich, głębokich oczu.

— Czy pan Abraham sam? — zapytał jednego z pisarzy głosem gardłowym.

— W tej chwili zajęty...

— Proszę mi dać znać, jak będzie wolny.

Wszedł z powrotem we drzwi, z których przed chwilą wyszedł.

Pisarz, którego zapytywał, młody człowiek bardzo elegancki, o wykwintnie przystrzyżonej brodzie, pochylił się nad stołem i rzekł do siedzącego naprzeciw niego kolegi, tłustego, pucołowatego blondyna:

— Nienawidzę tego człowieka, nie wiem sam za

co... Kiedy go tylko zobaczę, zaraz mi się tak robi, jak gdyby mnie kto szkłem po sercu drapał!

— Bo też, rzeczywiście, z tą swoją poważną miną, długim surdutem i temi oczyma, wygląda jak jaki karawaniarz — odrzekł drugi.

— Śmiej się, albo nie śmiej, jak chcesz, ale ile razy go zobaczę — ciągnął elegancki pisarz — na pewno mi się coś nieprzyjemnego zdarzy. Zobaczysz, pewno i dzisiaj nasz „Abramek” zwymyśla mnie za co.

Pucołowaty blondyn się roześmiał.

W tej chwili drzwi gabinetu p. Abrahama, położone w części pokoju oddzielonej kratą, otworzyły się i ten ostatni wyszedł, towarzysząc jakiemuś żydkowi w złotych okularach, dość przyzwoicie, choć w długą kapotę przybranemu.

— Tak, tak! — mówił jeszcze we drzwiach, prezentując swój wspaniały szłafrok — niech pan się namyśli. Interes można zrobić, ale taniej być nie może... Namyśl się pan.

Żydek kiwnął głową na znak zgody i rzekł:

— Dobrze! Ja tu jeszcze będę u pana jutro lub pojutrze. .

W tej chwili p. Abraham zwrócił się w stronę pisarzy:

— Czy pan Sztiefel jest już u siebie?

— Jest i nawet w tej chwili pytał się o pana — rzekł pucołowaty blondyn.

— Poprosić go—rzekł z pośpiechem p. Abraham.

Za chwilę wysoki młody człowiek przechodził przez biuro, kierując się ku gabinetowi właściciela

„kantoru". Przy świetle lamp, które przed chwilą zapalono na biurkach, poznajemy w nim naszego dobrego znajomego — „Joska". Rzeczywiste jego nazwisko, bo winniśmy je wreszcie oznajmić czytelnikowi, jest Józef Sztiefel i tak go zameldowano. Mieszka on, jako kawaler, u dalekiego swego kuzyna, p. Abrahama Meinera. „Josek", jak już wspominaliśmy, to tylko jego biurowe przezwisko.

Józef Sztiefel, czyli „Josek", wszedł do elegancko rzeczywiście umeblowanego gabinetu swego kuzyna. Ten ostatni, choć znacznie starszy od przybyłego i nawet względnie wyżej w hierarchii społecznej postawiony, na jego widok z widocznem uszanowaniem skoczył z fotelu i na gwałt chciał go usadzić w takowym. „Josek" skinął tylko ręką i usiadł skromnie na brzeżku krzesła, stojącego z boku biurka.

— Nie potrzeba — rzekł.

— Ależ panie Sztiefel...—prosił właściciel „kantoru".

— Mów mi „ty", zawsze cię o to proszę, może kto słyszeć... Miałeś do mnie jakiś interes?

— Tak, w samej rzeczy.

— A więc słucham...

— Przepraszam pana.. ciebie — poprawił się Abraham Meiner — że tak cię nudzę.

— Nie nudzisz mnie. Mów.

— Otóż, był tu u mnie przed godziną jeden klijent z takim interesem. Znajdował się w spółce z drugim żydkiem; mieli razem fabrykę gorsetów. Ale ponieważ ten jest trochę *plajt*, więc wszystko było na

imię tamtego. Nasz klijent pracował tylko jako robotnik, ma się rozumieć tylko pozornie. Wczoraj rano tamten wypędził go precz. Nasz klijent pobiegł zaraz do domu i przekonał się, że dowód piśmienny, który mu tamten wystawił, zginął, czy został mu skradziony. Co robić? Nasz klijent jest pruski poddany i chce wyjechać za granicę... Żąda pośpiechu.

„Josek” się zamyślił.

— Może wystąpić do sądu handlowego o uznanie spółki na zasadzie badania świadków. Świadków możnaby znaleźć, toby nawet niedrogo kosztowało — roześmiał się p. Abraham.

— Głupi jesteś — odrzekł krótko „Josek”.

— Dla czego? — naiwnie zapytał zmonitowany.

— Najpierw świadków sąd nie dopuści.. A powtóre, czy ci mało jednego procesu o poduszczanie do fałszywego świadczenia, który masz w biegu u sędziego śledczego?

Była chwila milczenia.

— Zrobisz tak — rzekł po chwili „Josek”. — Niech twój „klijent” wystawi ci weksel. Dostaniesz na niego zabezpieczenie na maszyny w spółkowej fabryce. Każesz mu, żeby tam był w chwili, kiedy komornik z tobą zejdzie. Trzeba skonstatować za pomocą jego obecności, że maszyny znajdują się w jego posiadaniu. Ponieważ to zabezpieczenie, przeto maszyny podług prawa *muszą* być oddane pod dozór samemu dłużnikowi. Ten znów, jako dozorca, ma prawo zabrać je tam, gdzie mu je będzie dogodniej przechować.

Zabierze je więc. Będą tam, ma się rozumieć, krzyki i protesty, ale to nic. Prawo jest wyraźne...

Pan Abraham aż wstał z fotelu.

— To pyszne, to wspaniałe! — wołał — ale co dalej?

— Co dalej? rzeczywiście, jakiś ty głupi mój Abramku... Przecież twój „klijent”, jeśli chce jechać za granicę, maszyn ze sobą nie weźmie Niech wtenczas probuje ułożyć się ze spólnikiem, albo wprost maszyny sprzeda i wyjeżdża. A, żeby w jego czynnościach nie było nic bezprawnego, na godzinę przed jego wyjazdem każ areszt z maszyn zdjąć i wydaj mu, jako wierzyciel, pokwitowanie, że dług odebrałeś. Przecież „swoje”, bo to w drodze zajęcia skonstatowano, maszyny sprzedać może.

W chwili, gdy „Josek” to mówił, jego poważną, ascetyczną, że się tak wyrazimy, twarz oświecił uśmiech pełen niewymownego szyderstwa. Pokątny doradca tymczasem biegał jak szalony po gabinecie.

— Co za myśl! co za myśl! — wołał — że też ja na to nie wpadłem...

— I nie wpadniesz sam nigdy— rzekł mu krótko i zimno „Josek”.

— Ale, ale— pytał po chwili Abraham Meiner— gdyby nasz „klijent” chciał tu zostać?

— Może... Przecież, jeśli zniesiesz areszt, jest w porządku. A, gdyby nawet wspólnik wystąpił o wyłączenie maszyn z zajęcia i uznanie ich za jego własność, nigdy sprawy nie wygra Wiesz, że teraz

wyłączający przegrywają wszystkie sprawy. Zresztą. od czegóż w ostatnim razie twoi fałszywi świadkowie?

P. Abraham usiadł przy biurku.

— Cóż dalej? — pytał „Josek”.

— Aha, co dalej... Był tu u mnie jeden, któremu ma być ogłoszona upadłość. Potrzebuje książek.

— To już rzecz twojego buchaltera.

— Ale on także chce mieć dowody, że stracił na kredytach kilkanaście tysięcy rubli. Potrzebaby jakich niezapłaconych weksli, dowodów...

— No więc?

— Więc nie ma nic podobnego... Rozumiesz, że tu potrzeba weksli z datą pewną, dyskontowanych w bankach...

— Tylko to? To zupełne głupstwo.

Wyjął z kieszeni ołówek i papier i skreślił parę słów.

— Oto adres hurtowego składu takich weksli. Skład znajduje się w Kijowie. Dostaniesz nie za kilkanaście, ale za kilkadziesiąt tysięcy rubli... Pisz, że zarekomendował cię J. St. Już będą wiedzieli.

Pokątny doradca podziękował swemu mentorowi.

— A teraz już ostatnie... Chciałem pana... — poprawił się — ciebie prosić, ażebyś mi przygotował na jutro szkic apelacji w tej oto sprawie. Oto są papiery.

— Dobrze. Czy już wszystko?

— Tak.

— Teraz ja mam do ciebie dwa słowa...

— Jestem na rozkazy.

— Krótko mówiąc, potrzebuję trzech albo czterech kupców. najlepiej handlujących cukrem, tu w Warszawie, lub na prowincji, którzyby chcieli z korzyścią dla siebie zbankrutować.

Pokątny doradca wytrzeszczył oczy; najwidoczniej był zdumiony.

— Nie rozumiem — rzekł.

— A przecież mówię dość jasno... Przecież przychodzą do ciebie różni, którym urządzasz plajty, tak?

— No tak...

— Otóż potrzebuję takich kilku twoich klijentów, ażeby im bezpłatnie urządzić doskonałe upadłości, na których oni grubo mogą zarobić. Jeśli pomiędzy tymi, co się tu zgłaszają, nie znajdziesz odpowiednich, poszukasz ich sam.

— Poszukać?

— Czy to ciebie dziwi? Oni tak często ciebie szukają, że ty raz w życiu możesz zrobić krok naprzód... Nikt nie odrzuci dobrego interesu, który mu za nic zaproponujesz...

— Ależ cel, cel? — pytał coraz bardziej zdziwiony pokątny doradca.

„Josek” spojrzał na niego z ironją. Rzekł powoli:

— Widzisz, cele moje należą do mnie. Radzę ci nad tem się nie zastanawiać.

Po chwili dodał:

— Jeden warunek jest konieczny, oto, ażeby ten, kto ma zbankrutować, znajdował się koniecznie

w stosunkach z Ejtelesem i Sp. i ażeby, upadając, grubo zarwał tę firmę.

— Aha!

— Od jutra zaczynasz szukać... Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A teraz następna kwestja. Posyłałeś do Apenszlaka, żeby przyszedł?

— Posyłałem. Stało się tak, jak ci mówiłem, Odpowiedział, że jeśli mam interes, mogę do niego przyjść: On się uważa za grubą rybę i na moje wezwanie nie przyjdzie.

— Zapłaci za to odrzekł chłodno „Josek".—Daj mi pióro.

Siadł przy biurku i wyjął z kieszeni ćwiartkę papieru. Przejrzał ją pod światło, a przekonawszy się, że kartka posiada wodne znaki w rodzaju gwiazdek, napisał na niej parę słów. Następnie włożył papier do koperty i zaadresował.

— Poszlij to do Apenszlaka... A teraz do widzenia.

ROZDZIAŁ II.

„Julek“ działa.

— Ach!!

Taki okrzyk wyrwał się jednocześnie z ust dwóch ludzi, którzy uderzyli o siebie na schodach, prowadzących do biura znanego nam już sędziego śledczego. Biegli w dwie różne strony i z tego powodu nastąpiło zetknięcie... Spojrzeli na siebie dopiero teraz i z ust ich ponownie wybiegły dwa wykrzykniki:

— Pan mecenas!...

— „Fryga”!...

Rzeczywiście, byli to adwokat Julek, wychodzący od sędziego i agent „Fryga”, który pędził z impetem, ażeby się stawić przed oblicze przedstawiciela sprawiedliwości. Obydwaj zatrzymali się przez chwilkę.

„Fryga” spoglądał z zainteresowaniem na adwokata. Wiedział on dobrze, dzięki przeprowadzonemu przez siebie prywatnemu śledztwu, że adwokat „Julek” należał do przyjaciół Strzeleckiego i że interesuje się śledztwem; miał nawet zamiar pójść do swego dobroczyńcy, zapytać go o radę i wtajemniczyć w szczegóły śledztwa.

— Pan mecenas od sędziego?—zapytał „Fryga”.

— Tak.

— W sprawie kradzieży u Ejtelesa?

— A zkąd to przypuszczasz, panie Józefie?

Delikatny uśmiech przesunął się przez cienkie wargi agenta. W kilku słowach, zniżywszy głos, objaśnił adwokatowi swoje zainteresowanie się sprawą, chęć porozumienia się z nim i to, że wiedział o stosunkach, jakie łączyły oskarżonego z „Julkiem".

— A więc można z panem mówić otwarcie, panie Józefie?

— Najzupełniej... Pan mecenas wie zresztą, że wskoczyłbym dla niego w żywy ogień.

— Otóż, jestem cały poruszony... Miałem w tej chwili dość nieprzyjemną scenę z sędzią..

— Z sędzią?

— Tak. Przyszedłem do niego dowiedzieć się, jak stoi śledztwo. Sędzia jest moim kolegą uniwersyteckim. Objaśnił mnie wprawdzie w paru słowach o stanie rzeczy, ale jednocześnie uprzedził, że na przyszłość obowiązek sędziowski zabrania mu komunikować się ze mną w tej sprawie i udzielać mi jakichkolwiek, choćby najdrobniejszych informacji. Twierdził, że i tak za dużo zrobił, słuchając moich instancyj za oskarżonym i udzielając paru słów wiadomości. Kiedy wzruszony myślą o tym biedaku, siedzącym już tyle czasu w więzieniu, chciałem przekonać sędziego i gorąco zacząłem mu tłómaczyć, że Strzelecki nie może być winien, prosiłem wreszcie o uzupełnienie śledztwa dla wyjaśnienia składających się na sprawę tajemnic, odpowiedział mi bardzo zimno, że śledztwo jest skończone i może być uzupełnione chyba... przyznaniem oskarżonego... Rozeszliśmy się w sposób dość

niemiły. Ostatecznie sędzia powiedział mi rzecz, za którą w innych okolicznościach zażądałbym od niego rachunku. Rzekł, iż przyjaciele Strzeleckiego w swej gorliwości chcieliby wprowadzić sprawiedliwość w błąd... Tym razem zmilczałem, aby nie pogorszyć położenia Janka.

„Fryga” z wielką uwagą słuchał słów adwokata. Jego ruchliwa twarz zmieniała co chwila wyraz pod wpływem myśli, które przebiegały mu przez głowę.

— To źle, to bardzo źle! — zawołał wreszcie.

Adwokat spoglądał nań pytająco.

— W chwili, kiedy tak niegrzecznie uderzyłem pana mecenasa, pędziłem do sędziego z nowościami... Ale te nowości będą korzystne tylko w obec kogoś dobrze usposobionego dla sprawy. Tem bardziej — dorzucił „Fryga” po chwili — że ja tu jestem cokolwiek winien... Miałem w ręku niektóre dane, ukrywałem je dotąd i prowadziłem śledztwo na własną rękę...

— To źle, bardzo źle! — zawołał z kolei adwokat. Sędzia w tem usposobieniu w jakiem się znajduje, gotów przypuścić jakąś zmowę z naszej strony, chęć wprowadzenia go w błąd, o czem zresztą już mówił... Niepodobna, ażeby się przy tej okoliczności nie dowiedział, że ja kiedyś pana broniłem.

„Fryga” robił tymczasem najpocieszniejsze grymasy, mające wyrażać prawdziwe i głębokie zmartwienie.

— A to osioł ze mnie — zawołał.

— A czy te odkrycia, które pan zrobiłeś obecnie, panie Józefie, mogą mieć poważniejsze znaczenie?

— To zależy ..

Zapanowało przez chwilę milczenie.

— Nie ma co—zaczął wreszcie „Fryga” — trzeba, jak na dziś, odłożyć wizytę u sędziego... Zbytnim pośpiechem możnaby wszystko zepsuć raz na zawsze... Tymczasem pan sędzia poczeka, a przed zobaczeniem się z nim, muszę też najpierw objaśnić wszystko panu mecenasowi.

— Mnie?

— Ma się rozumieć. Przecież chyba pan mecenas bronić będzie tego biedaka?

— Co do tego, nie ma żadnej wątpliwości.

— No, to ostatecznie nie popełnię wielkiej zbrodni, porozumiawszy się z panem mecenasem.

— Przypuśćmy...

— Tylko, że tutaj na schodach będzie trochę niewygodnie.

— W samej rzeczy. Jedź pan, panie Józefie, do mnie.

— Czy zaraz?

— W tej chwili Będzie to tem dogodniejsze, iż spodziewam się dzisiaj przybycia do mnie kilku przyjaciół Strzeleckiego dla narady...

Za chwilę adwokat siedział w dorożce, a „Fryga”, pomimo usilnych prożb „Julka”, ażeby umieścił się razem z nim, towarzyszył mu, usadowiony na koźle. Dorożka skierowała się przez Miodową, w stronę Długiej. Zaledwo jednak ruszyła, musiała się zatrzymać. Na środku ulicy zebrał się tłum publiczności.

„Fryga”, z przyzwyczajenia, przypuszczając, że

miał miejsce jaki wypadek, zeskoczył z kozła i wszedł pomiędzy tłum. Za chwilę wrócił i usadowił się znów na kożle, podczas kiedy policjant otwierał pośród zgromadzonych miejsce dla dorożki.

— Co to takiego? — zapytał adwokat.

— Nic nadzwyczajnego odrzekł „Fryga" — dwie dorożki uderzyły o siebie Jakaś dama wypadła na bruk... prowadzą ją tam do sklepu, zanim ją będzie można odwieźć do domu.

Adwokat „Julek" wychylił się z dorożki, ażeby lepiej widzieć...

— Tema!.. — zawołał naraz mimowoli.

Dorożkarz w tej chwili ruszył Pomimo turkotu kół, „Fryga" dosłyszał jednak to słowo. Odwrócił się z kozła i zapytał:

— Przepraszam pana mecenasa, czy to przypadkiem nie ta sama, co jest w sprawie? Nie widziałem jej nigdy osobiście...

— Tak.

„Fryga" nie rzekł nic więcej. Podrapał się tylko po nosie i zagryzł rzadki wąsik, co u niego oznaczało, że był czemś zaciekawiony. Mruczał coś pod nosem. Gdyby odcyfrować to mruczenie, miałoby ono mniej więcej taki sens:

— No, no, partja zaczyna się ożywiać... Wszyscy jakoś przybliżają się do sędziego. Ciekawym, po co ta tutaj jechała? Bo dałbym głowę, że jechała do sądu. I to z własnej inicjatywy! Przecież nie mogła być wzywana, bo śledztwo już skończone. No, zobaczymy.

Za dziesięć minut, dorożka stanęła przed mieszkaniem adwokata.

Po chwilce, „Julek” zasiadł przy swojem biurku, a naprzeciwko siedział „Fryga”.

Opowiedział w krótkich słowach wszystko, co już czytelnikowi wiadomo i dodał:

— Szczęśliwym trafem, dziś rano dowiedziałem się jeszcze, na czyje zamówienia i przez kogo był robiony papier z gwiazdkami.

— No, no! ..

— Jak mówiłem panu mecenasowi dowiedziałem się w składzie, z którego papierni pochodzą takie arkusze. Jak na szczęście, znam dyrektora tej papierni. Przed rokiem, zdołałem mu oddać niewielką usługę. Ponieważ papiernia znajduje się tuż pod Warszawą, rodzina dyrektora mieszka w mieście, a on też przepędza wolny czas w Warszawie. Zeszłego roku, podczas krótkiego wyjazdu całej rodziny na wieś, w mieszkaniu dyrektora popełniono znaczną kradzież. Zostały skradzione srebra i kosztowności. Otóż, trochę przy mojej pomocy, zdołano wszystko, co do ostatniego pierścionka i ostatniej solniczki odzyskać.

— Więc poszedłeś do dyrektora, panie Józefie?

— A ma się rozumieć... Jest to człowiek powszechnie szanowany, zacny, poważny, ojciec rodziny, nie obawiałem się więc, że trafię na kogoś interesowanego w naszej sprawie. I zrobiłem dobrze. Dyrektor przyjął mnie jak najlepiej i obiecał wszelką pomoc. Było to wczoraj. Dziś rano o szóstej, wyjechaliśmy powozikiem dyrektora do papierni, a o jedenastej dyrek-

tor już znalazł jedyną osobę w fabryce, która o wyrobie tego papieru mogła mieć wiadomość... Był to mechanik w fabryce.

— No i cóż?

— Ma się rozumieć, nie opowiadałem dyrektorowi wszystkich szczegółów i prosiłem go zresztą, ażeby za punkt wyjścia swego badania wziął arkusze, znalezione przypadkowo w składzie. Badaniu temu byłem obecny, ukryty za portjerą. Winny, zagrożony natychmiastową dymisją, wyznał, że robił kilkadziesiąt arkuszy takiego papieru na obstalunek...

— Czyj?

— Niejakiego Abrahama Meinera, pokątnego doradcy, utrzymującego niby kantor realizacji i inkasa na Nalewkach.

— Meiner! — zawołał „Julek" — ależ znam go ze sądów... To łotr ostatniej próby.

— Zdaje się — dodał jeszcze „Fryga" — że ten Meiner ma jakiś wpływ na mechanika; widać to było z całej rozmowy z dyrektorem, który, mówiąc nawiasem, dał się wreszcie ubłagać swemu oficjaliście i darował mu winę...

— Meiner, Meiner! — wołał adwokat, uderzając ręką w biurko. — Jeśli tylko on jest wmieszany do interesu, nie dziw, że oplątano tak fatalnie tego biednego Janka... Przecież notorycznie wiadomo, że Meiner dostarcza na żądanie fałszywych świadków. Dla czegóżby więc nie miał umaczać palca w zbrodni?

— Otóż, wobec takich rezultatów — ciągnął dalej „Fryga" — a szczególniej ze względu, że bez resz-

ty tajemniczego papieru niewiele można dalej zrobić, biegłem do sędziego śledczego, ażeby mu wyjawić moją winę, polegającą na ukryciu części listu, i powiadomić o odkryciach... Ma się rozumieć, przygotowany byłem na zmycie głowy, ale nie wielkie. To, co mi pan mecenas powiedział tam na schodach, trochę mnie przeraziło... Co teraz robić, ażeby nie zepsuć sprawy?

— Będziemy o tem mówili następnie — odrzekł adwokat. — Ponieważ jednak widzę, że dzielnie dopomagasz w celu uniewinnienia tego biedaka, muszę ci najpierw powiedzieć to, czego się dowiedziałem od sędziego śledczego i co jego wprawiło w tak złe dla Janka Strzeleckiego usposobienie.

— Słucham.

— Wiesz już zapewne, że główną poszlaką przeciwko niemu jest brak jakichkolwiekbądź wiadomości o tem, co robił od ósmej lub dziewiątej wieczorem, aż do rana... Nie umie tego objaśnić. Twierdzi, że stracił na ten czas świadomość, że nie wie, co się z nim działo...

— Tego nie wiedziałem.

— Jak widzę, mało jesteś poinformowany o przebiegu śledztwa.

— Wcale nic nie wiem. Jestem zbyt małą osobistością, ażebym miał tam dostęp.

— A więc muszę ci, panie Józefie, opowiedzieć szczegółowo rezultaty zbadania Strzeleckiego.

Nastąpiło opowiadanie, któremu „Fryga” przysłuchiwał się z wyjątkową uwagą. Był tak zasłuchany,

że na ruchliwej jego zwykle twarzy, tym razem nie odbijały się uczucia i wrażenia, jak zazwyczaj.

— Obecnie — kończył „Julek” — przybywają nowe, niekorzystne fakta. Doktorzy nie umieli powiedzieć nic pewnego o nienormalnym stanie, w jakim miał się niby znajdować Strzelecki. Kupca W. w Moskwie, dotąd, pomimo poszukiwań, nie wyszukano. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli Strzeleckiego między 9-tą a 11-tą wieczorem w okolicach Franciszkańskiej i Nalewek, to jest tuż obok mieszkania Halbersona... Wreszcie, co najważniejsza, stosownie do żądania samego Strzeleckiego, sprawdzono numera banknotów, znajdujących się w paczce 5,000 rubli. .

— I cóż? i cóż?...

— No — i pokazało się na nieszczęście, że numera te były zanotowane przez jeden z banków, jako wypłacone firmie Ejteles w dzień kradzieży...

„Fryga” aż podskoczył na krześle

— Ależ to niemożebne! Zkądżeby sam Strzelecki żądał sprawdzenia?

— Postawiłem tę samą kwestję sędziemu. Odpowiedział mi: Pański protegowany jest człowiek bardzo inteligentny. Wiedział, że sprawiedliwość musi przyjść do wniosku o konieczności tego sprawdzenia i postanowił je uprzedzić... Zresztą, mógł przypuszczać, że w Banku nie kontrolowano numerów.

„Fryga” wstał z krzesła

— Przepraszam pana mecenasa, ale muszę zebrać myśli...

Przeszedł się parę razy po pokoju, wreszcie zbliżył się do biurka.

— To bardzo źle, panie mecenasie — zaczął.

— Sam o tem wiem...

— Dotąd, byłem przekonany, że p. Strzelecki jest niewinny. Jego twarz, którą widziałem przez chwilę, uprzedziła mnie na jego korzyść. Ale teraz, po tem, co odkrył sędzia śledczy... nie przysiągłbym. Widzi pan mecenas, ja, jeżeli zbłądzę, lubię się prędko zorjentować. Czy w danym wypadku mamy rzeczywiście do czynienia z niewinnym?...

„Fryga" nie skończył jeszcze, a „Julek" już był na nogach. Z całą energią wymowy zaczął zbijać poszlaki, walczące przeciwko Strzeleckiemu, tłómaczył i wyjaśniał, że ten człowiek nie mógł spełnić zbrodni.

— Jestem przekonany w głębi serca — zakończył — że on jest niewinny... Wierz mi, panie Józefie i postaraj się razem ze mną walczyć przeciw pozorom.

— Ależ z całego serca, panie mecenasie, skoro takie pańskie przekonanie. To dla mnie wystarcza... Jeśli-m wątpił przez chwilę, to dla tego, że mojem zdaniem, nigdy się nie trzeba łudzić.

— W samej rzeczy... Ale przecie jesteśmy na drodze do odkryć...

— Aa! tylko nie wiadomo dokąd te odkrycia doprowadzą... Gdybyśmy chociaż wiedzieli, co zawiera ten przeklęty list ..

Teraz „Julek" przechadzał się po pokoju zamyślony. Po chwili usiadł przy biurku.

— Musimy jednak przyjść do jakichś wniosków. Trzeba się zdecydować co dalej robić ..

— Tak, co robić?... — powtarzał jak echo „Fryga".

— Najpierw, sądzę— ciągnął adwokat—że trzeba się wstrzymać od komunikowania sędziemu rezultatów dotychczasowej twej działalności, panie Józefie. Mógłby je przyjąć bardzo źle, a przy ogólnikowości, jaką się niewątpliwie list odznacza, mogłoby to zepsuć ostatecznie sprawę...

— Trzeba więc szukać w dalszym ciągu rozwiązania zagadki na własną rękę...

— Tak jest, szukać, a znalazłszy, przyjść do sędziego z czemś poważnem w ręku

— Pozostaje kwestja, w jakim kierunku robić poszukiwania?

Adwokat zamyślił się przez chwilę.

— Odpowiedź na to dość prosta. Dyktuje ją logika. Ponieważ Strzelecki twierdzi, że stracił świadomość swoich czynów od chwili widzenia się z jakąś „osobą", której nie chce bliżej określić, trzeba odnaleźć najpierw ślad osoby i spotkania. Cóż na to powiesz, panie Józefie?

— Zupełna racja. Dodam tylko jedną rzecz: należy ustanowić, jakiej płci była osoba, z którą miał się spotkać p. Strzelecki. Ja sądzę, że to musiała być kobieta.

— I ja jestem tego zdania.

— Z mężczyzną nie spotyka się na ulicy, lecz w restauracji lub cukierni; wreszcie wzruszenie, jakie

uczuwał p. Strzelecki przed schadzką, o którem sam wspomina, dowodzi najlepiej, że to była kobieta.

„Fryga", zadowolony swem rozumowaniem, podniósł głowę. Adwokat przyznawał mu rację pochyleniem głowy.

— A teraz — ciągnął „Fryga" — czyby nie można wykombinować miejsca, gdzie się odbyła schadzka? Będzie to trudniej. Ulic w Warszawie jest dużo. Ale przecież taki fakt, jak stracenie przytomności zaraz przy spotkaniu, mógł się czemś zamanifestować; mogli to zauważyć... Trzebaby tylko mieć promień ulic, od których należy zacząć poszukiwania...

„Fryga" zamyślił się; adwokat spoglądał nań z zaciekawieniem.

— Około dziewiątej p Strzelecki był na Nalewkach; nie twierdzi, ażeby ztamtąd pojechał na spotkanie, a więc — poszedł. Musiało ono być gdzieś niedaleko, zapewne nie pośród żydowskich ulic, tylko bliżej środka miasta Będziemy więc szukali na Ś-to-Jerskiej, Przejazd, Długiej, Bielańskiej...

Tu „Fryga" nagle się zatrzymał.

— Ach, ach! — zawołał — jaką ja też mam kurzą pamięć...

Adwokat był już zaniepokojony.

— Co?... co takiego? — pytał.

— Ależ nie potrzeba poszukiwań. Mam już wszystko, co mi potrzeba, w ręku.

— Niepodobna...

— Najzupełniej. Tak, jakbym był przy schadzce. Rzecz działa się po dziewiątej wieczorem, tego dnia,

kiedy spełniono kradzież Na rogu Bielańskiej i Placu Teatralnego przechadzała się jakaś młoda, elegancka kobieta. Było to nieopodal stacji posłańców, na której w tej chwili znajdował się jeszcze jeden posłaniec, oczekujący jakiego spóźnionego kursu.. Dama przechadzała się niespokojnie. Widocznie oczekiwała kogoś, kto nie przychodził. Dopiero po kilkunastu minutach. od Bielańskiej ukazał się mężczyzna młody i wysoki. Szedł powoli. Dama zbliżyła się do mężczyzny i zamieniła z nim parę słów, podniósłszy woalkę... W tej chwili mężczyzna widocznie zachwiał się na nogach. Upadłby, gdyby go nie podtrzymała kobieta.. Wzięła go pod rękę i doprowadziła do stojącej na stacji dorożki, którą razem pojechali... Mężczyzna szedł z trudnością...

— Ależ to Strzelecki, to musiał być on... Zkąd pan to wiesz, panie Józefie?

— O, to rzecz bardzo prosta... Nie ma tu z mojej strony żadnej zasługi, przeciwnie, dziwię się, że sobie tego nie przypomniałem odrazu. Za ratuszem jest knajpka, do której niekiedy zachodzimy. Otóż, owego wieczoru byłem w knajpce i słyszałem na własne uszy posłańca, opowiadającego o tem oryginalnem zdarzeniu, Wtenczas nie zwróciło to mojej uwagi...

— Wybornie, przecudownie! — wołał „Julek”— mamy początek, trzeba tylko tak iść dalej...

— To już rzecz moja; ta strona kwestji i poszukiwań zdecydowana. Ale to chyba nie wszystko?

— W samej rzeczy... Ten kierunek poszukiwań nie wyczerpuje wszystkiego, co można zrobić dla bie-

daka. Sędzę, że jednocześnie trzeba jeszcze iść w innym kierunku. Mianowicie najprostszym środkiem wykazania niewinności Strzeleckiego, jest odkrycie prawdziwych winowajców.

— Zgoda. .

— Wprawdzie tam, gdzie działają sądy i nic nie mogą odkryć, oprócz winy biednego Janka, którą my odrzucamy, zadanie jest trudne, bardzo trudne. Ale mamy przewodnią nić... Winowajcami są ci, którzy starali się zrzucić na barki Strzeleckiego ciężar winy, którzy go oplątali siecią fałszywych poszlak. Zapytasz — gdzie ich znaleźć? Twoje poszukiwania dały ci już odpowiedź. Zaczynaj od Meinera, który najwidoczniej jest związany z siecią wypadków, on cię doprowadzi dalej... Jak działać?... to już rzecz twoja.

„Fryga” znowu był zamyślony; pocierał sobie nos i przygryzał wąsik

— Tak — rzekł po chwili — Meiner numer pierwszy, a numer drugi... panna Tema.

— Jakto? Byłbyś zdania?...

— Tak, panie mecenasie, jestem zdania, że, jeśli p. Strzelecki nie ukradł tych pięciu tysięcy rubli, które złożyła panna Tema, jako niby pochodzące od niego, to niewątpliwie pieniądze te zostały ukradzione przez kogo innego i oddane pannie Temie, dla złożenia ich tak, żeby kompromitowały p. Strzeleckiego. Jest więc ona albo wspólniczką, albo przynajmniej narzędziem sprawców zbrodni.

— To niepodobna... Widziałem Temę tegoż samego dnia, kiedy odkryto kradzież, była bardzo zmar-

twiona, prawie spłakana. Zresztą, wróble na dachu wiedzą, że Tema serjo pokochała się w Strzeleckim...

— Jednak tak mówi logika.

„Fryga” znowu wstał z krzesła i zaczął się przechadzać po pokoju.

— Wie pan, panie mecenasie, co ja o tej całej sprawie sądzę?

— Cóż?

— Nie śmiej się pan tylko ze mnie, jak to zrobił mój naczelnik, kiedy mu wspominałem trochę o tem...

— Ależ słucham...

— Otóż, powiadam panu mecenasowi, że to musi być robota nalewkowskiej „bandy”.

— Jakiej?

— W tem sęk, że nie wiem — jakiej... Ale ja ją przeczuwam, ja ją muszę odkryć, choćbym miał wleźć pod ziemię... Mój naczelnik powiada, że to romanse, a ja powiadam, że to rzetelna prawda... Trzeba panu wiedzieć, panie mecenasie, że od pewnego czasu zdarzyło się kilkanaście wypadków kradzieży, rabunku, samobójstw nawet, których kompletnie nie można sobie wyjaśnić. Obracają się one około Nalewek i są z Nalewkami w związku. Ja przypuszczam, jestem przekonany, że to nie może być nic innego, jak tylko sprawka bandy złoczyńców... bandy, jak ja ją nazywam, nalewkowskiej...

„Julek” spoglądał na „Frygę” z uśmiechem

— No, czy tylko twój naczelnik nie ma racji, panie Józefie? Czy nie fantazjujesz zbytecznie?...

Ale zapał „Frygi” już przeszedł. Pocierał tylko sobie usilnie nos. Mruczał do siebie:

— To nie bez racji. Apenszlak, Feinhand, Meiner — wszyscy z Nalewek. I do tego Lurje, spólnik Ejtelesa.. To niejasne, to bardzo niejasne... Zobaczymy...

W tej chwili dzwonek u drzwi adwokata głośno zabrzmiał. Po chwili wszedł służący i zameldował, że dwie damy znajdują się w poczekalni.

— Aj, aj! — zawołał adwokat — zagadałem się tak z tobą, panie Józefie, że zapomniałem o konferencji z przyjaciółmi Strzeleckiego. Oto i oni.. Jedna z tych dam, to narzeczona Janka, a druga... jej przyjaciołka.

— Więc p. Strzelecki ma narzeczoną?

— Trzeba ci wiedzieć, panie Józefie — odrzekł adwokat — że to jeszcze tajemnica. Liczę na twoją dyskrecję. Oprócz tych pań, będzie p. Stawinicz.

— Znam go. Oryginał, ale wyborny człowiek— zrobił uwagę „Fryga”.

— Możebyś pan chciał, panie Józefie, uczestniczyć w tej naradzie?

— O nie, nie, bynajmniej; to nie dla mnie. Chcę też prosić, żeby pan mecenas nawet tym państwu nie wspominał o odkryciach, zrobionych przezemnie, ani o planie dalszych poszukiwań..

— Czy ty konieczne?

— Bezwarunkowo. Inaczej nie ręczę za skutek. A teraz do widzenia. Pojutrze będę z relacją.

— Pamiętaj raz jeszcze: Meiner...

— I panna Tema..

Ajent wyszedł, mrucząc między zębami:

— Tema?... Dałbym głowę, że ona także z Nalewek... Strzelecki ma narzeczoną... Teraz można zrozumieć, dla czego Tema...

Przechodził w tej chwili przez poczekalnię adwokata. Na kanapie siedziały dwie młode kobiety. Agent rzucił na nie ukradkiem wzrok.

— Ach, ach! — rzekł sam do siebie — panna Róża i panna Ejteles!... Która z nich jest narzeczoną Strzeleckiego? To zaczyna być ciekawe. W każdym razie dobrzem zrobił, żem prosił mecenasa o milczenie.

Wybiegł, drapiąc się nielitościwie w nos.

. . . .

W godzinę potem, w gabinecie adwokata, przy jego biurku, siedzieli: panna Fela, panna Róża, adwokat i Stawinicz „Julek" objaśnił ich właśnie o dotychczasowym przebiegu śledztwa,

Panna Róża czerwieniała i bladła na przemiany. Zdawało się jej, że położenie jest bez wyjścia. Wszystka krew przypłynęła jej do serca. W oczach migały jej białe plamy.

— Ależ to labirynt! labirynt! — wołał Stawinicz, biorąc się za skronie. — Głowę o mur rozbić...

Tylko panna Fela pozostawała spokojna, milcząca...

— Jak wiele czasu może upłynąć do chwili osta-

tecznego zamknięcia śledztwa, właściwie aż do sformowania aktu oskarżenia?

— Przynajmniej trzy tygodnie — odrzekł adwokat.

— W takim razie nic jeszcze nie stracone. Zapewne przed dwoma tygodniami będę mogła dostarczyć pewnych wiadomości, które bardzo zmienią położenie p. Strzeleckiego.

— Pani?

— Ja...

Oczy wszystkich zwróciły się z zapytaniem na pannę Felę.

— Nic bliższego w tej chwili objaśnić nie mogę. Ale to, o czem mówię, niewątpliwie nastąpi. Tymczasem chciałabym się dowiedzieć jeszcze jednego. Jak wysokiej kaucji zażądał na wypadek wypuszczenia na wolność p. Strzeleckiego, sędzia śledczy?

— O, olbrzymiej sumy, równej sumie skradzionej. Trzeba złożyć gotówką trzykroć dwanaście tysięcy rubli. .

Panna Róża położyła na stole paczkę, trzymaną w ręku.

— Oto jest żądana kwota w papierach procentowych. Wynosić ona będzie nawet więcej, około trzystu trzydziestu tysięcy rubli. Proszę pana, panie adwokacie, złóż pan te pieniądze, jako kaucję za biednego p. Strzeleckiego.

Osłupienie wszystkich było ogromne. Róża była cała w kolorach... W oczach stanęły jej łzy. Naraz, nie namyślając się, idąc za pierwszym popędem serca,

pochwyciła rękę siedzącej obok Feli i ucałowała ją gorąco.

— Dziękuję ci, dziękuję — wyszeptała.

Panna Fela starała się uwolnić od jej pocałunków Przysunęła jej czoło i złozyła na niem macierzyński prawie pocałunek.

— Dziecko jesteś — rzekła.

Potem zwróciła się do dwóch mężczyzn.

— W ten sposób pan Strzelecki będzie uwolniony od rozpaczliwego położenia w więzieniu i zresztą będzie miał większą swobodę działań... Pomoże nam odkryć jego niewinność... O jedną rzecz tylko prosiłabym którego z panów, oto o złozenie pieniędzy pod własnem nazwiskiem. Rozumiecie dobrze panowie, że mnie w zaden sposób nie wypada ich składać. Nazywam się Ejteles...

„Julek” ciągle spoglądał zdziwiony na leżącą na jego biurku grubą paczkę.

— Ależ pani — zaczął po chwili — sprawa naszego przyjaciela jest dla nas świętą... Jednak... jednak... zmuszony jestem zwrócić uwagę pani, iż, angażując tak znaczną sumę, należy się namyśleć... rozważyć... Czy nie robi pani zbyt... dużo?

Stawinicz chciał także coś powiedzieć, ale zwrócone nań błagalne spojrzenie Róży zamknęło mu usta.

— Rozważyłam wszystko — odrzekła panna Fela — i nie mam nic więcej do rozwagi. Pieniądze te są moją własnością i nie wyczerpują zresztą mojego majątku osobistego... Mogę z niemi robić, co uznam za właściwe.

Spojrzenie Róży upadło z kolei i na „Julka”.

— W takim razie, nie pozostaje mi, jak tylko być pani posłusznym... Żeby tylko sędzia śledczy w obec nowych danych, nie zrobił jakiej kwestji...

Zaczął pisać kwit z odebrania pieniędzy, odpieczętował paczkę, ażeby módz w kwicie wymienić papiery szczegółowo...

W kwadrans potem, goście wychodzili z gabinetu ciągle jeszcze zdumionego „Julka”.

Róża Apenszlak, w chwili, kiedy adwokat odprowadzał ich go drzwi, zatrzymała się z tyłu i pociągnęła gospodarza do jego gabinetu.

— Jedno słówko... proszę pana — rzekła, zarumieniona jak prawdziwa róża.

— Jestem na rozkazy.

Róży zdawało się braknąć oddechu.

— Powiedz mi pan... czy on... czy on... nie kocha... tej kobiety, która go oskarża o zostawienie u niej pięciu tysięcy rubli?...

Na ustach adwokata ukazał się uśmiech.

— Mówi pani o tej pannie... Temie?

Róża skinęła główką.

— O, może być pani spokojną... Nie kochał jej nigdy. Był to tylko przelotny kaprys i to dawno, dawno, kiedy pani jeszcze nie znał..

Róża zarumieniła się i uciekła.

Adwokat „Julek” został sam. Spoglądając na leżące na biurku papiery procentowe, rzekł:

— No, teraz, to już naprawdę nic nie rozumiem.

ROZDZIAŁ III.

Tema.

Na parterze jednego z nowych, wspaniale urządzonych domów przy ulicy Wspólnej, mieszkała panna Tema Z...., którą już parę razy widzieliśmy w toku tego opowiadania. Na liście lokatorów, stan jej był określony w sposób następujący: „Z własnych funduszów”.

Rzeczywiście, fundusze, jakie posiadała panna Tema, musiały być znaczne, bo apartament, który zajmowała, był jednym z największych w całej kamienicy, a urządzenie jego odznaczało się niezwykłą wspaniałością.

Bronzy, marmury, aksamity, atłasowe obicia, miękkie szesłągi i kozetki, wspaniałe portjery i olbrzymie lustra, stanowiły wspaniałą ramę, od której świetniej jeszcze odbijały wschodnie wdzięki Temy, jej bogate kształty, włosy krucze jak heban, błękitne oczy, twarz matowo blada, a przedewszystkiem te ogniste, gorące, czerwone wargi..

Tema panowała tutaj jak królowa. U stóp jej klęczało tylu i tak namiętnie pragnących ognistego dotknięcia tych bezczelnie rozkosznych warg, że mogła być z tego dumną. Brała od nich hołdy — i szeleszczące jedwabnie banknoty.. Od dwóch lat, ta

nowa Wenus była w modzie. Uwielbiała ją cała Warszawa A ona szalała. O jej dziwactwach i kaprysach opowiadano całe legendy.

Było wpół do dziewiątej wieczorem. Od drzwi Temy odeszło już pięciu lub sześciu młodych ludzi, pragnących zaszczytu ujrzenia warszawskiej Afrodyty, a w tej liczbie i książę Stasz. Młoda i ładna pokojówka odprawiała wszystkich krótkiemi dwoma słówkami: „Pani chora”. Wielbiciele wydawali okrzyk niespodzianki i ubolewania, składali bilet i odchodzili.

Znowu zadzwoniono. Do przedpokoju, otoczonego dębowemi boazerjami, poważnego, oświetlonego dwoma płomieniami gazowemi, o szkłach przypominających patery od szampana, wszedł młody, wysoki, szczupły człowiek, brunet, z niewielkiemi bakenbardami, w okularach i *pince-nez*; na głowie miał cylinder. ubrany był w modny paletot jesienny.

— Pani w domu? — zapytał głosem gardłowym.

— Pani nie przyjmuje, pani chora! — odrzekła pokojówka tym samym frazesem, którym odprawiła już kilku gości poprzednio.

— Muszę się z panią widzieć koniecznie — ciągnął dalej młody człowiek.

— To niemożebne...

Młodzieniec nie odpowiedział nic. Rozpiął paletot i wyjął pugilares. Z tego ostatniego wydobył bilet wizytowy, ołówek i białą dwudziestopięciorublówkę. Ołówkiem skreślił parę słów na bilecie.

— To dla ciebie, moja mała — rzekł z angielską

flegmą, wręczając pokojówce bilet bankowy — a to oddasz twojej pani— dodał, pokazując bilet.

Pokojówka uśmiechnęła się zalotnie.

— Nie wiem, sprobuję... — rzekła — zresztą za nic nie ręczę..

Wzruszyła kokieteryjnie ramionami i pobiegła. Młody człowiek tymczasem zdjął paletot i w angielskim surducie, z kapeluszem w ręku, oczekiwał powrotu służącej. Był widocznie pewny przyjęcia.

Pokojówka wróciła za chwilę.

— Proszę za mną... — rzekła. — Pani przeprasza, że przyjmuje w negliżu, ale jest bardzo chora...

— To nic nie szkodzi.

Służąca spojrzała na młodego człowieka, uśmiechając się z efronterją.

Za chwilę weszli do niewielkiego budoaru. Wielka, blado-błękitna kula zwieszona na kosztownym łańcuchu od sufitu, obrzucała bladem światłem fantazyjne, pełne uroku, wdzięku i jakiegoś wschodniego omdlenia umeblowanie. Meble były nizkie, miękkie, pokryte jaskrawemi materjami. Wspaniała toaleta z weneckiem lustrem o przecudownej ramie, pokryta była mnóstwem drobnostek. Po pokoju rozchodziła się upajająca woń pachnideł; okna i drzwi otulały portjery. W półcieniu widać było postać Temy, zwiniętą na szezlągu, zwanym „Balzac", otuloną w coś białego, jakieś futro, czy puch.

— Luiza — odezwał się miękki, osłabiony głos kapłanki tej wspaniałej świątyni rozkoszy — przynieś lampę z jadalni. . Tutaj tak ciemno.

— To zbyteczne — odrzekł głosem zimnym, suchym, trochę chropawym, przybyły.

Tema uniosła się cokolwiek na szeslągu; spojrzała na gościa!

— A więc, zostaw nas samych...

Pokojówka wyszła.

— Pan baron von Rajt? — zapytała po chwili znów Tema.

— Tak, w imieniu „Złotej rączki" — była odpowiedź.

Nastąpiła chwila milczenia. Przybyły zabrał głos:

— Przedewszystkiem, czy można w tym pokoju swobodnie mówić? Czy tu nikt nie podsłuchuje, nie podgląda?. .

Tema roześmiała się krótkim, stłumionym trochę śmiechem.

— O, nie; tutaj zwykle daję audjencje... Służby mojej jestem pewna.

Baron von Rajt podniósł się i zbliżył do obydwóch drzwi. Obejrzał je uważnie,

— Dobrze — rzekł sam do siebie.

Tema ciągle czekała, uniósłszy cokolwiek głowę, patrząc na gościa, tak mało robiącego sobie z nią ceremonji.

— Pani jesteś chora?... — zapytał wreszcie przybyły.

— Tak... Miałam dziś wypadek. Bałwan dorożkarz wyrzucił mnie na bruk... Kuleję.

Zręcznym ruchem odrzuciła brzeg futrzanego pokrycia, ukazując maleńką nóżkę obandażowaną; wyżej

trochę, nad kostką, widać było kawałek różowego, rozkosznego ciała. Widok ten nie wywołał jednak u przybyłego zachwytu, na który Tema pewno trochę liczyła...

— Wypadek, który się pani wydarzył, powoduje moją bytność...

Tema oparła głowę na ręku i tak, pół siedząc, pół leżąc, czekała...

— Wprost nawet powiem pani, że to ja spowodowałem ten wypadek...

— Pan?...

— Tak jest. „Złota rączka”, wyjeżdżając, poleciła mnie, jako najbliższemu przyjacielowi, dopilnowania pani. Zalecenie to nie było wcale zbyteczne. Siostra pani zna panią, widać, aż nadto dobrze. Pomimo, że sama pani narzucałaś się jej ze swoją rolą, przypuszczała z góry, że przy zmienności charakteru pani, przyjdzie chwila, kiedy zechcesz zrobić głupstwo... Chwila ta, już od pewnego czasu blizka, nastąpiła dzisiaj.

— Zkąd pan o tem wiesz? — wyrwało się mimowoli Temie.

— Już nazajutrz po wypadku zaczęły pani przychodzić do głowy jakieś niedorzeczne żale... W miarę, jak ten idjota „Szmulek” przynosił pani coraz nowe wiadomości o coraz gorszym stanie sprawy *jego*, przychodziły pani do głowy coraz nowe głupstwa... Robiłaś sobie pani jakieś nie mające sensu wyrzuty sumienia i skrupuły... wreszcie dzisiaj postanowiłaś udać się do sędziego śledczego i powiedzieć mu wszystko...

Mówiący zatrzymał się przez chwilę.

— Czyż pani nie masz dość rozsądku, ażeby zrozumieć, na jak straszne niebezpieczeństwo narażałaś „Złotą rączkę”? Czy nie pojmujesz, że gdybyś nawet wyzwoliła z więzienia *jego* musiałabyś pójść do więzienia sama? Wreszcie, gdzież zemsta nad tym, który cię zdradził i porzucił?...

Głos barona był zimny, ale poważny i pełen mocy Tema już od dłuższej chwilki słuchała go z wielką uwagą. Naraz, nie zważając na skaleczoną nogę, skoczyła jak pantera z szeslągu. Była w zupełnym prawie negliżu. Białawe, puszyste futro, które ją okrywało przed chwilą spływało obecnie z jednego jej ramienia. Jej pełne łono było na pół odsłonięte... Stała pośrodku pokoju, jak wspaniały posąg, a jej czerwone, ogniste wargi paliły się zdaleka.

— A więc tak — zawołała — tak, tak i jeszcze raz tak... Chciałam zemsty, a teraz nie chcę .. On nie może zgnić w kryminale, nie zgnije. Ja go uratuję Ja go kocham, kocham! Spać nie mogę... We śnie widzę go w kajdanach, bladego, wynędzniałego. Kiedyindziej zdaje mi się, że on jest przy mnie, że mnie ściska, całuje... ach, jakie ogniste były jego pocałunki!...

Tema szalała. Łono jej się wzdymało, oczy rzucały płomienie.

— Kocham go! Powiedz pan „Złotej rączce”, że nie jutro, to pojutrze pójdę do sędziego śledczego i powiem

Baron, pomimo swej młodości, pomimo całego nieprzezwyciężonego uroku powabów, które się przed nim

roztaczały, był obojętny, zimny, jak lód, wobec tej prawie na pół nagiej, rozkosznej kobiety.

— Nie pójdziesz pani i nie powiesz — rzekł głosem zimnym jak stal. głosem w którym ani jedna nuta nie zadrgała.

Czy wskutek wpływu tego zimna, czy może drogą zwykłej reakcji, Tema tymczasem już się uspokoiła. Otuliła się szczelnie swojem puszystem pokryciem. usiadła na brzegu szeslągu, wysunąwszy z pod futra bose nogi i zapytała srebrzystym głosem, w którym przebijała ironja.

— Ciekawam bardzo, dla czego?

— Dla tego, że ja nie pozwolę...

Odpowiedzią był srebrny śmiech Temy.

— Jesteś pani pod moim nadzorem. Dziś, nieprzygotowany, potrafiłem udaremnić jej zamiar .

— Więc to pan kazałeś temu niezgrabjaszowi dorożkarzowi najechać na mnie... Dziękuję!

— Ja

— No i cóż dalej?

— Nic, oprócz tego, że w żadnym razie nie będziesz się pani widziała z sędzią śledczym..., choćby...

— Choćby?...

Baron podniósł głowę i odrzekł wyraźnie, zimno, stanowczo:

— Choćby trzeba było panią zabić!

W głosie jego czuć było potężną, niczem nie złamaną wolę. Czuć było, że to nie frazes, że ten człowiek dotrzyma tego, co obiecał. Zrozumiała to nawet Tema. Dreszcz przebiegł ją od stóp do głów.

— Pan... żartujesz?... — wyjąkała.

— Ani trochę... Bądź pani pewna, że odtąd każdy twój krok będzie śledzony. Zawsze będziesz na oku u moich ludzi. Nie staraj się oszukać mojej baczności. Zawsze to „musi” skończyć się dla pani źle... Rozumiesz pani?

— Ależ ja jego kocham, kocham!...

— To mnie nie obchodzi. Strzelecki „musi”, powtarzam, „musi” być skazany. Zrozumiałaś pani?

Tema rozmyślała chwilę.

— Zobaczę — rzekła wreszcie — namyślę się... Nic nie obiecuję...

— Obietnice niepotrzebne. Moje środki są zarządzone. Rób pani, co chcesz. Jesteś przestrzeżona. Zresztą, jestem przekonany, że pani się rozmyślisz i sama zgodzisz się na to, co jest nieuniknione. Możesz na tem tylko wygrać...

Tema nie odpowiadała.

— Ponieważ zaś nic bez wzajemności, oto usługa, jaką pani mogę z mojej strony oddać. Jutro o dziewiątej rano będzie u pani komornik, aby przystąpić do zajęcia mebli, za dług należny modniarce, w sumie 2,400 rubli.

— Ach, prawda...

— Szmulek dał pani dziś rano ostatnie trzy storublówki, byłabyś więc zmuszoną jutro dopuścić do zajęcia...

— Rzeczywiście.

— Otóż, w tym pugilaresiku znajdzie pani sumę dostateczną, aby zapłacić ten dług

Złożył na toaletce elegancki pugilares, dobrze wypchany pieniędzmi.

— Gdybyś pani była w potrzebie kiedykolwiek, proszę napisać *poste restante*, pod literami *B. v. R.*

Ale ruchliwa, jak kotka, Tema już pobiegła do toaletki. Nie zważając na spadające jej z ramion futro, otworzyła pugilares i zaczęła przerzucać znajdujące się wewnątrz zwoje papierów bankowych... Szeleściły one miękko pod jej atłasowemi paluszkami.

— To bardzo grzecznie z pańskiej strony — powtarzała — bardzo grzecznie...

Baron skierował się ku wyjściu. Od progu rzekł:

— Żegnam... Pamiętaj pani, jeśli zechcesz pójść do sędziego, umrzesz...

Wyszedł.

Tema została sama. Lekka jak ptak, przerzucając się co chwila od wrażenia do wrażenia, zaczęła śpiewać jakąś piosenkę... Podrzucała banknoty i bawiła się niemi. Cała toaletka została pokryta storublówkami!.. Tęczowe ich kolory oryginalnie odbijały od srebra, inkrustującego ramy zwierciadła toalety, pod blado-błękitnem światłem lampy.

Naraz Tema coś sobie przypomniała...

— Ach, Jaśko, biedny Jaśko! — zawołała, wybuchając płaczem.

Rzuciła się na szesląg. Konwulsyjne, gwałtowne łkania poruszały jej klasyczne łono. Puszyste futro odsłoniło całą tę pół nagą, przedziwnie piękną postać. Wtuliła głowę w poduszki, darła i gryzła koronki ba-

tystowej chustki i małej poduszeczki .. Krzyczała, uderzając nogami o szesląg:

— Jaśko, Jaśko!...

We drzwiach stanęła pokojówka i zapytała:

— Pani mnie woła?

Tema porwała się jak raniona lwica. Pochwyciła z toalety jakiś metalowy drobiazg i rzuciła nim w służącą .

— Precz!..

ROZDZIAŁ IV.

„Fryga“ znajduje.

Przed domem barona von Rajta, czekała kareta. Stangret w liberji zasnął na koźle i kiwał się powoli. Gdyby nie był pogrążony w śnie, mógłby widzieć jakiegoś nizkiego, małego człowieczka. który się uparcie przechadzał po drugiej stronie ulicy. Od czasu do czasu rzucał on badawcze spojrzenia na ekwipaż i na dom, w którym mieszkała Tema.

Płomień latarni gazowej, stojącej nieopodal bramy, wyraźnie oświetlał sylwetkę powozu i dom, tu-

dzież wejście do bramy. Druga strona ulicy, niezabudowana, ogrodzona tylko jakimś parkanem. tonęła w cieniu...

Zdradzimy incognito małego człowieczka, wytrwale już od półtorej godziny krążącego naprzeciw okien pięknej kurtyzanki. Jest to „Fryga”, którego zresztą w żaden sposòb w tej chwili nie poznalibyśmy; nie mówiąc już o kostjumie, twarz ma zupełnie inną. Duże blond wąsy, blond hiszpanka i niebieskie okulary zmieniły zupełnie wyraz twarzy „Frygi”. Włosy jego, zwykle w nieładzie, były teraz starannie rozczesane.

„Fryga” robi teraz wrażenie jakiegoś markiera z czwartorzędnej knajpki, a potroszę może przypomina typ warszawskiego „andrusa”, mniejsza o to, „pobytowego”, czy nie „pobytowego”.

Ajent policyjny, przechadzając się, pogwizduje sobie z cicha i swoim zwyczajem mruczy pod nosem:

— Tema... Tema!... Dalibóg, przeczucie powiada mi, że ona także musiała się urodzić na Nalewkach... Djabli nadali, że nie miałem dziś czasu widzieć starego Kapuścińskiego... Ten zna wszystkie. Znałbym już ją na palcach, jak zły szeląg. To zresztą rzecz nie stracona; trzeba będzie jutro kupić Kapuścińskiemu trzy „oczyszczone” i będzie dobrze. . Ale co to za gagatek? Przeczuwam połów. Niech co chce gada naczelnik i mecenas, ale ja wierzę w przeczucia. Jego twarz... jego twarz .. Zkąd ja ją znam?. .

Zatrzymał się. W ciszy wieczoru niczem nie przerywanej, naraz dał słyszeć hałas w bramie.

— Ach, oto i on — szepnął „Fryga" - przyjrzyjmy mu się jeszcze raz...

W tej chwili z bramy wyszedł baron von Rajt. Promienie latarni padały na jego po angielsku zimną twarz, okoloną niewielkiemi bakenbardami. Rzucił przenikliwym wzrokiem na około. „Fryga" aż skurczył się w ciemnościach po drugiej stronie ulicy, ażeby nie zostać dostrzeżonym. Usunął się za jakiś występ parkanu i czekał. Czy baron spostrzegł go? Oto kwestja... Scena ta trwała zresztą jedną, jedyną sekundę. Baron otworzył drzwi karety i szepnął parę słów rozbudzonemu już stangretowi. Za chwilę, kareta ruszyła.

„Fryga" pozostał sam, wciśnięty w kąt parkanu, Gestykulował w ciemności jak opętany.

— Zkąd ja go znam? zkąd ja go znam?... — powtarzał.

W tej chwili „Fryga" szybko powziął postanowienie. Ruszył za karetą dobrym kłusem, a spotkawszy za chwilę na rogu dorożkę, wsiadł do niej i kazał jechać naprzód.

Tymczasem musimy objaśnić, w jaki sposób „Fryga" znalazł się pod oknami pięknej Temy. Nie należał on na pewno do jej wielbicieli i nie przyszedł chyba śpiewać serenad. W samej rzeczy, cel jego był trochę inny. Uważając Temę za punkt wyjścia śledztwa, w czem wcale się nie zgadzał z mecenasem „Julkiem", ajent policyjny postanowił, według swego wyrażenia, „zobaczyć, jak ona wygląda". W tym celu udał się na Wspólną, ażeby przeprowadzić swoje małe

śledztwo. W chwili jednak, kiedy już przekonał się z listy lokatorów, że Tema mieszka na dole i zdołał ujrzeć dwóch jej wielbicieli odprawionych ode drzwi, zaturkotała kareta. Z ekwipażu wyskoczył młody człowiek. Otarł się on prawie o „Frygę", który mógł zblizka przyjrzeć się jego szczupłej, bladej twarzy. Ta twarz uderzyła go. Wyraz jej był dość oryginalny, a „Fryga", posiadający między innemi wyborną pamięć fizjognomij, przysięgał sobie, że ją już gdzieś widział. Nawet dziwiło go bardzo, że wbrew swemu zwyczajowi, nie mógł jej sobie przypomnieć odrazu. Tak, czy inaczej, „przeczucie", jak je nazywał, obudziło się w jego umyśle. Zdawało mu się, sam nie wiedział dla czego, że właśnie ta osobistość ściśle musi być związana ze sprawą. Powiedział sobie: „Tema mi nie ucieknie!" I pojechał za baronem.

Siedząc w dorożce, która posuwała się w pewnem oddaleniu za karetą, „Fryga" rozmyślał nad badawczem spojrzeniem, które rzucił dokoła siebie młody człowiek, wsiadając do karety. Czyby co podejrzewał? Alez to właśnie dowodzi, że ma się czego obawiać. „Fryga" zatarł ręce. Starał się następnie odgadnąć przypuszczalny powód wizyty młodego człowieka. Ma się rozumieć, nawet tak bujna jak jego fantazja, nie mogła mu dać w tej mierze stanowczej odpowiedzi.

— No, no — pocieszał się „Fryga" — nie odrazu Kraków zbudowany... W każdym razie, to nie bez kozery, że tego przyjęła... „Książę Stasz", który podobno jest z nią bardzo dobrze, poszedł precz, drugi

poszedł precz... Słyszałem nawet z bramy, jak im coś służąca mówiła o chorobie... A ten przyjęty!...

W tej chwili kareta wjechała z Wierzbowej na Plac Teatralny. Skierowała się ona wzdłuż kolumnady teatru. „Fryga” zatrzymał swego dorożkarza na rogu, obok handlu naówczas Bocquet’a, wyskoczył i stanął przy oknie wystawowem, przyglądając się niby wystawionym za szybą butelkom likieru. Z pod oka pilnie spoglądał w bok.

Kareta zatrzymała się przed cukiernią teatralną. Baron wyskoczył z niej i wyjąwszy z pugilaresu jakiś papierek, dał stangretowi, następnie odprawił go skinieniem ręki, a sam wszedł do cukierni.

— A więc to kareta z remizy.. — zrobił sobie uwagę „Fryga”.

Poleciwszy swemu dorożkarzowi oczekiwać, ajent zaczął przechadzać się powoli pod kolumnadą. Zaglądał przez okna i drzwi do wnętrza cukierni. Młodego człowieka nie było widać ani w bufecie, ani we frontowych salonach

— Musi być w palarni, albo na górze — myślał.

Upłynęło pół godziny, godzina. . „Fryga” zaczął się niepokoić. Naraz przypomniał sobie, że cukiernia teatralna ma kilka wyjść. Przypomniał sobie badawcze spojrzenie, które rzucił młody człowiek w około, otwierając drzwi cukierni.

„Fryga” zdecydował się. Wyjął z kieszeni jakiś kawałek papieru, złożył go w formie listu i wszedł do cukierni. Subjektowi, który go pytał wzrokiem o po-

wód wejścia do złoconej cukierni, pokazał papier i rzekł:

— List do jednego pana...

Rzucił pierwsze lepsze nazwisko i pobiegł dalej. Przebiegł wszystkie salony cukierni, palarnię, wszedł na górkę, poszedł nawet do teatralnego foyer — bruneta z bakenbardami nie było nigdzie...

— A to łotr! — zaklął „Fryga”, znalazłszy się przed teatrem — wymknął się albo przez podwórze do Wierzbowej, albo przez przedsionek teatralny... Osioł ze mnie!...

W tej chwili ajenta pociągnięto za rękaw. Obok niego stał dorożkarz, nizki, gruby mężczyzna, z czerwoną jak karmazyn twarzą i czerwieńszym jeszcze nosem, posiadający zawiesiste wąsy i dobroduszny uśmiech

— Panie, panie! — rzekł on, patrząc cokolwiek podejrzliwie na „Frygę” — trza płacić za kurs i za stanie... Czas jechać do domu; koniska się zmordowały...

„Fryga” trochę się skrzywił. Trzeba było zapłacić, pomimo tak słabego rezultatu polowania. Wyjął woreczek i zwolna odliczył kilka złotych. Dorożkarz zważył pieniądze na ręku i rzekł:

— No, zdałoby się na piwo...

Naraz ajentowi przyszła do głowy myśl Zwrócił się do dorożkarza:

— Ha, kiedy tak, to lepiej chodźmy razem na kufelek...

Szeroka twarz dorożkarza roześmiała się wesoło.

— No — rzekł — chociaż to nie wedle przepisania, żeby furman z gościem pili razem piwo... Ale, kiedy prosicie...

— Ma się rozumieć, że proszę.

— A więc gdzie?

— Chyba tu, na Niecałą, do „resursy”.

Nieświadomych objaśniamy, że taką nazwę nosi pospolicie szynk, specjalnie przez dorożkarzy odwiedzany.

— Ho, ho — roześmiał się dorożkarz — to wy widać z naszych, kiedy znacie „resursę”... Jeździliście?...

— Trochę...

— No, to siadajcie do dryndy. Pojedziemy po kawalersku.

Za chwilę, gruby „dryndziarz”, trzasnąwszy z fantazją z bata, zawrócił na miejscu i niebawem, po przebyciu króciutkiego kursu, był u celu. W minutę później, dorożkarz i „Fryga”, ze strony którego przyjacielskie traktowanie dorożkarza nie powinno nas dziwić, skoro przypomnimy sobie strój, jaki przywdział i twarz, jaką sobie zrobił, siedzieli w szynku, przy piwie. Po paru frazesach obojętnej rozmowy, „Fryga”, który już także zdołał przejść z wesołym dorożkarzem na „wy”, zagadnął go:

— Powiedzcie no, staliście przecież ciągle na rogu Placu i Wierzbowej, czyście nie widzieli przypadkiem wychodzącego z dużej bramy z teatru, co to zaraz za Bocquetem, jednego młodego człowieka?

— A bo co?

— Ta, potrzeba mi to wiedzieć...

— Bogać tam nie widziałem... Kręciło się tam parę osób, były nawet coś ze dwie kobiety... Ot, siedział człowiek i siedział, a nie miał co robić, to się gapił...

— Widzicie, idzie mi o młodego człowieka, wysokiego, szczupłego, w cylindrze, w porządnym paletocie. Miał czarne faworytki, takie nieduże... Wyglądał jak jaki hrabia.

— Hę... poczekajcie no... a toć rychtyk taki jakby wychodził,.. Coś mi się nawet zdaje, że, jak wyszedł, to się bardzo mocno na wszystkie strony oglądał.

— I dokąd poszedł.. w którą stronę?... — pytał „Fryga" gorączkowo.

Ale dobroduszny dorożkarz coś już kombinował. Odsunął od siebie nieskończony jeszcze kufel piwa i zapytał:

— A bo wy może z ratusza... hę?... Tacyście ciekawi!

Ale „Fryga" już najsolenniej sumitował się, że nigdy nic wspólnego z ratuszem nie miał. W pięć minut opowiedział towarzyszowi zmyśloną biografię i historję poszukiwań. Kiedyś, powoził na dorożce, teraz służy u krawca (wymienił adres i nazwisko). Nad wieczorem, jego pan spostrzegł przechodzącego drugą stroną ulicy swego dłużnika, który przed paru laty wyjechał z Warszawy, właśnie tego elegancika; kazał mu wziąć czapkę i pójść za nim, ażeby się dowiedzieć jego adresu... Chodził za nim i jeździł cały wieczór, aż mu się wymknął tak niespodzianie.

Gruby dorożkarz aż zanosił się tymczasem od śmiechu.

— Zuch chłop, zuch chłop! — powtarzał — a to was wziął!...

— Ba, ale mi za to „stary” sprawi futrunek, żem go puścił...

— Na frasunek, dobry trunek — rzekł sentencjonalnie dorożkarz.

— A i to prawda...

„Fryga” brzęknął woreczkiem z drobnemi pieniędzmi i dodał:

— „Stary” dał na koszta dziesięć złotych... Na zmartwienie trzeba to przepić.

— Tak się patrzy...

— Markier, dwa piwa!..,

Upłynęła chwila na gawędzie.

— Aha! pytaliście się — przypomniał sobie wreszcie dorożkarz—w którą stronę poszedł ten wasz hrabia... No, nie wiele wam z tego przyjdzie, ale zawsze powiem wam, że pomaszerował przez Wierzbową do Trębackiej, a co dalej się z nim stało, ma się rozumieć, nie wiem..

Kufle jakoś wysychały prędko.

— Markier, dwa piwa! — zawołał „Fryga”.

Twarz dorożkarza zaczynała się czerwienić coraz mocniej. Nos był już bronzowego koloru.

— Ho, ho! powiadam wam — ciągnął dalej — dziś to już taki mam ciekawy dzień... Same nadzwyczajne kursa! No, na waszym, to człowiek nie wiele

zarobi, przynajmniej dobrze, że się spotkało poczciwego człowieka. Ale rano!...

— Cóż takiego rano?— zapytał „Fryga”, w którym zawsze był na straży instynkt policjanta.

— Powiadam wam, arabska historja... No, ale wam, kiedy nie jesteście z ratusza, można opowiedzieć...

— Gadajcie, gadajcie...

Na stole stanęły w tej chwili dwa sute kufle piwa. Czerwony dorożkarz pociągnął z jednego, widać dla kontenansu i zaczął:

— Uważacie, jak jestem dwadzieścia trzy lata dorożkarzem, tak mi się jeszcze nic podobnego nie trafiło. Stoję ja sobie na stacji przy rogu Placu i Senatorskiej, aż tu wpada mi do dryndy jakiś niby żydziak... Młode to, szczupłe! Nie wiele myślący, wyjmuje z kieszeni dziesięć rubli i pyta: Chcesz to zarobić?—Dla czego nie?—Widzisz tę dorożkę? — Widzę. Trzeba za nią jechać, uważasz? — Uważam, to nawet nie tak trudne... — Otóż, powiada mój żydek, jeżeli ta dorożka nie pojedzie w Miodową, zarobisz i tak bez niczego ten papierek...

— A jeśli pojedzie? — przerwał naraz „Fryga”, którego oczy zaczęły się już zapalać ciekawością.

Węszył on coś interesującego, a głos wewnętrzny mówił mu, że losy chcą dlań najwidoczniej powetować dopiero co doznane niepowodzenie.

— O, o! w gorącej jesteście, widzę, wodzie kąpani — rzekł dorożkarz.

Odsapnął i wypił kufel do dna.

— Ej, markier, jeszcze piwa! — wołał „Fryga".

— Myślę sobie: niezgorszy jakiś żydowina... Żeby tylko parch dotrzymał obietnicy. I ruszam. A mój żydek stoi w dorożce tuż za mojem uchem i gada: A jeśli pojedzie w Miodową, to będzie gorzej... Oho, myślę sobie, to źle, kiedy gorzej. Ale nic, tylko jadę... Trzeba będzie, peda, koniecznie zaraz na początku Miodowej zawinąć się tak, żeby najechać dobrze na tę dryndę, choćby jej tam trochę potłuc boki... Obejrzałem się, czy to człowiek przy zdrowych zmysłach? Pytam się go: A jakże wedle kozy? I chciałem zatrzymać konie. A tu moj żydziaczek już mi tka dziesięć rubli w łapę i pokazuje ogromne pugilaresisko pełne pieniędzy i dalejże perswadować, że za wszystko zapłaci, że tamta dorożka może nie wjechać w Miodową (a już zawracała z Bielańskiej na Długą), że można nawet nie dać się złapać, jak kto mądry, że to zakład, że go mam w ręku, że jakby mnie wzięli do kozy. to da jeszcze trzydzieści rubli... Powiadam wam, kumie, przez te dwie minuty nagadał więcej, niż inny przez rok...

— No i co, co?... — pytał rozgorączkowany „Fryga".

Dorożkarz, który pod błogim wpływem wypitego piwa, zaawansował już ajenta na „kuma", kiwał się na wszystkie strony.

— A no, zaryzykowałem — odpowiedział po chwili.— Skotłował mi psia bestja głowę... Powiedziałem sobie: raz kozie śmierć!...

— I cóż?

— A nic... Wjechałem na tamtą dryndę jak się

patrzy... Złego jej, zdaje się, nic nie zrobiłem, tylko się baba wywaliła.

— Co za baba?...

— Pasażerka ot, jakaś była, rzetelnie nie wiem, bom zmykał przez Kapitulną, aż się koniskom uszy trzęsły... Zdaje się, że jakaś młoda i galanta...

— No i zemknęliście?

— A jakże.

— A żydziak?

— Poczciwy żydzina... Dał jeszcze pięć rubli i na Krakowskiem-Przedmieściu wysiadł...

Dorożkarz wysączył piwo z kufla i wstał, trochę chwiejąc się na nogach.

— No, dobranoc wam, kumie... A jak ta wam na imię?...

— Walenty.

— A mnie Mateusz. Najczęściej stoję tu, na rogu Senatorskiej i Placu... Przyjdźcie kiedy pogawędzić.

Wyszedł zwolna, stąpając dość fantastycznie.

„Fryga” został sam. Przez chwilę stał zamyślony. Naraz uderzył się w głowę i zawołał:

— Jestem w domu!

Zapłacił markierowi i wybiegł jak szalony. W głowie czuł chaos i zamęt. Przypomniał sobie, że na Miodowej, jadąc z adwokatem, był niemal świadkiem wypadku i że ofiarą wypadku była — Tema. Najwidoczniej, ktoś chciał jej nie pozwolić udać się... czy nie do sędziego śledczego? Ale kto? Kto był ten żydek? Czy i jaki związek istnieje pomiędzy tym żydkiem, goniącym rano za Temą w dorożce, a tym eleganckim mło-

dzieńcem, który odwiedzał ją wieczorem i który tak zręcznie potrafił dostrzedz jego, „Frygę” i tak łatwo się od jego nadzoru uwolnił? Takie pytania zadawał sobie „Fryga”.

Teraz stokroć więcej, aniżeli przed chwilą, żałował, że mu umknęła zwierzyna .. Musiała ona mieć powody chronienia się.

„Fryga” zresztą był dobrej myśli. Przypadek, a jak sam do siebie po cichu się przyznawał i jego węch, służyli mu dobrze. Od paru dni był na tropie drobnych, ale ciągłych odkryć. Winszował sobie, między innemi, przyjaźni z dorożkarzem Mateuszem i obiecywał, że przy jego pomocy zdoła znaleźć „żydka”...

Rozmyślając o tem wszystkiem, „Fryga” mimowoli kierował się w stronę Starego Miasta. Był już przy rogu Podwala i Senatorskiej, kiedy się spostrzegł. Spojrzał na zegarek: dochodziła jedenasta. „Fryga” przystanął.

— Wartoby pójść do Karolci — zaczął sam do siebie. — Biedactwo, czeka na mnie pewno z kolacją. Same nogi mnie w tę stronę przyniosły.

Po chwili machnął ręką:

— E, nie... Czuję, że dziś mam szczęście... Trzeba pójść chociaż rzucić okiem na dom, gdzie mieszka Meiner. Mam przeczucie. Może się uda co odkryć.

Pośpiesznym krokiem zagłębił się w Podwal. Za kwadrans był na Nalewkach.

— O tej porze, ta ruchliwa we dnie ulica, była cicha i milcząca. Zrzadka tylko słychać było szybkie kroki przechodniów. Sklepy wszystkie pozamykane.

we frontowych oknach nie widać świateł. Tylko gdzieniegdzie przed bramą rzucała słaby blask kolorowa latarnia jakiego hotelu. Zresztą, dwa szeregi latarń gazowych o żółtych płomieniach, wydłużały się w dwie harmonijne linje, na tle śpiących w mroku kolosów-kamienic, które za kilka godzin miały znów zawrzeć zwykłym szumem i gwarem. Nalewki spały.

„Fryga" już parękroć przeszedł się po trotuarze, położonym naprzeciwko domu, w którym mieścił się kantor Meinera. Okna drugiego piętra, zajmowanego przez pokątnego doradcę, były zupełnie ciemne. „Fryga", który nauczony doświadczeniem, udawał pijanego, z trudnością posuwającego się naprzód, zaczął już żałować bezużytecznej wycieczki.

Nagle, serce mu uderzyło mocniej. Usłyszał hałas kroków; z głębi Nalewek, o kilka domów dalej, ukazały się dwa cienie, dwie postacie... „Fryga" udawał pijanego z większą jeszcze niż poprzednio energią. Czapkę przekrzywił i mruczał coś niezrozumiale pod nosem.

Dwa cienie zbliżały się coraz więcej i rysowały coraz wyraźniej... Stanęły przed domem, w którym znajdował się kantor Meinera. Jeden z nich pociągnął za dzwonek.

„Fryga", który przed chwilą odsunął się w przeciwnym kierunku, zbliżył się teraz ku nim.

Dwaj ludzie rozmawiający żegnali się widocznie. Brama szczęknęła; niebawem stanęła otworem. W tej chwili „Fryga" ujrzał dwie twarze, w podwójnem oświetleniu stojącej nieopodal latarni gazowej i dużej

latarni zawieszonej w bramie. O mało co, że nie krzyknął.

Byli to Apenszlak i ów nieznajomy brunet z bakenbardami, który przed godziną tak zręcznie zdołał się wymknąć ajentowi tylnem wyjściem cukierni teatralnej...

„Fryga" tak był zdumiony, iż zaledwo nie przestał grać roli mniemanego pijaka. Ale przytomność umysłu powróciła mu w jednej chwili. Począł tedy energiczniej, niż poprzednio, według warszawskiego wyrażenia „zamiatać trotuar nogami". Tymczasem Apenszlak i młody brunet rozmawiali jeszcze sekundę, wreszcie pożegnali się.

Brunet wszedł do bramy, Apenszlak oddalił się w głąb Nalewek.

„Fryga" stał jeszcze przez chwilę przed kamienicą. Upłynęły dwie minuty. W jednem z okien mieszkania Abrahama Meinera, dotąd ciemnem, pokazało się światło. Tego tylko potrzeba było ajentowi

— Oh, oh! — powiedział do siebie—znalazłem ..

ROZDZIAŁ V.

Iskry.

„Fryga” dość już dziś zrobił.

Mógłby z czystem sumieniem odpocząć. Ale ajent policyjny był zdania, że trzeba „kuć żelazo, póki gorące...” Miał szczęśliwy wieczór — i postanowił wyeksploatować tę serję szczęścia do końca... Znamy już dobrze „Frygę”. Wiemy, że rządził się on zawsze cokolwiek przeczuciem i fatalizmem... Wierzył w szczęśliwe chwile i zapewniał. że wtedy udaje się mu rozwiązywać bez trudu najbardziej zawikłane zagadki, o klucz do których kiedyindziej kusiłby się napróżno. Z takich chwil trzeba jednak korzystać...

To też „Fryga” bynajmniej nie myślał zawieszać swych poszukiwań

Pozostawał mu obecnie Apenszlak, oddalający się coraz bardziej w głąb Nalewek. Sylwetka jego widniała na jednym z trotuarów, w tej chwili pustych, w żółtawem świetle latarń gazowych. „Fryga” przyśpieszył kroku. Już był niedaleko, już trzeba było przedsięwziąć środki, ażeby go Apenszlak nie dostrzegł... Gdy wtem ojciec Róży zatrzymał się przed bramą domu.

Był to dom, w którym mieszkał.

Apenszlak zadzwonił i wszedł. W chwili, kiedy zdyszany ajent dobiegał do kamienicy, brama zamknę-

ła się za właścicielem „kantoru”. „Fryga” stanął na trotuarze, zdekoncertowany.

— Jakto, więc już? — pytał sam siebie.— Sesja skończyła się?...

Nie chciał wierzyć, aby wieczór tak pięknie zaczęty, miał go doprowadzić tak niedaleko. Rzeczywistość jednak była stanowcza. Apenszlak najwidoczniej poszedł do domu spać. Toż samo pozostawało do zrobienia ajentowi.

Był on jednak na to zbyt upartym

Postanowił jeszcze poczekać.

— Może co będzie? — myślał sobie. Pół godziny niewielka rzecz, a zobaczymy...

Przeszedł na przeciwległy trotuar i zaczął się przechadzać, uważnie przyglądając się domowi. Ktoś, ktoby go obserwował, mógłby przypuszczać, że oczekuje czegoś niezwykłego, jakiegoś wypadku. .

Dom zresztą nie przedstawiał nic zajmującego. Front, starszej widocznie struktury, odróżniał się od sąsiednich wielkich trzypiętrowych kamienic. Był on stosunkowo nizki, jednopiętrowy, z facjatkami. „Fryga” znał dobrze tę posesję. Wiedział on, że w środku wązkiej a długiej nieruchomości, znajduje się oficyna poprzeczna podobnej konstrukcji, dzieląca dwa podwórza, a w głębi drugiego podwórza oficyna, w której mieścił się „kantor” Apenszlaka. Oficynę tę czytelnik już zna. Wszystkie te budynki były nizkie i stare. Za to boczne oficyny, wznoszące się z obiedwu stron posesji, wzdłuż obu podwórz, zostały wzniesione niedawno... Były to wysokie czteropiętrowe gmachy.

Jak powiadamy, „Fryga” uparcie przyglądał się domowi.

Upór jego został wynagrodzony... Zrobił odkrycie. Było ono napozór bardzo drobne, bardzo nieznaczne, ale w tym stanie podbudzenia, w jakim się w tej chwili znajdował ajent, najmniejsza drobnostka stanowiła bardzo poważny materjał dla jego wyobraźni.

Po nad dom, wybiegło w górę, wysoko, parę złotych iskier, migotało na tle ciemnego nieba i zagasło... Trwało to jedną tylko chwilkę. Ajent sądził pierwotnie, że jest ofiarą złudzenia. Po minucie jednak iskry znów wyleciały w powietrze.

— Co to może znaczyć?... — pytał sam siebie „Fryga”.

Przysłowie powiada: nie ma dymu bez ognia, tem bardziej iskier. Musiano więc palić ogień wewnątrz domu. Ale kto i w jakim celu? Pora była ciepła, o paleniu w piecach nikt jeszcze w całej Warszawie nie myślał... Posiłku gotować o tej godzinie nikt nie mógł... Zresztą, całe Nalewki i dom spały.

Ajent łamał sobie napróżno głowę nad pochodzeniem tych tajemniczych iskier...

— A może to wprost zapaliły się sadze w kominie? — rozumował. — Nie, niepodobna Do tej chwili byłby już większy wybuch... Zaalarmowanoby mieszkańców.

Znów wyleciały w powietrze dwie czy trzy iskierki, wyniosły się wysoko w górę i zagasły.

— W tem jest coś tajemniczego...—mruczał pod nosem „Fryga”.

Przeszedł się jeszcze parę razy. Objaw powtórzył się parokrotnie. „Fryga” tarł sobie zapamiętale nos i rozważał.

— Ach, ach!—rzekł do siebie, zatrzymując się— jakiż ja jestem niedomyślny... Te iskry w żadnym razie nie mogą pochodzić ze zwykłego ognia na kominie lub w piecu... Nie wylatywałyby wcale, a przynajmniej nie wypadałyby tak wysoko... Pamiętam, kiedy mieszkałem na Okopowej, widywałem często wylatujące podobne iskierki z wysokiego komina fabryki...

„Fryga” stanowczo znajdował się wobec zagadki...

Postanowił znaleść jej rozwiązanie. Iskry wylatywały nie z kominów domu frontowego, lecz widocznie z głębi posesji, prawdopodobnie z oficyny poprzecznej, lub z oficyny zajmowanej przez Apenszlaka! Ajent widział szczyty wysokich bocznych oficyn, górujących nad posesją i mógł stwierdzić, że iskry nie pochodziły z ich kominów. Ażeby tę rzecz zbadać, należało bądź co bądź dostać się do wnętrza domu.

— W jaki sposób?... — zadawał sobie pytanie „Fryga”.

Pierwotnie chciał wprost zadzwonić do stróża i pod pozorem, iż zapaliły się sadze, wejść do środka.

— Nie, nie — rzekł sam do siebie — to byłoby do niczego niepodobne... Jeżeli tam jest co do odkrycia, to najprostszy sposób spłoszenia ptaszków i stracenia śladu raz na zawsze.

Namyślał się. Wzrok jego, błądząc do koła, padł na przymknięte do połowy drzwi jakiegoś sklepu. Był

to bodaj jedyny sklep, o tej porze niezupełnie zamknięty na Nalewkach. Z poza zamkniętej szyby drzwi wejściowych, widać było blade światełko. Na szybie znajdował się czerwony napis: „Restauracja" i wymalowane były dwa pomarańczowe kufle, związane jaskrawo — żółtą wstążką.

— Zapomniałem o Szapsiowej — rzekł ajent.

Przeszedł przez ulicę i skierował się do drzwi „Restauracji". Wewnątrz, w zaniedbanej i brudnej izbie sklepowej, było prawie zupełnie pusto. Za bufetem kiwała się na pół śpiąca gruba żydówka, pod piecem siedział jakiś młody żydziak... Przy oknie, dwaj żydzi, o dość nieszczególnych fizjognomiach, grali w domino.

„Fryga" rezolutnie skierował się w głąb izby, do drzwi, znajdujących się nieopodal bufetu. Przy tamtych drzwiach zatrzymał się.

— Przynieść mi „tam" szabasówki i gęsiny — rzekł.

Otworzył drzwi i wszedł do ciemnego kurytarza. Z pewnością siebie posuwał się naprzód. Trafił znowu na drzwi, do których zastukał w umówiony sposób. Za chwilę drzwi otworzyły się cokolwiek. Zionęła z nich fala spartego powietrza, przepełnionego wyziewami spirytusu i tytuniu. W otworze drzwi ukazała się potężna postać olbrzymiego żyda, o rudej brodzie,

— Co tam? — zapytał.

— Interes do Suchara... Czy jest Suchar?

— Nie ma, ale zaraz będzie — była odpowiedź żyda. — Można wejść...

„Fryga został wpuszczony do wnętrza. Była to izba nader charakterystyczna. Obszerna, pełna dymu, zastawiona stołami i krzesłami, mieściła w tej chwili kilkadziesiąt indywiduów, postaci wstrętnej i podejrzanej, z którymi nie bardzo bezpiecznie byłoby spotkać się gdzie na samotności. Byli tu żydzi i chrześcijanie, jednakowo nie budzący zaufania. Pili, palili, grali w karty i kości. Szczególniej zwracała uwagę nader charakterystyczna grupa żydów, w jednym z kątów. Grali w „oko", a ciągłe okrzyki zwiastowały lada chwila mającą wybuchnąć burzę... W ogóle panowała tu wrzawa nie do opisania, hałasu jednak na zewnątrz nie słyszano, ponieważ drzwi i okna były zaopatrzone aż nadto dobrze.

Od czasu do czasu, w którejś z grup wybuchało nieporozumienie. Zaciskały się pięści, błyskały złowrogo wejrzenia, z zaciśniętych ust wylatywały syczące słowa... Dłonie szukały nożów w kieszeniach lub za cholewami. Lada chwila miała wybuchnąć walka..

Wówczas interweniował wielki, rudobrody żyd. Uspakajał przeciwników jednem spojrzeniem, a gdy tego było za mało, wstrzymywał, jak w żelaznych kleszczach, podniesione dłonie...

Był to Szapsia, znany siłacz warszawski, który nieraz nawet w cyrku potrafił się mierzyć z cudzoziemskimi akrobatami Żona jego, gruba żydówka, którą widzieliśmy w pierwszym pokoju, utrzymywała „restaurację", a on, jako niegdyś „pobytowy", był gospodarzem w tylnym pokoiku, przeznaczonym dla gości, którzy nie bardzo lubią światło dzienne.

Odbywały się tu po nocach wstrętne orgje, to też nie każdy mógł być tutaj dopuszczony.. Trzeba było znać sygnał i mieć rekomendację...

„Fryga” znał dobrze knajpkę, a przed kilkoma tygodniami robił tu nawet rewizję. Co do Suchara, na którego się powołał, był to jeden z najniebezpieczniejszych bandytów warszawskich. Obawiać się jego przybycia nie potrzebował, ponieważ tego samego ranka własnoręcznie zapakował go do kozy...

Ajent usiadł przy którymś wolniejszym stole.

— Obstalowałem szabasówkę i gęsinę—rzekł.

Za chwilę otworzyły się małe drzwiczki, ukryte w głębi izby i ukazał się młody żydek, niosąc talerz. „Fryga”, stosownie do przyjętego tutaj zwyczaju, musiał z góry uiścić należność. Kiedy wreszcie postawiono przed nim wódkę, pochwycił w jednej chwili wielki kielich i wychylił go do dna...

Pomimo wszystko, było mu trochę nieraźno... Coby było, gdyby go poznali? Nie miał nawet odwagi rozglądać się po twarzach obecnych, ale był pewny, że znalazłby niejednego znajomego. Sam Szapsia widział go nieraz. „Fryga” winszował sobie pomysłu ukostjumowania się...

Rzeczywiście, na widok obcej fizjognomji ajenta, zaczęły się odzywać w różnych kątach izby szmery, ale nazwisko Suchara, rzucone przez Szapsię, niebawem uspokoiło burzących się.

„Fryga” oparł się o ścianę, przymknął oczy, jak gdyby czekał. W samej rzeczy rozmyślał.

Plan jego dotąd nie był stanowczo zdecydowany.

Postanowił dostać się do wnętrza domu, a „restauracja” Szapsiowej miała być dlań tylko etapem na tej drodze. Szło o to: jak pójść dalej? Pierwotnie „Fryga” zamierzał czekać tu aż do jakiej drugiej lub trzeciej nad ranem i dopiero wtedy, gdy wszyscy będą wychodzili tylnem wyjściem przez bramę, zawieruszyć się na podwórzu. Niebawem jednak uznał ten plan za mało praktyczny. Najpierw, długie jego oczekiwanie mogło wzbudzić podejrzenia, których rezultat byłby dlań zapewne fatalny... Powtóre, tajemnicza robota, powodująca ukazywanie się iskier, na pewno w ciągu paru godzin ustanie.

— Trzeba działać śpiesznie— mówił sam do siebie „Fryga”.

Powziął postanowienie. Wstał i zbliżył się do rudobrodego żyda

— Panie Szapsia! — rzekł — nie mogę dłużej czekać. Powiedz pan Sucharowi, jak przyjdzie, że był tu Józiek z fabryki i kazał mu powiedzieć, że „granda” idzie...

Szapsia, nic nie mówiąc, kiwnął głową i otworzył drzwi.

„Fryga” znalazł się w ciemnym kurytarzyku, którym się niedawno tu dostał. Posuwał się naprzód, macając po prawej jego ścianie. Naraz zatrzymał się, namacał drzwi. Z niezmiernemi ostrożnościami nacisnął klamkę... Serce mu biło jak młotem. Klamka powoli ustępowała, poruszył nią, drzwi nie były zamknięte na zamek. „Fryga” omal nie krzyknął z radości, drzwi te bowiem jak sobie przypomniał, prowadziły do bramy.

Odemknął je cokolwiek i spojrzał. W bramie nie było stróża, w latarni zaledwo się kopciła mała naftowa lampka.

W sekundę, ajent już był w podwórzu.

Panowała tu ciemność i milczenie... Cały dom zdawał się spać głęboko. Ani jednego światełka w oknie! „Fryga” przytulił się do muru i spoglądał w górę. Czekał wylotu iskier. Nic... Serce uderzało mu mocno, sądził, że mu rozsadzi piersi.

Czyżby iskry już zagasły? Więc jego podróż byłaby zbyteczną!... Ślad znikał w chwili, kiedy go miał ująć. Ajent zaczynał być wściekły. Zarzucał sobie, że sam jest winien, że odrazu powinien był próbować przejść na podwórze drzwiami w kurytarzu, które tak szczęśliwie znalazł otwarte.

Naraz przyszła mu myśl. Znajduje się na pierwszem podwórzu. Iskry prawdopodobnie wylatują z drugiej, poprzecznej oficyny. Tutaj był zbyt blizko i mógł ich nie widzieć, ponieważ zasłaniała je pierwsza poprzeczna oficyna. Ta myśl dodała nowej energji ajentowi.

Nie bacząc na to, że położenie jego w nocy, w obcym domu, bez dokładnej możności wytłómaczenia nawet przed zwierzchnikami celu swych poszukiwań, nie było do pozazdroszczenia, szybko przemknął przez drugą bramę.

Drugie podwórze było również milczące.

Stanął w kącie i oczekiwał. Upłynęło parę sekund, które zdawały mu się wiekami. Wszędzie było ciemno, w drugim końcu podwórza rozróżniał kontury oficyny,

zajmowanej przez Apenszlaka. Na ciemno błękitnem tle nieba rysowały się wyraźnie dwa daleko ciemniejsze kominy tego budynku. Nie oświetlały ich żadne błyski...

Naraz... „Frydze” zdawało się, że się myli... na jednym z kominów zaświecił jak gdyby świętojański robaczek... potem drugi... trzeci. . Teraz nie mogło być wątpliwości. Snop złotych iskier wybiegł w górę, rozsypał się i zagasł.

„Fryga” omal nie wywinął koziołka z radości. Teraz mógł tryumfować. Iskry ukazywały się z oficyny zamieszkiwanej przez Apenszlaka; Apenszlak widuje się z brunetem z bakenbardami, który bywa u Temy i mieszka u Meinera; Meiner zamawia papier, na którym pisany jest list do Halbersona; wreszcie Apenszlak i Lurje bywają razem u Fajnhanda. „Fryga” trzyma ich wszystkich w ręku.

Bez namysłu, chciał biedz w tej chwili, zaraz, do naczelnika, objaśnić wszystko i zażądać aresztowania winnych.

Niebawem jednak przyszła rozwaga. O co ich może oskarżyć?... Oto wielkie zapytanie, które mu się nastręczyło odrazu. Naczelnik słusznie powie, że to „romanse”. Cóż, że z kominów oficyny Apenszlaka, w której wszyscy śpią, ukazują się iskry, jeżeli jednocześnie nie można go oskarżyć o żaden stanowczo zdecydowany czyn występny? Jest to, jak dotychczas, tylko niezwykłe, niewytłómaczone, ale jeszcze nie karygodne zjawisko... Trzeba mieć coś więcej. trzeba mieć dowody, ażeby módz działać.

Pod wpływem tych uwag, entuzjazm ajenta stopniał, jak śnieg majowy. Przed chwilą, zdawało mu się, że jest już u celu, teraz widział, że znajduje się dopiero na początku drogi.

— Czy w tej chwili można prowadzić dalsze poszukiwania?... — zadał sam sobie pytanie „Fryga".

Odpowiedź była: nie. W tej chwili nie miał żadnej szansy wśliznięcia się do wnętrza domu Apenszlaka; nie mógł przecież przypuszczać, że drzwi będą otwarte, jak te, któremi dostał się na podwórze. Trzeba było obmyśleć rzecz i uskutecznić wyprawę kiedyindziej. Taki był ostateczny wniosek „Frygi".

Pomimo to, instynkt policjanta skierował go ku oficynie. Czuł potrzebę dotknięcia się jej, posłuchania, czy wewnątrz nie będą się odzywały jakie tajemnicze szmery..

Posunął się naprzód. Obszedł całą oficynę, nie odkrywszy nic godnego uwagi. Nacisnął nawet zlekka klamkę drzwi — napróżno.

W tej chwili znajdował się na prawym końcu oficyny. Tutaj znajdował się rodzaj zagłębienia: oficyna nie dochodziła do muru sąsiedniej posesji na parę łokci. Powonienie objaśniło ajenta, że musiał się tu mieścić śmietnik...

Ajent chciał już wracać i obudziwszy stróża, wydostać się na ulicę, udając zapóźnionego gościa Szapsiowej.

Wtem na podwórzu posłyszał szmer... Zdawało mu się, że rozróżnia stąpania.

„Fryga" jednym skokiem znalazł się w zagłębie-

niu. Posunął się do samego muru. W ścianie oficyny, zamieszkanej przez Apenszlaka, znajdowało się tu coś, w rodzaju niszy, widocznie przeznaczonej na przebicie drzwi, na wypadek przedłużenia oficyny. Obok leżało kilka brukowców.

„Fryga” ukrył się w tej niszy, ukląłkłszy na kamieniach.

Po chwili szmer ustał. Wszędzie panowała cisza. Ajent musiał się omylić. Znów zamierzał się podnieść. Przykuło go do miejsca nowe wrażenie akustyczne. Zdawało mu się, że przyciskając ucho do ściany, słyszy jak gdyby daleki, stłumiony szmer, niby turkot naładowanego wozu, niby odgłosy gromu, ginące gdzieś w przestrzeni, niby ciężki oddech jakiejś maszyny. .

„Fryga” zadrżał cały.

Podniósł się. Próbował wspiąć się na kamienie, ażeby lepiej słyszeć ów daleki, dochodzący jak gdyby z pod ziemi odgłos...

Wtem parę kamieni usunęło się pod nim. Upadł i uderzył o ścianę. Uczuł dotkliwy ból. W tej chwili doznał nowego wrażenia. Zdawało mu się, że gdzieś spada...

Ściana usuwała się pod nim.

ROZDZIAŁ VI.

Pod ziemią.

„Fryga” po krótkiem omdleniu powrócił do świadomości...

Dokoła niego panowała cisza i ciemność. Powietrze było zaduszone, sparte, piwniczne...

„Fryga” przedewszystkiem obmacał się. Czuł w kilku miejscach ciała ból i chciał przekonać się, czy nie ma jakiego członka nadwerężonego. Rezultat wypadł dość pomyślnie. Oprócz kilku siniaków, tylko na prawem kolanie „Fryga” znalazł niewielkie uszkodzenie. Spodnie były rozdarte, a z ranki sączyła się jakaś wilgoć... Była to widocznie krew.

Ajent wyjął chustkę z kieszeni i obandażował sobie mocno kolano.

Z zimną krwią przystąpił następnie do rozpoznania sytuacji.

— Najwidoczniej wpadłem w jakąś dziurę—rozmyślał. — Z jednej strony jest to bardzo niepokojące, z drugiej jednak cieszy mnie niewymownie... znajduję się bliżej tajemnicy Apenszlaka...

Rzeczywiście, hałas, który przed chwilą jeszcze na podwórzu zaobserwował „Fryga”, tutaj dochodził, chociaz stłumiony, ale jednak już daleko wyraźniejszy.

— Zobaczmy, gdzie jesteśmy? — rzekł do siebie ajent.

Z łatwością przekonał się, że leżał na zwykłej piwnicznej podłodze, którą stanowiła gruba warstwa kurzu, pod którą były cegły. Opierał się plecami o dolne stopnie jakichś schodków.

„Fryga”, jak go znamy, był niezłym strategikiem. Przedewszystkiem tedy pomyślał o zabezpieczeniu sobie odwrotu. W tym celu, pomimo bólu w kolanie, począł się wdrapywać po stromych i wązkich schodkach. Naliczył ich szesnaście. Kończyły się one rodzajem małej platformy.

Próżno jednak ajent upatrywał w górze lub z boków jakiego otworu, którego jaśniejszy, odróżniający się od otaczających go ciemności zarys, wskazywałby miejsce, przez które możnaby wyjść na zewnątrz.

„Fryga” stanął na platformie i podniósł ręce do góry. Nie trafił na żadną ścianę. Dokoła była próżnia. Tylko ręce ajenta wzniesione do góry, zachwyciły długie pasma pajęczyny, zwieszające się zkądś, z niewidzialnego sufitu..

A więc odwrót był odcięty...

— Tem gorzej — rzekł do siebie „Fryga.— Pójdziemy naprzód.

Zeszedł ze schodków. Usiadł. Zastanawial się nad kwestją, w jaki sposób znalazł się w tem podziemiu, lub w tej piwnicy: wypadkiem, czy też. . inaczej? Była to ważna kwestja.

Ostatecznie wszystko przemawiało za wypadkiem. Oprócz stłumionego szmeru, podobnego do dalekiego

grzmotu lub sapania maszyny, żaden inny odgłos nie przerywał milczenia. Nie można się było domyślać w pobliżu żadnej żyjącej istoty.

„Fryga” zrobił sobie bardzo słuszną uwagę:

— Gdyby ściągnięto mnie tu z zamiarem, napewno miałbym już obok siebie kogoś, ktoby się mną interesował...

Ajent przyszedł tedy do wniosku, że trafił przypadkowo na jakieś ukryte drzwi, które w skutek uderzenia otworzyły się i dały mu w ten sposób dostęp do tajemnic Apenszlaka. Stanowczo, przypadek mu sprzyjał.

Gdyby w tej chwili oświetlono twarz ajenta, dostrzeżonoby na niej szyderczy uśmiech.

— Martwiłem się właśnie — mówił do siebie — jak się dostać do pałaców Apenszlaka... Oto w nich jestem. Idźmyż więc naprzód...

Podniósł się i postąpił dwa kroki, wyciągnąwszy przed siebie ręce. W tej chwili jednak musiał się zatrzymać, uderzył głową o sufit.

Pokazało się, że tylko schodki znajdowały się w rodzaju studzienki, której pułapu nie można było dosięgnąć. Samo podziemie było dość, a nawet bardzo nizkie... „Fryga”, pomimo swego niewielkiego wzrostu, musiał uklęknąć i w ten sposób posuwać się naprzód, na kolanach..

Przed nim roztwierał się rodzaj kurytarza, jak o tem mógł się przekonać za pomocą dotykania. Ściany stanowiły ciężkie paki, widocznie czemś naładowa-

ne Ajent próbował którą z nich usunąć. Udawało mu się to z wielką trudnością.

Upłynął kwadrans. „Fryga” powoli i z wszelkiemi ostrożnościami posuwał się naprzód. Zdawało mu się dziwnem, że nie dosięgał żadnego celu. Tajemniczy hałas ciągle dochodził do niego, z jednakową prawie mocą...

— Cóż u licha! — mruknął sam do siebie „Fryga” — jeszcze z parę minut, a znajdę się pod Placem Teatralnym....

Znów przeszło parę chwil.

Naraz ajent omal nie krzyknął. Trafił na jakieś schodki... Przyszło mu na myśl, że tędy może mieć zapewniony odwrót. Odbył szczegółową całą ich eksploracją. Schodki były takie same jak pierwsze: tak samo szesnaście schodków i platforma... Tylko mniej pajęczyny zwieszało się u góry.

„Fryga” znów puścił się w drogę. Za dziesięć minut znów trafił do schodków. Rezultat badania był taki sam, jak już dwa razy poprzednio... Ajent aż zaklął:

— Cóż do stu tysięcy djabłów!... Nastawiali schodków, które nigdzie nie prowadzą...

Miał już puścić się w dalszą drogę. Wtem trafił ręką na jakiś przedmiot,.. „Fryga” omal nie wybuchnął śmiechem. Była to jego własna czapka, która zleciała mu z głowy w chwili upadku...

Najwidoczniej tedy krążył ciągle dokoła i wracał do tego samego miejsca, zkąd wyszedł.

— A to osioł ze mnie!— zawołał ajent, jak zwykle, nie żałujący dla siebie dość ubliżających epitetów.

Trzeba było zmienić systemat. „Fryga” nie namyślał się długo. Postanowił kierować się za ciągle doń dochodzącym szmerem...

Niedługo jednak przekonał się, że nie jest to wcale łatwem.

Idąc za szmerem, trzeba się było przeciskać pomiędzy pakami, usuwać je... Ajent coraz bardziej czuł zmęczenie. Zaczynał mieć gorączkę. Stłuczenia i starcia na ciele, oraz ranka na kolanie, paliły go dotkliwie. Uczuwał pragnienie.

Od czasu do czasu odpoczywał.

— To trudno, mój kochanku! — mówił sam do siebie — żeby złapać takie grube ryby, trzeba się trochę pomęczyć...

Trwało to, nie wiedział już, jak długo. W każdym razie parę godzin. Zdawało mu się, że to się nigdy nie skończy. Chwilami tracił niemal przytomność... Zdawało się mu, że znajduje się w cichej izdebce na Starem-Mieście, obok Karolci, że tam, nad komodą, świeci lampka przed obrazem Matki Boskiej... Po chwili dopiero przebudził się.

Głowa mu strasznie ciężyła... W oczach czuł gorąco...

Pomimo to, powtarzał ciągle:

— Trzeba iść naprzód!

Popychał i przesuwał ciężkie paki, rozdzierał sobie ubranie, kaleczył palce...

Chwilami obejmował go niewymowny przestrach.

Zdawało się mu, że nigdy się nie wydobędzie z tego podziemia, z tych strasznych ciemności. Powietrze, panujące tutaj, dusiło go, padało mu na płuca.

Chciał krzyczeć...

Tylko cała energja rozsądku przytłumiała te nierozsądne zachcianki, które mogły być dlań tak zgubne w skutkach.

Tymczasem szmer, za którym się kierował, odzywał się coraz wyraźniej, coraz głośniej. Teraz zdawało mu się, że odróżnia stuk przesuwanej prasy.

Znów upłynęło sporo czasu.

„Fryga" upadł przy jakiejś cięższej pace. W głowie mu się kręciło... W piersi brakło oddechu. Ręce miał jak gdyby ołowiane. Leżał, ciężko dysząc.

— Nie, nie mogę — mówił do siebie — dalej nie pójdę...

Wzrok jego błądził dokoła, starając się odkryć coś nowego w ciemności.

Wtem... wydał stłumiony okrzyk.

— Światełko?... — pytał sam siebie — Niepodobna!...

Rzeczywiście, w dali, pomiędzy pakami, widniał jakiś blask złotawy.

Ajent porwał się. Nie bacząc na straszne zmęczenie, z gorączkową energją począł dążyć za tem światełkiem. W kwadrans przebył przestrzeń, która go dzieliła od owego światełka. Jak piórka usuwał z drogi najcięższe paki.

Oczy jego, przywykłe do ciemności, odrazu zdołały ocenić położenie, kiedy wyszedł na trochę swobo-

dniejszą przestrzeń. Znajdował się w rodzaju kurytarza, na który wychodziły przedzielone drewnianemi przegródkami, niby piwnice, niby celki.

Złotawy błysk przedzierał się przez szczelinę w zewnętrznej ścianie jednej z takich celek.

We „Frydze”, pomimo gorączki, która go ogarniała, pomimo całej słabości, obudził się znowu instynkt policjanta. Ostrożnie, powoli, zbliżył się, położył na jakimś barłogu, który znalazł na ziemi, przytknął oko do szczeliny i spojrzał...

Widok, jaki mu się przedstawił, był wielce dziwny...

Przed nim, roztwierała się w dole, o jedno piętro niżej, obszerna izba, pełna światła.

W jednym kącie znajdował się ogromny piec, w którym, w pośród płomieni stał kociołek, pełen jakiegoś srebrzystego płynu. Ów płyn, czerpał od czasu do czasu wielką łyżką jakiś człowiek, następnie wlewał do naczynia, stojącego na stole. Płyn przechodził ztąd pod ręczną praskę, którą manewrował drugi człowiek...

Z pod praski wypadały małe, niewielkie, błyszczące krążki...

— Ach, ach! — rzekł sam do siebie „Fryga” — wyręczają komorę, robią plomby...

W drugim końcu izby znajdowała się maszyna, podobna do prasy drukarskiej, poruszana przez dwóch na pół nagich ludzi. Jej to odgłos przyprowadził tutaj ajenta.

Trzeci człowiek, od czasu do czasu wyjmował z pod maszyny jakieś czerwone papierki...

„Fryga przyglądał się im uważnie

— Dziesięciorublówki — rzekł wreszcie.

Po chwili maszynę zatrzymano. Papierki zostały złożone na stole. Wszyscy trzej ludzie przeglądali je uważnie. Niektóre, uznawane za dobre, składali na małą kupkę, pozostałe odrzucali na bok... Potem wrzucano je do pieca

— Ładna fabryka!—mruknął do siebie ajent — Teraz naczelnik nie powie, że to romanse...

Zmęczenie „Frygi” coraz bardziej się wzmagało. Czuł w głowie jakiś szum, w uszach mu dzwoniło. W kościach czuł łamanie, strzykanie. Robiło się mu raz strasznie gorąco, to znów okropnie zimno. W ustach miał straszne palenie i suchość.

— Dałbym rubla za parę kropel wody! — rzekł do siebie półgłosem.

Było mu jakoś dziwnie, bardzo dziwnie. Brała go ochota do płaczu i do śmiechu razem...

Naraz uczuł, że kręci mu się w głowie. Zdawało mu się, że płomienie w izbie, którą miał przed oczyma, wirują, że cała izba się kręci, tonie w jakiejś mgle, znika gdzieś daleko... Z tej mgły, wyskakiwały tylko od czasu do czasu gorejące języki ognia i migały czarne, osmolone postacie ludzi, pracujących w izbie.

„Fryga” stracił znów przytomność...

ROZDZIAŁ VI.

Walka.

W godzinę potem, znajdujemy ajenta policyjnego na dole, w izbie, którą przed chwilą obserwował.

Pozór izby zmienił się nie do poznania. Robota, którą tu prowadzono przed godziną tak energicznie, ustała. Ogień przygaszono; w tej chwili tylko od czasu do czasu wzniesie się niebieskawy płomyk z dogasających węgli i znów zagaśnie. Izbę oświetla niewielka lampka stojąca na stole. W jej niepewnym blasku, widzimy „Frygę”, leżącego nieopodal pieca, na ziemi. Ma skrępowane nogi i ręce .. Trochę dalej, siedzi na ławce dwóch ludzi, od czasu do czasu spoglądających nań z uwagą.

Wszystkie charakterystyczne przyrządy, machina, której hałas przywiódł tutaj „Frygę”, praski, ołów — wszystko to znikło...

„Fryga” leży nieruchomo, z zamkniętemi oczyma. Pomimo to, oddech jego przekonywa, że żyje, co więcej, odzyskał przytomność.

Nastąpiło to wkrótce potem, kiedy go skrępowano i przyniesiono tutaj. Straszny ból, jaki mu sprawiały cienkie sznury, wpijając się w ręce, otrzeźwiły go z gorączkowego stanu bezświadomości, w jaki wpadł przed chwilą.

Była to jednak żelazna natura ten „Fryga".

Ból dojmował go tak, że omal w pierwszej chwili nie krzyknął na cały głos. Zdołał się jednak powstrzymać. Ostrożnie, na pół otworzywszy oczy, sprawdził zmiany, jakie zaszły w izbie. Przywołał całą swą przytomność umysłu. Pomimo strasznego bólu, pomimo trawiącej go gorączki, starał się na zimno ocenić swoją sytuację. Jak zwykle, zaczął rozumować.

— Źle z nami! — myślał „Fryga". — Od czasu, jak człowiek dostał nożem w ramię przy aresztowaniu Fajbusia na Smoczej, nie było tak źle... Zostałem odkryty... Ale jak?...

Odpowiedź na to pytanie nie dała na siebie długo czekać.

Dwaj draby siedzący na ławie, zaczęli rozmawiać przyciszonym głosem. Mówili żargonem żydowskim. Na szczęście, „Fryga" wybornie rozumiał ów żargon i sam nawet nim mówił.

Dowiedział się tedy z ich rozmowy, że jeden z drabów zajętych na dole, wracając do komórki, stanowiącej jego sypialnię, znalazł „Frygę" omdlałego na swym barłogu. Rozmawiający byli bardzo zaniepokojeni. Widocznie obecność „Frygi" w podziemiu stanowiła dla nich zagadkę, której w żaden sposób wytłómaczyć sobie nie mogli. Przypadek, był ich zdaniem, niemożebny. A więc musiał to być szpieg! Taka była opinia ich i towarzyszów. To też przedsięwzięli natychmiast środki, w celu ukrycia swych robót, a jednocześnie dwaj z nich pobiegli uprzedzić „*rebe*". O tym *rebe* w ciągu rozmowy wspominali parękroć.

— Jak się tu „ten” dostał? — zapytywał jeden z drabów, ukazując na „Frygę”.

Drugi zrobił uwagę:

— Jeżeli on tu wszedł, mogą lada chwila wejść i inni. Bo przecież sam, nie mając nikogo za sobą, nie ośmieliłby się wśliznąć...

Przez chwilę panowało milczenie.

— Dla czego *rebe* nie przychodzi? — pytał któryś z drabów.

Te parę słów sprawiło, że ajentowi dreszcz przeszedł przez całe ciało.

Kto może być ów *rebe*, o którym wspominają. Najpewniej Apenszlak, w piwnicach domu którego to wszystko się dzieje. A jeżeli tak, „Fryga” mógł być pewnym, że zostanie poznany. Przebranie jego teraz nie na wiele mu się przyda. A wówczas?

Skóra ścierpła ajentowi.

W każdym razie, ktokolwiek byłby ów *rebe*, z chwilą jego przybycia rozpocznie się badanie i sąd na „Frygę”. Zbyt poważne rzeczy widział w tem podziemiu, ażeby go można było ztąd tak łatwo wypuścić.

Serce zaczęło gwałtownie bić ajentowi. Pomimo osłabienia, pomimo gorączki, uczuł, że gotów byłby w tej chwili wszystko przedsięwziąć, ażeby tylko uniknąć ostatecznego spotkania się z tym *rebe*.

Dwaj draby znów zaczęli rozmawiać.

— Pewno *rebe* sprawdza, czy nic nie ma groźnego na zewnątrz — rzekł jeden z nich.

— Może — odpowiedział drugi.

— A potem przyjdzie przecież popytać naszego chłopca, zkąd tu przyszedł.

Obydwaj draby roześmiali się przytłumionym, cynicznym śmiechem.

„Frygę” znowu przeszedł dreszcz. Wszystkie jego pragnienia i chęci, cała energia, sformułowały się w dwóch słowach:

— Trzeba uciec!

Ale jak i którędy?

Ajent mimowolnie, odruchowo natężył związane ręce, probując zerwać krępujące go sznury. Gorączka dodawała mu siły. Sznury natężone aż trzasnęły... Ale skutek był tylko taki, że sznur jeszcze głębiej wpił się w skórę, raniąc ją i sprawiając niewypowiedziany ból.

„Fryga” z heroizmem, na którzyby się kiedyindziej nie zdobył, ani syknął.

— A jakby gagatek nie chciał odpowiadać, to mu pomożemy! — rzekł jeden z drabów.

Śmiech ze strony drugiego był odpowiedzią na ten dość zagadkowy frazes.

— Pamiętasz, Icele — ciągnął pierwszy — tego karczmarza pod Grodnem, co to nie chciał powiedzieć gdzie ma *kerbełe*...

— Pamiętam.

— Ładnie zaczął przebierać nogami, kiedy mu pokazaliśmy *czerwonego koguta*...

Obydwaj draby zaczęli się znowu śmiać.

„Fryga” aż nadto dobrze zrozumiał te cokolwiek zagadkowe słowa. Jego praktyka, jako ajenta, wystar-

czała na to. Mówiono o operacji, zwanej przypalaniem nóg ..

Te słowa nie mogły nie dodać „Frydze" energji. Zdawało mu się, że osłabienie, które go przed chwilą. pozbawiło przytomności, znikło, że przybyło mu w trójnasób sił. Trzeba najpierw uwolnić ręce i nogi z więzów, a potem się zobaczy.

Ponowne usiłowanie „Frygi" nie doprowadziło jednak do lepszego rezultatu, niż pierwsze.

„Fryga" leżał na ziemi na grzbiecie. Ręce miał związane przed sobą. W chwili, kiedy zrobił gwałtowny wysiłek, mimowoli posunął się trochę w bok. Uczuł wówczas nowy, przejmujący ból w boku. Trafił na jakiś twardy i nawet ostry przedmiot, leżący na podłodze. Ów przedmiot rozciął mu ubranie i zadrasnął skórę.

„Fryga" leżał nieruchomo. Przez głowę przebiegały mu bezładnie tysiączne pomysły.

Wreszcie , spoglądając co chwila z pod przymrużonych powiek w stronę zajętych rozmową drabów, zaczął robić usiłowania, ażeby módz powoli i bez zwrócenia na siebie uwagi, przewrócić się twarzą ku ziemi. Po dziesięciu minutach, manewr ten, dzięki nierówności podłogi, udał mu się najzupełniej.

Węgle w piecu przestały błyskać iskrami; w kącie, w którym leżał „Fryga", panował zupełny prawie zmrok. Dwaj draby zajęci byli gawędą.

Wstrzymując jęki bólu wydobywające się mu na usta, „Fryga" skierował związane ręce na ów twardy,

ostry przedmiot. Kaleczył mu on dłonie, ale jednocześnie przecinał sznurki.

W sekundę, „Fryga” znalazł się z powrotem na grzbiecie. Ręce miał przed sobą złożone, tak, jak gdyby sznurki je krępujące ciągle jeszcze trzymały.

W tej chwili dał się słyszeć szmer. Wszedł trzeci drab.

— Cóż? — zapytał dwóch siedzących na ławie — nie ruszał się?...

— Nie — była odpowiedź.

— *Rebe* kazał tobie przyjść na górę, Icele. A ty rozwiąż mu nogi i obudź go. Zaprowadź go do spichrza i — rzekł przybyły, wskazując ręką jeden z kątów, gdzie, pomimo pół-mroku, można było spostrzedz zarys drzwi. — *Rebe* tam zaraz przyjdzie.

— A jak nie będzie chciał się obudzić? — zapytał drab.

— To już twoja rzecz...

Wszyscy trzej roześmieli się.

Dwaj ludzie wyszli, został tylko jeden. Przeciągnął się on, splunął i mruknął pomiędzy zębami jakieś niezrozumiałe przekleństwo żydowskie.

Przystąpił do ajenta leżącego nieruchomo, ukląkł przy nim i zaczął mu rozwiązywać nogi.

„Fryga” czekał cierpliwie końca tej operacji. Jak tylko uczuł, że nogi ma wolne, wyciągnął prawą rękę i pochwyciwszy nią garść popiołu, którego spora kupka leżała przed piecem, rzucił w oczy swemu stróżowi. W sekundę potem był już na nogach, trzymając w rę-

ku przedmiot, który mu posłużył do przecięcia sznurów na rękach.

Wszystko to nastąpiło w jednej sekundzie.

W chwili, kiedy drab, oślepiony popiołem, rzucił się naprzód, pragnąc ciężarem swego ciała przydusić więźnia, „Fryga” znajdował się już przy drzwiach, które przed chwilą wskazywał drab, dający towarzyszowi instrukcję.

Ajent z niezmierną szybkością i przytomnością umysłu osnuł plan, który tak szczęsliwie udało mu się wykonać. Nie mając innego wyjścia, postanowił umknąć do owego „spichrza”, o którym mówiono przed chwilą. Przypuszczał, że drzwi będą otwarte. Ów „spichrz” mógł mieć jakieś wyjście... Zresztą sądził, że ci, którzy podążą za nim w pogoń, nie odrazu wpadną na myśl, że udał się w tamtą stronę. W każdym razie, ponieważ słyszał, że *rebe* miał dopiero przyjść do „spichrza”, przypuszczał, że go tam w tej chwili nie ma. Rozbierając tedy wszelkie ewentualności, wołał pójść tam, gdzie nie było nieprzyjaciół, niż tam, gdzieby ich musiał spotkać napewno. Miał wreszcie w ręku kawał żelaza, który mu już oddał tak znakomitą usługę. Było to duże i ostre dłuto.

Przypuszczenia „Frygi” okazały się do pewnego stopnia słuszne.

Drzwi rzeczywiście ustąpiły i „Fryga” znalazł się w nizkim, ciemnym kurytarzu.

Na jedną sekundę zatrzymał się. Dochodził doń straszny ryk draba, któremu popiół rzucony w oczy sprawiał widocznie straszny ból.

— Aj waj! gewałt! zbój!... Aj waj!...

Ajentowi dodało to tylko energji. Nasłuchując i macając po ścianach, zaczął się posuwać kurytarzem. W tej chwili jednak poczuł dopiero, jak był słaby. Energia, podniecona na chwilę, naprężenie nerwów, doprowadzone do najwyższego stopnia, pozwoliły mu szczęśliwie uniknąć niebezpieczeństwa. Ale obecnie wracało osłabienie.

Musiał oprzeć się o ścianę, ażeby nie upaść. Czuł zamęt w głowie... Pomimo to, posuwał się naprzód, trzymając się ścian.

Trwało to parę minut.

Powietrze było w kurytarzu sparte, piwniczne. Zaledwo mógł oddychać... Pierś jego poruszała się ciężko. Z ręki sączyła mu się powoli krew...

Nagle „Fryga" poczuł jak gdyby przypływ strugi świeższego powietrza. Podniósł głowę i otworzył oczy, na które mimowoli opadały strudzone powieki; w ukośnej linii ukazało się coś w rodzaju światełka. Mrok przynajmniej nie był taki gęsty.

„Fryga" odetchnął.

Nadzieja dodała mu sił; posuwał się naprzód. Niebawem uderzył nogą o pierwsze stopnie schodów. Owe schody prowadziły widocznie do tego światełka, które dla biedaka „Frygi" było symbolem swobody i ratunku ..

Zaczął się wspinać po schodach.

Szło mu to dość trudno. Nogi znów odmawiały posłuszeństwa. Już na czwartym schodzie musiał się zatrzymać, oddychając ciężko.

W tej chwili, z głębi kurytarza doszedł doń hałas...

Stukano. Słychać było głosy i przekleństwa. Jednocześnie z załamku muru ukazał się odbłysk światła.

— Tutaj, tutaj — wołał ktoś po żydowsku — na piasku widać ślady krwi.

„Fryga” zebrał ostatnie siły. Schody teraz uciekały pod jego nogami... Piął się coraz wyżej. W parę sekund znalazł się u ich wierzchołka. Wązki, niezamykany otwór prowadził do obszernej, wysokiej blizko na dwa piętra izby, stanowiącej w samej rzeczy rodzaj spichrza.

Panował tu półmrok. Widocznie na dworze świtało, a światło z zewnątrz dostawało się małemi okienkami, znajdującemi się u samej góry, na wysokości drugiego piętra.

Ajent stanął u otworu. Jednem spojrzeniem obrzucił wnętrze spichrza. Spichrz był murowany. W głębi widniała potężna brama, zamknięta od zewnątrz na żelazne sztaby, których szruby widać było z tej strony. „Fryga” zrozumiał, że się ztąd tak łatwo nie wydostanie...

Tymczasem z głębi schodów, z kurytarza, dochodziły coraz to głośniejsze okrzyki...

Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze. za chwilę prześladowcy będą tuż, tuż... „Fryga” silniej ścisnął w dłoni rękojeść dłuta. Stanął gotowy do walki

Wtem nowa myśl przeszła mu przez głowę.

Tuż obok otworu, którym mieli się dostać prze-

śladowcy, znajdowała się duża paka. „Fryga” przysunął się do niej, ukląkł i z potężnym wysiłkiem zaczął ją pchać w stronę otworu. Był to ogromny ciężar. Kiedyindziej, ajent aniby go ruszył z miejsca. Teraz uczuł, że paka się porusza, ustępuje naporowi jego ramion...

„Fryga” roześmiał się dzikim, nieludzkim śmiechem..

Oczy niemal wychodziły mu na wierzch... Jeszcze parę cali, jeszcze trochę i paka znajdzie się nad otworem.

Tymczasem z głębi wydobywał się coraz bliższy gwar głosów. Światło, wydobywające się z otworu, rozpraszało panujący w spichrzu półmrok.

„Fryga” uczuł, że paka już częścią swej podstawy wysunęła się nad otwór. Pchnął jeszcze raz ramieniem...

Dał się słyszeć potężny trzask...

Paka znikła w otworze. Chmury kurzu wytrysnęły z głębi... Dało się słyszeć kilka przeraźliwych krzyków, kilka strasznych przekleństw.. Światło, które przed chwilą przeświecało ztamtąd, zagasło.

Przez krótką chwilę, odzywał się z dołu jak gdyby odgłos podziemnego gromu, wreszcie wszystko zamilkło...

„Fryga” klęczał, pochylony nad otworem, oparty na rękach.

Czekał.

Dokoła panowało milczenie... Upłynęło parę minut. Ajentem owładnęło zdumienie; zdawał się nic nie

rozumieć. Był jak gdyby osłupiały. Zadawał sobie pytanie:

— Co się tam stało?...

Wreszcie podniósł się.

Zimna rozwaga, która go nigdy na czas dłuższy nie opuszczała, wróciła mu. Powiedział sobie, że niebezpieczeństwo bynajmniej nie zostało ostatecznie usunięte. Za chwilę, znowu niewątpliwie przyjdą. Partja stała tak, że nie mogli jej zostawić nierozegraną... Szło im o wszystko! Tymczasem on był coraz słabszy. Obecnie znów zaledwie trzymał się na nogach.

— Trzeba się ztąd wydostać... koniecznie! — powtarzał „Fryga”.

Opierając się o paki, zaczął obchodzić dokoła spichrz. Próbował krzyczeć: „ratunku!” Najwidoczniej jednak głos jego nie wydostawał się na zewnątrz przez grube mury.

Zbliżył się do bramy.

Ostatnim wysiłkiem uderzał w nią pięściami i całem ciałem. Z wściekłością wstrząsał potężną zaporę... Zagłębiał dłuto w drzewie...

Wszystko napróżno...

Wściekłość go ogarniała. Czuł, że siły go odbiegają coraz bardziej. Chwilami nasłuchiwał. Wszędzie panowało milczenie... Z otworu nie słychać było żadnego szmeru.

To jeszcze bardziej drażniło jego naprężone nerwy; ta cisza zdawała mu się wróżyć coś niedobrego.

Spoglądał dokoła. W coraz bardziej rozświetlającym się półmroku, ujrzał dwie galeryjki, obiegające

dokoła spichrz, jednę na wysokości pierwszego piętra, drugą tuż pod otworami, dającemi światło. Na galeryjkach, rozstawione były mniejsze paczki. Na pierwszą z nich prowadziły schody, wyżej szła drabina.

— Znalazłem! — zawołał do siebie „Fryga".

We dwie minuty znajdował się na wysokości pierwszej galerji.

Ściągnął już rękę ku drabince, prowadzącej na drugą galerją, gdy wtem uwagę jego zwrócił cichy szmer. Odwrócił głowę.

To, co ujrzał, zmroziło krew w jego żyłach.

W oddalonym kącie spichrza, z maleńkich drzwiczek, których istnienia nigdyby nie przypuszczał, wydobywało się w tej chwili parę osób. Pomimo półmroku, „Fryga" w jednej z nich zdawał się poznawać Apenszlaka. Inni, byli to dwaj czy trzej żydzi, których widział niedawno w izbie podziemnej. Trzymali w rękach rewolwery.

Widok ten znów podniecił energię „Frygi". Zaczął się drapać po drabinie.

— Ognia! — rzekł jakiś głos.

Parę kul świsnęło około ajenta.

Za chwilę był on już nietknięty na drugiej galerji. Energicznym ruchem odtrącił drabinę, która upadła, uderzając w ramię któregoś z nadbiegających prześladowców...

— Jeszcze raz — odezwał się ten sam głos.

„Fryga" wychylił głowę przez drewnianą kratę jednego z otworów podobnych do okien.

— Ratunku! — wołał.

Ale ratunek nie przychodził. Znów parę kulek świsnęło koło niego. Rozpacz zaczynała ogarniać „Frygę”.

— A więc nie ma żadnego sposobu — pomyślał sobie.

Uwiesił się obiedwoma rękami u drewnianych krat otworu. Za chwilę kraty pękły... „Fryga” podniósł się i wychylił całem ciałem przez wązki otwór. Zrobił gwałtowny ruch na zewnątrz...

„Fryga” spadał z wysokości drugiego piętra. z okienka spichrza...

ROZDZIAŁ VII.

Dwaj wspólnicy.

Było to na trzeci dzień po tej nocy, tak obfitej w wypadki.

Około drugiej w południe, przed dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej zajechał zamknięty powóz, z którego wysiadł wspólnik firmy bankierskiej „Ejteles i Sp.”, p. Natan Lurje. Wspaniały pan Natan, pełen, jak zawsze, elegancji, wyskoczył zręcznie z powo-

zu i kazał stangretowi zaczekać. Sam wszedł do sali drugiej klasy

Pomimo powierzchowności pełnej wyszukania i elegancji, ruchów swobodnych i nieprzymuszonych, nawet uśmiechu, który zdawał się być przyklejonym do jego twarzy, uważny spostrzegacz, przyjrzawszy się bliżej znakomitemu finansiście, mógłby odrazu zauważyć, że pan Natan dziś był jakoś dziwnie rozstrojony.

Oczy, głęboko podkrążone sinemi obwódkami, biegały niespokojnie dokoła. Nerwowe drganie wstrząsało jego prawy, starannie wygolony policzek.

Pan Natan przechadzał się po sali, pełnej w tej chwili publiczności, ożywionej, hałaśliwej. Oczekiwał przybycia kurjera bydgoskiego.

Dały się słyszeć sygnały. Tłum oczekujący na pociąg, zbił się w grupę przed szklanemi drzwiami, które miano niedługo otworzyć. Jeszcze kilka chwil. Zdaleka dał się słyszeć ciężki turkot pociągu, dobiegającego zwolna do stacji. Za szybami szklanych drzwi ukazała się sylwetka lokomotywy i wagonów. W oknach widniały postacie pasażerów.

Uderzył stacyjny dzwon... Pociąg przyszedł.

Pan Natan stał trochę opodal po za tłumem, napierającym na drzwi, które w tej chwili otwierano Finansista wyjął z kieszeni telegram i rzucił nań okiem.

— Tak — rzekł sam do siebie — Joachim tym pociągiem powinien przyjechać...

Powoli wszedł na peron i stanął tuż przy drzwiach. Dokoła panował zwykły w chwilach przyj-

ścia pociągu zamęt. Przebiegali pasażerowie i pasażerki, tragarze; popychano się, tłoczono. Upłynęła dość długa chwila. Powoli, ta fala zaczynała się przerzedzać; tłum znikał u wyjścia. Pan Natan był teraz wyraźnie zniecierpliwiony i zniechęcony.

— Czyż miałby nieprzyjechać? — pytał sam siebie — A tak mi jest potrzebny.

Posunął się w kierunku ostatnich wagonów pociągu.

— To dziwne! — szeptał.

W tej chwili, tuż obok niego, z przedziału drugiej klasy wyskoczyła na asfalt peronu zręczna figurka pana Joachima Landsbergera, drugiego wspólnika firmy „Ejteles i Sp.”.

— Ach, to ty wreszcie! — zawołał p. Lurje.

Ale pan Joachim przyłożył palec do ust, na znak milczenia. Pan Natan spoglądał nań z zadziwieniem.

— Co takiego?—pytał już przyciszonym głosem.

Pan Landsberger nachylił się do niego i rzekł, wskazując palcem:

— Czy widzisz tego rudego oberwańca, w czapce, tam, przy drzwiach?

— Widzę.

— On mnie zna. Nie chcę, żeby mnie widział. A koniecznie w *naszych*—na tym wyrazie położył wybitny akcent— wspólnych interesach trzeba, ażebyśmy wiedzieli, gdzie on się zatrzyma, w jakim hotelu?

— A więc?...

— Idzie o to, ażebyś ty, którego on nie zna, podążył za nim ostrożnie i dowiedział się...

Pan Natan spojrzał z niedowierzaniem na wspólnika.

— Żartujesz...

— Tu nie ma żadnych żartów. Rzecz jest poważna. Śpiesz się.

Z twarzy pana Natana na jedną sekundę zeszedł wieczny uśmiech.

— A więc bez żartu?...

— Prędzej, prędzej! Ja czekam na ciebie choćby do jutra rana, tam, gdzie wiesz, w „chambres garnies”.

Pan Natan wzruszył ramionami, odwrócił się i nie mówiąc już więcej ani słowa, pobiegł szybko w kierunku drzwi wyjściowych.

Stanąwszy na wysokich schodach, prowadzących na plac przed dworcem, skinieniem przywołał oczekującego nań stangreta. Przedtem jeszcze rozejrzał się dokoła. Czerwona czupryna oberwusa, którego mu polecił śledzić Landsberger, zdaleka wyróżniała się płomienistym swym kolorem pośród tłumu.

— No, tego to przynajmniej nie tak łatwo zgubić! — rzekł do siebie pan Natan.

Polecił stangretowi pojechać do domu, a sam po woli, krokiem przechodnia udając się na spacer, podążył za oberwusem.

W godzinę potem, pukał do drzwi numeru zajętego przez hamburskiego negocjanta, w jednym z pomniejszych zakładów t. zw. „chambres garnies” na Nowym-Świecie.

— *Herein!* — odezwał się głos z wewnątrz.

Przy stole w pokoju siedział elegancki pan Joa-

chim, który już zdążył zmienić kostjum podróżny na jakąś elegancką kurtkę i obecnie zajadał kawałek mięsa, krzywiąc się przy tem okropnie. Na stole stała butelka czerwonego wina.

— Ach, u was to tak zawsze — zaczął po niemiecku. — Kazałem przynieść co do zjedzenia... Obrzydliwe... *Die polnische wirtschaft!*

Rzucił nóż i widelec i zbliżył się do pana Natana.

— No i cóż? — pytał.

— Zaraz, zaraz, niech odpocznę.

— Siadaj że. Może pozwolisz kieliszek wina? Nie najgorsze... Umyślnie kazałem przynieść za cztery ruble butelkę. Taniej, byłaby lura.

Pan Natan odpowiedział gestem przeczącym. Usiadł.

— A więc?... — pytał ruchliwy, niespokojny pan Joachim.

— Poszedłem za nim aż na Nalewki...

— Na Nalewki?

— I tam poszedł do jednego z żydowskich hoteli... Może wiesz: hotel Amsterdamski.

— Nie... I zatrzymał się tam?

— Nie wiem.

— Jakto, więc puściłeś go tak, bez śladu?... Zlituj się!

— O, bądź spokojny, mamy go w ręku.

— W jaki sposób?

— Widzisz, zbliżając się do hotelu, spotkałem jednego z pracujących w naszem biurze i opowiedziaw-

szy jakąś historyjkę skomponowaną na poczekaniu, powierzyłem jego opiece twego rudego oberwańca...

Pan Joachim pokręcił głową, trochę niezdecydowany.

— Z naszego biura?...

— Tak.

— Jest to może cokolwiek nieroztropnie... Widzisz, trzeba być ostrożnym.

— O, bądź spokojny, tu nie może być obawy. To chłopak mnie oddany zupełnie, jeszcze młody.. A przytem sprytny. Kazałem mu tu przyjść i zdać raport. Ma się zapytać o p. Pfeifra, bo przecież stanąłeś pod tem nazwiskiem, jak zwykle?...

— Tak, tak! I to może trochę nieostrożnie. Ale. jeśli sam uważasz...

— Wszystko będzie dobrze.

— W każdym razie, dziękuję ci... A teraz do interesu.

— Zgoda.

— Ponieważ przyjeżdżam na twoje żądanie, powiedz najpierw, co tak strasznego znajdujesz w naszem położeniu, że aż uważałeś moją obecność za niezbędną?

— Wiele...

— Ba, ba...

— I nawet powiem ci, że stan rzeczy od chwili, kiedy pisałem do ciebie, bardzo znacznie się pogorszył.

— No, no...

— Krótko mówiąc, nie wiele brakowało przed 48 godzinami, ażebyśmy zostali „nakryci”.

Pan Joachim, który w tej chwili z miną prawdziwego smakosza kosztował czterorublowe czerwone wino, omal że się nie zakrztusił. Podskoczył na krześle.

— Co, jak? Mówże, mów...

— Onegdajszej nocy, nie wiem już jakim sposobem, do „fabryki" dostał się jakiś nieznany człowiek i według wszelkiego prawdopodobieństwa, zdołał dobrze przyjrzeć się wszystkiemu, co się tam robi.

Pan Joachim postawił kieliszek z winem na stole.

— No, to jeszcze nie tak wielkie nieszczęście— odrzekł spokojnie.

— Jakto, nie nieszczęście?

— Że wszedł Wówczas dopiero byłoby nieszczęście, gdyby — wyszedł....

Obrzydliwy uśmiech ozdobił pulchną, starannie wypieszczoną twarz hamburskiego negocjanta.

— A przecież do tego chyba nie dopuszczono — dorzucił po chwili.

— Właśnie, że w tem największy sęk.

Pan Joachim znów zaczynał być niespokojnym.

— Mówże, mów.

— Otoż człowiekowi temu udało się umknąć, ale w taki sposób, że dotąd nie wiemy, czy żyje, lub nie.

Tutaj pan Natan opowiedział już teraz poważnie zatrwożonemu panu Joachimowi walkę, jaką stoczył „Fryga" ze swymi prześladowcami.

— Jest wszelkie prawdopodobieństwo — kończył — że człowiek, który bądź co bądź powinien był dostać parę kul rewolwerowych i potem jeszcze skaczący z drugiego piętra na dół, nie ma przed sobą

zbyt świetnej przyszłości. Ale w takim razie, co się stało z jego ciałem? Jak wytłómaczyć to, że w ciągu prawie 48 godzin nikt o nim nic nie słyszał?... Co się z nim w ogóle dzieje?

— To bardzo poważne, bardzo poważne — powtarzał pan Joachim, pochylony nad stołem, bawiąc się szklanką.

Przez chwilę panowało milczenie.

— I nie próbowaliście nawet zbadać, co się z nim stało, zaraz po jego wyskoczeniu? Przecież to bardzo proste: trzeba było wyjrzeć przez okienko... Kiedyście już strzelali, należało iść do końca.

Najpierw, mnie tam nie było — odrzekł pan Natan — był tylko Apenszlak. Jak mi mówił, próbowali zrobić i to...

— I cóż?

— Tylna sciana spichrza wychodzi na ogródek, znajdujący się na tyłach posesji, sąsiadującej od ulicy Sapieżyńskiej. Pod otworami spichrza znajduje się rodzaj daszku, na czemś w rodzaju szopy. To przeszkodziło widzieć cokolwiek. Zresztą, strzały zrobiły swoje. W oknach oficyn wychodzących na spichrz, pomimo wczesnej godziny, zaczęli się ukazywać rozbudzeni ludzie. Trzeba było temu dać pokój.

— To źle, to bardzo źle... A dalej?

— Ma się rozumieć, dowiadywać się w domu na Sapieżyńskiej nie było żadnej możności.

— Jeszczeby tego brakowało!

— Czekaliśmy tedy jakiego ruchu w dzielnicy, jakiej wiadomości o zamachu, o znalezionym trupie...

— No?

— I dziś do dwunastej nic...

— Nie może być!

— To właśnie dziwne. Apenszlak umyślnie czekał dziś przy wyjściu z giełdy, ażeby mi to powiedzieć...

Znów zapanowało milczenie. Naraz pan Joachim podniósł oczy na wspólnika.

— Co ty myślisz o tym zagadkowym wypadku? Co się stało z owym człowiekiem?

— Ja sądzę, że jego ciało leży sobie najspokojniej gdzie pod szopą, w owym ogródku, do którego pewno nikt nie zagląda... Jeśli go znajdą, ma się rozumieć, nie ma obawy, ażeby trup co powiedział.

Pan Joachim rozczesał sobie pulchnemi palcami bakenbardy.

Po chwili, zapytał znowu:

— A ja jestem innego zdania. Ten mniemany nieboszczyk napewno dobrze w tej chwili myśli, jak nam skręcić kark... Czuję z tego wszystkiego, że będzie niedobrze. To się w taki prosty sposób nie skończy. Będzie z tego „kasza".

Ten ostatni wyraz elegancki pan Joachim powiedział po polsku, nadmienić bowiem trzeba, iż dotąd cała rozmowa prowadzoną była po niemiecku. Roześmiał się w tej chwili.

— Widzisz, mój Natanie, jakich ja tu u was manier nabieram i jakich wyrazów zaczynam używać... Takie już powietrze!

Pan Natan pokiwał tylko głową, jak gdyby wyrzucając przyjacielowi zajmowanie się drobnostkami.

— Bardzo być może — rzekł — że będzie „kasza”. To też Apenszlak wcale nieźle się urządził..

— Słucham.

— Na wszelki wypadek, natychmiast usunął ślady „fabryki” i nawet zdołał przenieść towary... Na dziesiątą rano spichrz był próżny. I ani jednego wozu na zewnątrz; ani jednego człowieka. Wszystko dołem.

Pan Joachim aż przyklasnął w dłonie.

— Tak, to rozumiem. To zuch z Apenszlaka! Nie podejrzewałem go o to...

— I ja także!...

Pan Joachim zamyślił się.

— Ostatecznie, kiedy tak, to zrobione w tej kwestji wszystko, co było możebne. Co będzie, pokaże przyszłość... Tymczasem możemy uważać ten przedmiot za wyczerpany. Zapewne nie jest to wszystko, o czem chciałeś ze mną pogawędzić, tem bardziej, że tego, rzeczywiście niezmiernie ważnego faktu, nie mogłeś przecie mieć na uwadze, pisząc do mnie list...

— W samej rzeczy... Fakt ten, jak widzisz, jest późniejszy...

— A więc?...

— Nie mniej zdaje się on wynikać z tych drugorzędnych okoliczności, które spowodowały potrzebę twej obecności.

— Jakież to okoliczności?

— Jest ich wiele, bardzo wiele i rozmaitych. Powiem ci, naprzykład, że przed paru dniami jakiś pod-

rzędny ajent policyjny tak zainteresował się moim i Apenszlaka stosunkiem z Fajnhandem, że odbył rodzaj małego badania tego ostatniego... Apenszlak przypuszcza nawet, że to zapewne ten sam ajent dostał się do wnętrza „fabryki”.

— To bardzo ważne.

— Z drugiej strony, jest to mniej prawdopodobne: Fajnhand twierdzi, że doszedł z ajentem do zupełnego porozumienia, a zresztą, rysopis też się nie zgadza...

— Co więcej?

— Historja z tą kradzieżą i zabójstwem Halbersona...

Pan Joachim uważnie spojrzał na swego wspólnika; przez dłuższą chwilę zatrzymał na nim wzrok.

— Aha! — rzekł — pisałeś do mnie o tem, ale myślałem, żem nie dobrze zrozumiał twój list. To cyfrowe pismo tak trudno przeczytać...

Pulchna twarz pana Landsbergera uśmiechała się ironicznie.

Pan Natan Lurje podniósł się z krzesła i rzekł bardzo gorąco:

— Pisałem i powtarzam w tej chwili to samo, co było w liście: nie rozumiem, w żaden sposób zrozumieć nie mogę, dla czego Halberson się zabił, jeżeli się zabił? Dla czego rzucono podejrzenie na Strzeleckiego? Nie rozumiem także, co się stało z „resztą”?

— Ach! ta „reszta”! — zrobił uwagę pan Joachim. — O tej „reszcie” pomówimy kiedyindziej. Dziś nie bardzo mam czas...

Znów przez chwilę spoglądał uważnie w oczy panu Natanowi.

— Powiedz mi tedy, kochany Natanie — zaczął znowu — jaki z tego wypadku i jego niejasności wyprowadzasz wniosek?

— Bardzo niepokojący...

— A mianowicie?

— Że jesteśmy otoczeni nieznanemi nam niebezpieczeństwami, że jest ktoś po za nami, kto zna wybornie naszą grę, podczas, kiedy my o jego kartach nie mamy najmniejszego pojęcia i że ten ktoś dotąd bez naszej wiedzy będzie się nami posiłkował, dopóki nie uzna za właściwe skręcić nam karku...

— Bardzo być może.

— Jest to położenie niezmiernie trudne... Że zresztą coś się psuje, najlepiej dowodzi pozycja, jaką względem nas zaczyna przybierać stary Ejteles.

— No, przecież z tym, kłopot chyba najmniejszy.

— Nie bardzo...

— Trzymamy go przecież w ręku...

— Powiedz: trzymaliśmy. Rzeczywiście, robił dotąd cośmy kazali. Ale teraz zaczyna być zbyt samodzielny. Jak ci pisałem, oddawna już podejrzewał on i stary Halberson, a trochę i Strzelecki, rolę, jaką kazaliśmy grać jego domowi handlowemu... Podejrzewał, ale milczał. Takie same powody do milczenia miał i kasjer... Co do Strzeleckiego, z tym za nas rozprawił się ów „ktoś”, o którym już wspominałem przed chwilą...

— Więc wszystko jak najlepiej.

— Ba, kiedy ten „ktoś” czy może „coś” buntuje nam Ejtelesa. Stary przegląda książki, sprawdza korespondencje, stara się wniknąć w głąb interesów...

— Nie zrobiłeś mu w tej mierze jakiej delikatnej uwagi? — zapytał z ironicznym na pulchnych wargach uśmiechem, pan Landsberger.

— Zrobiłem... Udał, że nie rozumie. Powtórzyłem ją z większym naciskiem. Odpowiedział, że wie, co robi i... że się niczego nie obawia. A nazajutrz, pomimo choroby, konferował nad jakiemiś papierami, z tą garbatą lalą, panną Felą, ze dwie godziny.

— To źle...

— A na domiar wszystkiego, kiedy chciałem wieczorem zajść do niego i dowiedzieć się o zdrowie, dowiedziałem się od lokaja, że ta lala zabroniła mnie przyjmować bez jej pozwolenia.

— To bardzo źle!

— Co wobec tego myślisz o sytuacji?

— Myślę, że masz wiele racji, twierdząc, iż jest po za nami ktoś, co nas zdaje się trzymać w ręku.

— A więc?

— A więc... trzeba wyjść z tego położenia.

— I?...

— I... „likwidować”.

— Kiedy?

— Jak najprędzej.

— Ba, gdyby tylko można. Najpierw, „fabryka” jest, w skutek onegdajszej wizyty, w zupełnym rozstroju...

— Co dalej?

— Powtóre, z Ejtelesem w tej chwili będzie bardzo trudno...

— Więcej?

— Jak dotąd, więcej nic.

— To niewiele. Dziwię się, że taki rozsądny człowiek, jak ty, kochany Natanie, nie przypomniałeś sobie przy tej okoliczności waszego polskiego przysłowia...

— Jakiego?...

— Bardzo mądre przysłowie, jak na taki głupi naród...

Tu pan Joachim powtórnie skalał swe ucywilizowane usta barbarzyńskim polskim językiem:

— „Pieczone gołąbki, nie lecą same do gąbki.” Aha! czy źle powiedziałem?

— Wybornie.

— Otóż, dowodzisz mi, że są przeszkody. Tem lepiej, trzeba je przezwyciężyć. Rozumiesz, Natanie?

— Rozumiem.

— A ponieważ tych przeszkód jeszcze trochę za mało, jak przynajmniej ja widzę, dodam ci jeszcze jedną, o której także będzie trzeba pomyśleć.

— Słucham.

Pan Joachim zatrzymał się; zwolna nalał sobie wina, przyjrzał mu się pod światło, przytknął kieliszek do ust, posmakował i postawił napełniony do połowy na stole.

— Wybacz, ale musiałem odwilżyć usta.

Po chwili, zaczął z miną trochę drwiącą:

— No i jakże ci się spodobał ten rudy dryblas, którego odprowadziłeś dziś na Nalewki?

Pan Natan Lurje spojrzał na Landsbergera i ruszył ramionami.

— Zawsze się ciebie żarty trzymają. Masz mówić, to mów. Przecież nie dla tego kazałeś mi się za nim włóczyć, żebym mógł wydać sąd o jego piękności.

— O, bynajmniej... Zresztą, sąd ten byłby bardzo łatwy i stanowczy. Dość spojrzeć na tego chłopca, żeby przyjść do wniosku, że jest on w blizkiem pokrewieństwie z małpą.

Pan Natan znów wzruszył ramionami.

— Do rzeczy, do rzeczy niepoprawny gaduło.

— Otóż, pragnąłbyś może dowiedzieć się, po co przyjechał ten ładny chłopiec do Warszawy?

— Z chęcią...

— W bardzo prostym, i co więcej, szlachetnym celu. Oto, ażeby zadenuncjować do właściwej władzy niejakiego Joachima Hermana, dwóch imion, Landsbergera, właściciela poważnego kantoru komisowego w Hamburgu, Natana, inaczej Nuchima Lurje, kupca 1-ej gildji, a nadto kupców 2-ej gildji: Apenszlaka i Fajnhanda, oraz różnych innych komparsów, że...

— Że...

— Że od dwóch lat prowadzą na wielką skalę interes przemytniczy, przeprowadzają za dziesiątki i setki tysięcy rubli towaru przez granicę, ma się rozumieć, bez opłaty cła, że asekurują kontrabandę, że, oprócz tego, prowadzą na równie poważną skalę handel zamienny przedmiotami pochodzącemi z kradzieży

i rabunku, wysyłając do Hamburga i za Ocean to, co skradziono w Królestwie i Cesarstwie, a do Królestwa i Cesarstwa to, co skradziono w Niemczech, w Anglii i gdzieindziej, że udzielają kredytu na poważniejsze przedsiębiorstwa... złodziejskie, że wreszcie wyrabiają kopami fałszywe plomby, a nawet, jak on sądzi, muszą produkować fałszywe pieniądze...

Pan Natan powstał z krzesła. W tej chwili nie był wcale podobny do tego poważnego, a skończenie poprawnego finansisty, jakiego znał cały świat. W oczach świeciło mu przerażenie. Bełkotał:

— Powiadasz... powiadasz?...

Pan Joachim tymczasem odrzucił się na tył krzesła i śmiał się do rozpuku.

— Ha, ha, ha! — wołał—uważasz, co za obrzydliwe potwarze...

— Więc to żart?... Zkąd wiesz, że chce denuncjować?...

— Nie wiem, ale przypuszczam — rzekł już zupełnie zimno pan Joachim. — Nie sądzisz przecie, ażeby ów ładny chłopiec chciał się mnie z takich zamiarów zwierzać... A przypuszczam dla tego...

Tu pan Landsberger się zatrzymał. Po chwili zapytał:

— Czy wiesz, jak się nazywa ten rudy oberwaniec?...

— Nie.

— Ach, to tłómaczy twoją naiwność... Otóż, jego nazwisko, a właściwie przezwisko, jest „Czerwony Janek".

— Przecież to twój człowiek...

— Właśnie... I dla tego też przypuszczam z jego strony tak ładne zamiary. Powinien on być w tej chwili w Prusach, po tamtej stronie granicy, tymczasem przyjeżdża sobie tu, do Warszawy... A trzeba ci wiedzieć, że jako złodziej pobytowy, nie ma prawa tu pozostawać i nadto jest dobrze poszukiwany za kilka historyj, które mu się udały już na pobycie. To jeszcze mało. Mam dowody, że razem z moim konkurentem, Weinmanem, chciał mnie urządzić w gruby sposób.

— Więc?

— Więc zanim będzie mowa o „likwidacji", to jest o wycofaniu się z tutejszych interesów i wyjechaniu w cieplejsze kraje, trzeba usunąć tę przeszkodę...

Pan Natan ściągnął brwi; w oczach jego świecił teraz zły płomień.

— Jak?... — zapytał głosem suchym, bezdźwięcznym.

Pan Joachim wypił resztę wina z kieliszka, przejrzawszy je poprzednio pod światło. Następnie chciał mówić, gdy wtem dało się słyszeć pukanie.

— *Herein!* — rzekł pan Landsberger.

Na progu stanął „Josek", a raczej (wiemy już jego nazwisko) Józef Sztiefel, zdyszany, blady od znużenia, w swym długim surducie, przypominającym nieco krój kapoty...

— Pan Pfeifer, tutaj? — zapytał głosem gardłowym. — A... — dorzucił, spostrzegając pana Lurje.

— Wejdź pan, wejdź — zachęcał go przedstawiciel firmy „Ejteles i Sp.".

„Josek” postąpił parę kroków naprzód.

— Cóż, cóż?... — pytał go z gorączkowym pośpiechem pan Natan. — Przy tym panu możesz pan mówić...

„Josek” zabrał głos:

— Ten człowiek wziął numer w hotelu... Mieszka pod numerem 19; niezadługo potem wychodził wrzucić list do skrzynki pocztowej; następnie wrócił do numeru.

Pan Natan zbladł okropnie; bełkotał:

— List... list?...

— Tak jest — odpowiedział „Josek”.

Pan Joachim musiał aż skierować znaczące spojrzenie na pana Natana, ażeby ten ostatni przyszedł trochę do przytomności.

— Otóż, przypuszczając, że polecenie, dane mi, zostało w ten sposób wypełnione, skierowałem się tutaj. Po drodze, spotkał mnie pan Apenszlak, kupiec z Nalewek.

— Apenszlak?— zawołali obadwaj wspólnicy.

— Zdawał się być bardzo zaniepokojony. Pytał, czy nie będę się przypadkiem widział z panem. A kiedy odpowiedziałem twierdząco, dał mi tę kartkę...

Podał panu Natanowi zwinięty kawałek papieru, zasmolony, bez koperty. Na papierze tym było skreślone drżącą ręką jedno tylko słowo:

„Rewizja.”

ROZDZIAŁ VII.

Za kaucją.

— A więc ., to nie żarty, adwokacie?

— Bynajmniej...

— Z górą trzykroć sto tysięcy rubli!

— Gotówką...

— I kto składa?

— Pan Stawinicz, przyjaciel Strzeleckiego.

— Ależ to musi być miljoner... Wiesz pan, że w mojej praktyce, a zapewne i w praktyce całego naszego sądu, dotąd podobnego wypadku nie było...

Taki djalog prowadzony był na dzień wcześniej, przed wypadkami, opowiedzianymi w poprzednim rozdziale, przez znanego nam już sędziego śledczego i adwokata „Julka”.

— To ciekawe, to ciekawe! — powtarzał sędzia śledczy, przeciągając ręką po czole.

— Ależ siadajże adwokacie! — dorzucił po chwili. — Takeś mnie oszołomił twą wiadomością, że nie uważałem nawet, iż dotąd stoisz.

„Julek” siadł. Wykrzyknik sędziego co do Stawinicza, który, jak wiemy, był tu osobą podstawioną, trochę kłopotał adwokata. Profesja nie nauczyła go mówić z zimną krwią nieprawdy, nawet w najlepszym celu. Do tego łączyła się niepewność, czy sędzia wobec

okoliczności sprawy, zechce utrzymać w mocy decyzję co do kaucji. „Julek” kręcił się na krześle.

Przez chwilę panowało milczenie.

— A więc, kiedyż Strzelecki będzie wolny?—-zapytał wreszcie adwokat, probując zdobyć pozycję śmiałością.

Jednocześnie wydobył z teki grubą paczkę i arkusz papieru.

— Oto pieniądze — rzekł — a to podanie... Ja jestem upoważniony do wniesienia.

Sędzia śledczy wstał z krzesła.

— Chwilkę, adwokacie — odezwał się — tylko chwileczkę. . Muszę zebrać myśli,

Upłynęło parę chwil. Sędzia wreszcie usiadł i zaczął:

— Wybaczysz, adwokacie, że dałem panu czekać. Ale sprawa i jej okoliczności są tak wyjątkowe!.. Przyznam się panu otwarcie, że jestem zaskoczony, zupełnie nie przygotowany przez pańskie żądanie. Muszę jednak powiedzieć, że pytać się w tej chwili: „kiedy Strzelecki będzie wolny”, jest trochę przedwcześnie.

Twarz „Julka” zachmurzyła się.

— Dla czegóż to? — zapytał.

— Wiesz pan dobrze, w jakim stanie śledztwa wydałem postanowienie co do ewentualnego uwolnienia oskarżonego za kaucją. Wprawdzie władze zwierzchnicze nie zniosły mej decyzji i pozostaje ona w swej sile, ale wiesz pan dobrze, jak się od tego czasu okoliczności zmieniły...

„Julek” spojrzał niespokojnie na sędziego.

— Obecnie stwierdzono, iż w paczce pięciu tysięcy rubli, złożonej przez pannę Temę Z... znajdują się banknoty, skradzione firmie „Ejteles i Sp.".

— Bądźmy ściślejsi... wypłacone tej firmie przez bank, dnia poprzedniego przed kradzieżą — próbował słabo oponować „Julek".—Mogły one następnie przejść do Strzeleckiego inną zupełnie drogą.

— Jaką? Niech nam to wyjaśni.

Adwokat odpowiedział na to tylko rozłożeniem ramion.

— Widzisz, adwokacie... Zresztą, gotów jestem przyjąć pańską poprawkę. To nie zmienia bynajmniej położenia. Tak, czy inaczej, mamy teraz niezmiernie groźny dowód przeciwko Strzeleckiemu, dowód materjalny, faktyczny Cóż pan na to powiesz?

„Julek" nie miał nic do odpowiedzenia.

— W tym stanie rzeczy, muszę się najpierw poważnie zastanowić nad możebnością utrzymania mej poprzedniej decyzji...

Adwokat próbował zacząć mówić, przekonywać; ale sędzia, który ochłonął już z pierwszego wrażenia, nie ustępował.

— To trudno — odpowiadał na wszystkie przełożenia — rozumiesz pan dobrze odpowiedzialność, jaka na mnie ciąży. Jestem przedstawicielem sprawiedliwości i prawa i nie mogę dopuścić żadnej ujmy ani dla jednej, ani dla drugiej. Zresztą, nademną są moi zwierzchnicy. Ważność sprawy, zwiększa tylko odpowiedzialność. Samo nawet złożenie tak wyjątkowej. ze

względu na sumę, kaucji, jest okolicznością, dorzucającą wiele do sprawy!.,.

— Przecież tego ani prawo. ani logika przeciwko oskarżonemu tłómaczyć nie pozwala!— protestował żywo adwokat.

— Zgoda, najzupełniejsza zgoda! Nie zapominaj pan przecież, iż władza sądowa ma obowiązek pilnowania, ażeby oskarżony w żadnym razie nie uniknął wymiaru kary i ażeby pieniędzmi się od niej nie mógł wykupić.

— Ostatecznie — rzekł w konkluzji sędzia — muszę w spokoju rozważyć wszystkie *pro* i *contra*. Wierz mi pan, że niepotrzebnych kwestyj i trudności robić nie będę. Bądź pan łaskaw zostawić podanie i zgłosić się około czwartej. Dopiero wówczas będę mógł panu dać decyzję.., Pieniądze tymczasem zabierz pan.

Za chwilę, „Julek" był już na schodach. Biegł on, jak zwykle, szybko. Rozmyślania, którym się oddawał, nie były najweselsze...

Tego się właśnie obawiał. Zbyt dobrym był prawnikiem, ażeby nie rozumieć, iż położenie, z chwilą sprawdzenia numerów banknotów, na żądanie samego Strzeleckiego, stawało się nieskończenie gorszem. To też, idąc do sędziego śledczego z kaucją, na serjo myślał, czy nie właściwem byłoby teraz przedstawić sędziemu śledczemu odkrycia „Frygi", które niejako mogłyby służyć za przeciwwagę tej poszlaki...

Adwokat żałował bardzo, że „Fryga" wyszedł od niego przed złożeniem przez pannę Felę pieniędzy.

Rano, przed wyjściem do sądu, posyłał nawet służącego do ratusza, ażeby się dowiedział o ajenta. Odpowiedziano tam jednak, że „Frygi” nie ma.

Dodać musimy, że urzędownie „Fryga” kwaterował w ratuszu, a w mieszkaniu na Starem-Mieście, gdzie była zameldowana Karolcia, przebywał tylko w chwilach wolnych od służby. Naczelnik wiedział o tem i tolerował, ze względu na usługi, oddawane przez użytecznego ajenta. „Fryga” nawet raz, podczas jednej z wypraw na złodziei, dostał uderzenie nożem w ramię, przeznaczone dla swego zwierzchnika. To też wolno mu było niejedno... Kontentowano się zresztą tem, że w wydziale wiedzieli zawsze, gdzie go znaleźć. „Fryga” też na pierwsze zawołanie zawsze był gotów.

Ma się rozumieć, adwokat „Julek” o prywatnem mieszkaniu ajenta i o jego „sielance” nie wiedział. To też nie mógł skierować swych poszukiwań na Stare-Miasto

Musiał tedy, nie chcąc opóźniać wolności Strzeleckiego, udać się do sędziego sam.

Podczas rozmowy z sędzią, kilkakrotnie otwierał już usta, ażeby mu w paru słowach wspomnieć o odkryciach ajenta. Ale obawa pogorszenia jeszcze sprawy, zamiast jej polepszenia, wstrzymywała go. Zresztą, musimy wydać „Julka” z sekretu: wstydził się on trochę wspominać przed sędzią o swoich stosunkach z ajentem.

Opuśćmy jednak adwokata, oddanego smutnym myślom, a wróćmy na chwilę do gabinetu sędziego.

Ten ostatni, był pełen niepokoju i niepewności. Poleciwszy, ażeby nikogo nie wpuszczano, przechadzał się szerokiemi krokami po pokoju. Od czasu do czasu gestykulował, to znów wyrywały mu się z ust jakieś niedokończone słowa...

Sędzia ważył okoliczności sprawy, komentował ją ze wszystkich stron, starał się przeniknąć ciemności, które w niektórych punktach dokoła niej się gromadziły...

— Bardzo być może — mówił do siebie — że oskarżony jest ofiarą nawet nie zbiegu okoliczności, lecz występnej machinacji. Można przypuszczać, ale tylko przypuszczać... Machinacja, jeżeli zresztą istnieje, jest tak doskonała, że przekona przeciwko niemu każdy sąd... W takich warunkach, zwolnienie oskarżonego za kaucją, byłoby szaleństwem. Jeżeli odrzucić te drugoplanowe okoliczności, te niedomówienia, te półcienie, niewiele zresztą zmieniające stan rzeczy, oskarżenie o kradzież jest proste, jasne i bezwzględnie stwierdzone... Skradzione pieniądze znalazły się w jego ręku! Złożenie tak poważnej kaucji może być właśnie dowodem, że przyjaciele Strzeleckiego stanowczo zamierzają dać mu możność uniknięcia wymiaru sprawiedliwości, możność ucieczki...

Sędzia śledczy zatrzymał się.

— Z drugiej strony — zaczął znowu — nie zapominajmy, że można nad Strzeleckim urządzić tajny nadzór... Obawa ucieczki mogłaby zostać w ten sposób zneutralizowaną... Przytem, niezmiernie jest ciekawem, jakie byłoby jego postępowanie po uwolnie-

niu? Możnaby w ten sposób wyjaśnić ciemności, uzyskać jeszcze bardziej niewątpliwy dowód jego winy. Z drugiej strony, mając ręce rozwiązane, on sam, jeśli jest niewinny, mógłby wynaleźć i przedstawić dowody swej niewinności. .

Sędzia usiadł i przez dłuższą chwilę rozmyślał.

— Nie, nie! — wykrzyknął wreszcie — sprawiedliwość bawić się w takie sztuczki nie może. Życie nie jest romansem, lecz rzeczywistością. Nie trzeba się dać obałamucać niezręcznym bajkom przestępców...

Znowu umilkł. Uspokoił się, przysunął arkusz papieru i zaczął pisać.

— Obowiązek mi nakazuje — mówił do siebie— znieść poprzednią decyzję. To trudno! Jestem gotów mieć dla niego sympatję, jako człowiek, ale jako sędzia, muszę działać według prawa.

W kwadrans, nowe postanowienie było gotowe.

Sędzia jednak znowu się zamyślił. Przychodziły mu do głowy nowe wątpliwości.

— Jakkolwiek bądź— myślał, przechadzając się po gabinecie —kwestja jest tak ważną, iż wolałbym nie decydować w tej mierze bezwzględnie własną mocą. .

Śledztwo było jeszcze w jego ręku. Miał więc prawo wydać decyzję i takowa byłaby niewątpliwie ważną. Ale mógł przecież pójść po radę do swego zwierzchnika, prokuratora. Sprawa ta budziła bardzo poważne zainteresowanie; szczegóły jej, były dobrze znane prokuratorowi. Rada jego, mogła do pewnego

stopnia zmniejszyć, jeśli nie urzędową, to moralną odpowiedzialność sędziego.

— Tak, pójdę poradzić się!— powiedział sam do siebie.

Wziął arkusz papieru, na który przed chwilą rzucił postanowienie i jego motywy i skierował się ku drzwiom, prowadzącym do przedpokoju.

W maleńkim przedpokoju było w tej chwili prawie pusto. Na ławce, pod oknem, woźny w mundurze o zielonych wypustkach, kręcił papierosa i przyglądał się latającym za oknem wróblom; w kącie, przy piecu, siedziała jakaś ubogo ubrana kobiecina... Trzymała w ręku list.

Na widok sędziego, z pośpiechem podniosła się z miejsca.

— Za kwadrans wrócę — rzucił sędzia woźnemu, kierując się ku drzwiom wyjściowym.

Kobiecina tymczasem pytała wzrokiem o coś woźnego, widocznie, czy to sędzia; woźny odpowiedział jej skinieniem głowy. Kobieta zbliżyła się do urzędnika.

— Proszę wielmożnego pana, list — rzekła. — czekam już pół godziny...

Sędzia zatrzymał się; zwrócił się do woźnego.

— Dla czego nie przyniosłeś mi listu?

— Nie chciała oddać... Mówiła, że to do własnych rąk... A pan sędzia nie kazał nikogo wpuszczać.

Sędzia wziął do ręki list. Na kopercie było napisane: „b. pilno!” Chciał już rozerwać kopertę, gdy kobiecina znów się odezwała:

— Ta pani, co mi dała list, kazała prosić o pokwitowanie; mówiła, że w środku są jakieś ważne papiery. .

Sędzia spojrzał zdziwiony na kopertę, której niezbyt wielka objętość nie usprawiedliwiała bynajmniej tego przypuszczenia.

— Co za pani? — zapytał.

— Ze Starego Miasta...

Sędzia był coraz bardziej zdziwiony.

— Daj mi kawałek papieru— rzekł do woźnego.

Za chwilę, kobieta, odebrawszy pokwitowanie, wychodziła, a sędzia skierował się w jeden z korytarzy gmachu sądowego, prowadzący do prokuratora.

W drodze, rozdarł kopertę. W środku znajdował się list i mniejsza, zapieczętowana kopertka.

List brzmiał, jak następuje:

„Wielmożny panie sędzio!

„Jestem żoną ajenta policyjnego, noszącego przezwisko „Frygi", którego zapewne wielmożny pan sędzia sobie przypomina, ponieważ już kilka razy z Jego rozporządzenia wykonywał różne czynności, a nadto stawał w sprawach, jako świadek... Mąż mój w tej chwili, z powodu wypadku, który go dotknął, leży nieprzytomny w łóżku i nie wiem, kiedy odzyska świadomość.

„Z tego powodu, czuję się w obowiązku, zastępując go, zawiadomić Wielmożnego Pana Sędziego, o czem następuje:

„Mąż mój, powodowany zbytnią gorliwością w swoim zawodzie, stał się winnym wobec pana sę-

dziego. Mianowicie, podczas rewizji w mieszkaniu nieboszczyka kasjera Halbersona, ukrył kika kawałków papieru, będących widocznie szczątkami listu, chcąc następnie za ich pomocą odkryć tajemnicę, jaka się, jego zdaniem, w sprawie znajdowała i w ten sposób samodzielnie dojść do wykrycia prawdziwych winowajców. W tym celu, od pewnego czasu robił już poszukiwania, rezultat których będzie mógł objaśnić Wielmożnemu Panu po dojściu do zdrowia.

„Tymczasem, ponieważ jego choroba może potrwać pewien czas, a okoliczność odkrycia listu może mieć niezmierne znaczenie w sprawie, wiedząc o poszukiwaniach męża, których zresztą bynajmniej nie pochwalałam, uważam za najpilniejsze, wraz z obecnem wyjaśnieniem, przesłać Wielmożnemu Panu szczątki papieru. Znajdują się one w załączonej kopercie, wraz z objaśnieniem, jak je, zdaniem mojego męża, złożyć i czytać należy. Dodać muszę, że te kawałki nie stanowią bynajmniej całego listu... Reszta kawałków znajduje się, jak mi mówił mąż, w mieszkaniu Halbersona, które jest podobno zapieczętowane, tak, że będzie można kawałki zestawić i w ten sposób cały list odcyfrować. Przytem, zwracam uwagę Wielmożnego Pana jeszcze na jedną okoliczność: list jest pisany na papierze, posiadającym rodzaj wodnych znaków, w formie gwiazdek, a więc i tamte kawałki powinny mieć tę samą cechę wyróżniającą.

„W razie, gdyby Wielmożny Pan Sędzia uznawa za potrzebne, tymczasem ja mogę służyć wszelkiem innemi objaśnieniami.

„Wreszcie, jeszcze raz proszę w imieniu mego męża o przebaczenie; działał on nierozważnie, ale nie ze złą wolą. Zamiarem jego było pomódz sprawiedliwości, do czego wziął się w sposób zapewne niewłaściwy... Jestem przekonana, że Wielmożny Pan Sędzia nie zechce gubić i pozbawiać kawałka chleba biednego człowieka, który może na to lekkomyślnością swoją zasłużył.

„Jeszcze raz najpokorniej o to błagam Wielmożnego Pana Sędziego i ośmielam się przypomnieć, że obecnym moim krokiem naprawiam prawie w zupełności błąd mojego męża."

Pozostaję z najgłębszem poważaniem

Sługa...

Tu następował nieczytelny podpis.

Sędzia szybko przebiegł oczyma ten list. Wywarł on na niego ogromne wrażenie.

— Ach, tak! — mruknął pod nosem — „Fryga", zdolny ajent, ale ma namiętność do prowadzenia śledztw na boku...

Sędzia stanął w korytarzu. Otworzył ostrożnie mniejszą kopertę. Znalazł w niej kilkanaście małych kawałków papieru, a nadto tekst urywka, odtworzony przez Karolcię.

Przyglądał się papierowi długo... Tysiączne myśli przechodziły mu przez głowę. List, nad którym nieraz pewno Karolcia dobrze się zarumieniła, przyznając sobie tak śmiało tytuł żony ajenta, zadziwił go przedewszystkiem formą. Ortografia, kaligrafia i styl, nie pozostawiały nic do życzenia.

— Żona ajenta! — mówił sam do siebie — to dziwne... Zresztą, trzeba ją będzie wezwać...

Dalej, treść samego listu miała niezmierną wagę. W samej rzeczy, jeśli uznać kawałki listu, jakoby znalezionego w pokoju Halbersona za autentyczne, cała sprawa zdawała się przybierać nowy obrót. Jakkolwiek było tłómaczyć urywki słów i zdań, odnalezione na tych podartych kartkach przez „Frygę", zawsze wprowadzały one sprawę śmierci Halbersona i związaną z nią sprawę kradzieży trzechkroć stu tysięcy rubli, na inną zupełnie drogę... Rzecz zaczynała przybierać obrót tak fantastyczny, że nawet najfantastyczniejsza obrona Strzeleckiego nie zdawała się tak niemożebną, jak pierwotnie. Strzelecki, wobec tego listu, nie mógł być w żadnym razie głównym i jedynym sprawcą zbrodni; w najgorszym razie, mógł być wspólnikiem, komparsem, w najlepszym — ofiarą niepochwytnej machinacji...

Sędzia przechadzał się długo po korytarzu, rozważając wszystkie ewentualności.

— W każdym razie, trzeba się porozumieć z prokuratorem — rzekł wreszcie.

Konferencja sędziego z prokuratorem trwała blisko godzinę...

. . . .

Jesteśmy w celi więziennej.

Szare, twarde i zimne ściany wązkiej a szczupłej celi, odgradzają więźnia od świata i ludzi. U góry, wy-

soko, maleńkie okienko, zamknięte czarną kratą, przepuszcza zaledwie cokolwiek światła. Przy ścianie twardy tapczan, a właściwie rama drewniana, z rozciągniętą w srodku grubą materją, zastępującą posłanie, w kącie dzbanek z wodą — oto wszystko.

Było to nazajutrz, około drugiej w południe.

Promienie słońca, które w pogodny, październikowy dzień po raz ostatni pewno przed pójściem na zimowy spoczynek, pieściło ulice i mury miasta, zabłąkały się i do tej cichej i smutnej celi... Jeden blady, złotawy promień przedarł się przez czarne kraty, oświetlił pajęczynę, oplatającą sufit więzienia, ogrzał dwie spotkane po drodze muchy, aż biedactwa zaczęły poruszać skrzydełkami, wreszcie zatrzymał się na murze nad łóżkiem, uwydatniając jakieś rysy i szczerby, niby napisy i rysunki, któremi była pokryta ściana.

Janek Strzelecki siedział na tapczanie. Głowę trzymał pomiędzy rękami, opartemi na kolanach. Spoglądał wzrokiem prawie bezmyślnym w podłogę. Dokoła niego panowała cisza, tylko od czasu do czasu dolatywał z korytarza daleki odgłos kroków. Już od pół godziny ani podniósł oczu w górę... A tymczasem promień słońca zbliżał się coraz bardziej ku jego głowie, otaczał ją jakąś aureolą złocistą... Zdawało się, że słońce chce go pocałować, chce zwrócić uwagę biednego więźnia na ten ostatni uśmiech pogodnej, pełnej uroku jesieni.

Janek porwał się z miejsca.

— To niepodobna! — rzekł głosem przytłumio-

nym, który dziwnie nieprzyjemnie odbijał się o te szare mury — to niepodobna...

Zaczął się przechadzać po ciasnej izdebce, robiąc zaledwie parę kroków w jedną i drugą stronę. Cała fala myśli, wspomnień, kombinacyj, przebiegała mu przez głowę.

Niewinny był prawie pewny skazania. Czuł jakąś tajemniczą sieć, oplątującą go dokoła. A wszystko się zaczęło od tego, że chciał się po raz ostatni zobaczyć z „tamtą"... Zgodził się stawić na jej wezwanie. Sam sobie winien! Kara, która go dosięga, stokroć powinna być surowszą. Idąc na spotkanie z „tamtą", zdradzał niemal Różę. Za to stracił ją teraz bezpowrotnie. Co się stało, to się nie odstanie...

Ciągle wracał do tej myśli i ciągle paliła go ona na nowo...

Twarz jego, wychudła, blada, pod wpływem tej myśli ściągnęła się w ostrzejsze jeszcze linje. Oparł się o ścianę i przymknął oczy... Pierś jego poruszały gwałtowne, konwulsyjne łkania... Po twarzy płynęły mu zwolna gorące, grube łzy.

— Różo! Różo! — wyrywało mu się od czasu do czasu z ust...

Promień słońca, ślizgający się po ścianie, spotkał jego biedną, pałającą głowę i począł ją całować i pieścić. Przemknął się po włosach, starał się wyprostować sfałdowane czoło, wreszcie począł zlekka łaskotać czerwone od łez powieki. Janek mimowoli otworzył oczy...

Dopiero teraz ujrzał swoje więzienie pełne słońca

i uśmiechów nieba... Ten blady promyk światła tak dziwnie rozświetlił te szare mury, ozłocił je i przystroił, że biednemu więźniowi cela jego zdała się w tej chwili niemal pałacem. Muchy trzepotały skrzydłami, w górze, w promieniu słońca igrały miljardy maleńkich pyłków, a u czarnych krat więzienia, wieszały się białe, srebrzyste nici babiego lata...

Upłynęła chwila. Mimowoli niejasny uśmiech zaczął się budzić głęboko w kątach twarzy Janka, obok nieobeschłych jeszcze łez. To wszystko było tak proste, a jednak tak piękne, szczególniej dla więźnia. Stanowiło to tak dziwny kontrast z całem morzem czarnych myśli, wirujących mu w głowie...

W umyśle Janka poczęła powstawać reakcja. Te promienie słoneczne budziły w nim nowy świat myśli. Dawały się one streścić w jednym wielkim wyrazie: Nadzieja!...

— Czyż to możebne?— pytał sam siebie więzień.

Teraz dopiero zaczął sobie uświadamiać to, co go dzisiejszego ranka spotkało. Dopiero obecnie zrozumiał, co mu przed godziną mówił sędzia śledczy.

Tak, tak! Rano, dzwoniąc kluczami, przyszedł stary Jefrem i kazał mu się zbierać do „śledowaciela". — Pojedziesz, brat, karetą! — mówił. I rzeczywiście, wkrótce potem siedział wewnątrz zakratowanego furgonu; konie parskały, furgon trząsł, bruk dudnił, a dwaj aresztanci, siedzący z nim razem, coś rozmawiali w złodziejskim żargonie... Przez kratki, widać było znikające jak migawki w latarni magicznej, urywki kamienic, drzew, przechodniów i dorożek. Wkrót-

ce potem był w gabinecie sędziego śledczego. Ten gabinet przejmował go drżeniem. Ta walka z coraz nowemi, gromadzącemi się coraz potężniej poszlakami, walka bez wyjścia i rezultatu, nabawiała go nerwowego strachu. Jak ptak w klatce, uderzał coraz o nowe przeszkody, twarde jak żelazo i nieugięte jak logika i upadał znużony, rozbity... Był w tym gabinecie tyle razy i zawsze ten sam skutek. To też teraz, gdy tam wchodził, stawał się nieczułym na wszystko.. Wpadał w rodzaj odrętwienia.

Tym razem, sędzia śledczy trzymał go krótko... Mówił mu... ach, tak! mówił mu, że złożono za niego kaucję i że do czasu osądzenia sprawy, zostanie wypuszczony na wolność... Nastąpi to niedługo, za parę godzin, może za godzinę...

— To niepodobna... to niepodobna! — powtarzał sobie Janek.

Ale tymczasem nadzieja, razem z blado-złotemi promieniami jesiennego słońca, zaczęła przenikać w głąb jego piersi. Łzy obeschły na twarzy biedaka. Uśmiechnął się niemal do jaśniejszych widziadeł, które mu w dali ukazywała wyobraźnia...

W korytarzu dały się słyszeć kroki. Szczęknęły klucze; we drzwiach stanął stary Jefrem.

— Padi, panie, do kancelarji — rzekł.

W pół godziny potem, formalności zostały załatwione. Ciężka furta więzienia, skrzypiąc, otworzyła się Ze schodów, prowadzących do kancelarji, dwóch więźniów, zajętych robotą, spoglądało z zazdrością na

szczęśliwca, który wychodził na wolność. Strażnik przy bramie kłaniał się mu uniżenie.

Strzelecki przestąpił próg. Furtę zatrzaśnięto z łoskotem.

Znalazł się na ulicy...

Dziwnie w tej chwili wyglądał i dziwne mu przez głowę przechodziły myśli.

Zarośnięty, zaniedbany, wychudły, nosił ubranie zniszczone, pełne plam. Wisiało ono na nim raczej, niż leżało. Uśmiechnął się sam do siebie smutnie.

— Chciałbym się zobaczyć w zwierciadle! — pomyślał.

Po chwili zastanowił się Co ma robić? Należało wrócić do mieszkania. Po co? Rumieńce mu uderzyły do twarzy. Hańba, wstyd! Będą go pokazywali palcami na ulicy.—To ten, co ukradł trzysta tysięcy! A potem znów sąd, najpewniej wyrok skazujący znowu na więzienie... Czy nie lepiej skończyć od razu?

W umyśle Janka Strzeleckiego powstała myśl, która mu dotąd nie przychodziła do głowy, myśl o samobójstwie. Uśmiechnął się do niej.

— To spokój, wieczny spokój!... — powtarzał sobie.

Przyszła mu do głowy nowa myśl... Tak! Przedtem ma jeszcze coś do zrobienia. Musi jeszcze zobaczyć ją... choćby na minutkę, choćby zdaleka: Musi się z nią pożegnać! A potem...

Krokiem ciężkim, chwiejąc się, jak gdyby był pijany, ruszył naprzód wzdłuż więziennego muru. Szedł, nie patrząc w górę, schyliwszy głowę ku ziemi.

Trochę opodal więziennej bramy, przy rogu poprzecznej ulicy, stała kareta. W chwili, kiedy Janek przechodził obok powozu, z okienka karety wychyliła się urocza główka dziewczęcia.

— To on! — wyszeptało dziewczę.

Z karety wyskoczył wysoki brunet, o przystrzyżonej brodzie i po rajtarsku sterczących wąsach.

— Janek! — wołał, rzucając się ku uwolnionemu z więzienia.

— Władek... Stawinicz!... — zaledwo mógł wybełkotać.

Ku wielkiemu zgorszeniu arystokratycznego stangreta, spoglądającego na tę scenę z wysokości kozła, dwaj przyjaciele padli sobie w objęcia.

W tej chwili, wzrok Strzeleckiego pobiegł trochę dalej, ku wnętrzu karety... Zachwiał się, aż go musiał podtrzymać Stawinicz. Wyciągnął naprzód ręce.

— Pani... Różo!... — zawołał.

Ona chciała coś powiedzieć, ale drżące jej wargi nie mogły wymówić ani jednego słowa... Wyciągnęła tylko ku niemu ręce...

Stangret był stanowczo zgorszony.

ROZDZIAŁ IX.

„Plajt!“

Przez Nalewki, w rannych godzinach, przeciągała następująca oryginalna kawalkada. Na przodzie szedł komisarz sądowy ze swoim pisarzem, dalej, o parę kroków, znany już nam właściciel „Kantoru inkasa i realizacji”, p. Abraham Meiner, w odwodzie dwaj pisarze, jeden nizki, pucołowaty blondyn, drugi elegancki młodzieniec, o pięknie przystrzyżonej brodzie. Jeden z nich dźwigał pod pachą wielką tekę, drugi jakąś paczkę.

Wspaniały widok!

Szczególniej ozdobą całego tego orszaku był sam pan Abraham Meiner. Przypominał on nieco wodzów rzymskich, tryumfalnie wstępujących do miasta. Z podniesioną głową, kroczył poważnie w samym środku orszaku, stawiając wysoko nogi. Usta jego ozdabiał uśmiech pół dobrotliwy, pół drwiący, który zresztą co chwila zmieniał odcienie, w miarę spotykania różnych osobników i wymiany z nimi ukłonów. Ten uśmiech, stanowił całą „skalę kredytową” Nalewek; wyrażał on dokładnie, co wart który ze spotykanych chałatowych kupców; lepiej nie mógł być poinformowany żaden komitet handlowy przy żadnym z banków. Na widok jednych, był on służalczo słodki, wobec innych, stawał

się lekceważącym, nawet wzgardliwym. Odpowiednią skalę przedstawiały także ukłony, oddawane delikatną ręką pana Abrahama.

— Cy... cy... a fajne purec!—mówili brudni żydkowie, wyglądając ze swych sklepów, na widok wspaniałego przedstawiciela pokątnej Temidy na bruku Nalewek.

Pan Abraham nie stracił dziś napróżno czasu. Zrobił już trzy zajęcia, przyłożył mnóstwo pieczęci i nawet chciał jednemu z dłużników zabrać rzeczy na furę... Dopiero ubłagany, zgodził się na pozostawienie zajętych przedmiotow pod dozorem swego dłużnika, w jego mieszkaniu. Ma się rozumieć, nie obeszło się bez małego wynagrodzenia dla dobrotliwego p. Abrahama; dowodem paczka z towarami, która przeszła z rąk dłużnika, pod pachę jednego z pisarzy pokątnego doradzcy.

Pan Abraham był zdania, że nie robi się kroku bez wynagrodzenia

Obecnie, właściciel „Kantoru realizacji i inkasa” podążał na czwarte zajęcie. W chwili, kiedy dawał rozporządzenie pisarzom, aby czekali na ulicy (był to rodzaj gwardji ochronnej, ponieważ zdarzało się, iż pokonani prawem dłużnicy p. Abrahama, starali się go zwalczyć argumentami... pięściowemi), a sam zamierzał wejść do sklepu za przedstawicielem sprawiedliwości, ukazał się nadbiegający z przeciwnej strony Nalewek — „Josek”.

Pan Abraham zatrzymał się; na ustach jego uka-

zał się uprzejmy uśmiech w najdoskonalszym gatunku. Za chwilę, „Josek” znajdował się przy nim.

— Co pan... co każesz? — zapytał p. Abraham, starając się być wykwintnym.

— Chciałem się z tobą zobaczyć... Wyszedłeś z domu tak rano.

— Co robić?— rzekł z powagą p. Abraham, gładząc błyszczącą od brylantów ręką pięknie wygolony podbródek. — Ja mam na głowie tyle interesów, tyle interesów...

Aż cmoknął.

— Chcę wiedzieć, co z Bernfusem?

— Dobrze... Dziś będzie załatwione.

— Dziś?

Tryumfujący uśmiech ukazał się na twarzy pana Abrahama.

— Widzisz, ja tak zawsze... Nie żartuję! Abraham Meiner, co ma ogłosić komu upadłość jutro, to mu ogłosi dziś...

— Więc dziś będzie wniesione podanie do sądu handlowego?

P. Abraham spojrzał z powagą na cyferblat szczerozłotego zegarka, wysadzanego brylantami.

— Już wniesione.. „Mój” adwokat — na tym wyrazie „mój” był położony niewysłowiony akcent — tam już czeka. O pierwszej będzie zapieczętowane.

Pan Abraham uważał za stosowne roześmiać się na cały głos.

— Będziesz przy tem?

— A jakże.

— A inni?

— Inni też w porządku. Mówiłem ci już, że mamy ich już trzech, wszyscy na prowincji. Tym nie ma po co robić upadłość, oni i tak po cichu zrobią „plajt”.

— Dobrze. Zobaczymy się wieczorem.

„Josek” oddalił się szybko, gwiżdżąc coś między zębami, a pan Abraham wszedł majestatycznie do sklepu, gdzie już komisarz sądowy przystępował do urzędowych czynności, a żyd, żydówka i pięcioro żydziąt starało się tymczasem ukrywać pod ubraniem i w różnych kątach wszystko, co cenniejsze...

Rozpoczęło się zajęcie.

W dwie godziny potem, znajdujemy pana Abrahama Meinera w tylnej izdebce składów firmy „Bernfus i Syn”, na Franciszkańskiej.

Była to jedna z najpoważniejszych w tej okolicy firm. Ciekawą jest jej historja. Zaczęło się od małego straganiku z zabawkami, guzikami i kramarszczyzną, który przed trzydziestu kilku laty, w bramie tej samej kamienicy trzymała matka obecnego właściciela interesu. Kramik powoli rósł, aż stara straganiarka przeniosła się do jednego z najmniejszych sklepików w podwórzu; pomagał jej tam syn, młody, kilkunastoletni chłopiec. Po dwudziestu latach, stara żydówka spoczywała, po całem życiu ciężkiej pracy i znoju, na „kierkucie”, a jej syn, który zdołał się tymczasem przetworzyć w grubego żyda, o rudej brodzie, był jednym z większych hurtowników nalewkowskich.

Sklep jego i pakamer, zajmowały cały parter bocznej oficyny i jeden z największych sklepów fron-

towych. Mieściły się tu nieprzeliczone paki i paczki norymberszczyzny, galanterji i różnych drobiazgów. Znalazłeś tu nici, igły, guziki, spinki, scyzoryki, zabawki, korkociągi, pilniki, narzędzia ślusarskie i stolarskie, bransoletki, kolczyki, lusterka, zamki, klucze, haftki, haczyki, ozdobne pudełka metalowe i tysiące, tysiące różnych drobiazgów. Po obszernych pakamerach składów Bernfusa, uwijało się kilkunastu subjektów i chłopców.

Bernfus był jedną z powag nalewkowskich. Obecnie jednak, gwiazda jego zaczynała blednąć... Bernfus nie był szczęśliwym w stosunkach rodzinnych. Żyd, który nie ma potomstwa, uważa się za pokrzywdzonego przez Opatrzność; z niepłodną żoną bierze on rozwód. Bernfus, pomimo dwukrotnego rozwodu, dochował się zaledwie jednego syna. Syn ten był zresztą jego nieszczęściem. Wysłany do jakiejś szkoły handlowej zagranicą, wrócił, wprawdzie bez patentu, ale z przyzwyczajeniami i szykiem niemieckiego kantorowicza, w dosyć złym gatunku. Jego „bezbożny”, krótki kostjum i koń, na którym jeździł w Aleje „nawet w sobotę”, stanowiły przedmiot oburzenia całych Nalewek...

— Staremu Bernfusowi djabli wezmą! — mówili sędziwi nalewkowscy patryarchowie, kiwając głowami.

Rzeczywiście, szalone wydatki, które robił młody Bernfus, wreszcie jego mięszanie się do handlu prowadzonego przez ojca, podkopywało interes, dotąd bardzo solidny. Stary Bernfus był bardzo powolny żądaniom syna: robił wszystko, czego tylko chciał ten

ostatni. Wtenczas to firma została zmieniona na „Bernfus i Syn”, wtenczas również z inicjatywy syna, obok interesu galanteryjno-norymberskiego, został otworzony interes cukrowy... Firma „Bernfus i Syn” pozostawała w ciągłych stosunkach z domem handlowym „Ejteles i Sp.”.

Interesa Bernfusów zaczęły się wkrótce chwiać, pod nieumiejętnem kierownictwem syna. Szanowana na całej Franciszkańskiej i na Nalewkach firma, znalazła się na brzegu przepaści. Wówczas w starym Bernfusie obudził się doświadczony kupiec, który potrafił sam, z niczego, stworzyć ten interes. Postanowił on uratować, bynajmniej nie honor, o to wcale mu nie chodziło, ale pieniądze — porządną „plajtą”.

W tym celu, uciekł się do inteligentnej pomocy majstra od tego rodzaju sztuczek, pana Abrahama Meinera.

W chwili, kiedy wchodzimy do jednej z tylnych izdebek obszernych magazynów firmy „Bernfus i Syn”, stanowiącej rodzaj kantoru, p. Abraham i Bernfus dopiero co powrócili z przeglądu pakamerów. Obydwaj są zadowoleni; przyjemny uśmiech igra na ich twarzach...

Bo też widok, który się im przedstawił, zupełnie odpowiadał ich wymaganiom. Składy, jeszcze przed tygodniem nabite towarem od góry do dołu, obecnie były prawie puste. Paki i paczki, zręcznie zgrupowane tak, ażeby zakryć próżnię, nie mogły oszukać oka specjalisty. Czuć było, że to tylko dekoracja.

W składach nie widać było zresztą tego gorącz-

kowego ruchu, bieganiny, okrzyków, zapytań, szwargotu, przesuwania drewnianych schodków, ułatwiających dostęp do wyższych pułek... Część subjektów już od paru dni została odprawioną. Pozostali, poruszali się wprawdzie, ale jakoś ociężale, inaczej niż zwykle. W sklepie nie widziałeś prawie kupujących... W powietrzu czuć było burzę.

Pan Abraham rozsiadł się wygodnie w wielkim fotelu stojącym przed dużym stołem, założonym księgami; poklepał się po brzuchu i rzucił tylko te dwa słowa zapytania:

— Sy git?...

Bernfus pochylił głowę twierdząco. Przez chwilę panowało milczenie.

— Już powinni być...— zrobił uwagę Bernfus.— Spóźniają się!

— Przyjdą! — odpowiedział pan Abraham.

— Ale, ale — zapytał po chwili, wskazując na podręczną kasę ogniotrwałą, stojącą w kącie — czy tam jest co pieniędzy?...

Bernfus spojrzał pytająco.

— Dla czego?...

— Trzeba, żeby było. Zawsze to przyzwoiciej.

— Masz pan rację.

Bernfus wyjął z kieszeni gruby pugilares, odliczył trzydzieści kilka rubli drobniejszemi papierkami i włożył do kasy.

— Poczekaj pan, poczekaj!... — zawołał pan Abraham.

Wydobył z kolei swoją portmonetkę i wyszukał w niej nowiutkiego rubla; wrzucił go do kasy.

— Niech wierzyczele mają to od Meinera na szczęście!...

Obydwaj ledwie nie pokładali się ze śmiechu na ten dowcipny żart p. Abrahama. Cała figura Bernfusa aż trzęsła się od śmiechu; łzy zachodziły mu oczy.

— To wyborne, to paradne!

Po chwili, kiedy uspokoili się, pan Abraham zaczął znów pytać.

— Jakże książki?...— zapytał, wskazując na nie ręką.

— Zupełnie dobrze.

— A weksle, te z Cesarstwa, na których tyle straciłeś?...

Pan Abraham znów się śmiał.

— Wyborne.

— Ciekawy jestem, jak je będzie pański syndyk sprzedawał: na funty, czy na arkusze?...

Bernfus nie mógł wytrzymać; parsknął znowu śmiechem.

— A gdzież pański syn, młody pan Bernfus?

— Nie ma go. Wyjechał onegdaj za granicę. Ja mu kazałem. On ma takie delikatne zdrowie... On jest chory na serce.

W tej chwili, z przednich pokoi pakameru zaczęły dolatywać jakieś szmery i hałasy. Pan Abraham skoczył z fotelu na równe nogi.

— To pewno oni! — rzekł.

Wkrótce do pokoiku, w otoczeniu kilku subjek-

tów, wszedł komisarz sądu handlowego, adwokat ***, rewirowy i kilka innych osób.

Komisarz włożył na szyję łańcuch.

— W imieniu prawa! — rzekł.— Sąd handlowy, w dniu dzisiejszym, na żądanie wierzycieli: Apenszlaka i Fajnhanda, postanowił ogłosić upadłość firmy „Bernfus i Syn”. Kuratorem, mianowany tu obecny adwokat ***, a osoby przedstawicieli firmy mają być zabezpieczone, przez oddanie pod nadzór policyjny...

Przez chwilę panowało milczenie.

— Przystępujemy do opieczętowania — odezwał się po chwili komisarz sądowy.

— Zamykać sklep!... — zawołał na subjektów Bernfus.

ROZDZIAŁ X.

Co robią „Fryga“ i Apenszlak?

Zostawiliśmy „Frygę” w krytycznem położeniu...

Znajdujemy go nazajutrz nieprzytomnego na łóżku, w małej izdebce mieszkanka na Starem Mieście. Dopiero co odszedł doktór; skonstatował on, że stan „Frygi” nie przedstawia nic wyjątkowo groźnego.

Tylko znaczna liczba stłuczeń i dwie czy trzy ranki, pokrywały jego całe ciało. Dołączyła się do tego gorączka, w której biedak rzuca się na łóżku, wymawia jakieś niezrozumiałe wyrazy, robi gwałtowne ruchy rękoma.

— Tam.., tam... maszyna... czerwone płomienie... Zbliża się... ma w ręku nóż... Fałszerze... popiołu... popiołu... rzucić w oczy...

Karolcia, zapłakana, pochyliła się nad łóżkiem biedaka i stara się zimnemi okładami łagodzić gorączkę, zanim przybędzie stróżka, wysłana do apteki po lekarstwa, zapisane przez doktora.

— Ciemny korytarz... uciekajmy... czemprędzej... Oni gonią... są tuż... paka... jaka ciężka...

„Fryga” naśladował odgłos czegoś ciężkiego, spadającego w głąb; po chwili, znów zaczął rzucać urywane wyrazy.

— Zabici! .. już ich nie ma... Odżyli... mają rewolwery... Strzelają... raz... dwa... trzy... Ach!

Porwał się i stanął na łóżku. Chciał gdzieś biedz. Karolcia musiała użyć całej swej energji, ażeby go zmusić znów do położenia się. Osiągnęła wreszcie ten cel pieszczotami i pocałunkami.

— Józiu, Józieczku... — mówiła — nie bój się... To ja, twoja Karolcia .. Jesteś w domu. A tam śpi Stach...

„Fryga” uspokoił się. Schował się teraz cały pod kołdrę; drżał, zęby mu szczękały, jak gdyby z największego zimna. Karolcia okryła go jego paletotem, położyła na wierzch swe futerko i siedziała przy łóżku,

spoglądając na jego twarz, niespokojna. „Fryga" zdawał się uspakajać; zasypiał.

W jaki sposób ajent policyjny znalazł się w izdebce na Starem Mieście? Na to pytanie, należy się czytelnikowi odpowiedź.

Nie widząc innego wyjścia, zmuszony on był, jak wiemy, wyskoczyć przez okienko spichrza. Skok taki, z wysokości prawie drugiego piętra, był niewątpliwie bardzo ryzykowny, ale z dwojga niebezpieczeństw, ajentowi to w danej chwili wydawało się mniejszem. Grad kul rewolwerowych, narażał go lada chwila na śmierć pewną! Zresztą, był słaby, wyczerpany, bez broni i sam jeden; miał nadto odcięte wszelkie wyjście. Ich było kilku, a może w odwodzie jeszcze kilkunastu i posiadali broń. W ostatnim razie, mogli się dostać na drugą galerję i tu z nim skończyć. Śmiałość ich szła do ostatnich granic. Odgłosy wystrzałów, pomimo grubych ścian spichrza, pomimo jego, widocznie dość odosobnionego położenia, mogły zaalarmować sąsiadów. Pomimo to, napastnicy nie cofali się przed niczem. Byli zdecydowani.

Rozumowanie to, w jednej sekundzie przebiegło przez mózg ajenta. Pozostawała mu jedyna droga przez otwór okienny. Wybrał ją. Wybił kratę i znalazł się na zewnątrz.

Spadał...

Jak już wiemy, z opowiadania p. Natana Lurje p. Landsbergerowi, tuż obok spichrza, pod okienkiem, którem wyskoczył „Fryga", znajdował się rodzaj ogródka lub drugiego podwórza, a do samego muru

spichrza była przysunięta szopa. Na dach tej szopy upadł „Fryga”. To złagodziło bardzo znacznie siłę upadku. Z dachu stoczył się na ziemię i znalazł pod szopą, na piasku, obok złożonych naczyń domowych, łopat, mioteł i narzędzi ogrodniczych.

Dla tego też ani prześladowcy, pragnący z okienek spichrza przekonać się o tem, co się stało z ajentem, ani rozbudzeni hałasem sąsiedzi, którzy zaczęli wyglądać z okien wielkiej, położonej naprzeciwko oficyny, nie widzieli „Frygi”, leżącego pod zakryciem dachu.

Wkrótce dotkliwy chłód obudził ajenta. Wczesne poranki w początku października, odznaczają się przejmującem zimnem. Pierwszem wrażeniem „Frygi” było zdziwienie, że jeszcze żyje. Przypominał sobie, jak przez mgłę scenę, która miała miejsce w spichrzu, nie wiedział dobrze, jak dawno, przed godziną, czy przed paru minutami; przypominał sobie ryzykowny skok. Gdzie jest? Jak się tu znalazł? Czy nie ma rąk albo nóg połamanych? Pomimo zimna, przejmującego go dotkliwie, osłabienia i gorączki, uderzającej mu coraz mocniej do mózgu, krótki wysiłek rozwagi pozwolił mu wkrótce zorjentować się w położeniu. Znajdował się na ziemi, a więc musiał przebyć ów ryzykowny skok. Widocznie, wysokość nie była tak znaczna, jak mu się zdawało. Chłód, odrętwiający jego członki, nie pozwalał mu sprawdzić odrazu, czy nie ma czego złamanego. Czuł ból wszędzie. Wkrótce jednak „Fryga” uspokoił się i w tym względzie. Po chwili chciał się podnieść, nie mógł.

Upłynęło kilkanaście minut. Gorączka zaczęła ogarniać „Frygę”.

Wtem, do jego uszu doleciał skrzyp drzwi. Dały się słyszeć ciężkie, wlokące się kroki i kaszel. Drzwi w parkanie otworzyły się i ukazała się zaspana figura stróża z czerwonym nosem. Niósł w ręku narzędzie swego powołania — miotłę.

„Fryga” uniósł głowę i spojrzał.

— Jakób! — powiedział do siebie.

Nie dalej, jak przed tygodniem, osobiście doręczył temu cerberowi pięć rubli nagrody, wyznaczonej dlań przez władzę policyjną za złapanie złodzieja. Jakób był dobrą znajomością ajenta, który zresztą mógł się pochlubić, że znał sporo osób w mieście. Widok stróża był dla „Frygi” całem odkryciem. Wiedział przecież dobrze, że Jakób jest stróżem w domu na Sapieżyńskiej, Nr..., jeśli tylko przypadkiem od tygodnia, co było mało prawdopodobnem, nie zmienił służby.

A więc „Fryga” znajdował się na Sapieżyńskiej. Nie wiele kto zna tę wązką uliczkę, idącą kręto od Franciszkańskiej, mniej więcej równolegle do Nalewek. Tyły tej posesyi, wychodzą na tyły domów położonych po prawej stronie Nalewek, pomiędzy Franciszkańską a Muranowską. „Fryga” skombinował w tej chwili, iż na tem właśnie polega wyjaśnienie zagadkowej drogi, odbytej przezeń tej nocy, pełnej wypadków. Spichrz, położony w głębi posesji od ulicy Sapieżyńskiej. musiał przytykać do tyłów oficyny, zajmowanej przez Apenszlaka w domu na Nalewkach,

a pomiędzy budynkami istniało tajemne przejście. Spichrz, umyślnie wynajęty w oddzielnej posesji, stanowił widoczne uzupełnienie podziemnych warsztatów Apenszlaka. Przez ulicę Sapieżyńską przywożono kontrabandę, która następnie od strony Nalewek wychodziła, przystrojona w fałszywe plomby, lub odwrotnie. Ztąd pochodziła obfitość pak i paczek w piwnicach oficyny Apenszlaka, którą „Fryga" tak niedawno zdołał sprawdzić. Stanowczo, rzecz była urządzona nieźle!

Takie myśli, z szybkością błyskawicy przebiegały przez głowę ajenta. Uniósł się cokolwiek na rękach i odezwał głosem umyślnie przyciszonym:

— Jakóbie, Jakóbie!...

Jakób był trochę głuchy, zresztą w tej chwili zażywał z hałasem tabakę; nie dosłyszał tedy wołania. Ajent powtórzył imię stróża głośniej.

Jakób aż się cofnął w tył.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał.

Pomimo bólu, na ustach ajenta ukazał się uśmiech...

— To nie duch... To ja, „Fryga" — mówił, wysuwając się z po za kupki różnych gratów.

Zdziwienie Jakóba nie miało granic. Przez chwilę walczył ze sobą. Miał chętkę uciekać, a z drugiej strony, brała go wielka ciekawość, zkąd się tu mógł wziąć „pan naczelnik", bo tak od czasu otrzymania za pośrednictwem „Frygi" gratyfikacji, zwykł go był nazywać. Jakób przetarł oczy.

— O la Boga! — pytał, niepewny swego — dyć to pon nacelnik!

— Ja sam.

— Jezusie! co zaś pon nacelnik tu robi?...

Ajent nie miał zresztą zamiaru bawić się w długie gawędy ze stróżem. Korzystając z powagi, jaką posiadał w oczach Cerbera, kazał mu w tej chwili sprowadzić dorożkę i pomódz sobie do powrotu do domu. Na pytania stróża, „Fryga” odpowiedział jednem słowem: „Interes nie twój i nie mój, ale skarbowy”. To wystarczyło dla Jakóba, W kwadrans, „Fryga”, podtrzymywany przez stróża, przeszedł przez podwórze pogrążonej jeszcze we śnie kamienicy i znalazł się w dorożce, którą aż z Muranowa, od znajomego dorożkarza, sprowadził Jakób Stróż, poleciwszy żonie zamiatanie podwórza, wsiadł do dorożki ażeby się opiekować coraz bardziej słabnącym ajentem.

— Jedź na Stare Miasto — rzekł „Fryga” do dorożkarza.

Przedtem. ajent na ćwiartce papieru napisał ołówkiem kilka słów i kazał Jakóbowi około dziesiątej rano doręczyć swemu naczelnikowi.

— Tylko do własnych rąk! — mówił.

W drodze tymczasem coraz straszniejsza gorączka ogarniała „Frygę”. Kiedy przyjechali przed kamienicę na Starem Mieście, ajent był już zupełnie nieprzytomny. Dopiero porozumiawszy się ze stróżem miejscowym, Jakób zdołał się dowiedzieć, gdzie należy odstawić biednego „Frygę”.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie zaledwo rozbudzonej ze snu Karolci, kiedy dwóch ludzi wniosło

niemal jej Józia, jak go nazywała, pokrwawionego, w porozdzieranem ubraniu, nieprzytomnego...

Wkrótce jednak, ze zwykłą sobie energią i inteligencją, zrobiła wszystko, co należało w tem położeniu.

Wypytawszy się Jakóba o to, zkąd przybywa jej „mąż” (tak go nazywała wobec obcych), odprawiła go, obdarzywszy dwuzłotówką i poleciła koniecznie zanieść kartkę do naczelnika. Następnie swego stróża posłała po doktora.

Po wyjściu doktora, uspokoiwszy się, Karolcia zaczęła się zastanawiać nad powodami fatalnego wypadku.

— To nic innego, tylko ta nieszczęśliwa sprawa Ejtelesów! — mówiła do siebie. — Jemu się przez tę sprawę zdarzy jeszcze nieszczęście...

Nachyliła się nad łóżkiem i przyglądała twarzy „Frygi”, śmiertelnie w tej chwili bladej, pokrytej w paru miejscach siniakami; na czole miał on zdarty kawałek skóry. Łzy jej stanęły w oczach. Pocałowała go w czoło.

— Biedactwo!... — szepnęła.

Przypomniało się jej tajemnicze pismo, które było punktem wyjścia śledztwa, prowadzonego przez ajenta. Zajrzała do pugilaresu; list znajdował się tam jeszcze. Ogarnęła ją trwoga. Jeżeli on będzie chory przez czas dłuższy, list ten, leżąc bez użytku w jego pugilaresie, może być powodem zguby owego młodego człowieka. Co robić?... Po krótkim namyśle, Karolcia

napisała i wysłała list, który widzieliśmy w ręku sędziego śledczego; wiemy już, jaki był jego skutek.

Dzień tymczasem zbiegał młodej kobiecie na krzątaniu się około chorego. Przy pomocy felczera, opatrzyła ona wszystkie jego skaleczenia, a środki, zapisane przez lekarza, dobroczynnie wpływały na zmniejszenie gorączki. Chory od czasu do czasu był przytomniejszy.

Kiedy Karolcia spoglądała na niego dużemi, niebieskiemi oczyma, z zapytaniem i wyrzutem, odrzekł głosem zaledwie dosłyszalnym:

— Później... później...

Raz, czy dwa razy, zapytywał się, czy nie ma wiadomości od naczelnika.

Około samego wieczoru, ajentowi zrobiło się znacznie lepiej. Maligna, po dłuższym śnie, ustała; już od pół godziny leżał spokojniejszy. Młoda kobieta krzątała się na palcach po izdebce. Niedługo miał przyjść znów lekarz.

— Karolciu... — odezwał się przytłumionym głosem „Fryga"!

Przybiegła do niego do łóżka.

— Co chcesz, moje dziecko? Lepiej może, żebyś się nie męczył. Sprobój zasnąć.

Przez chwilę czekała na odpowiedź.

— Widzisz.. moja droga... ja się koniecznie muszę zobaczyć... z naczelnikiem...

Ciężko odetchnął.

— Czy nie był naczelnik?

— Nie i pewno już dziś nie będzie.

W oczach ajenta odbił się wielki niepokój.

— Czy to bardzo ważne? — pytała Karolcia.

Chory przymknął oczy, na znak potwierdzenia.

— Jeśli chcesz, mogę w twojem imieniu do niego napisać.

Twarz „Frygi” rozjaśniła się uśmiechem; znów zrobił znak twierdzenia.

Karolcia przysunęła stolik do łóżka, zapaliła lampę i miała już siąść do pisania, gdy wtem zastukano do drzwi. Młoda kobieta pobiegła czemprędzej otworzyć. We drzwiach stanął wysoki pan, w uniformie. Był to znany już nam urzędnik policyjny.

— Czy tu mieszka „Fryga”? — zapytał głosem basowym.

Na twarz młodej kobiety uderzył rumieniec; było jej niewymownie przykro słyszeć to przezwisko.

— Tu — rzekła, spuszczając oczy.

Przybyły, przy świetle lampy, padającem z drugiego pokoju, przyglądał się młodej kobiecie. Widok jej dobrze go usposobił.

— A... a... to panienka.., pani! — poprawił się.— No, a gdzież „Fryga”?

— Może pan naczelnik pozwoli dalej — rzekła głosem drżącym jeszcze od wzruszenia.

Za chwilę, urzędnik siedział przy łóżku ajenta. „Fryga”, z poczucia subordynacji i uszanowania, próbował unieść chociaż głowę z poduszek, ale nie udawało się mu to wcale.

— To ty, widzę, dobrze chory — zaczął wreszcie urzędnik. — Widzisz, mój kochany; chcę ci naj-

pierw powiedzieć, że jesteś nie w porządku. Powinieneś być nie tutaj, ale w ratuszu lub w szpitalu. I to także do niczego niepodobne, żebyś pisał do swego zwierzchnika.

Karolcia stała przy drzwiach; ajent skinął na nią ręką, żeby wyszła do kuchni. Młoda kobieta była posłuszna.

— Ale ja to uwzględniam. Ja, mój kochany, pamiętam, że tam, na Smoczej, gdyby nie ty, dostałbym dobrze nożem w bok.

W oczach „Frygi" widać było radość.

— Panie naczelniku... — wybełkotał.

— No, no, nie martw się... Gadajże, czego chcesz i co ci się stało?

Pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnym zaczęła się długa rozmowa, która trwała blisko godzinę. Dla „Frygi³ była ona niezmiernie męcząca. Biedak, co chwila musiał przerywać. Parę razy wołał Karolcię z kuchni, żeby mu dała pić. Młoda kobieta, przez cały czas siedziała w kuchni, na kuferku, przysłuchując się cichemu, przerywanemu szmerowi słów ajenta i wykrzyknikom jego zwierzchnika. Treść rozmowy zresztą nie dochodziła do jej uszu i nawet w tej chwili niewiele ją zajmowała. Obawiała się tylko, ażeby jej Józiowi, w skutek tej rozmowy, nie pogorszyło się.

Wreszcie naczelnik wyszedł; zdążał śpiesznie ku drzwiom.

Po drodze, uśmiechnął się łagodnie do młodej kobiety.

— Nie martw się, pani — rzekł. — „Mąż” będzie zdrów i pewno dostanie nagrodę.

. . . .

Zobaczmy teraz, co robi Apenszlak

W pół godziny po wyskoczeniu „Frygi” z okna spichrza, Apenszlak, pomimo wczesnego ranka, dzwonił do bramy domu gdzie mieszkał Meiner i dokąd poprzedniego wieczora, śledzony przez „Frygę”, odprowadzał młodego bruneta z bakenbardami, przyznającego się, jak wiemy, do dość dźwięcznego nazwiska barona von Rajt. W trzy kwadranse potem, szli obydwaj razem w głąb Nalewek.

Lisia, wstrętna twarz Apenszlaka, była w tej chwili jeszcze brzydsza niż zwykle. Jego maleńkie, latające oczki, pełne były niepokoju, a zmarszczki na czole zbiegały się w linje nieprawdopodobnie zawikłane. Szli prędko, milcząc, tylko młody człowiek rzucał od czasu do czasu urywane wyrazy.

— Niedbalstwo, niedbalstwo!—rzekł po chwili.— Nie rozumiem, jak można było w takim interesie do czegoś podobnego dopuścić.

Apenszlak tylko rozłożył ręce.

— Jeszcze pan, no... nie dziwię się. Ale znam przecież ludzi, którzy tam pracują... Wypuścić go z rąk!

Na to wspomnienie, krew aż uderzyła Apenszlakowi do głowy.

— A ganef!. .

Przez chwilę panowało milczenie. Stanęli na kilka domów przed posesją, w której mieszkał Apenszlak. Ten ostatni obejrzał się uważnie, z trwogą w oczach. Dokoła nie było widać nic podejrzanego. Gdzieniegdzie tylko otwierały się z łoskotem bramy, i stróże, ziewając, wychodzili na ulicę z miotłami. Tu i owdzie ukazywało się kilku izraelitów, zdążających z powagą do synagogi. Z pod ich ubrania wyglądały szaty, przeznaczone do modlitwy.

— Jeśli można jeszcze co uratować, uratujemy!— mówił baron von Rajt.

Apenszlak tylko poruszał małemi, zaczerwienionemi oczkami.

— W tej chwili do roboty. Żeby na dziewiątą, najdalej na dziesiątą rano, było wszystko skończone. Rozumiesz pan?

Apenszlak pochylił głowę.

— Ilu tam jest ludzi?

— Siedmiu.

— To wystarczy. Za godzinę furmanki przyjadą. Daj mi pan dokładny adres.

— Muranów, Nr XX.

Baron von Rajt uśmiechnął się, notując adres w książeczce.

— Trzeba przyznać, że w zasadzie to urządzone nieźle. Ileż pan, do licha, miałeś spichrzów?

— Tylko dwa.

— No i piwnice pod domem?

— Tak.

— Gdyby nie to wczorajsze niedbalstwo! — za-

czął baron von Rajt — byłoby wszystko nieźle. Ale, ale — dorzucił po chwili — siedź pan spokojnie w domu i rób swoje, jak gdyby nigdy nic.

Apenszlak skłonił się.

— Najwyżej możesz się pan zobaczyć z Lurjem i przestrzedz... Tylko o mnie ani słówka!

— Rozumiem.

— A teraz do roboty...

Apenszlak wszedł do siebie.

Od tej chwili, ani w domu na Nalewkach, gdzie mieszkał Apenszlak, ani w domu na Sapieżyńskiej, gdzie działy się w nocy tak tragiczne sceny, nie nastąpiło przez cały dzień nic szczególnego. Wszystko szło zwykłym trybem. Pracowita ludność obydwu posesyj, jak zwykle, przebudziła się ze snu dość wcześnie i rozbiegła do swych czynności, prac i zajęć. Ruch w sklepach i składach panował, jak zawsze. Spichrz na Sapieżyńskiej, był tym razem cały dzień zamknięty. Kupiec, wynajmujący ów spichrz, nie mieszkał w tym domu i zresztą nie codzień miał potrzebę składania towarów lub ich wywożenia, nie było więc w tym fakcie nic bardzo dziwnego. Tylko stróż Jakób przez cały dzień był jakby nie swój. Biegał coś ze dwa razy na miasto, aż go za to rządca zwymyślał od „szwiń”... Wieczorem, Jakób z tego wszystkiego upił się w sąsiednim szyneczku i właśnie miał coś zacząć opowiadać zgromadzonym kamratom, gdy oto ukazała się we drzwiach jego baba i winowajcę par force zaprowadziła do domu.

Za to, gdybyśmy zajrzeli do domu na Muranowie,

Nr XX, ujrzelibyśmy tam już od wczesnego ranka ogromne ożywienie. Była to posesja niewielka, posiadająca w głębi spichrz murowany. Już od siódmej rano zaczęły tu zajeżdżać furmanki. Wywoziły one liczne paki i paczki. Dawał rozporządzenia jakiś gruby żyd z brodą.

O w pół do dziesiątej rano, robota była skończona. Gruby żyd odprawił ostatnią furmankę, zatrzasnął drzwi spichrza, zamknął je starannie i klucze włożył do kieszeni.

W pół godziny potem, Apenszłak przechadzał się po swoim kantorze, z miną człowieka zadowolonego. Jego małe, latające oczki, tym razem świeciły szyderstwem. Próbował nawet zanucić jakiś „majufes" na ton tryumfalny, alę nie bardzo mu się to udawało.

Od czasu do czasu przysłuchiwał się uważnie. Jak gdyby z pod podłogi, z pod ziemi, dochodził niekiedy jakiś oddalony szmer. Po dłuższej chwili, dały się słyszeć trzy wyraźniejsze uderzenia.

— Gemacht — rzekł do siebie zacny p. Apenszlak. — Uni teraz mogą przyjść...

. . . .

Upłynęło dwadzieścia cztery godzin.

W chwili, kiedy w numerze „chambres garnies" na Nowym Świecie, dwaj wspólnicy firmy „Ejteles i Sp.", prowadzili zajmującą rozmowę, znaną już czytelnikowi z jednego z poprzednich rozdziałów, a obok bramy Pawiaka, na wychodzącego z więzienia Janka

Strzeleckiego czekała kareta, w okolicach Nalewek panował niezwykły ruch.

— A rewizje... a rewizje!—powtarzali sobie żydkowie.

— Gdzie?

— Sapieżyńskie gass.

— Wus y dues?

— A kontrabande...

Apenszlak, po zobaczeniu się z „Joskiem” na Nalewkach, wpadł jak oparzony do siebie. Przed domem widział on kilka postaci, które zdawały się obserwować bramę.

Apenszlak wszedł do kantoru. Pomimo pewności, z jaką poprzedniego dnia wyraził, że „uni mogą przyjść”, na jego niemiłej twarzy widniał w tej chwili niepokój. Za chwilę będą!... Przypominał sobie, czy wszystko jest w porządku...

Jego twarz w jednej chwili zamroczyła się. Aż syknął...

— A hamer *) — mruknął sam do siebie.

Poskoczył do szafki stojącej na uboczu. Wyjął z niej wielki pugilares, dobrze wypchany papierami. Przez chwilę był niepewny, co z nim zrobić... Próbował włożyć do kieszeni, ale pugilares wystawał zbyt widocznie. Oglądał się na około. Wreszcie znalazł.

— Oddam Rózi — pomyślał.

Pobiegł na pierwsze piętro, do pokoików córki. Drzwi ustąpiły, ale dziewczęcia nie było w domu.

---

*) W żargonie żydowskim znaczy to „osioł“.

Wiemy, gdzie znajdowała się ona w tej chwili i kogo witała. Niepokój wybił się na twarzy Apenszlaka.

— Gdzie ona jest, gdzie ona jest?– powtarzał.— Najlepiej, żeby to schowała przy sobie. Nikomu przecież nie przyszłoby na myśl ją rewidować

Przez krótką chwilę namyślał się,

— Ha, kiedy jej nie ma, zrobię tak...

Zbliżył się do dziewiczego łóżeczka Róży i podniósłszy białe tiulowe okrycie i poduszki, schował pugilares w głębi pościeli. Niezręczną i drżącą ręką starał się uporządkować zrobiony nieporządek. Odsunął się i przyglądał białej pościeli i muślinowemu pawilonowi.

— Tak! teraz dobrze — rzekł do siebie — „tu" nie znajdą ..

ROZDZIAŁ XI.

Rewizja.

Przyszli.

W godzinę, po opisanej dopiero scenie, kantor Apenszlaka zaludnił się. Przedstawiciele władzy, ajenci policyjni, wreszcie budowniczy cyrkułowy i inne

osoby przybyły do kantoru. Apenszlak, schylony nad dużą księgą handlową, w której z powagą zdawał się sumować wysokie kolumny cyfr, przyjął gości, pełen zimnej krwi i jednocześnie pewnego zdziwienia.

— A, pan pułkownik! — rzekł, zwracając się do urzędnika policyjnego.

— I pan radca? — dodał na widok budowniczego. — To pewno o kominy... Ja zawsze mówię panu rządcemu, że tu kiedy może być ogień.

Odpowiedź, którą mu dano na pytanie, była dość wymijającą,

— Bądź pan łaskaw dać klucze od piwnicy — odezwał się ktoś.

— Z wielką przyjemnością!!.. — odpowiedział ugrzeczniony Apenszlak.

Wkrótce stara i brudna kucharka przyniosła klucze. Apenszlak, którego miano na oku, sam prowadził wszystkich przez korytarze.

Obejrzenie piwnic nie doprowadziło do żadnego rezultatu.

Znaleziono w nich beczkę kapusty, parę korcy węgli, trochę różnych gratów. I oto wszystko... Ani śladu izby, opisywanej przez „Frygę”, ani śladu machin i pieców... nic, zupełnie nic. Napróżno pukano w ściany, szukano śladu drzwi. Piwnic zresztą było niewiele, tylko trzy, położone przy niewielkim kurytarzyku...

Opukawszy jeszcze ściany kantoru, urzędnicy wyszli z oficyny, odprowadzeni przez uniżenie kłania-

jącego się Apenszlaka, na którego ustach przebijało się coś, w rodzaju szyderczego uśmiechu.

— Ja zawsze mówię panu rządcemu — powtarzał z powagą i grzecznością Apenszlak — że tu jest ogromna wilgoszcz... Jak tylko się skończy mój kontrakt, ja się zaraz wyprowadzę z tej rudery. Moje uszanowanie panu pułkownikowi!

Urzędnik policyjny był zakłopotany. Rezultat rewizji stanowczo wypadł niepomyślnie. Nic nie stwierdzało tego, co opowiadał „Fryga".

Od ulicy Sapieżyńskiej, znaleziono wprawdzie spichrz, z rozkładem wewnętrznym, odpowiadającym zupełnie temu, o którym mówił ajent policyjny, a jeden z kolegów „Frygi" znalazł nawet w murze ślady, prawdopodobnie od kul, ale za to w spichrzu nie było ani jednej paczki, ani jednej skrzyni... Co prawda, zadziwiło to nawet miejscowych, ponieważ do spichrza przywożono ciągle towary i ruch był znaczny. Jednocześnie przecież i wywożono je.

Do spichrza należało się dostać przy pomocy ślusarza, ponieważ drzwi były zamknięte, a kupiec, wynajmujący spichrz, nie pokazywał się już od kilku dni. Zapytany o niego rządca, nie pamiętał dobrze nazwiska...

— Zapłacił z góry za pół roku, do pierwszego stycznia — mógł tylko zapewnić.

Wreszcie, w jakiejś książce notatkowej, znalazł jego nazwisko: Sznapsfogel. Nazwisko to objaśniało niewiele.

— Gdzie mieszka?— pytał urzędnik policyjny.

— Podobno gdzieś na Ś-to-Jerskiej. Zresztą, dobrze nie wiem.

— Jak przynajmniej wygląda?

— Gruby... nizki... z brodą ..

Słowem, zagadkowa osobistość tajemniczego Sznapsfogla, który przywoził do spichrza tyle towarów, a obecnie miał pod kluczem tylko... puste ściany, rozpływała się we mgle...

Urzędnik policyjny kazał szukać drzwi w podłodze. Pomimo zapewnienia rządcy domu, że pod spichrzem nie ma żadnych piwnic, odkryto niebawem drewnianą ramę, przedstawiającą coś, w rodzaju drzwi. Były one zabite. Przy pomocy oskardów, wywalono je.

Rezultat był żaden.

Pod drzewem znaleziono cegłę, czarną i nawet zmurszałą, widocznie fundament spichrza. Wprawdzie jeden z ajentów, noszący przezwisko „Wicherka”, upierał się, że cegły, kiedy w nie uderzano, wydawały oddźwięk, dowodzący, że pod spodem znajdowała się próżnia; ale trudno było dla jego przywidzeń, szczególniej wobec zupełnego braku wszelkich innych danych, rozbijać fundamenta budynku.

Od Franciszkańskiej, w oficynie Apenszlaka, otrzymano równie małoznaczące rezultaty.

To też urzędnik policyjny, wyszedłszy z oficyny stanął na podwórzu, otoczony przez podwładnych, zły i niespokojny.

— Do licha! spudłowaliśmy... zaklął.

Urzędnik nie oskarżał „Frygi”. Pomimo wszystkich pozorów, najwidoczniej coś było pod tem ukryte.

Tylko przeciwnicy zdołali się tak urządzić, iż byli górą... Nieznaczący rezultat rewizji, przedstawiał jednak wiele niejasności, różnie się dających tłómaczyć. Niewątpliwie, w gruncie rzeczy było cos i to coś niezwykłego...

Urzędnik przygryzał niecierpliwie wąsa, rzucając okiem na obecnych; na jego czole rysowały się zmarszczki.

— Najgorzej, że są teraz ostrzeżeni! — myślał.

W tej chwili zbliżył się do niego „Wicherek”, nawiasem mówiąc, z liczby ajentów, najbliższy przyjaciel „Frygi”, który też całą rzecz wziął bardzo do serca. Szepnął on parę słów do ucha zwierzchnikowi.

— A... — była odpowiedź.

Za chwilę, całe grono skierowało się w stronę załamu muru, z boku oficyny, z którego to miejsca, jak pamiętamy, rozpoczęła się owej pamiętnej nocy podziemna wędrówka „Frygi”. „Wicherek” uderzył parę razy ręką w zagłębienie, utworzone przez rodzaj framugi; tutaj rzeczywiście dawał się słyszeć oryginalny, pusty oddźwięk, dowodzący, że niewątpliwie istniała tu próżnia.

„Wicherek” kręcił się około owej framugi, zaglądał pomiędzy cegły, naciskał je... Urzędnik zachęcał go spojrzeniem.

Ajent schylił się ku ziemi. Odsunął kupkę kamieni, którą, jak pamiętamy, napotkał już w czasie swej podróży „Fryga”. U dołu, był tu rodzaj drewnianego progu, z którego wystawały duże główki gwoździ.

Ajentowi przeszła przez głowę jakaś myśl.

Wziął w rękę brukowiec i zaczął nim uderzać w główki gwoździ.

Uderzenie w trzecią z kolei główkę, wywołało niespodziewany rezultat. Dał się słyszeć skrzyp, a w tej samej chwili, część cegieł framugi odsunęła się w bok, jak otwierające się drzwiczki. Ukazał się ciemny otwór. Wionęło zeń wilgotne, piwniczne powietrze.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie obecnych.

Po chwili jednak podziw zniknął, ustępując miejsca ciekawości. Co tam jest? Każdy zadawał sobie to pytanie.

Urzędnik policyjny, ze zwykłą mu energią, zarządził w tej chwili potrzebne środki. Ajenci otoczyli kołem otwór, ażeby z zewnątrz nie widziano, co się tu dzieje. Zresztą, już poprzednio zabroniono wpuszczać na drugie podwórze zbyt ciekawych. Za chwilę, znalazła się drabina i parę latarek.

Urzędnik policyjny zeszedł na dół pierwszy, trzymając w ręku rewolwer. Z góry, któryś z ajentów przyświecał latarką. Niebawem, przedstawiciele policji znaleźli się pod ziemią.

Znamy już podziemie, z powodu peregrynacji, jaką odbył „Fryga”. Od czasu bytności ajenta policyjnego, wiele się tu jednak zmieniło. Znikły wszystkie paki i paczki, w labiryncie których tak długo błądził „Fryga”. W wielkiej izbie nie było widać ani machiny, ani otworu pieca, ani śladów życia i ruchu. Wreszcie, żadnego otworu, żadnego wyjścia!

Dopiero po paru minutach, „Wicherek” odkrył

w ścianie występ i w środku rodzaj plamy kwadratowej, jaśniejszego koloru. Przekonywał on, że tutaj musiał być otwór pieca, obecnie zamurowany.

Urzędnik policyjny machnął ręką.

Jakkolwiekbądź, ptaszki uleciały dawno. A co najważniejsza, pomiędzy tem podziemiem, położonem znacznie głębiej, niż piwnice Apenszlaka, a temi piwnicami, oglądanemi przed chwilą, nie było, przynajmniej na pozór, żadnej komunikacji.

Bądź co bądź, należało złożyć o tem raport władzy. Urzędnik polecił strzedz tymczasem podziemia, a sam wyszedł na podwórze. Oddalając się w towarzystwie budowniczego, urzędnik znacząco spojrzał w okna „Kantoru”.

Za tem oknem, zasłonięty firanką, stał, trzymając się konwulsyjnie krzesła, Apenszlak.

Zimna krew, jaką okazywał niedawno wobec urzędników, znikła. Zęby mu szczękały, jak w febrze. Przez zęby, mruczał półgłosem jakieś niezrozumiałe słowa. Była to modlitwa — do Jehowy...

. . . .

Jakim cudem nastąpiły w podziemiu, w ciągu 36 godzin, tak dziwne zmiany? Gdzie znikły paki z towarami i przyrządy?

Nasi czytelnicy domyślili się już tego dawno.

Apenszlak i Spółka przewidywali nie jedno i w tym celu posiadali aż trzy składy, połączone przez nich piwnicznymi przejściami. Stosownie do rady, danej Apenszlakowi przez barona von Rajta, to wszyst-

ko, co mogło ich kompromitować, zostało niezwłocznie przeniesione podziemną drogą ze spichrza na Sapieżyńskiej i z piwnic na Franciszkańskiej, do najmniej niebezpiecznego składu na Muranowie. Ztamtąd zaś, wszystko natychmiast wywieziono.

Dokąd?... Zobaczymy.

Co do przejść i połączeń, takowe, korzystając z wolnego czasu, zamurowali z niepospolitą zręcznością bandyci, pozostający w służbie czcigodnej spółki. Jak się przekonamy niedługo, byli tó prawdziwi majstrowie do wszystkiego, ci ludzie Apenszlaka!...

ROZDZIAŁ XII.

„Czerwony Janek.“

Ciekawy to był okaz z tego „Czerwonego Janka”.

Indywiduum, którego przybycie do Warszawy tak bardzo zaniepokoiło pełnego wdzięku hambursko-warszawskiego negocjanta, o którem, jak wiemy, pan Joachim Landsberger myślał nawet jeszcze przed wyjazdem z Hamburga, nie odznaczało się zbytnią urodą. Wiemy już, że „Czerwony Janek” zawdzięczał swe przezwisko płomienistemu kolorowi czupryny.

Pod cieniem tej czupryny, kryje się twarz prawdziwie wstrętna. Piegowata, bezwąsa, z małemi ocz-

kami, zachodzącemi krwią, ozdobiona jest ona zawsze rodzajem cynicznego uśmiechu lub grymasu i głęboką szramą, idącą wzdłuż prawego policzka. Nosek mały, jak gdyby przecięty, wychyla dwa podnoszące się do góry nozdrza, ze środka pucołowatej twarzy. Wargi mięsiste, grube, ukazują dwa szeregi czarnych, zepsutych zębów.

Od czasu do czasu, te maleńkie oczki, zielonawe, jak u kota, błyszczą nieopisaną dzikością i okrucieństwem.

Ze względu na strój, ruchy, mimikę i sposób wyrażania się, „Czerwony Janek", to skończony typ nadwiślańskiego „Andrusa".

Bo też przed kilkunastu laty, kiedy zaledwo wyszedł z dzieciństwa, „Czerwony Janek" był prawdziwym bohaterem Powiśla. Do dziś dnia jeszcze, młode „andrusy", grając na kupie śmieci w zatłuszczone karty, opowiadają sobie legendy o „Czerwonym Janku" i o jego herkulesowej sile.

Był on pierwotnie terminatorem u rzeźnika i już wtedy okazywał dzikie instynkta, które potem rozwinęły się tak bujnie. Raz, pokłócił się z jakimś czeladnikiem. W parę dni, czeladnik, wracając w nocy po pijanemu do domu, dostał w bok nożem. Nazajutrz, „Czerwony Janek" znikł z warsztatu. Podejrzewano go o tę sprawkę, ponieważ jednak czeladnik się niedługo wylizał, a o „Czerwonym Janku" nie wiedziano gdzie się obraca, przeto rzecz tak została bez dalszych następstw.

Potem, ukazał się on w świecie „nadwiślańskich

andrusów[3], a niebawem stał się ich postrachem. „Andrusy" (nazwisko złodziei w ich gwarze), są przeważnie usposobienia jeśli nie łagodnego, to pokojowego. „Czerwony Janek" na tym punkcie wyróżniał się od nich. Lubił on bardzo „bawić się nożem". To też nie każdy pragnął zostać jego nieprzyjacielem. Mógł być pewny, jeśli nie czego gorszego, to przynajmniej porządnego skatowania. Zresztą, do udziału w swoich wyprawach, nie przypuszczał prawie nigdy nikogo, chodził sam i miewał zawsze „grajbery". Zwykłą „grandą" (kradzieżą) pogardzał. To też jego towarzysze, wiedzący zresztą o wyprawach „Czerwonego Janka" niewiele więcej, niż policja, przypisywali mu chętnie wszystkie mniej jasne wypadki, w Warszawie i nawet okolicy, w których się lała krew.

Jakkolwiekbądź, „Czerwony Janek" umiał się tak urządzać, że przez dwa lata blizko ani razu nie dostał się do ciupy. Padały nań niekiedy podejrzenia, ajenci zwracali na niego uwagę, ale jakoś wszystko przechodziło.

Pewnego ranka, cała Warszawa, a nawet światek „nadwiślańskich andrusów", został zaalarmowany. Opowiadano o strasznem zabójstwie, spełnionem na Tamce. Tuż nad brzegiem Wisły, znaleziono wielką kałużę krwi, widoczne ślady walki i wielki młot, stanowiący narzędzie zbrodni. Ślady prowadziły do Wisły...

Wkrótce sprawdzono, że zbrodnia w samej rzeczy została spełnioną. Ciało ofiary zostało wyłowione z rzeki o parę mil za Warszawą. Niewątpliwie, zbro-

dnia była następstwem zemsty prywatnej, która obrała sobie za narzędzie jednego z opryszków warszawskich. Była to zresztą pod wielu względami tajemnicza, niewyjaśniona sprawa.

Tym razem, „andrusy” niemal głośno wymieniali „Czerwonego Janka”, jako przypuszczalnego sprawcę zbrodniczego czynu.

Ajenci policyjni znaleźli się też na jego tropie, poczęto go obserwować, śledzić. Raz dostawszy się w ręce sprawiedliwości, „Czerwony Janek” musiałby zapłacić nie za jedno. Ale bandyta nie miał bynajmniej chęci poznajomienia się z kajdanami. Udało mu się umknąć...

Legenda o tej ucieczce, do dziś dnia żyje na Powiślu...

Już od paru godzin ajenci chodzili za „Czerwonym Jankiem”. Czuł on ich za sobą; następowali mu na pięty. Lada chwila mogli go zaaresztować. Bandyta znajdował się właśnie na jednej z nadwiślańskich ulic. Podążył ku Wiśle. Ajenci, którym polecono tylko obserwować go, ażeby w ten sposób znaleźć przeciw niemu poszlaki, lub trafić na trop domniemanych wspólników, szli za jego śladem. „Czerwony Janek”, znalazłszy się na brzegu, wszedł do łazienek letnich na Wiśle. Było to lato, godzina popołudniowa, mnóstwo osób używało kąpieli; panował ożywiony ruch. Jeden z ajentów zaproponował, ażeby zaraz zaaresztować ptaszka, inni jednak temu się sprzeciwili, z obawy niepotrzebnego skandalu.

— Nie zginie nam! — rzekł jeden.

— Niech się wykąpie— dorzucił drugi — będzie z nim mniej kłopotu na Pawiaku.

Ta kąpiel trwała jednak zbyt długo; upłynęła godzina, dwie, trzy, zbliżał się wieczór, a „Czerwonego Janka” nie było widać... Łazienka zresztą znajdowała się w Wiśle, na otwartem miejscu, ajenci obserwowali ją ze wszystkich stron, nie było więc obawy, ażeby bandyta zemknął. Trzeba było jednak skończyć z tą sytuacją, która zaczynała się przeciągać zbyt długo. Jeden z ajentów udał się do omnibusu, w charakterze kąpiącego się, ażeby zobaczyć, czy „Czerwony Janek” znajduje się tam. Po chwili powrócił; zwierzyny nie było w omnibusie. Musiała być w koszu... Ajenci tym razem, obawiając się następstw, skierowali się wprost wewnątrz, udali do właściciela łazienek, objaśnili cel przybycia i, korzystając z zapadającego już wieczoru i opróżnienia się łazienki, odbyli rewizję koszów.

Z jednego z nich, rzeczywiście kąpiący się nie wychodził już od paru godzin. Kiedy otworzono drzwi, nie znaleziono wewnątrz nikogo Tylko na stole leżała kartka, na której ołówkiem były nabazgrane te dwa wyrazy: „Adju Fruziu...” Znajdowało się tu również wierzchnie ubranie opryszka...

W jaki sposób zniknął? Przekonano się o tem wkrótce. Drewniane kratki kosza były pod wodą wyłamane. Najwidoczniej „Czerwony Janek” dał nurka pod wodą i wypłynął dopiero daleko od łazienki. Zapadający zmrok ukrył go przed oczyma ajentów, nie przypuszczających zresztą nic podobnego. Dopiero te-

raz przypomnieli oni sobie, że podług tego, co im opowiadano, „Czerwony Janek" pływał jak ryba...

Pomimo poszukiwań, pomimo telegramów, rozesłanych do policji wiejskiej, w miejscowościach położonych nad Wisłą, odtąd zniknął on bez śladu. Przez długi czas nie było o nim żadnej wieści. Dopiero w siedem czy ośm lat, ukazał się znowu w Warszawie, nad brzegami Wisły. Od tego czasu wiele się zmieniło. Powiśle ucywilizowało się; śmietniki i szychty drzewa, opuszczone kąty i zakątki, coraz więcej ustępowały miejsca domom i domkom, zaludnionym przez ubogą, ale uczciwą ludność. Nadto, pokolenie „andrusów", które on znał i z którem żył, już prawie całe wymarniało po szpitalach i więzieniach; „Czerwony Janek" znalazł zupełnie nowych rekrutów zbrodni i występku. Pomiędzy nimi jednak wielu słyszało od starszych o „Czerwonym Janku", a nawet znalazł się jeden, który go znał z widzenia. . Ostatecznie, przyjęto go wcale dobrze.

Sam „Janek" zmienił się też znacznie. Wychudł i pobladł; jedną nogą trochę powłóczył... Kiedy go pytano, gdzie był i co robił, odpowiadał mruknięciem, a czasem i kułakiem w plecy. To pewna, że musiał podróżować gdzieś daleko, na obczyźnie, bo nawet z żydami potrafił się rozmówić. Raz tylko, po pijanemu, wygadał się „Czerwony Janek" przed Józwą Kulasem, że był hen, za granicą, że miał tam różne drobne rachunki ze sprawiedliwością, że długo siedział w kryminale, ba... że mu głowę nawet chcieli uciąć taką maszyną, co jest pomalowana na czerwono... Ale

uciekł. Na drugi dzień zresztą, kiedy mu Józwa o tem przypomniał, „Czerwony Janek” tak go uczęstował, że ten przez tydzień stękał. To też Józwa od tego czasu, nikomu ani słowa o zwierzeniach „Czerwonego Janka” nie pisnął... I tak, pouczająca zapewne historja podróży „Janka” po obczyźnie, przepadła dla potomności!

Podróże te jednak zmieniły nieco charakter bandyty, utemperowały go... Pomimo krwiożerczości, która mu ciagle w oczach błyskała, nie bawił się teraz tak ciąglc nożem, jak dawniej. Nie dla tego, żeby to było dlań nieprzyjemne — bynajmniej, ale przez rozwagę... Jeżeli kiedy wspominano przy nim o rozlewie krwi, przechodził go jakiś dziwny dreszcz; mówił wtedy:

— To niezdrowo!

Przytem mimowoli podnosił rękę do szyi.

„Czerwony Janek” zajmował się teraz przeważnie kradzieżami i to niemal wyłącznie zwykłemi, bez włamania i innych okoliczności obciążających. W ogóle, stał się z niego wielki jurysta; wiedział, za co jaka grozi kara i starał się tak urządzać, ażeby za dany czyn, przypadał najmniejszy jej stopień.

— Majster! — mówili o nim nawet „andrusy”, kiwając głowami.

Ostatecznie, pomimo ostrożności, „Czerwony Janek” musiał „wpaść”. Sądzono go i skazano za kilka różnych sprawek na półtora roku więzienia i „pobyt”. O dawnej sprawie, z powodu której bandyta umknął,

nie było zrestą teraz mowy. Rzecz ta przygłuchła i poszła w niepamięć...

Skoro tylko wypuszczono bandytę na wolność, a właściwie zainstalowano w miejscu „pobytu", w tej chwili znów zniknął. Siedząc w więzieniu, „Czerwony Janek" myślał o tem i o owem. Ostatecznie, wybrał sobie nowy stan, mniej narażający na przykrości i szykany. Postanowił zostać „kontrabandzistą". Piękna ta myśl została urzeczywistniona. „Czerwony Janek" przebywał już od roku na granicy, najczęściej na pruskiej stronie i w służbie hambursko-warszawskiego negocjanta „przeprawiał" towary przez granicę, zresztą bez zachowania drobnej formalności opłaty cła.

Czy przypuszczenia pana Joachima Landsbergera, co do powodów jego bytności w Warszawie, w której mógł się wszystkiego obawiać, były słuszne?

Zaraz zobaczymy.

Znajdujemy bandytę w obecnej chwili (na trzeci dzień po przybyciu do Warszawy) w tym samym hotelu na Nalewkach, w którym zatrzymał się pierwotnie i dokąd go z polecenia p. Lurjego odprowadził przeżeń niewidziany „Josek". Nie można powiedzieć, ażeby izdebka hotelu odznaczała się zbytnim komfortem. Łóżko, o pościeli dość wątpliwej białości, komoda, stolik, lusterko, parę krzeseł — oto i całe umeblowanie...

„Czerwony Janek" był widocznie niespokojny i niecierpliwy. Przechadzał się wzdłuż i wszerz po wązkim pokoiku. Bo też nie bawił się zbyt w Warszawie, nie dla tego, żeby nie miał ochoty i chęci, a na-

wet środków po temu... Przeciwnie, jego portmonetka była dość dobrze wypełniona krajowemi banknotami, a w kieszeni brzękało pruskie srebro i złoto. Ale „Czerwony Janek” przybył w celu załatwienia pewnego interesu i dla tego nie myślał o niczem innem, dopóki najpierw z nim nie skończy. Zresztą, nie bardzo dlań bezpiecznie byłoby hulać po Warszawie Znali go tu dobrze, a między innymi, miał już z nim nieraz do czynienia „Fryga”.

Na stoliku, przystawionym do okna, leżał zaczęty list, a obok porzucone pióro. Widocznie pisanie nie stanowiło jednej ze zwykłych robót „Czerwonego Janka”; dowodziły tego liczne kleksy na papierze i fantastyczne linje pisma.

— Dla czego on nie przychodzi i nie daje znaku życia? — mruknął pod nosem opryszek.

Po chwili usiadł przy stoliku. Zaklął zbyt energicznie, ażeby można oryginalne jego słowa powtórzyć.

— Trzeba to skończyć! — rzekł do siebie.

Po pół godzinie ciężkiej pracy, podczas której „Czerwony Janek” aż się spocił, list był skończony.

Oto, jak brzmiało to pismo, którego zbyt fantastycznej ortografji oszczędzamy naszym czytelnikom:

„Mój panie!

„Pisałem już do pana i pan nie przychodzisz. Taka robota, to się psu na budę nie zda. Jak pan chcesz co zarobić, to pan się ze mną zobacz. Pan możesz dobry interes zrobić i dostać pieniędzy. Koniecznie odpisz pan, gdzie i jak można się z nim widzieć, bo ja chcę jednych, co na nich mam złość, „nakryć”. Więc

niech pan odpisze, bo jak nie, to do kogo innego z tem pójdę, co mi będzie jeszcze wdzięczny, słowo porządnego „andrusa”. Nie mam co więcej do pisania, tylko proszę o odpis.”

Czerwony Janek.

List ten nosił następujący oryginalny adres:

„Wielmożna Fryga
u łapaczów
w Ratuszu.”

„Czerwony Janek” z przyjemnością odczytał swe arcydzieło; widocznie był z niego kontent. Po chwili pociągnął za dzwonek. Dopiero po kilku zadzwonieniach, ukazał się we drzwiach jakiś żydek. „Czerwony Janek” nie znał go.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Ja jestem numerowy.

— Już tamtego nie ma?

— Nie.

— Chcesz zarobić dwa złote?

— Za co nie?

— Odniesiesz ten list do Ratusza...

Żydek mimowoli cofnął się w tył.

— Do Ratusza? — zapytał, spoglądając dziwnie na „Czerwonego Janka”.

— I przyniesiesz odpowiedź. Masz złotówkę, drugą dostaniesz, jak wrócisz.

Żydek już się uspokoił.

— Dobrze — rzekł.

ROZDZIAŁ XIII.

Jeden dzień z życia „Joska.“

„Josek”, jak zwykle, wstał bardzo rano.

Już od piątej, przy świetle lampy, pracował przy stoliku, ustawionym w niewielkim, skromnie umeblowanym pokoiku, który zajmował w mieszkaniu Abrahama Meinera. Stolik był cały zarzucony papierami.

Widać tu było listy, koperty, jakieś dokumenta, luźne notatki i drobne kawałki papieru, nawet zeszyty. „Josek” przeglądał papiery, czytał je uważnie, robił notatki i wyciągi, pisał listy, kopertował je i odkładał na bok. Niekiedy coś wpisywał do zeszytów; niektóre papiery darł na drobniutkie kawałki, część ich rzucał do stojącej obok spluwaczki, a pozostałą część chował do kieszeni.

Ten kantorzysta prowadził bardzo rozgałęzioną korespondencję i miał widocznie dużo interesów!

Zajęty pracą, „Josek” nie widział, że budzący się dzień, jasnemi snopami promieni wpadał do pokoiku. Dopiero, podniósłszy głowę w kierunku okna, ujrzał szyby rozjaśnione promieniami słońca. Żółty płomień lampy dziwnie martwo wyglądał wobec tego żywego światła. Gdyby kto w tej chwili spojrzał na twarz kantorzysty, widok jej przeraziłby go. Była blada, żółta od światła lampy, podobna do trupiej główki. Tylko

oczy patrzyły przed siebie z niewysłowioną dumą i siłą woli. Chciały one jak gdyby wyzwać świat cały do walki...

„Josek” przez krótką chwilę spoglądał w szyby okna.

— Już! — powiedział do siebie.

Energicznym ruchem ręki zagasił lampę. Odrzucił się w tył fotelu i myślał. Oczy świeciły mu jak dwa węgle, czoło fałdowało się w zmarszczki.

— Tak! — rzekł półgłosem— trzeba skończyć...

Wziął ze stołu jakąś kartkę i pilnie jej się przyglądał.

— Ci ludzie — ciągnął po chwili — pomimo całej mniemanej zręczności, są to kompletne dzieci... Do czasu, kiedy ja zechcę wyrzucić ich w powietrze, muszą pilnować, ażeby sami nie padli ofiarą własnej głupoty i nieostrożności.

Na jego wązkich, zaciśniętych ustach, ukazał się blady uśmiech.

— To zabawne!...

Podniósł się i przez parę chwil przechadzał po pokoiku.

— Naprzykład ten „Czerwony Janek”! Od trzech dni mógł ich dwadzieścia razy zgubić.

Zatrzymał się; szybkim ruchem skierował się do fotelu. Siadł i na kartce papieru napisał parę słów.

— Zajmiemy się nim i to niezwłocznie!

W tej chwili do zamkniętych drzwi pokoiku zastukano.

— Kto tam?

— Ja... Meiner! — brzmiała odpowiedź z drugiej strony drzwi.

Pokątny doradzca wszedł do pokoiku swego lokatora, rozpromieniony. Twarz jego jaśniała; jak zwykle, zadowoleniem z siebie samego i godnością własną. Wspaniały szlafrok (kupiony na licytacji), okrywał delikatne ciało właściciela „kantoru inkasa".

— Pan nigdy chyba nie śpisz! — zrobił uwagę, z ruchem pełnym dystynkcji, pan Meiner.

— Mów mi „ty".

— Przepraszam; ja się do tego nie mogę przyzwyczaić...

— Przyzwyczaj się. Są nowości?

— Są. Właśnie z tem przyszedłem. Oto listy.

„Josek" z pośpiechem pochwycił paczkę listów, którą pan Abraham Meiner wyjął z kieszeni wspaniałego szlafroka; kolejno rozrywał koperty i rzucał okiem na ich zawartość. Tymczasem Meiner usiadł na fotelu i zapalał papierosa. Kiedy „Josek" skończył, zapytał:

— No, jakże?... Meiner potrafi urządzać interesa?...

„Josek" skinął głową twierdząco. Meiner ciągnął dalej:

— I wszyscy są gotowi na każde nasze zażądanie. Kiedy każemy, zawołają „plajt!" A co?...

„Josek" przerwał mu:

— Dobrze już, dobrze... Podziwiam cię! Teraz słuchaj, co ci powiem.

Pan Meiner wstał z fotelu.

— W tej chwili telegrafuj do nich, rozumiesz, telegrafuj, tylko w wyrażeniach oględnych, że trzeba, ażeby to nastąpiło dzisiaj.

— Dziś?

— Tak. Przed dwunastą w południe, w kantorze u Ejtelesa powinny być od twoich klijentów, lub od osób trzecich wiadomości, że oni nie płacą... Niech telegrafują!

— To będzie kosztowało!

„Josek" spojrzał z wyrazem niewypowiedzianej ironii na właściciela „kantoru inkasa".

— Więc cóż ztąd? — zapytał.

— Zawsze, cztery telegramy: dwa do Łodzi, jeden do Radomia i jeden do Włocławka. Cztery telegramy ztamtąd do Warszawy!

„Josek" już spoglądał na Meinera surowo.

— Wiesz, że ja płacę, a na tych, którzy są zbyt oszczędni, mam sposoby...

Głos młodego żydka był suchy i ostry. To też pan Abraham Meiner zdawał się już żałować zrobionej przed chwilą kwestji. Postać jego straciła zwykłą uroczystą powagę, a natomiast na jego twarzy wybił się wyraz pokory, która wcale nie licowała z tak pięknym i wspaniałym, choć kupionym na licytacji, szlafrokiem.

— To jest... właściwie...— zaczął się tłómaczyć.

Ale „Josek przerwał mu.

— Dobrze — rzekł krótko. — Zrób, co ci poleciłem. A teraz... jestem zajęty.

W kwadrans stół został opróżniony z papierów,

a kantorzysta szybkim krokiem przechodził przez niezapełnione jeszcze biuro p. Meinera. We drzwiach wejściowych zatrzymał się.

— Kwadrans po siódmej—rzekł do siebie.—Do dziewiątej zdążę.

Pobiegł w górę Nalewek, zawrócił na Gęsią i zapuścił się w głąb tej ulicy; przeszedł już Dziką Oto i Smocza. Tutaj kończyły się szeregi kamienic i zaczynały niewielkie domki, często ukryte w głębi posesyj, za parkanami, stare, zrujnowane... Miały one przeważnie jakiś niemiły, niesympatyczny wygląd. Liczne tu szynki, buchające wyziewami alkoholu, pomimo wczesnej pory, pełne były indywiduów oberwanych, o zapijaczonych fizjognomjach.

Widok ten nie zwracał uwagi „Joska”. Szedł naprzód szybko i śmiało, jak człowiek, który dobrze zna swoją drogę. Wkrótce znalazł się w błotnistem podwórzu jakiejś posesji; od frontu, chylił się ku ziemi nizki, parterowy domek z facjatami, w głębi, na prawo, przytknięta była do sąsiedniego muru wązka, dwupiętrowa oficyna.

„Josek” skierował się ku tej ostatniej, a za chwilę otwierał drzwi izdebki, położonej pod samym dachem. Z izdebki wionęło nań zaduszone, wstrętne powietrze. Na ziemi, leżało lub siedziało koło siebie kilka indywiduów, porządnie obszarpanych; w głębi, coś się poruszało za zaimprowizowaną zasłoną, utworzoną z brudnych szmat, zawieszonych na sznurze. Z poza tej zasłony, wyjrzała rozczochrana głowa jakiejś Megery.

Po krótkiej chwili, z pod szmat wypełznął mały, jeszcze młody żydek. Na widok „Joska”, twarz jego wyraziła razem zdziwienie i szacunek.

— Mam do ciebie interes, pilny interes — rzekł „Josek”.

Żydziak zaszwargotał coś do wyglądającej z za szmat Megiery i krzyknął po żydowsku na drabów, zalegających podłogę. W parę chwil, kolejno, wynieśli się oni z izby. Ostatnia wyszła stara zydówka; przechodząc koło „Joska”, oddała mu ukłon, który miał pretensję do elegancji.

„Josek” i gospodarz izdebki zostali sami. Konferencja ich trwała przeszło kwadrans. „Josek” dawał swemu interlokutorowi jakieś papierki. Na progu, wychodząc, zwrócił się jeszcze raz do niego.

— Zrozumiałeś wszystko?

— Zrozumiałem.

— Pamiętaj, że do czwartej jestem w kantorze, od piątej do szóstej w cukierni, potem do ósmej w domu. Do ósmej masz mi dać wiadomość. Sam się nie pokazuj, przyślij posłańca.

Żydek jeszcze raz skinął twierdząco głową.

„Josek”, z tej wycieczki w oddalone strony, skierował się wprost do biura. Była już blizko dziewiąta, kiedy wchodził do wspaniałych salonów firmy „Ejteles i Sp.” Pierwszy zasiadł on do swego biurka i zabrał się do pracy. Kolejno przybywali inni pracujący, zapełniały się wysokie salony firmy, rozpoczynał się normalny bieg machiny. „Josek” nie odrywał oczu od swej pracy, nie zamieniał z nikim przywitań, ani uści-

sków dłoni. Pracował. Pióro jego poruszało się z nadzwyczajną szybkością.

Interesa w biurze szły zwykłym biegiem, aż do dwunastej. Około tego czasu, wpadł z giełdy pan Natan Lurje. Ci, którzy go znali bliżej, mogli zauważyć, pomimo zewnętrznego spokoju i swobody, że był czemś zaniepokojony. Przebiegł szybko przez pokój, w którym pracował między innymi „Josek" i skierował się do kasy. Kantorzysta, na widok zwierzchnika. pierwszy dopiero raz od rana podniósł się z krzesła. Wyprostował się, jak gdyby pchnięty sprężyną automat i ośmielił się usiąść na krześle dopiero wtenczas, kiedy pan Natan skinął ręką.

Gdyby jednak kto zajrzał w głąb oczu kantorzysty, widziałby, jak przez tę jedną, krótką chwilę, wzrok jego strzelił wejrzeniem, pełnem niewymownego szyderstwa, niemal naigrawania.

Od chwili przybycia pana Natana, w biurze rozpoczął się jakiś ożywiony, gorączkowy ruch. Odbierano i posyłano depesze i listy, biegano, szeptano. Kolejno, niektórzy z urzędników byli wzywani do gabinetu pana Natana. Nikt dobrze nie rozumiał, o co idzie, ale wszyscy byli potrosze zaniepokojeni. Coś się stało. Ale co? Urzędnicy podawali sobie do ucha wieść o jakichś stratach, o depeszach, o niewypłacalności podobno aż paru znaczniejszych klijentów. Robota się nie kleiła ..

„Josek" śmigał piórem po papierze, nie odrywając się od pracy; tylko zrzadka spojrzenie jego, pełne

ironji, ślizgało się po papierach i dotykało przez sekundę zaniepokojonych postaci kolegów.

W tej chwili na progu pokoju stanął woźny.

— Pan Sztiefel będzie łaskaw do pana Lurje.

— A...

Za chwilę, „Josek", na którego ustach błądził ciągle niewysłowiony uśmiech ironji, znajdował się w korytarzu, prowadzącym do gabinetu pana Natana. Wyjął z kieszeni dużą kopertę, wygładził ją, strzepnął, wreszcie przyjrzał się jej pod światło.

— Dobrze — rzekł do siebie.

Zapukał do drzwi gabinetu. Kiedy znalazł się wewnątrz, wyciągnął najpierw kopertę do pana Natana.

— W tej chwili przyniesiono — rzekł.

Pan Natan, nie patrząc, rzucił list na ogromne biurko.

— Dobrze, dobrze— rzekł. — Siadaj pan, panie Sztiefel.

„Josek" aż się cofnął.

— O, panie dyrektorze... — protestował.

Ponowny rozkaz zwierzchnika zmusił jednak kantorzystę do zajęcia miejsca. Pan Natan tymczasem szybko coś pisał na kartce papieru; liścik włożył w kopertę i zaadresował. „Josek" przyglądał się papierom, leżącym na biurku. Na widok dwóch czy trzech depesz, mimowoli uśmiech przeleciał mu przez usta.

W tej chwili pan Natan podniósł głowę. Kantorzysta mógł zauważyć, że twarz jego zwierzchnika by-

ła dziwnie blada, a pod oczami malowały się zlekka sine obwódki.

— Panie Sztiefel — odezwał się pan Natan — pamiętasz pan zapewne, gdzie mieszka pan Pfeiffer, u którego byliśmy przed kilku dniami?

— Pamiętam; na Nowym Świecie, w „chambres garnies".

— Bardzo dobrze. Otóż, bądź pan łaskaw natychmiast zanieść ten list. Jest to list bardzo ważny, rozumiesz pan. Będę panu wdzięczny. Już wspominałem, że jestem z pańskiej pracy zadowolony i pierwszy wakans...

„Josek" zgiął się do połowy w ukłonie; w ten sposób zdołał on ukryć uśmiech szyderstwa, który mu mimowoli przemknął się na twarzy.

W tej chwili pan Natan spojrzał na kopertę, którą mu przed chwilą doręczył kantorzysta. W oczach bankiera widać było niepokój. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu kopercie.

— Kto to przyniósł? — zapytał urywanym głosem.

— Posłaniec.

— Zaczekaj pan jeszcze przez chwilkę — rzucił pan Natan „Joskowi".

Gorączkowym ruchem podniósł kopertę w górę, jak gdyby chciał przejrzeć ją pod światło, a następnie rozerwał. Kartkę, która się znajdowała wewnątrz, czytał trzykrotnie. Na jego twarzy odbijał się cały szereg skomplikowanych wrażeń. Zdawało się, że zapomniał o obecności „Joska". Ręką przeciągnął przez czoło.

— Tem gorzej! — rzekł półgłosem.

Wziął z powrotem list przygotowany przed chwilą i rozdarł kopertę. Dopisał na nim szybko parę słów, włożył w list dopiero co otrzymaną kartkę, zakopertował na nowo i oddał kantorzyście.

— Może pan iść — rzekł.

W kwadrans znajdujemy „Joska" na Krakowskiem Przedmieściu. Pośpiesznym krokiem zdążał on w stronę hotelu Europejskiego. Przechodząc koło szwajcara, rzucił zapytanie:

— Pani T.... u siebie?

— Tak jest.

Na drugiem piętrze, wprost wspaniałych marmurowych schodów, zapukał do ozdobionych piękną ornamentacją drzwi. Uderzył cztery razy, z przestankami. Przez chwilę panowało milczenie. „Josek" ponowił pukanie.

Niebawem usłyszał, jak zakręcono kluczem; drzwi uchyliły się cokolwiek

— Ach, to ty! — dał się słyszeć ze środka przyciszony głos kobiecy.

Kantorzysta ujrzał przez szparę drzwi białe fale negliżu; to też dopiero po chwili, usłyszawszy oddalające się w głąb mieszkania drobne kroki, wsunął się wewnątrz. Zamknął drzwi.

Znalazł się w przedpokoju, od którego uchylone w tej chwili drzwi, prowadziły do dalszej części apartamenciku. W mieszkaniu tem, pomimo południa, panował półzmrok; powietrze było tu ciężkie, przepełnione jakąś upajającą wonią. Kantorzysta wszedł do na-

stępnego pokoju. Był on dość obszerny i łączył w sobie sypialnię i salonik; w głębi widać było niewielki gabinecik do toalety.

Mimo względnie dość późnej pory, młoda kobieta, która zajmowała ten elegancki, pełen wdzięku apartamencik, jeszcze ani myślała wstać. Wywołana przed chwilą z ciepłego łóżka przez pukanie „Joska”, już znów schroniła się do swego miękkiego gniazdka, usłanego z jedwabiu i muślinów, pod spadającą zręcznemi festonami kotarę. Porzucony na ziemi penioar, świadczył o pośpiechu.

Przyjrzyjmy się tej nowej postaci. O ile sądzić można, jest to młoda i piękna kobieta. Na pierwszy rzut oka, uderza jej podobieństwo do Temy: ten sam typ wschodni, ta sama namiętność w oczach. Istnieje jednak pomiędzy niemi różnica i bardzo znaczna. Tema jest więcej majestatyczna i skończenie piękna, nowa nasza znajoma ma więcej inteligencji w spojrzeniu. Zdaje się ona być cokolwiek starszą od Temy, a na jej twarzy burze życia pozostawiły już pewien, zresztą bardzo lekki ślad.

W chwili, kiedy kantorzysta wszedł do saloniku, służącego jednocześnie za sypialnię, młoda kobieta była cała zatopiona w puchach łóżka. Z koronek wychylała się tylko jej niewielka, ruchliwa główka, z wielkiemi, czarnemi oczyma, okolona falą kruczych włosów. Patrzyła na niego z kokieterją.

— Ach! jak to dobrze, żeś przyszedł.

Energicznym ruchem wysunęła się niemał do połowy z pod obsłon koronek i jedwabiów. Była rozkosz-

na. Ruchy jej szybkie i niespodziewane, miały w sobie coś tygrysiego.

— Chodź mnie pocałować.

Gdyby teraz zajrzał kto w oczy „Joska”, dostrzegłby tam zupełnie coś innego, niż zwykle. Jego wejrzenie, zimne, obojętne lub szydzące, teraz zapalało się dziwnym ogniem.

Był jej posłuszny. Trwało to zresztą tylko jedną chwilę.

Wyrwał się szybko z jej objęcia; niemal odepchnął ją. Było w tym jego ruchu coś niewymownie szorstkiego, brutalnego.

— Dość! — rzekł głosem, który już odzyskał swe chropawe nuty — nie przyszedłem tu dla zabawki...

Młoda kobieta, zarumieniona od krwi, która jej przypłynęła do głowy, z czerwieniącemi się ogniście wargami, spoglądała na niego niemal z wyrzutem. Wyciągnęła do niego ręce, jak gdyby chcąc do siebie przytulić...

— Mam tu coś do załatwienia — ciągnął dalej „Josek”, głosem, który odzyskał całe swe zimno i równość. — Bądź łaskawa mi w tem dopomódz.

Wejrzenia ich skrzyżowały się. Jej ogniste, głębokie oczy wzywały go; jego wzrok rozkazywał jej. W sekundę była zwyciężoną...

— Słucham — rzekła.

Szybkim, kocim ruchem wysunęła się z łóżka i zarzuciła na siebie penioar.

— Co każesz? — zapytała, stając przed nim.

— Najpierw trochę słońca i powietrza. Jest tutaj ciemno i duszno... Nie lubię tych pachnideł; upajają one, odejmują przytomność...

Młoda kobieta była posłuszną. Zbliżyła się do okien i podniosła rolety. Uchylony lufcik wpuścił strumień świeżego powietrza.

— A teraz — ciągnął kantorzysta — daj mi maszynkę do herbaty, nożyk kościany, pióro i atrament.

Tak oryginalne polecenie, nie zadziwiło bynajmniej kobiety.

— Ach! masz list do przeczytania! — zrobiła tylko uwagę.

— Tak... A ponieważ byłoby mi nie po drodze wstępować do domu i zresztą, musiałem się widzieć z tobą, jestem tutaj.

Młoda kobieta już krzątała się, spełniając polecenia „Joska”. Za chwilę, wszystko co potrzeba stanęło na stole, a pod maszynką palił się spirytus.

Kantorzysta wyjął z kieszeni list, doręczony mu przed chwilą przez p. Natana; przy pomocy pary wodnej i kościanego nożyka, koperta została wkrótce otwarta bez żadnego uszkodzenia. Przeczytał kartkę p. Natana.

— Domyślałem się... Nie mogło przecież być nic innego.

Uśmiechnął się zlekka.

— Właściwie, niepotrzebnie otwierałem ten list.

Wyciągnął go do kobiety, siedzącej po drugiej stronie stołu.

— Przeczytaj — rzekł.

List pana Natana brzmiał, jak następuje:

„Kochany Joachimie!

„Wszystko spada nam na kark. Onegdaj ogłoszono wielką upadłość w Warszawie, jednemu z klijentów naszego domu, dziś dostałem kolejno cztery depesze, donoszące o niewypłacalności naszych korespondentów na prowincji... W tej chwili nie jestem w możności obliczyć strat. Jeśli tak dalej pójdzie, to „my" nie będziemy mieli co brać... Trzeba likwidować, likwidować natychmiast, tem bardziej, że ze strony „Czerwonego Janka" lada chwila może zagrozić niebezpieczeństwo. Pośpiech konieczny! Dziś wieczorem będę u ciebie. Obmyśl wszystko tak, żeby w ciągu kilku dni mogło być wszystko skończone.

Twój

Natan"

„P. S. W tej chwili odebrałem wezwanie na zgromadzenie „naszych". Jest to nowe uderzenie obuchem... Kto wzywa?.,. Niewiadomo. Zebranie pojutrze wieczorem. Obawiam się wszystkiego, tem bardziej, że od pewnego czasu zapomnieliśmy zupełnie o „naszych". Pośpiechu, pośpiechu!"

— Przeczytałaś? — zapytał „Josek".

— Tak.

— Pogadajmy więc o interesach.

Młoda kobieta oparła piękną główkę na rękach i spoglądała w oczy kantorzyście.

— Czy ten list — pytał „Josek" — jest dostatecznym dowodem, że oni dwaj zdradzają interesa „naszych"?

— Tak sądzę.

— Otóż trzeba go u nas zostawić; panu Pfejfrowi, pod którego skórą kryje się zacny pan Landsberger, poszlemy tylko kopję, zrobioną przezemnie...

Młoda kobieta roześmiała się.

— To mu wystarczy...

— A teraz... słówko o tem, co mamy dalej robić. Pojutrze wszystko będzie skończone.

— Im prędzej, tem lepiej! — zrobiła uwagę młoda kobieta.

— Umyślnie dla tego wyznaczyłem tak prędko zebranie i dziś przyśpieszyłem wybuch u Ejtelesów; Lurje i Landsberger z konieczności muszą przyśpieszyć swe działania, a to pozwoli nam dojść z nimi do ładu...

— Zgoda.

— Co do ciebie, trzeba, żebyś była na zgromadzeniu, a przedtem zawiadomiła kogo uważasz za stosowne. Powinniśmy mieć za sobą siłę. Lurje i Landsberger są to ludzie zbyt zręczni i zresztą grają zbyt grubą grę, ażeby mieli położyć karty bez walki...

— Bądź spokojny. Z mojej strony będzie wszystko gotowe... Wiesz, że słowo „Złotej Rączki" jest coś warte...

— Wiem.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Sądzę, że to wszystko... — zabrał znów głos kantorzysta. — Reszta się zobaczy. Ja muszę pilnować Lurjego i Landsbergera. Mam jeszcze na głowie „Czerwonego Janka". Pilnuję go. Gdyby nie ja, Lurje

i Landsberger byliby już dawno „zasypani” przez niego, bez pożytku dla nas i dla siebie.

— Głupcy!— rzuciła pogardliwie młoda kobieta.

— To też otrzymają to, na co zasłużyli.

„Josek” znów zamyślił się.

— A Tema? — zapytał.

— Znajduje się w zupełnie bezpiecznem miejscu. Miałeś zupełną słuszność. Jeszcze parę godzin i ta warjatka, pomimo twych gróźb, poszłaby do sędziego wyśpiewać wszystko.

— Niepodobna?...

— Tak jest. W tej chwili niebezpieczeństwo już przeszło. Uśpiłam ją i umieściłam tak, że szkodzić nam nie może.

Kantorzysta zamyślił się.

— Kobiety, kobiety — powtarzał półgłosem — co to za niebezpieczna broń!...

Młoda kobieta była już przy nim; nachyliła się nad krzesłem, na którem siedział, wzięła jego głowę w obiedwie ręce, pr zechyliła ją w tył i gorącemi ustami przylgnęła do jego warg.

— Tylko nie ja — rzekła głosem, dźwięczącym nutą bezwzględnej pokory i poddania się, kiedy zlekka ją odepchnął i uwolnił się od uścisku.

— Tylko nie ty... — powtórzył prawie machinalnie.

Spojrzał na zegarek.

— Już wpół do drugiej. Dość tych dziecińistw! Trzeba jeszcze list napisać dla p. Pfeifra, bo oryginał musi pozostać u nas w ręku.

Uśmiechnął się cynicznie.

— Daj mi papieru i pióra.

Kobieta, która, jak słyszeliśmy, przyznawała się do oryginalnego miana „Złotej Rączki”, w tej chwili wykonała polecenie „Joska”. Ten ostatni położył przed sobą list p. Natana i szybko wprawną ręką kopjował go na papierze. To mu nie przeszkadzało jednocześnie rozmawiać.

— Jacy oni niezręczni—mówił do „Złotej Rączki”. — Kiedy byłem młodszy i kiedy mi opowiadano o nich, jako najstarszych, najmądrzejszych i najzręczniejszych pomiędzy „naszymi”, wyobrażałem sobie niestworzone rzeczy. Dziś widzę, że każde dziecko potrafi ich dwóch wyprowadzić w pole. Naprzykład...

Przerwał, wykończając jakiś zakręt na papierze, przyglądał się z zadowoleniem kreślonym przez siebie wyrazom. „Złota Rączka” spoglądała nań pytająco.

— Naprzykład?... — podchwyciła.

„Josek” prowadził swą robotę dalej.

— Gdybym nawet nie był tem, czem jestem, ale tylko zwykłym, pierwszym lepszym kantorzystą, wtajemniczając mnie do pewnego stopnia w swe stosunki, narażaliby się na bardzo poważne niebezpieczeństwo. Są tak niezręczni, że nie pamiętali, iż ja znam już Landsbergera, jako pracujący w ich biurze.

— Czy podobna?

— Ależ tak. Pracuję u nich wprawdzie od niedawna, zaledwo 7 czy 8 miesięcy, lecz pomimo to i mimo, że Landsberger przyjeżdża nader rzadko, właśnie po mojem wstąpieniu do biura, był raz urzę-

downie w Warszawie, widziałem go i poznawszy obecnie ukrywającego się pod nazwiskiem Pfejfra, mógłbym powziąć różne podejrzenia. Mogłyby ztąd wyniknąć gadaniny w biurze, mogliby zostać skompromitowani..,

— To nie do uwierzenia!—wołała młoda kobieta.

— Przytaczam to jako jeden jeszcze dowód ich stanowczej nieudolności. Zapewne zaraz po zadaniu ciosu, będziesz musiała pojechać zdać sprawę ze wszystkiego „jemu"?

— Tak.

— Otóż mówię ci to, ażebyś mogła „mu" dokładnie objaśnić, co oni dwaj są warci. Wprawdzie mamy od „niego" zupełne upoważnienie do działania, jak uważamy za właściwe, wprawdzie względem ciebie „on" żywi zupełne zaufanie, a to, co zrobimy, zrobimy przy pomocy innych, na zasadzie postanowień większości, którą sobie przygotujemy, ale uważałem. że „on" ma dla nich zawsze pewną słabość. Trzeba „go" więc przekonać, że Lurje i Landsberger nietylko zdradzają „naszych", ale nadto stanowczo są niemożebni przez swoje niedołęztwo, że jeszcze parę kroków dalej, a mogliby narazić nas wszystkich. Rozumiesz?

— Rozumiem.

„Josek" skończył właśnie pisać. Uważnie przebiegł okiem obadwa listy: otrzymany z rąk Natana i w tej chwili napisany. Podał je młodej kobiecie.

— Poznaj, który oryginalny, a który podrobiony? — zapytał.

„Złota Rączka" przyglądała się przez chwilę; na jej twarzy wybił się podziw.

— Niepodobna, nie ma żadnej różnicy.

Na ustach kantorzysty ukazał się tryumfujący uśmiech. „Złota Rączka" była już obok niego.

— Za to też ciebie kocham, mój maleńki — wołała z entuzjazmem — że jesteś we wszystkiem doskonały.

„Josek" niebawem uwolnił się z jej uścisku.

— Czas iść! — rzekł.

W półtory godziny potem, po załatwieniu zlecenia pana Natana i doręczeniu mniemanemu panu Pfejfrowi listu, tak zręcznie przez siebie podrobionego, kantorzysta szedł przez ulicę Rymarską. Zbliżał się do cukierni, do której zwykł był popołudniu wstępować na filiżankę czarnej kawy i na gazety.

Niedaleko drzwi cukierni, zastąpił mu drogę posłaniec. Pomimo kostjumu, na pierwszy rzut oka można było w nim poznać małego żydka, z którym tego ranka konferował w jego mieszkaniu „Josek". Uważniej mu się przyjrzawszy, spostrzeglibyśmy, że jest on jak dwie krople wody podobny do numerowego, którego widzieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, w numerze „Czerwonego Janka".

— Są nowości? — zapytał „Josek".

— Ważne — była odpowiedź. — Dla tego sam chciałem się zobaczyć z panem. Pożyczyłem munduru od znajomego posłańca.

— Dobrze, opowiadaj.

— Dziś rano zaraz dostałem się na parę dni na miejsce numerowego do hotelu, gdzie on stoi.

— No?

— I około pierwszej, dał mi ten list do odniesienia do Ratusza.

— Do Ratusza?... Daj mi go.

Kantorzysta bez ceremonii rozdarł szarą kopertę listu i przeczytał go. Na twarzy jego, jednakowo zimnej i nieruchomej, nie widać było żadnych wrażeń.

— Dobrze — rzekł, wyjmując z kieszeni jakiś papierek. — Jestem z ciebie kontent.

— Co mam robić dalej?

— Wrócić i powiedzieć, że list oddałeś. Odpowiedź będzie dziś wieczorem, najdalej jutro rano.

— Dobrze.

— Tymczasem masz go pilnować; gdyby wychodził, idź za nim. Ja tam pewno będę wieczorem; w każdym razie, gdybym nie był, będziesz czekał dziś wieczorem tu, przed cukiernią, o jedenastej i zdasz mi sprawę.

— Pan... tam będzie? — powtarzał z zadziwieniem mniemany posłaniec.

„Josek” uśmiechnął się ironicznie.

— Cóż w tem dziwnego? Zresztą, zobaczymy.

Kantorzysta wszedł powoli do cukierni, zażądał kawy i wziął pierwszą lepszą gazetę do ręki. Udawał, za ją uważnie przegląda, w rzeczywistości przecież myśl jego była bardzo daleko i od gazety i od przeglądu politycznego, na który w tej chwili machinalnie padało jego oko.

W tej chwili pociągnięto go za rękaw. „Josek” ocknął się z zamyślenia. Przed nim stał Apenszlak, blady, z trzęsącemi się wargami. Wstrętna jego twarz, była w tej chwili jeszcze wstrętniejszą niż zwykle. Widocznie był on pod wpływem jakiegoś strasznego wrażenia. Zdumienie wybiło się na twarzy kantorzysty.

— Co panu jest? — pytał — Siadaj pan.

Widok Apenszlaka wywołał już sensację u sąsiednich stolików. Bystry wzrok „Joska” spostrzegł to.

— A przedewszystkiem, staraj się pan być mniej wzruszonym. Co pan pijesz: herbatę, czy kawę?

Apenszlak upadł ciężko na stojące obok krzesło. Upłynęło parę chwil, w ciągu których robił nad sobą wyraźne wysiłki, ażeby dojść do pewnej równowagi. Podano szklankę herbaty, którą obstalował „Josek”.

— Szukam pana od rana — odezwał się wreszcie Apenszlak.

— Nie tak głośno!...

Była chwila milczenia.

— Cóż się stało? — pytał półgłosem kantorzysta, który pomimo pozornej obojętności, zaczynał już być niespokojnym.

— Wczoraj była rewizja...

— Wiem. Ale przecież, dzięki środkom ostrożności, nie mogli nic odkryć i nie odkryli!

— Tak, to też nie w tem całe nieszczęście...

— A w czem?

— Róża...

— Pańska córka?

— Tak... Róża znikła.

— Niepodobna! I kiedy?... Jak?...

— Wczoraj wieczorem.

— Pan sądzisz, że to może mieć związek z naszemi interesami i wpływ na nie?

— Ja tak sądzę, ja jestem pewny... Pan potrzebujesz wiedzieć...

„Josek” zaczynał być niecierpliwy.

— Mówże pan, do licha, wszystko.

Apenszlak odetchnął ciężko. Zatrzymał się, przeciągnął ręką przez czoło, wreszcie napił się herbaty.

— Pan potrzebujesz wiedzieć, że jak miała przyjść rewizja, to ja bardzo byłem niespokojny i zaambarasowany o jeden pugilares, co mam w nim bardzo ważne papiery...

— Więc?...

— Chciałem go oddać Rózi... Przy niej nie szukaliby; nie mogliby podejrzewać.

— I oddałeś pan?

— Nie... Jej nie było. Ale ja pugilares z papierami włożyłem w jej łóżko.

— Co dalej?

— Potem, jak się rewizja skończyła, ja byłem trochę słaby.. Pan potrzebujesz wiedzieć, co ja jestem chory na serce. Ja się położyłem do łóżka, wziąłem lekarstwo...

— I nie poszedłeś pan po pugilares?

— Nie. Dopiero dziś rano, służąca, stara baba, powiedziała mi, że Róża nie nocowała w domu.

Stalowy wzrok „Joska” wyrażał zdziwienie. Apenszlak ciągnął dalej:

— Baba mówiła mi, że Róża wróciła wczoraj do domu około szóstej po południu, była w domu z jaką godzinę i wyszła. Na noc nie wróciła. Pan potrzebujesz przypuścić, że ja poleciałem jak szalony do jej pokoiku. I czy pan wiesz, co ja się przekonałem?

— Cóż takiego?

— Nie ma ani pugilaresu, ani Róży... Przerzuciłem cały pokój, całą pościel. Nie znalazłem nic. Na stole leżał ten papier.

Wyjął z kieszeni pomiętą ćwiartkę papieru listowego, „Josek” rzucił na nią okiem. Było tam tylko parę wyrazów. Kartka brzmiała, jak następuje:

„Panie!

„Po tem, co się dowiedziałam z papierów, opuszczam ten dom na zawsze. Dowody zabieram”.

Pod tem żadnego podpisu.

— I cóż się ona mogła dowiedzieć?— pytał „Josek”, w którego głosie wibrowały ostre, chrapliwe nuty.

— Wszystkiego, wszystkiego... Długo to opowiadać...

— Zresztą, to zbyteczne... Pańską historję znam aż nadto dobrze — rzekł „Josek” zimno.

— Pan?

Apenszlak spojrzał na kantorzystę na poły z przerażeniem, na poły z niedowierzaniem. Ten ostatni nakazującem spojrzeniem zamknął mu usta.

— To, co pan w tej chwili powiedziałeś, jest

bardzo ważne. Wymaga śpiesznego działania. Jeśli pan nie chcesz skończyć bardzo źle, bądź łaskaw słuchać mnie i dosłownie wykonać, co ci powiem. Dotąd nie wyszedłeś na tem źle, prawda?

Przerażony wzrok Apenszlaka przytakiwał.

— Otóż, bądź łaskaw w ciągu paru godzin tak urządzić swe interesa, ażebyś, w razie potrzeby, mógł dziś jeszcze w nocy wyjechać.

Apenszlak bełkotał coś niewyraźnie.

— A dziś o jedenastej wieczorem, bądź łaskaw zupełnie być gotów do drogi i czekać na mnie tutaj, w tem samem miejscu.

— O jedenastej?

— Tak. Ma się rozumieć, żadnych pakunków... Mieć gotowe pieniądze i załatwić interesa... Zrozumiałeś pan?

. . . .

Tej nocy, na pociągu kolei petersburskiej odchodzącym po dwunastej, panowało znaczne ożywienie.

Pierwszy dzwonek już uderzył, podróżni pakują się w wagonach, perron, niezbyt wyraźnie oświetlony gazem, pełen ruchu i gwaru. Na prawo i na lewo krzyżują się wykrzykniki i gwar głosów; uderza słuch łoskot pakunków, rzucanych do wagonów i turkot ręcznych wózków. Na przodzie, u czoła pociągu, lokomotywa dysze i sapie, słychać urywane dźwięki gwizdawki. Za pociągiem, w głębi stacji ciemno, choć oko wykol; gdzieniegdzie tylko z pomiędzy tych ciemności

wytryska, jak robaczek świętojański, czerwone światło kolorowej latarni. Zdala, zdala dobiegają stłumione odgłosy rogów dróżniczych, zamieniających ze sobą sygnały.

Na perronie zgrupowani podróżni i ci, co ich odprowadzają. Rzucają krótkie, urywane słowa i zamieniają ostatnie pożegnania.

W tym tłumie, spotykamy znajome nam osoby. Jedną z nich jest Apenszlak, drugą baron von Rajt. Czytelnicy zapewne już domyślili się, że ów tajemniczy baron, działający tak często w interesach przez Joska podejmowanych, znikający w mieszkaniu Meinera i wychodzący od niego, był tylko pseudonimem kantorzysty. Tam, gdzie nie chciał on działać osobiście, występował, odpowiednio ukostjumowany, podług przyjętego wyrażenia: „zrobiwszy sobie twarz", jako baron.

I tego wieczoru, musiał on mieć zapewne poważne powody do ukrywania swej osobistości, ponieważ przybrał strój i twarz swego sobowtóra.

Baron von Rajt i Apenszlak stali przy otwartych drzwiach przedziału drugiej klasy. Apenszlak był blady, jak śmierć, oczy jego patrzyły na wszystkie strony. Każdy odgłos gwizdawki wywoływał nerwowe drganie muskułów jego twarzy.

— Więc będzie wszystko dobrze? — pytał mniemanego barona.

— Najlepiej w świecie!—odpowiedział ten ostatni, ze zwykłym mu spokojem i zimną krwią. — Dałem ci pasport, zapewne lepszy, niż twój własny. Jedź

z nim gdzie chcesz, tylko tam, gdzie cię nie znają, rób co chcesz, baw się, rób interesa, wyszukuj nowe geszefta, a za dwa, lub trzy tygodnie będziesz mógł na pewno wrócić.

— Wrócić?

— Tak, ażeby ostatecznie zlikwidować swe interesa. A potem pojedziesz sobie gdzie zechcesz.

— A przez te dwa tygodnie?

„Josek” spojrzał nań z ironją.

— Bądź spokojny. Przez te dwa tygodnie, a nawet znacznie prędzej, partja zostanie rozegraną. Mam zresztą dziewięćdziesiąt szans na sto, że będzie rozegrana na moją korzyść. A ponieważ dziwnym trafem losy twoje wiążą się z mojemi, możesz na tem tylko zarobić.

— W jaki sposób się porozumiemy? — pytał po chwili Apenszlak.

— Pisz do mnie „poste restante” pod literami B. v. R. o twojem miejscu pobytu, a już ja dam ci znać, co potrzeba.

Apenszlak chciał zapytać jeszcze o coś, ale kantorzysta machnął ręką.

— Dosyć — rzekł krótko — mam jeszcze inne rzeczy do załatwienia. Siadaj do wagonu i w ogóle nie bardzo się pokazuj na zewnątrz, dopóki nie zostawisz pomiędzy sobą a Warszawą pewnej przestrzeni.

Apenszlak był posłuszny. „Josek” kiwnął mu zlekka głową i skierował się ku końcowi pociągu, gdzie w mroku, słabo rozpraszanym przez nieliczne latarnie, chowały się wagony trzeciej klasy, pełne ży-

dów, robotników i włościan. Kantorzysta przystąpił do otwartych drzwi wagonu i w półświetle tu panującem, szukał kogoś wzrokiem. Za chwilę znalazł. Na jednej z ławek, siedział skurczony mały żydek, w którym bez trudu poznalibyśmy to samo indywiduum, któremu wczesnym rankiem oddał na Smoczej ulicy wizytę „Josek", które widzieliśmy w charakterze numerowego w hotelu, gdzie mieszkał „Czerwony Janek", które następnie na Rymarskiej, w kostjumie posłańca, wręczyło „Joskowi" list bandyty, przeznaczony dla „Frygi". Za nim, jeszcze dalej, kiwała się w półdrzemce Megera, którą widzieliśmy rano na Smoczej.

Żydek, na skinienie „Joska", zbliżył się do na pół otwartych drzwi wagonu. Przy niejasnem świetle latarni, widać było jego twarz bladą, oblaną obfitym potem; oczy jego błądziły bez wyrazu.

— Wysiądź! — rzekł kantorzysta.

Żydek był posłuszny. Stanął przy słupie, podtrzymującym dach perronu; ręką trzymał za słup, jak człowiek, który się obawia upadku. „Josek" patrzył na niego przez chwilę wzrokiem, pełnym pogardy i politowania.

— Co ci jest? — zapytał.

Żydek zaledwo zdołał mówić; jakieś wrażenie paraliżowało mu język.

— Boję się — wybełkotał z trudnością. — Co pan tak długo robiłeś u niego w numerze? Dla czego nie pozwoliłeś mi pan tam wejść? Dla czego mam jechać zaraz, tak daleko?...

Stał, opierając się o słup. Pomimo przejmującego

zimna październikowej nocy, na skroniach żydka perliły się coraz grubsze krople potu. Jego oczy roztwierały się szeroko.

— A więc?— pytał ze zwykłą sobie zimną krwią mniemany baron von Rajt.

Przez chwilę, mały żydek nie mógł zebrać się na odpowiedź. Odetchnął wreszcie głęboko i zaczął:

— Widzisz pan... — rzekł, bełkocząc i odpoczywając co chwila — ja pana znam... pan jesteś z „naszych”... Pan jesteś jeszcze młody, ale mądry... Pan dobrze płacisz... Ja biedny żydek, zawsze robiłem, co pan kazałeś...

— I za co ci płaciłem— rzekł zimno „Josek”.

— Tak... pan płaciłeś... to jest prawda... Ale widzisz pan, ja panu powiem... ja jestem złodziej... ja byłem skazany... ale ja nikomu nic złego nie zrobiłem... Ja się boję krwi... Nasz talmud...

Kantorzysta przerwał mu energicznym ruchem.

— Dajmy pokój talmudowi! — rzekł. — Więc boisz się, czy się przypadkiem nie stało co złego temu w numerze, temu „Czerwonemu Jankowi”?

Mały żydek podniósł do góry głowę.

— Tak, ja się o to boję — rzekł.

Przez chwilę panowało milczenie.

— A gdyby tak było? Cobyś zrobił?

Nowy dreszcz przebiegł przez całe ciało małego żydka; zęby szczękały mu, jak w febrze.

— Nie wiem... — rzekł powoli. — Talmud...

Kantorzysta patrzył nań z politowaniem. Powoli, nie śpiesząc się, wyjął z kieszeni kamizelki coś małe-

go, błyszczącego pod blademi promieniami latarni. Było to coś w rodzaju małego medaljonu. Przysunął ów przedmiot do oczu zdumionego i ciągle jeszcze drżącego żydka.

— Widzisz to? — zapytał.

Efekt był niespodziewany. Żydek przez krótką chwilę spoglądał na ów drobny przedmiot; na jego twarzy malowało się osłupienie. Pochylił się, zgarbił i zaledwie odważając się podnieść oczy do góry, rzucił tylko trzy słowa zapytania:

— To pan „sam"?

Na to „sam" położony był akcent.

— Ja — odpowiedział „Josek" — dla tego też sądzę, że teraz odejdą ci od głowy te głupstwa. Wiesz teraz, że jeśli jemu się stało co złego, to i tobie tembardziej mogłoby również być źle, gdybyś miał jakiekolwiek skrupuły.

Żydek zgarbił się jeszcze bardziej; nie mówił teraz ani słowa.

— Jedź więc gdzie ci kazano i zapomnij, co się działo w Warszawie — ciągnął dalej ostrym, urywanym tonem kantorzysta. — Inaczej...

Słowom tym towarzyszyło spojrzenie zimne, pełne nieopisanej groźby.

W tej chwili uderzył drugi dzwonek. Wszyscy siadali do wagonów; żydek zrobił jak wszyscy. Za parę minut pociąg wychodził ze stacji.

Baron von Rajt wracał do oczekującej nań dorożki.

ROZDZIAŁ XIV.

Dzień „Frygi."

Była godzina ósma wieczorem tego samego dnia, kiedy się odbywały wypadki, opisane w poprzednim rozdziale...

W gabinecie „Julka" panowała cisza. Przy biurku, pod światłem dużej a nizkiej lampy, siedział on sam, zadumany, z głową opartą na rękach. W głębi, na kołyszącym się fotelu, na pół leżał Stawinicz. Adwokat podniósł głowę.

— Do licha! — rzekł on — bez „Frygi" nic nie zrobimy...

— I ja tak sądzę — odezwał się z kąta Stawinicz.

— Rzeczywiście, szczególne to jego zniknięcie— ciągnął po chwili adwokat.— W chwili, kiedy najbardziej jest nam potrzebny, kiedy my ze swej strony zdajemy się trzymać w ręku nić przewodnią i trzebaby tylko wspólnie rzucić okiem na sytuację, ażeby skombinowawszy to, co my wiemy i co wie on, dojść do jakiegoś rezultatu, w takiej chwili ani sposób go znaleźć.

Stawinicz podniósł się z krzesła i przeszedł parę razy przez pokój.

— Posyłałeś dziś po niego?

— Posyłałem. W Ratuszu go nie było.

— Trzeba było kazać służącemu dowiedzieć się, co się dzieje z tym twoim niepochwytnym policjantem.

— Pytał się. Zbyli go ni tem ni owem. Rozumiesz przecie, iż nie wypadało nalegać. Natomiast służący zostawił kartkę do niego.

— Tak?

Stawinicz zatrzymał się przy biurku; przez chwilę namyślał się.

— A cóżbyś powiedział — zwrócił się naraz do „Julka" — gdyby tak obejść się bez tego twojego ajenta? Przecież nie święci garnki lepią...

— To trudno...

— Widzisz— ciągnął dalej Stawinicz—ja w ogóle niebardzo wierzę w inteligencję tego rodzaju ludzi. Jakiś tam ajent!

Ale „Julek" już się uśmiechał.

— Jakiś tam ajent! Ciekawy jestem, czy to powtórzysz, jak go zobaczysz i posłuchasz. Ten człowiek ma wysoki talent policyjny.

— Ba.., ba...

— W każdym razie mamy materjał, pugilares złożony przez pannę Różę i notatki, które nam dała panna Fela Ejteles, prosząc zresztą o zużytkowanie ich z uczynionemi przez nią zastrzeżeniami.

— Tak.

— Należy więc wszystko to poznać dokładnie, ocenić, wyjaśnić sobie stosunek do danej sprawy i w ogóle wydobyć ztąd jakieś stanowcze wnioski, otrzymać wreszcie dowody niewinności Janka.

— Zupełna zgoda.

— Otóż, przyznam ci się, przerzucałem trochę te papiery i otwarcie powiadam, że sam z niemi do ładu nie dojdę...

— Ba!...

— Dopomógłby mi w tem ogromnie „Fryga”, szczególniej, jeśli sam zdołał zrobić jakie odkrycia, co chyba można przypuszczać, licząc na jego węch. W ostatnim razie, jeżeli już na niego liczyć nie można, pragnąłbym mieć zawsze kogoś drugiego do pomocy. Co dwie głowy, to nie jedna. Rzecz cała jest tak pełna niejasności i niedomówień...

— Cóż ja ci na to poradzę? — odezwał się Stawinicz, rozkładając ręce.

— Możebyś ty, Władku, został u mnie dziś na wieczór i wzięlibyśmy się obaj razem do rozplątywania zagadki?

Stawinicz począł protestować.

— Niepodobieństwo — mówił. — Wiesz przecie, że muszę biedz do łóżka tego nieszczęśliwego Janka... Jak w godzinę po wyjściu z pod klucza stracił przytomność, tak dotąd leży w gorączce...

— No, przecież pilnuje go Róża...

— Ba, jest tam jeszcze i stara moja gospodyni, był dwa razy doktór Zerman, ale pomimo to, moja obecność jest koniecznie potrzebna. Ta biedaczka, Róża, chodzi jak struta...

— I nie dziw! Choroba Janka, u mniemanego jej ojca rewizja, wreszcie te niespodziewane odkrycia... To wszystko musiało na nią oddziałać...

— Rzecz prosta. To też mi jej żal ogromnie. Nie wyobrazisz sobie, jaką dla niej powziąłem sympatję.

Adwokat uśmiechnął się.

— No, no, tylko się nie zakochaj.

— Daję słowo, że zakochałbym się, gdyby nie to, że jest narzeczoną Janka. Powiadam ci, to prawdziwy anioł!

Stawinicz, ze zwykłą sobie energją, począł gorąco wysławiać zalety panny Róży, aż mu musiał tę eklogę przerwać „Julek”.

— Zgoda, zgoda! — wołał do rozindyczonego Stawinicza — ale o to teraz nie idzie. Ważniejsza rzecz: co robić? Rzecz jest pilna, nie wypada tracić czasu...

Stawinicz tylko rozłożył ręce.

W tej chwili w przedpokoju dał się słyszeć dzwonek.

— Kogóż o tej godzinie licho przyniosło?—mruknął pod nosem adwokat.

Odpowiedź na to niezbyt uprzejme zapytanie, nie dała na siebie długo czekać. Wszedł służący i rzekł:

— Przyszedł ten pan, co to nosiłem do niego list do Ratusza.

„Julek” aż skoczył z za biurka.

— „Fryga”! A dawajże go tutaj.

Za chwilę ajent wchodził do salonu. Był on jeszcze blady, utykał na jedną nogę i podpierał się grubą laską, jednę rękę nosił na chustce, a na twarzy miał parę siniaków i jeden czy dwa plastry, ale w ogóle trzymał się nie najgorzej.

Na wikok „Frygi", noszącego tak widoczne ślady jakiegoś wypadku, czy poturbowania, na twarzy adwokata odmalowało się widoczne zadziwienie. Stawinicz spoglądał na przybyłego dość podejrzliwie.

— Co się z panem działo? panie Józefie? — zawołał wreszcie „Julek". — Jak pan wyglądasz?

„Fryga" chciał coś odpowiedzieć, lecz adwokat poskoczył ku niemu, wybrał jakiś fotel i przysunął do niego.

— Siadaj najpierw, siadaj, boś widzę osłabiony. A teraz mów! — dorzucił „Julek", w chwili, kiedy ajent ulokował się już w fotelu. — Gdzieś pan był, co robiłeś, dla czego nie można cię było nigdzie znaleźć?

— Byłem, proszę pana mecenasa, na trzy ćwierci od śmierci, jak to mówią.

— Niepodobna...

— Tak, panie mecenasie. To cała historja, która się ściśle wiąże z naszą sprawą. Mam nowości.

— I ja także.

— Tem lepiej. Odebrałem właśnie list pana mecenasa i przyszedłem rozmówić się...

W tej chwili wzrok „Frygi" padł na Stawinicza, który zajął przed chwilą miejsce w kołyszącym się fotelu. Ajent spoglądał pytająco na „Julka". Adwokat zrozumiał zapytanie.

— A... — rzekł — zapomniałem ci, panie Józefie, powiedzieć... to pan Stawinicz.

Zwrócił się do Stawinicza.

— A to właśnie ten pan, o którym przed chwilą mówiliśmy.

Stawinicz się podniósł; „Fryga” chciał zrobić to samo.

— Daj pan pokój — zawołał Stawinicz, zbliżając się ku ajentowi — jesteś pan słaby. Podwójnie jestem kontent, że pana widzę: najpierw, że mój biedny Janek ma w panu tak życzliwego, jak mi mówił adwokat, opiekuna, a powtóre, że mnie pan uwalniasz od konferowania z mecenasem...

Pożegnał się z „Julkiem”, podał rękę skonfudowanemu nieco „Frydze” i wyszedł, mrucząc pod nosem:

— Patrzcie go, łapacz, a gada, jakby jaki literat!...

Zaczęła się tedy konferencja.

Po wymianie kilku zapytań i odpowiedzi, adwokat „Julek” i „Fryga” zgodzili się, że najpierw ten ostatni opowie wszystko, co wie. Potem miała przyjść kolej na „Julka”.

W pierwszej części opowiadania ajenta policyjnego, czytelnik nie znalazłby dla siebie nic nowego. Była to przerywana ciągłemi wykrzyknikami adwokata, relacja z tego pamiętnego wieczoru i nocy, kiedy „Fryga” zrobił tyle odkryć i narażał się na tak groźne niebezpieczeństwa, wreszcie wiadomość o rezultacie rewizji, odbytej w oficynie Apenszlaka. Teraz dopiero „Julek” zrozumiał, co za cel i powód miała ta rewizja, o której już słyszał cokolwiek od Róży.

Za to druga część opowiadania ajenta, streszczająca wypadki bieżącego dnia „Frygi”, zawierała sporo nowych szczegółów. Powtarzamy ją w skróceniu:

Tego dnia, rano (było to na czwarty dzień po owej pamiętnej nocy), „Fryga” obudził się znacznie zdrowszy i rzeźwy. Gorączka ustąpiła, a pomimo, że drobne skaleczenia i ranki dolegały mu ciągle, wypoczynek oddziałał nań o tyle dobrze, iż od samego rana postanowił przerwać przymusowy odpoczynek...

To jego postanowienie bardzo zaniepokoiło Karolcię. Starała się go odwieść od zamiaru, gdy jednak przekonała się, że żelaznej woli małego człowieczka nie zdołają przełamać nawet jej prośby i uściski, rada nie rada — ze strachem— przyznała się do listu, który wysłała do sędziego śledczego. „Fryga” ledwo do góry nie podskoczył na łóżku, na tę wiadomość.

— Coś zrobiła najlepszego! — zawołał zrozpaczony.

Po chwili jednak przyszła refleksja. Ajent rozważył, że bądź co bądź, może i dobrze się stało, iż w ten sposób został przecięty węzeł trudnego położenia. W każdym razie, odkrycie w tej formie i w tych okolicznościach, mniej przedstawiało dla niego niebezpieczeństwa...

„Fryga” przyciągnął do siebie powoli zatrwożoną Karolcię, której oczy zaczęły już zachodzić łzami, ucałował ją i rzekł:

— To nic, moja droga, nie martw się. Może tak będzie i lepiej...

Tembardziej jednak obecność jego była potrzebną w wydziale i na mieście. Już trzeci dzień, jak sędzia śledczy ma w ręku szczątki listu, bardzo być może, iż przez ten czas wypadki znacznie posunęły się

naprzód. Tymczasem on o niczem nie wiedział, nie uczestniczył w kampanii. „Fryga” nie należał do ludzi, którzyby potrafili w takiej chwili pozostawać z założonemi rękami, bynajmniej! To też teraz nie mogło być mowy o spoczywaniu w łóżku.

— Jakkolwiekbądź — mruczał pod nosem, podczas kiedy Karolcia pomagała mu w ubieraniu — trzeba zobaczyć, co się dzieje...

Pomimo, że ubieranie nie szło bynajmniej tak łatwo, jak mu się zdawało, w godzinę potem był w Ratuszu. Tutaj powitano go, niby zwartwychwstałego z grobu. Nikt nie spodziewał się tak szybkiego powrotu ajenta. Po wydziale chodziły głuche wieści o jego chorobie; wszyscy przypuszczali, że poleży w łóżku jeszcze parę tygodni. Niektórzy z kolegów, a między innymi „Wicherek”, zbierali się go odwiedzić. I oto „Fryga” zjawił się sam.

W każdym razie, witano go z zaciekawieniem, a nawet z pewnem uszanowaniem. Mniej więcej, było wiadomo, że „Fryga” wpadł na jakieś ważne odkrycia, domyślniejsi wiązali to z odbytą na Nalewkach rewizją, słowem, przypuszczauo, że ajenta nie minie jakaś nagroda.

Ponieważ naczelnik miał być w biurze dopiero cokolwiek później, za pół godziny, może za godzinę, uradzono tedy, na wniosek starego Kapuścińskiego, zejść na chwilkę na Danielewiczowską, do „knajpki” i tam wypić po kieliszku, na cześć bohatera dnia: „Frygi”. Próżne były protestacje ajenta; trzeba się było zgodzić z kolegami, którym przewodniczył Ka-

puściński, mający pewną powagę. „Fryga” tembardziej nie mógł się uchylać od projektowanego przez Kapuścińskiego „kieliszka”, że, jak pamiętamy, liczył nań, ażeby się coś dowiedzieć o przeszłości Temy.

W „knajpce” dopiero zaczął się hałas i gwar. Krzyżowały się kwestje i zapytania. Rzecz prosta, ani ajenci, świadomi znaczenia służbowej tajemnicy, nie bardzo dopytywali się „Frygi” o jego przygody, ani on nie uważał za właściwe wtajemniczać ich w takowe... Ajent dowiedział się tylko, że przez czas nieobecności w wydziale, kilka razy dopytywano się usilnie o niego i że były nawet jakieś listy do niego.

Pomimo całej niecierpliwości i ciekawości, „Fryga” nie mógł biedz na górę, ponieważ „kieliszek” nie był jeszcze skończony, Korzystając tedy z przypadku, który go usadowił obok starego Kapuścińskiego, począł, śród ogólnego gwaru, pytać go półgłosem, czy nie wie czego o Temie. A jakże? Stary Kapuściński nie wiedziałby! Ma się rozumieć, że wiedział i w tej chwili podzielił się swemi wiadomościami z „Frygą”.

Wiadomości warte były pytania.

Tema w samej rzeczy była żydówką i pochodziła z Wilna, czy z Mińska; jako kilkonastoletni podlotek została dwukrotnie skazaną za kradzież, a obecnie, po przejściu najniższych stopni poniżenia i rozpusty, od dwóch lat, jako jedna z najmodniejszych kurtyzan, zachwycała zblazowanych paniczyków warszawskich. Co najważniejsza, rodzona jej siostra, znana w świecie występku pod mianem „Złotej Rączki”, była jedną z najśmielszych awanturnic i złodziejek, znanych nie-

tylko w Królestwie, ale i w Cesarstwie, ba, nawet za granicą.

„Fryga” omal do krwi nie rozdrapał sobie nosa na tę wiadomość A więc rzeczywiście, przeczucia go nie myliły! W tej grze była „Złota Rączka”, która niejednokrotnie miała stosunki z Nalewkami. Teraz można było zrozumieć, zkąd pochodziły zawikłania. „Złota Rączka”! To imię rzucało wiele światła na sprawę.

Bo też trzeba wiedzieć, kto była „Złota Rączka”. Kobieta młoda, piękna, inteligentna i nawet wykształcona, zaznaczyła ona szeregiem występków pobyt swój we wszystkich większych miastach w kraju i w stolicach Europy. Dzięki swoim powabom, była ona niemal niepochwytną; schwytana, zawsze się zdołała jakimś cudem uwolnić. Przenosiła się z miejsca na miejsce z zadziwiającą szybkością, ukazywała to tu, to tam; znaczyła swą drogę nowemi występkami i znikała. Zjawiała się ona pod różnemi przebraniami, w różnych postaciach, przybierając najrozmaitsze nazwiska.

Ostatnio awanturnica znajdowała się na czele bandy złodziei kolejowych, operujących w wagonach. Sposób jej działania był niezawodny i nader prosty. Jako elegancka, młoda dama, zajmowała miejsce w jednym z odosobnionych przedziałów pierwszej lub drugiej klasy, zabierała znajomość z pasażerami, szczególniej płci męzkiej, usypiała ich jakimś narkotykiem, i... okradała. Policja Cesarstwa i Królestwa była na jej tropie, nie mogła jednak przytrzymać tej niepochwytnej złodziejki. Z przygód jej awanturniczych,

zawsze na tle sercowem haftowanych, można było pisać całe romanse.

„Złota Rączka”! Nie dziw, że gra była trudna do odcyfrowania, skoro ona do niej należała. Teraz „Fryga” mógł być pewnym, że stoi wobec organizacji, która z jednej strony opiera się o Nalewki, z drugiej ginie gdzieś na Litwie. Słowa, które owego fatalnego wieczoru zamienili wobec niego w piwnicznej izbie strzegący go dwaj żydzi, dowodziły również słuszności tego przypuszczenia.

Rozmyślania „Frygi”, który, pomimo otaczającego go gwaru i hałasu, zatopił się na chwilę cały w rozważaniu tej niezmiernie interesującej go zagadki, zostały wkrótce przerwane. Należało wracać do wydziału.

. . . .

Wkrótce potem „Fryga” został wezwany do sędziego śledczego.

Wszedł tam nie bez pewnej trwogi, niebawem jednak ochłonął i zrozumiał, że gorliwość jego doznała zasłużonego uznania. Sędzia obsypał go pochwałami. „Frygę” oblał rumieniec radości.

— Panie sędzio... — zaczął bełkotać uszczęśliwiony.

Sędzia tymczasem ciągnął dalej:

— Jestem teraz powiadomiony o wszystkiem.., znam sprawę tak, jak pan. Teraz będziemy mogli iść dalej. Dotąd nie badam pana urzędownie, to wszystko

stanowi tylko rozmowę prywatną. Tymczasem trzeba działać.

„Fryga" oczekiwał dalszych wyjaśnień. Sędzia wziął ze stołu drukowany blankiet i napisał na nim parę słów.

— Bądź pan łaskaw niezwłocznie udać się do Ratusza i poprosić, ażeby ci dodano do pomocy dwóch lub trzech ajentów.

„Fryga" skinął głową na znak zgody.

— Pojedziesz z nimi na Wspólną Nr... i przywieziesz niezwłocznie do mnie pannę Temę Z...

— W charakterze? — pytał ajent.

— Tymczasem w charakterze świadka. Potem zobaczymy. Oto wezwanie.

Ajent był już na nogach.

— Staraj się pan nie używać gwałtu. Wejdź do niej sam. W ostatnim razie, gdyby nie można było zrobić inaczej, uciekniesz się do pomocy twoich towarzyszów. Ja czekam, choćby najdłużej.

„Fryga" chciał o coś zapytać, ale sędzia mu nie pozwolił. Ciągnął dalej:

— Pośpiech i spokój. Nie trzeba robić hałasu. A przedewszystkiem, nie pozwól się jej z nikim komunikować. Rozumiesz pan?

— Rozumiem...

— Dziś wieczorem — kończył sędzia — zobaczysz się pan z „Czerwonym Jankiem", a jutro zdasz mi z tego sprawę. Wreszcie jutro zejdziemy do mieszkania nieboszczyka Halbersona, ażeby odnaleźć resztę tajemniczego listu.

— To pan sędzia dotychczas tam nie był?

— Nie — odrzekł urzędnik z powagą. — Chciałem, żebyś pan znajdował się przy zejściu.

„Fryga”, pomimo bólu, który się mu od czasu do czasu w różnych częściach ciała odzywał, wybiegł z kancelarji sędziego, jak na skrzydłach.

— Święta kobieta, ta Karolcia — mruczał pod nosem — co ona zrobi, to zawsze dobrze.

Ale ten dzień, już od rana do wieczora pełen był niespodzianek.

W półtorej godziny potem, wracał do sędziego sam. Ptaszek, po którego go posyłano, wyfrunął. Gniazdko było jeszcze ciepłe, ale próżne. Tema, jak już wiemy z rozmowy „Joska” ze „Złotą Rączką”, zniknęła, a właściwie została usuniętą poprzedniego dnia.

Nieobecność jej zresztą wywoływała żywy niepokój domowników, nie wiedzących co myśleć o tajemniczem zniknięciu ich pani. „Fryga”, którego służący odrazu wzięli za pisarza od komornika, jak się okazało, nawiedzającego niekiedy z obowiązków swego urzędu piękną kurtyzanę, nie mógł się od nich, pomimo swej zręczności, nic dowiedzieć. Zostawiwszy tedy dwóch najsprytniejszych kolegów na obserwacji w pobliżu domu, sam wrócił do sędziego.

Nie było co robić. Sędzia tymczasem zaakceptował ostrożność przez ajenta przedsięwziętą, a robotę odłożono do następnego dnia.

Po zawinięciu na chwilę na Stare Miasto i spożyciu skromnej kolacji, przygotowanej przez Karolcię,

ajent pobiegł na Nalewki, do „Czerwonego Janka”. Ale i tym razem szczęście mu nie służyło. „Fryga” nie zastał bandyty w hotelu, a przynajmniej tak mu powiedział spotkany w kurytarzu numerowy, którego już znamy, a który przechadzał się tutaj, jak gdyby na straży.

— Widocznie moja „serja” odkryć wyczerpała się—kończył swe długie, tu przez nas pokrótce streszczone opowiadanie „Fryga”. — Swoją drogą, ponieważ już dawno powinienem był stawić się u pana mecenasa, uważałem za właściwe, znalazłszy pierwszą wolną chwilkę, przybiedz tutaj... I oto jestem.

Umilkł.

Było już późno. Opowiadanie „Frygi”, pełne szczegółów, refleksyj, rozumowań, przerywane zapytaniami i uwagami adwokata, trwało parę godzin. Lampy na biurku „Julka” rzucały blade światło, a sam adwokat, zamyślony, uważnie spoglądał na ajenta, którego ruchliwa, choć w tej chwili zmęczona twarz, wysuwała się z półcienia.

— I oto jestem — powtórzył „Fryga”.

Adwokat podniósł rękę i położył ją na papierach, które się znajdowały na biurku.

— Mylisz się pan, panie Józefie — rzekł.—Twoja „serja”, jak na dziś, bynajmniej nie wyczerpana.

— W samej rzeczy?

— Przeciwnie, dowiesz się zaraz wielu ciekawych rzeczy.

Twarz „Frygi”, w tej chwili cokolwiek zmęczona, odzyskała naraz całą ruchliwość.

— Słucham — rzekł krótko.

— Wiesz już zapewne, że Strzelecki od wczoraj uwolniony za kaucją?

— Wiem, mówił mi sędzia.

— Wiesz także, iż narzeczoną Janka Strzeleckiego, jest mniemana panna Róża Apenszlak...

— Domyśliłem się — rzekł ajent, a po chwili dórzucił: — Mniemana!... Dla czego mniemana?

— Zaraz się dowiesz, panie Józefie... Ale tego pewnie nie wiesz, że od wczoraj panna Róża opuściła dom Apenszlaka i że w tej chwili znajduje się przy łóżku nieprzytomnego narzeczonego.

— Doprawdy?

— Otóż panna Róża złożyła mi ten pugilares, który spowodował z jej strony opuszczenie domu mniemanego ojca. Papiery, które tam znajdziemy, a które nie będą pewno bez znaczenia dla naszej sprawy, przekonają nas, czy mam słuszność, używając wyrazu „mniemany”.

Oczy „Frygi” wpiły się już w pugilares, wyładowany papierami, a ręka tarła usilnie nos.

— Ciekawe, ciekawe! — powtarzał, kręcąc się na krześle.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnął adwokat.

„Fryga” pytał „Julka” wzrokiem. Adwokat wskazał leżącą przed nim paczkę papierów.

— A oto rękopis, który dostarczyła nam panna Fela Ejteles. Według jej słów, ma się tam znajdować klucz zagadki.

Ajent policyjny nie wytrzymał. Skoczył z krzesła na równe nogi!..

— A ja stary osioł, ośmieliłem się twierdzić, że serja wyczerpana!...

Adwokat „Julek” uśmiechnął się.

— Daj pokój, panie Józefie — rzekł.

„Fryga” biegał po pokoju; wreszcie zatrzymał się.

— No, to chyba, proszę pana mecenasa, trzeba się brać do roboty... Należy to wszystko spenetrować!

Adwokat spojrzał na bladą ze znużenia, w tej chwili nieco zaróżowioną gorączką twarz ajenta.

— Czy pan nie jesteś tylko, jak na dziś, za słaby? — zapytał.

„Fryga” roześmiał się.

— Niech się pan mecenas nie obawia...

— A no, kiedy pan chcesz, to do roboty...

„Julek” zadzwonił na służącego.

— Herbaty, rumu i cytryn!

. . . .

Była trzecia rano.

Lampy na biurku „Julka” rzucały drżące smugi światła. Adwokat i „Fryga” przepędzili prawie całą noc na pracy.

W tej chwili już skończyli robotę. Na biurku leżały porozrzucane papiery, przed chwilą przez nich przeglądane. Na twarzach ich obydwóch wyraźne ma-

24

lowało się znużenie. W zmarszczkach czoła osiadły jakieś myśli poważne, pełne grozy.

Adwokat „Julek” odrzucił się w tył fotelu, przetarł czoło ręką, wreszcie, kierując zamglone niewywczasem spojrzenie w stronę ajenta, zapytał:

— I cóż pan powiesz o tem wszystkiem, panie Józefie?

„Fryga” pokręcił głową.

— Dziwne, bardzo dziwne! — rzekł. — W każdym razie, trzeba to rozważyć w spokoju...

— I ja tak myślę.

W tej chwili, w ciszy nocnej, nie przerywanej żadnym dźwiękiem, pełnej milczenia, wywołującej wrażenie bezgranicznego, nieskończonego spokoju, zabrzmiał ostry, głośny odgłos. Adwokat „Julek” aż się wzdrygnął.

— Co to takiego? — zapytał „Fryga”.

— Nic... dzwonek do bramy... Zapewne jakiś zapóźniony lokator.

Dzwonek uderzał ciągle, poruszany niecierpliwą widocznie ręką. Po chwili, w nocnej ciszy, dały się słyszeć ciężkie, wlokące się kroki; towarzyszył im głośny brzęk kluczy.

— To stróż... — zrobił uwagę „Fryga”.

Obydwaj, adwokat i ajent, nie wiedząc sami dla czego, z natężeniem wsłuchiwali się w szmery, jak gdyby oczekując jakiegoś wypadku, niezwykłego wydarzenia. Tymczasem te odgłosy były rzeczą tak prostą i zwykłą. Chyba bezgraniczna cisza, panująca

w tej chwili, mogła im nadawać jakieś wyjątkowe akcenta.

Adwokat i „Fryga” ciągle słuchali.

Dał się słyszeć szczęk rygli, szmer oddalonej rozmowy, wreszcie na schodach zabrzmiał odgłos kroków.

— Kto to może być? — zrobił mimowolną uwagę adwokat „Julek”.

W tej samej chwili, już wewnątrz mieszkania, zabrzmiał słabszy, bardziej stłumiony dźwięk. Dzwoniono do drzwi mieszkania adwokata.

„Fryga” i „Julek” byli już na nogach. Adwokat, nic nie mówiąc, otworzył drzwi kancelarji, przeszedł szybkim krokiem przez salonik i skierował się do przedpokoju. Ajent skierował się za nim.

Zanim zdołał się wydostać gdzieś z kąta zaspany lokaj, gospodarz już otwierał drzwi. Na jego twarzy wybiło się wyraźne zdziwienie; we drzwiach stała młoda kobieta! otulona w szubę, z chustką na głowie.

— Karolcia! — zawołał mimowoli „Fryga”.

Adwokat spoglądał ze zdziwieniem to na przybyłą, to na ajenta. „Fryga” zrozumiał, że powinien dać jakieś wyjaśnienie. Rzekł tedy, rumieniąc się cokolwiek:

— To... to... moja żona...

— Pan, panie Józefie, żonaty? — pytał adwokat, coraz bardziej zdziwiony.

Tymczasem Karolcia stała, jak na rozżarzonych węglach. Widząc to „Julek”, który ani sobie przypo-

minał twarzy przed kilku laty bronionej i raz tylko czy dwa razy widzianej klijentki, rzekł:

— Ale niechże pani pozwoli... proszę dalej. Co się takiego stało?

Weszli do saloniku, a adwokat zmusił prawie młodą kobietę, zmęczoną od szybkiego biegu, ażeby usiadła w fotelu. Teraz „Fryga”, na którego twarzy wybił się żywy niepokój pytał Karolcię:

— Co takiego?... Czy jakie nieszczęście?... Może Stacho chory?...

— Nie...

— A więc cóż?

Karolcia zebrała wreszcie oddech:

— Byli już po ciebie dwa razy z Ratusza. Podobno bardzo pilny interes, nie cierpiący ani jednej chwili zwłoki; a ponieważ mówiłeś mi, wychodząc, że idziesz do pana mecenasa i że może zostaniesz tu dłużej, ośmieliłam się...

Zwróciła spojrzenie na adwokata.

— Pan mecenas nigdy mi tego nie wybaczy...

„Julek” nie miał czasu protestować.

— Z Ratusza? — zawołał. — Jakaś nowa niespodzianka.

Oczy „Frygi” latały, pełne niepokoju.

— Czy nie wspominali, o co idzie?

— Wspominali...

— I cóż?...

— W hotelu na Nalewkach popełniono zabójstwo. Robili już rewizję i znaleźli w mieszkaniu zabitego list na twoje imię.

Adwokat i „Fryga” spojrzeli po sobie. „Julek” był blady jak płótno.

— „Czerwony Janek” — rzekł „Fryga”.

— To fatalne, to fatalne!... — powtarzał adwokat. — W chwili, kiedy ten człowiek miał zacząć mówić, usunięty z drogi.

Przez chwilę panowało milczenie.

— To nic — zaczął „Fryga” — złoczyńcy dopełnili miary swych zbrodni. Zaczyna się dla nich chwila wymiaru sprawiedliwości.

Zwrócił się do Karolci.

— Dziękuję ci, moje dziecko, za twą poczciwość i energję. Wracaj sama do domu, ja muszę biedz do Ratusza. Trzeba wyjaśnić naczelnikowi, co znaczy ten list i wziąć się do roboty...

Zabierali się oboje do wyjścia.

— Kiedyż my się zobaczymy?— pytał adwokat.

— Jutro wieczorem będę bezwarunkowo. Jutro, przetrawiwszy wszystko, czego się dziś dowiedzieliśmy z papierów, zdecydujemy, co dalej robić. Wreszcie przez dzień jutrzejszy wypadki posuną się naprzód.

Za chwilę adwokat „Julek” został sam.

Koniec drugiej części.

Część III-cia.

LIKWIDACJA.

ROZDZIAŁ I.

Kartka z przeszłości.

Papiery, przeglądaniu których poświęcili noc całą adwokat i „Fryga”, składały się, jak już wiemy, z dwóch oddzielnych zwitków.

Pierwszy — to pęk dokumentów różnej treści charakteru, zawarty w pugilaresie Apenszlaka; drugi — to paczka, pochodząca od panny Feli Ejteles. Zostawiając sobie na kiedyindziej rozejrzenie się w papierach Apenszlaka, którego w tej chwili pociąg kolei petersburskiej unosi daleko na wschód, przyjrzyjmy się obecnie papierom, które złożone zostały przez pannę Felę na ręce adwokata „Julka”.

Jest to rękopis dość sporej objętości, pisany przez samą pannę Felę; opowiada on w formie niemal powieściowej, dramat z lat dawno minionych i ma za

cel ułatwienie zadania tym, którzy szukają klucza do zagadek chwili obecnej. Nie jest to więc żaden dokument, który możnaby przedłożyć sądowi, który przekonywałby bezwzględnie o niewinności oskarżonego o podwójną zbrodnię. Bynajmniej.

Na pierwszej stronie rękopisu, znajdujemy nakreślone eleganckiem pismem panny Feli, te wyrazy:

„Dla wiadomości pana mecenasa J...

„Fakta tu podane, są bezwzględnie prawdziwe. Zdają się one tłómaczyć wiele ciemnych rzeczy w wiadomej sprawie. Ze względu jednak na osoby, biorące w nich udział, nie mogą być urzędownie podawane do niczyjej wiadomości, Komunikuję takowe panu mecenasowi z tem wyraźnem zastrzeżeniem. Sądzę jednakowoż, iż to, czego się dowiedzieć można, oświetli rzecz całą i skieruje ją na właściwą drogę."

Jak tedy widzimy, rękopis panny Feli dla poszukujących klucza zagadki, może mieć znaczenie informacyjne. Oto wyciągi z rękopisu:

„...Czy zna pan mecenas — pytała panna Fela w swoim rękopisie — tę, jak ją nazywają „żydowską Jerozolimę", inaczej Berdyczów? Zapewne nie. Bo i zkądżeby? Ja jednak, w przejeździe, widziałam to gniazdo rodzinne mojego ojca. Jest to miasto, a raczej olbrzymie miasteczko, bodaj jedyne już w Europie, brudne, a jednak pełne średniowiecznego uroku, rodzaj drewnianego „ghetta", zatopionego w kałużach błota, gdzie widać tylko wschodnie fizjognomie synów Izraela i słychać szmer ich fantastycznej gwary, splecionej że wszystkich języków świata, której podstawą

jest germańskie narzecze. Po nad tem dominuje brzęk złota i szelest papierów; słychać niemal lot miljonów, które się tutaj obracają, rosną i topnieją.

Wyobraź pan sobie ten Berdyczów, dziesięćkroć brudniejszym i bardziej średniowiecznym, a razem bardziej jeszcze ruchliwym, odsuń go o kilkadziesiąt lat w przeszłość, a będziesz miał prawdziwe tło prawdziwego dramatu, który się rozsnuje przed twemi oczyma.

Były to groźne czasy. Nad Europą oddawna huczał grom wojny i burz wewnętrznych. Płomienie obejmowały kolejno serca i umysły narodów, jak wysuszone przez słońce strzechy chat wiejskich. Nawet do tego zakątka, zatopionego w gwarze własnych interesów, dochodziły głośne wieści z Europy. Ościenne Austrja i Węgry, były całe we krwi i płomieniach. Od czasu do czasu przeciągały okolicą wojska; ziemia drżała od armat. Niekiedy szły tajemnicze wieści i popłochy, wywołując wielkie ożywienie na prywatnych berdyczowskich giełdach. Czasami żydkowie szeptali coś o ogromnych kontrabandach. Śród błotnistych uliczek, ukazywali się nieznani ludzie, w towarzystwie nieznanych faktorów, klęli z węgierska, włóczyli się pomiędzy żydkami, a potem odjeżdżali.

Wstrząśnienia europejskie dawały się tam uczuć, zlekka wprawdzie, oddalonem tylko echem, ale jednak dawały...

W jednej z tych dalekich uliczek, stała kamienica brudna, obdarta, o wielkiem, błotnistem podwórzu, zamieszkała przez liczną żydowską ludność. Był tu

cały kalejdoskop. Gdzieś na poddaszu, w ubogiej stancyjce, pozbawionej niemal wszelkiego umeblowania, gnieździł się sam jeden młody izraelita. Mieszkańcy domu, przeważnie husyci, jak w świątobliwej „żydowskiej Jerozolimie” być powinno, spoglądali nań z niechęcią. Bo też z ich punktu widzenia,. był to oryginał nielada ten Mojżesz. Już jego samotność stanowiła niemal występek wobec etyki żydowskiej. Żył sam, nie miał ani żony, ani krewnych, nie wdawał się z nikim, nie potrzebował nikogo...

Niewielki, szczupły, ubrany w strój innych współwyznawców, mógł on liczyć zaledwo cokolwiek więcej niż lat dwadzieścia. Twarz jego wyróżniała się, nawet pośród takiej skarbnicy idealnie pięknych i idealnie brzydkich typów, jaką jest Berdyczów. Widniała na tej twarzy jakaś niewysłowiona i głęboka melancholja; z głębi oczu przeświecała inteligencja i słodycz.

Mojżesz był zresztą zagadką dla swych sąsiadów. Wiedziano, że u jednego z wielkich kupców berdyczowskich pisze listy zagraniczne w takich językach, których nikt inny zrozumiećby nie potrafił; że ma pensję wystarczającą na potrzeby; że resztę wolnego czasu przepędza u siebie w domu, gdzie go podpatrzono przez dziurkę od klucza, schylonego nad stołem pełnym ksiąg; że te księgi, bynajmniej nie mające pozoru ksiąg rabinicznych, znosił ciągle do domu; że wreszcie żył bardziej niż skromnie. Przekonano się także, w bóżnicy, gdzie stale na modlitwę uczęszczał, gdy go raz sam rabin w jakiejś talmudycznej kwestji zacze-

pił, że Mojżesz jest prawdziwym „uczonym w piśmie". Ale to i wszystko. Dla czego żył samotnie i nie żenił się, dla czego przestawał z kięgami, zkąd się wziął i zkąd pochodziła jego mądrość? Oto, czego nikt nie wiedział.

A jednak nie było to nic dziwnego. Z łona ludu ludu izraelskiego, w każdym niemal wieku i kraju, na gruncie największej nawet ciemnoty i najgłębszych przesądów, wyrastali prawdziwi mędrcy, ktorzy, gdyby nie pochodzili z tego plemienia, posunęliby pewno ludzkość naprzód. Skrępowani formułami bytu, pośród którego wyrośli, witani nieufnością ze strony obcych, mijali się z przeznaczeniem, nie spełniali włożonego na nich zadania. Kilku tylko nazwiskom mędrców i uczonych żydowskich, skład warunków społecznych pozwolił jaśniej zabłysnąć.

Mojżesz był jednym z tych wyjątkowych organizmów. Urodzony w maleńkiem miasteczku żydowskiem, wykarmiony w dziecięcych latach na ciężkiej strawie talmudu, szaloną pracą i olbrzymiemi zdolnościami zdołał dojść do tego, że w dwudziestym roku życia był prawdziwą studnią i skarbnicą wiadomości, miał pojęcie o wszystkich gałęziach wiedzy, nauczył się kilku języków żywych i umarłych i z olbrzymią intuicją rozwiązywał najtrudniejsze zagadnienia matematyczne. Był to przytem poeta i myśliciel, głowa gorąca, którą rozpalały potężne zagadnienia społeczne i bytowe, ważące się na dalekim zachodzie. W szufladach jego spruchniałego stołu leżały całe stosy kart, zapisanych gorączkowemi słowy i potężnemi myślami.

Nie napróżno te oczy spoglądały w przestrzeń z taką słodyczą i melancholją.

Berdyczów był dla Mojżesza tylko etapem w drodze, którą sobie nakreślił z góry. Pracował on tu gorączkowo, uzupełniał ostatnie braki w wiadomościach, kształcił się, przelewał swe myśli na papier i czekał chwili, kiedy będzie już czas z zapadłej stolicy żydowskiej, wyruszyć w daleki świat, do Europy, ażeby tam rozwinąć szeroko skrzydła.

Czas ten jednak nigdy nie miał dla niego nastąpić.

Na tych samych, wiecznie brudnych i skrzypiących schodach, na których walały się kawałki wyrwanego ze ściany tynku i stały kałuże pomyj, znajdowało się mieszkanko, równie skromne, jak izdebka Mojżesza, a bodaj od niego uboższe; w tem mieszkanku wegetowały dwie biedne kobiety: matka i córka. To sąsiedztwo miało stanąć na przeszkodzie aspiracjom Mojżesza.

Matka i córka nie były żydówkami. Przybyły one do Berdyczowa zaledwo od półtora roku i żyły tu w ciężkim niedostatku. Obiedwie nosiły na sobie piętno lepszego bytu i innej sfery społecznej. Matka, pomimo niezbyt podeszłego wieku, pochylona ku ziemi, widocznie od ciężaru cierpienia, potrafiła jednak ukazać w wielkich, niebieskich oczach, kiedy je podniosła do góry, dumę i powagę. Córka, było to urocze, szesnastoletnie dziewczę, o postaci szlachetnej i idealnych rysach Madonny.

Żyły, jak mogły, najczęściej chlebem i wodą.

Starały się znaleźć jakąś pracę, choćby najcięższą, ale w warunkach miejscowych było to prawie niemożebnem. Niekiedy, bardzo rzadko, udało się im zarobić parę złotych, a potem znów musiały czekać długo, długo na podobną, nieprawdopodobnie szczęśliwą sposobność. Zresztą, od czasu do czasu otrzymywały drobne sumki z poczty i kolejno zastawiały u sąsiednich fanciarzy drobne kosztowności, widocznie pamiątki lepszych czasów ..

Drzwi ich poddasza, znajdowały się wprost drzwi izdebki Mojżesza. Pomimo to, gdyby go zapytano, kto są jego sąsiedzi, na pewno nie umiałby na to odpowiedzieć. Zbyt był pogrążony w sobie, zbyt gorąco umiłował wielkie, uśmiechające się doń cele, ażeby miał uważniej spoglądać na świat zewnętrzny. Spotykał nieraz na brudnych schodach matkę, owiniętą w wypłowiały szal, kaszlącą tu suchotniczym kaszlem, albo córkę, wracającą z trochą zapasów do domu, wiotką i pełną szlachetności, w swej czarnej, wytartej sukience, ale nie zwracał na nie uwagi.

Było to pewnej październikowej nocy. Mojżesz, schylony nad kulawym stołem, kreślił gorączkową ręką długie linje wyrazów, gdy w tem zapukano do jego drzwi. Zdziwiony, powstał i otworzył takowe. W bladem oświetleniu świecy, ujrzał idealnie piękną twarzyczkę młodego dziewczęcia, zalaną łzami. Na plecy zarzuconą miała jakąś chustkę, z pod której wyglądał niedbały negliż.

— Panie, ratunku... Matka moja umiera..!—zdołało wyłkać dziewczę.

Mojżesz był przez chwilę jak gdyby oczarowany. Zdawało mu się, że do brudnej jego izdebki zstąpiło jakieś widzenie, istota nadprzyrodzona, pełna tajemniczego uroku i poezji. Spoglądał na nią zdumiony; dziewczę łkało.

Po chwili przyszedł do siebie; zrozumiał jej słowa. Uczuł od pierwszego wejrzenia coś niewysłowionego; zdawało mu się, że w tej chwili, bez wahania, na jedno jej słowo, zrobiłby wszystko. Dla czego?... Sam nie pojmował. Ona żądała od niego pomocy. Należało temu żądaniu uczynić zadość.

Zaczął ją pytać. W paru słowach, łkając, objaśniła mu, że mieszkają naprzeciwko, że matka jej już od pewnego czasu była chora, że w tej chwili straciła przytomność i że ona, nie wiedząc co robić, zastukała do najbliższych drzwi o pomoc...

— Pójdźmy! — odpowiedział krótko Mojżesz.

W izdebce dwóch kobiet, od pierwszego rzutu oka, uderzyła go straszna nędza. Zastali tu niemal puste ściany, a w kącie łóżko, a raczej barłóg, na którem leżała blada, jak wosk, omdlała, czy może już nieżywa kobieta. Dziewczę z rozdzierającem serce łkaniem rzuciło się do barłogu, starało się ogrzać zimne ciało matki, całowało jej ręce.

Wiemy już, że Mojżesz był prawdziwą studnią wiadomości. Za chwilę przekonał się, że kobieta jest nieuleczalnie chorą; suchoty w ostatnim stopniu miały lada dzień przeciąć nici jej życia. W danej chwili, była ona tylko zemdloną, a powodem osłabienia — głód.

Patrząc uważnie w oczy dziewczęcia, którego

przezroczysta cera i głęboko podkreślone oczy nosiły te same ślady wyczerpania, zapytał:

— Czy dawno panie ostatni raz jadły?...

Dziewczę zaczerwieniło się aż po białka oczu. W odpowiedzi wybełkotało tylko parę niewyraźnych słów. Tego było dosyć dla Mojżesza. Pobiegł do swej izdebki i za chwilę wrócił; niosąc trochę drzewa i węgla, samowar, garnek i parę innych drobiazgów.

— Matka pani potrzebuje czego gorącego... potrzebuje pokarmu. Niech pani zrobi herbatę i ugotuje trochę buljonu. Oto ocet... Przedtem trzeba jej natrzeć octem skronie i zmoczyć wodą twarz. To ją powinno przywrócić do przytomności. Ja tymczasem biegnę do apteki.

Dziewczę podniosło z wdzięcznością oczy na tego energicznego młodzieńca, o tak oryginalnej twarzy, mówiącego językiem, którego aniby się spodziewała od człowieka w tym stroju i do tego stanu należącego.

— Więc nie ma niebezpieczeństwa? — wyszeptała.

— Nie ma.

Za kwadrans Mojżesz był z powrotem. Dzięki jego staraniom, matka dziewczęcia została przywrócona do przytomności, a zaimprowizowany posiłek powrócił jej chwilowo siły.

Odtąd zaczęła się znajomość między sąsiadami. Szła ona niezmiernie oryginalnym torem. Dwie kobiety: matka i córka, z trudnością mogły się przyzwyczaić do tego „żydka”, który sferą, powierzchownością i formami, widocznie do nich nie przystawał, któ-

rego oczy patrzyły tak dziwnie i tak głęboko. Jednak jego inteligencja i jawne poświęcenie dla kobiet, które codzień w gorszem znajdowały się położeniu, wreszcie niezwykła na człowieka jego sfery delikatność, z jaką potrafił ofiarować swe usługi, zyskiwały mu coraz większą życzliwość, jeśli nie w oczach matki, co godzina bliższej grobu, nie mającej prawie żadnej świadomości, przybitej ciężarem choroby i nieszczęścia, to przynajmniej w oczach córki, wdzięcznej za szlachetną pomoc żyda.

Po dwóch tygodniach matka umarła. Było to pewnej burzliwej nocy, kiedy na dworze wicher wył przeraźliwie, tłukąc się ponuro o wysokie ściany starej kamienicy. Uproszony przez Józię (takie było imię młodego dziewczęcia), Mojżesz do godziny czwartej rano czuwał z nią przy barłogu matki. Ostatni stopień wyczerpania suchotniczego, robił swoje.

Dziewczę, młode, niedoświadczone, pomimo całego strasznego przygotowania, jakie mu dała nędza, przebyta razem z matką w tej izdebce, straciło głowę, na widok tej jedynej swej opiekunki i przyjaciółki, rozciągniętej na łożu śmierci, kurczącej się w agonji. Blada. jak płótno, ze zwisłemi rękami, z rozpuszczonemi długiemi włosami, które jej jak płaszcz spadały na ramiona, klęczała przy barłogu matki, pochylona nad jej wyżółkłą twarzą, pokrytą skórą, która się zdawała cieniutką jak bibułka i śledziła na tej twarzy ostatniego przebłysku świadomości, ostatniego jej uśmiechu.

Łzy wyschły przez tę długą noc w jej prześlicz-

nych oczach; tylko gwałtowne łkania poruszały dziewicze łono. Machinalnie powtarzała słowa modlitwy, wpatrzona w maleńki krzyżyk, ostatnią ich pociechę i bogactwo, który włożyła w rękę matki.

Mojżesz tymczasem siedział nieco opodal, gotów nieść wszelką potrzebną pomoc chorej. Był on niemniej przejęty do głębi i poruszony.

Pomimo całej swej teoretycznej wiedzy, która zresztą szła zawsze torem talmudystów, drogą abstrakcyj, młody żyd mało znał życie i widok konającej wstrząsał wszystkie, niezużyte jeszcze jego nerwy. Przytem ta modlitwa, powtarzana z taką gorącą wiarą, to zamknięcie, w chwili najwyższej i ostatniej całego świata nadziei i uczuć w tym małym krzyżyku, włożonym w skostniałe palce matki, robiło na nim niezwykłe wrażenie. Można się wyemancypować drogą rozumowania z obsłon wiary i cywilizacji, z pośród których się wyrosło; niemniej będą nas one trzymały zawsze i silnie tysiącem niewidzialnych węzłów, będą się nam przypominały co chwila wrażeniami najgłębszemi, bo zdobytemi pierwszych dni życia. Jakkolwiekbądź, Mojżesza, wyrosłego pośród sfery talmudycznej, jeśli nie raziły, to przynajmniej odurzały te modlitwy. Spoglądał niemal z niepokojem na czarny krzyżyk, żałobnie odbijający od blado-żółtych palców konającej, poruszanych ostatniemi kurczami.

Około wpół do czwartej, umierająca zdawała się przebudzać. Wyszeptała kilka słów pieszczoty, na widok twarzyczki dziewczęcia, pochylonej nad jej barłogiem i ostatnim wysiłkiem przyciągnęła gorącą jego

główkę do na pół ostygłej swej piersi; w stronę młodego żyda, śledzącego zdaleka z niepokojem jej ruchy, skierowała spojrzenie wdzięczności. Zdawała się szukać czegoś dokoła siebie. Józia widocznie zrozumiała jej myśl.

— List?... — zapytała.

Skinienie głowy, ledwie dostrzegalne, było odpowiedzią. Dziewczę z pod poduszki barłogu wyjęło dużą, zapieczętowaną kopertę. Na twarzy konającej ukazał się rodzaj uśmiechu.

— Zrób... jak ci mówiłam — szeptała matka. — Poślesz jutro... zaraz jutro... bo ja nie dożyję jutra... ten list.... podług adresu... i będziesz czekała odpowiedzi...

Dziewczę obiecywało spojrzeniem wykonanie zlecenia, nie mogąc znaleźć słów.

— Od tego... zależy los... twój... wszystko...

Gwałtowna czkawka przerwała jej dalsze słowa. W pół godziny potem nie żyła.

Wicher kołatał się po ścianach kamienicy i wygrywał dziwne harmonje na klawiszach zepsutych kominów, kiedy Józia z wielkim krzykiem boleści upadła omdlała na zwłoki matki.

Wówczas nastała scena, którą pióro wzdryga się opisać.

Mojżesz sam jeden z trupem i kobietą omdlałą, przy mdłem świetle lampki, stracił z kolei głowę.

Rzucił się na pomoc dziewczęciu; chciał je ocucić. Podniósł je najpierw z ciała matki i przeniósł na drugi barłóg, znajdujący się w drugim końcu izdebki.

Ciało dziewczęcia gięło się, jak wosk, w jego rękach, ognistych od wewnętrznego żaru, a jednocześnie zimnych jak lód.

— Zkąd mi się przyplątała gorączka? — pytał sam siebie machinalnie, drżąc jak w febrze, w chwili, kiedy składał omdlałe ciało dziewczęcia na barłóg...

Nie rozumiejąc dobrze sam, co robi, z głową pełną jakiegoś dziwnego chaosu, począł czynić starania w celu przywrócenia dziewczęcia do przytomności. Ale te starania obracały się mimowoli w pieszczoty.. Przyciskał do swej pałającej, jak ogień, piersi, gnące się ciało dziewczęcia, okrywał jego twarz gorącemi pocałunkami.

Mojżesz zatrzymał się. Refleksja przychodziła mu do głowy.

— Co ja robię, co ja robię! — mówił sam do siebie.

Chciał uciekać, wołać pomocy. Ale nie strawiony. niczem, wybuchający jak wulkan ogień wschodniej krwi, której życie i książki nie pozwalały dotąd wydobyć się na wierzch, popychał go ku nieprzytomnemu dziewczęciu, pomimo całej grozy chwili, pomimo nieostygłego jeszcze trupa, który spoczywał w drugim kącie izby.

Bo ten żyd kochał, szalenie kochał od dwóch tygodni, jak je ujrzał, to chrześcijańskie dziewczę. Kochał je miłością pierwszą i jedyną, miłością pełną gwałtowności, namiętną, szalejącą, która już dziesiątki razy w ciągu tych dwóch tygodni zaledwo nie wybuchnęła na zewnątrz z pod pokrywy jego zimnej po-

wierzchowności, miłością, o której mówiły tylko jego głębokie, palące się wewnątrz oczy.

Miłość ta była bez nadziei. Ją, pomimo całej jej nędzy, dzieliła od niego taka ogromna przestrzeń, tyle przesądów, stosunków i barjer, że ani mogło być mowy o tem, żeby ją posiadał prawnie, żeby została jego żoną. Musiałby zresztą zmienić wiarę, a on tego nie chciał. Z dumą powtarzał sobie, iż należał do plemienia wyjątkowego, ukochanego przez Jehowę, czy tę siłę kosmiczną, którą na miejscu Jehowy w swej filozofji stawiał, przeznaczonego do spełnienia wielkich, cywilizacyjnych zadań i wyrzekać się tego plemienia i jego sztandaru, religji, nie chciał. W marzeniach o swej przyszłości, zawsze widział siebie żydem. Miał przed sobą inną zupełnie, z góry nakreśloną drogę, ażeby mógł przecinać ją doczesnem małżeństwem, rujnującem wszystkie wielkie jego plany. Wreszcie to małżeństwo wysunęłoby go zupełnie z jego sfery, zrobiłoby wyrzutkiem z pomiędzy swoich, pozbawiło na pewien, może dłuższy czas, materjalnej podstawy bytu...

Od dwóch tygodni, ten dylemat bez wyjścia, napełniał sobą jego rozgorączkowany mózg. Szaleć za nią, szaleć tak jak on i nie mieć nawet złudzenia, na wet oddalonej nadziei! I oto obecnie miał w ręku to wątłe ciało, stanowiące przedmiot jego pożądań; ta biała pierś wydobywała się z pod stanika, te bujne włosy otaczały twarz, od której bladości, jak krwawa róża, odbijały purpurowe usta...

Szaleństwo ogarnęło Mojżesza.

— Scena ta — pisała panna Fe\a w swym rękopisie — przed którą serce się wzdryga, którą bez niepotrzebnej pruderji uważam za właściwe dla wyjaśnienia sprawy odtworzyć tak, jak była ona opowiedzianą przez więcej szalonego i chorego, niż świadomie winnegc jej bohatera, jest dosłownie i ściśle prawdziwą, pomimo swego pozornego nieprawdopodobieństwa.

Mojżesz, pod wpływem szalonej namiętności, popełnił zbrodnię. Wobec niezastygłego trupa matki, odebrał cześć nieprzytomnej córce...

W chwili, kiedy dziewczę obudziło się w jego występnych, ognistych objęciach, w izdebce panowała zupełna ciemność; lampka, której mdłe światełko zaledwo świeciło przed chwilą, obecnie zagasła. Krzyk bólu, który wyrwał się z piersi dziewczęcia, przywołał Mojżesza do przytomności.

Co potem nastąpiło? Dziewczę, obudziwszy się skalanem, z początku nie zrozumiało, co się stało. Ponad wszelkiemi wrażeniami, dominowało wrażenie dotkliwego bólu fizycznego. W chwilę jednak, kiedy gorące ręce ciągle opętanego szałem Mojżesza, poczęły na nowo oplatać jej ciało, a jego ognisty oddech palił jej policzki, zrozumiała, pomimo swego niedoświadczenia, wszystko... Z zaciśniętych przez ból ust, wyrwał się jej krzyk hańby i wstydu, rozpaczy bez granic i niewypowiedzianej wściekłości, krzyk, który w zawody z jękami wichru, tłukącego się o ściany kamienicy, zdawał się płynąć daleko, w górę, jakby na skargę do niebios.

— Trzebaby być fotografem serca i mózgu ludzkiego — pisała panna Fela — ażeby umieć odtworzyć z ścisłością setki wrażeń i stanów psychicznych, które przeszedł w tej jednej chwili ów biedny organizm dziecięcy, przygnębiony długą, niezwykłą dlań nędzą, wyczerpanej widokiem agonji ukochanej matki, dotknięty palącą boleścią utraty tej jedynej opiekunki i wreszcie z takim dzikim brutalizmem rozbity w momencie najcięższego moralnego przełomu! Ja się o to nie kuszę— mnie dziwnem się tylko wydaje, że ten kwiatek, zważony w chwili, kiedy mógł podnieść głowę do słońca, nie zwiądł raz na zawsze, że to biedne serce dziewicze nie pękło. . Patrząc na sprawy ludzi tego świata, mimowoli przychodzi się do wniosku, że kieruje niemi dłoń Opatrzności, przygotowującej surową nieraz dla winnych karę... To pewna, że ta chwila stała się przełomową w życiu dziewczęcia. Z dziecięcia od razu stała się kobietą.

Jej bierność, w którą zdawała się być pogrążoną przez chwilę, ustąpiła paroksyzmowi energji. Z niespodziewaną siłą i niepohamowanym wstrętem odepchnęła Mojżesza. Gdyby w tej chwili miała w ręku broń, los jego byłby zdecydowany: umarłby... Szaleństwo zdawało się obejmować jej mózg.

Wstała z barłogu i, taczając się jak pijana, zbliżyła się do okna, jedynego w izdebce. Z siłą, której niepodobna było w tem wątłem ciele podejrzewać, otworzyła jednem uderzeniem okno... Potrzebowała powietrza! Oparła się o okno i spoglądała w przestrzeń; było

tam trzy piętra. Przyszła jej na chwilę myśl o samobójstwie, ale tylko na chwilę...

— Nie! — powiedziała sama do siebie.

Mojżesz, który śledził z trwogą każdy ruch, zrozumiał, jaka myśl przeszła jej przez głowę. Zbliżył się o parę kroków; ona zauważyła to w zmroku, panującym w izdebce.

— Precz! —rzekła krótko, a w jej głosie brzmiały nieskończony wstręt i nieskończona pogarda.

Stała tak przy otwartem oknie długo... Przez otwór wdzierały się fale wichru, rozwiewały jej długie, rozpuszczone włosy, lodowatemi pocałunkami dotykały jej otwartego łona. Ona tego nie czuła... Stała jak posąg, ściągnąwszy brwi, wpatrzona skamieniałemi oczyma w szarzejącą przestrzeń, napełnioną skargami wichury. W głębi izdebki, równie nieruchomy stał Mojżesz...

Była to noc, która rozbiła jego przyszłość. Podcięła ona skrzydła jego polotowi, zepchnęła go w głębie życia. Ten młody żyd miał wielką inteligencję i duże serce. Po chwili szału która minęła z gorącem jej ciała i upajającą jego wonią, nastąpił zwrot. Mojżesz zrozumiał całą hańbę i nędzę swego czynu Ta biała postać dziewczęcia, stojąca w otwartem oknie, śród poświstów wichury, darła mu serce, a z drugiego kątka izby, zdawało mu się, że z podniesioną do góry, karzącą ręką, lada chwila wstanie blady, wyschły trup matki. Mojżesz drżał, jak w febrze... Czuł, że wszystkie fibry jego serca są naprężone z taką siłą, iż trzeba tylko jednego jeszcze uderzenia, aby pękły...

Na krańcu horyzontu zaczęły się ukazywać jaśniejsze linje, białawo-brudne, brudno-błękitne, wreszcie złotawe. To jutrzenka witała codziennym uśmiechem wszystkie nędze ziemi i wszystkie nowe rozpacze, które nieubłagane życie podczas jej snu zadzierzgnęło...

Dziewczę odwróciło się, twarz jej była podobna do tragicznej maski, zdawała się nie mieć w sobie ani kropli krwi. Dziewczę szło krokiem równym, mechanicznym w kierunku Mojżesza. Przy bladem świetle budzącej się zorzy, przez długą chwilę spoglądała w jego twarz, na której perliły się krople potu, pomimo przejmującego zimna, które panowało w izdebce. Rzuciła wreszcie jedyny wyraz z gestem pogardy i wstrętu, którego odmalować niepodobna. Powiedziała:

— Precz!

A kiedy Mojżesz, mimowoli, usłuchawszy tego rozkazu, przestąpił próg izdebki, w milczeniu, machinalnie, zbliżyła się do barłogu, na którym spoczywało ciało matki... Uklękła i modliła się.

Na tem samem miejscu zastały ją kobiety, przybyłe około południa, z polecenia proboszcza miejscowego kościoła. Tego ranka, kapłan ów odebrał list, w którym ktoś nieznany, pragnący, ażeby jego nazwisko nie było nikomu wiadomem, donosił o śmierci matki i o rozpaczliwem położeniu córki, samotnej i bez żadnych środków i prosił znanego z dobroczynności proboszcza, o opiekę nad nieszczęśliwą. Do listu dołączono kilkadziesiąt rubli, a posłaniec, który list przyniosł, jakiś młody żydek, odszedł w tej chwili.

Tym posłańcem i jednocześnie autorem listu, był Mojżesz.

Dzięki temu jego krokowi, wreszcie przy staraniach zacnego kapłana, pogrzeb matki odbył się przyzwoicie, a córką, której zamknięta w sobie boleść manifestowała się rodzajem znieczulenia i obojętnością na wszystko, zaopiekowała się poczciwa żona zakrystjana. Zmusiła ona niemal dziewczę do opuszczenia izdebki, pełnej bolesnych wspomnień. Dziewczę tymczasem zamieszkało u niej.

Upłynęło parę dni po pogrzebie. Zacny proboszcz troskał się bardzo nad tem, co zrobić dla dziewczęcia, ciągle przybitego rozpaczą i milczącego. Postanowił się wreszcie z nią rozmówić. Dziewczę, na zapytania kapłana, objaśniło, że, o ile zapamięta, mieszkała z ojcem i z matką na wsi, w miejscowości Z... w sąsiedniej Galicji. Ojciec był rządcą obszernego majątku, a życie ich przez długie lata płynęło zupełnie spokojnie. Dopiero przed paru laty zaczęły przychodzić niepokojące wieści. Chłopi burzyli się w okolicy. Zapowiadano nieszczęścia dla panów i rządców. Ojciec śmiał się z tego, lub pokazywał wiszącą na ścianie dubeltówkę...

— To nie ze mną, starym żołnierzem, sprawa!— mówił.

Tymczasem przychodziły coraz gorsze wieści... Pożogi zaczynały się ukazywać w okolicy; chłopstwo było coraz bardziej harde. Nastąpiła straszna noc i jeszcze straszniejszy ranek... Dwór, w którym mieszkali, został zdobyty i spalony; wobec nieszczęśliwych

kobiet zabito kamieniami ich męża i ojca, a od gorszego losu ochroniło ich tylko przybycie sąsiedniej komendy wojskowej.

W dwa dni potem, kobiety, pozbawione wszystkiego, opuszczały niegościnną ziemię Galicji, pozostawiając za sobą zniszczone raz na zawsze szczęście i spokój, oraz zwłoki ojca i męża, pochowane na prędce na cichym, wiejskim cmentarzu. Matka Józi przeszedłszy granicę, skierowała się w stronę Berdyczowa, ponieważ w tej okolicy mieli zamieszkiwać jej krewni i ztąd pochodziła ona sama.

Z tem pochodzeniem matki dziewczęcia, była znów cała historja. Córka zamożnej rodziny, wbrew woli braci, wyszła za proletarjusza, który umiał zyskać jej serce, w dni walki i niepokoju odwagą i bohaterską walecznością, a potem, gdy wypadki uczyniły go wygnańcem, bez żalu opuściła kraj, poszła do obcej sobie Galicji, nie żądając ani złamanego szeląga z rodzinnej sukcesji, nie dając o sobie znać braciom, którzy się jej wyparli... Po śmierci męża, rozbita przez życie i osierocona, wracała w rodzinne strony, nie dla siebie, ale dla swego dziecięcia, pragnąc odwołać się w imię córki, do przysługujących jej praw, a jednak nie mając odwagi przełamać swych skrupułów, swej patrycyuszowskiej dumy.

Opowieść tę dziewczę znało z urywkowych słówek matki, ze skarg, które się tej dumnej, a heroicznie znoszącej najcięższą nędzę kobiecie, od czasu do czasu z głębi serca wyrywały. Józia nie wiedziała nawet nazwiska tych bogatych krewnych, a koperta,

którą jej matka, niby testament, oddała przed śmiercią, i w której miały się mieścić wszystkie nadzieje dziewczęcia na przyszłość, nosiła jakieś nic nieznaczące nazwisko. Kopertę ową, grubą, z wielkiemi, pociągłym charakterem skreślonemi literami adresu, Józia pokazała poczciwemu proboszczowi. Ledwo że na nią nie krzyknął.

— Źle sobie życzysz, moje dziecko, czy co? — wołał. — Widocznie, masz rodzinę, ludzi, którzy się tobą w imię związku krwi zająć i zainteresować powinni... Matka, moje dziecko, nie chciała, czy nie mogła ich znać, ale dla ciebie te przyczyny nie istnieją. Ona ci z za grobu kazała wysłać kopertę pod właściwym adresem; trzeba jej być posłuszną. .

Jednem słowem, tajemniczy list został wysłany.

Tymczasem Józia mieszkała u zakrystjanów. Znaleziono dla niej zajęcie, które po części wystarczało na jej skromne potrzeby; o reszcie myślał poczciwy proboszcz, powtarzając niemal codzień:

— Poczekajmy... poczekajmy... Niedługo, moje dziecko, przyjdzie odpowiedź na list i, da Bóg, zostaniesz jeszcze dobrodziejką naszego skromnego kościoła...

Upłynęło parę miesięcy. Wiosna nastąpiła po zimie; zieleń wykwitała zewsząd; ziemia zdawała się kąpać w potokach słońca. Pomimo słonecznego blasku natury, pomimo całej serdeczności swych gospodarzy, wreszcie mimo, że pełen wiośnianych uśmiechów jej wiek, kazałby zapomnieć już nieco o śmierci matki, Józia była ciągle przygnębiona i milcząca. Na jej ma-

towo bladej twarzy, uśmiech nie gościł ani przez sekundę. W głębi jej zadumanych oczu, podkrążonych przedwcześnie błękitną obwodką, spoczywać się zdawała jakaś myśl niepokcjąca, jakaś mara, gotowa lada chwila zmartwychwstać. Dobrzy ludzie, którzy ją teraz otaczali, nie potrafili dotrzeć do głębi tego pełnego niepokoju serca.

Pewnego poranku Józia odkryła, że pod jej dziewczęcem sercem, bije inne serce... Miała zostać matką... Zbrodnia Mojżesza miała odnieść owoce!...

— Tutaj — pisała w swym rękopisie panna Fela — rozpoczyna się drugi akt haniebnego dramatu, który sumienie moje nakazuje mi, dla pańskiej wiadomości, panie mecenasie, odtworzyć, a który, na nieszczęście, jest aż zanadto prawdziwym.

Wróćmy do Mojżesza, którego zostawiliśmy w bezgranicznej rozpaczy i świadomości haniebnego czynu. Obecnie do wyrzutów sumienia, przyłączyła się namiętność, która ciągle ognistem tchnieniem paliła jego niezużyte serce i podniecała zmysły gorącemi płomieniami żądzy. Jego dni były pełne niepokoju, noce pełne burzliwych marzeń. Zwolna, pod wpływem trawiącej namiętności, Mojżesz wyrzekł się swoich ideałów, wiedzy, chwały, potęgi, byle posiadać ją... Zdecydował się naprawić swą zbrodnię, zostać chrześcijaninem, poślubić to dziewczę, któremu wyrządził tak straszną krzywdę, wreszcie ten zapas siły moralnej i inteligencji, któremi zamierzał dawniej olśnić Europę, chciał teraz poświęcić, dla zapewnienia skromnego bytu temu chrześcijańskiemu dziewczęciu.

Jak uskutecznić to trudne zadanie? Oto kwestja, która niepokoiła ciągle, nierozstrzygnięta, młodego żyda, pogrążonego aż do chwili obecnej w abstrakcji, a więc nie mającego pojęcia o życiu praktycznem. Nim znajdzie rozwiązanie trudności praktycznych, chciał, żeby ona tymczasem wiedziała o jego postanowieniu. Owocem pracy bezsennych nocy Mojżesza, były listy, kolejno pełne rozbrajającej pokory i bezgranicznej rozpaczy, przeniknięte miłością i żądzą, namiętne aż do brutalizmu i pełne słonecznych wizyj nadziei, w których błagał dziewczę o przebaczenie i obiecywał mu lepszą przyszłość po zagładzeniu plamy, którą na jej przeszłość rzucił. Te listy znajdowała rano, po przebudzeniu, na swojem oknie, w kieszeni swej sukni po wyjściu z kościoła, spadały one z poza wysokiego płotu, gdy się przechadzała w maleńkim sadzie, stanowiącym własność proboszcza; niekiedy w błotnistej uliczce list wciskał jej w dłoń brudny bachor żydowski i następnie uciekał...

Dziwna rzecz! Te listy przejmowały ją jeszcze większym do jej kata wstrętem. W końcu nie czytała ich wcale; paliła je.

Mojżesz blizkim był szaleństwa. Brak odpowiedzi, aż nadto widoczne w jej spojrzeniu wstręt i pogarda, gdy niekiedy spotykała go na swej drodze, wprawiały młodego żyda w rozpacz. W końcu, zaczął oskarżać swoje niedoświadczenie; mówił sobie, że winna wszystkiemu jego nieznajomość życia i nieumiejętność postępowania. Czuł potrzebę zwierzenia się komuś obcemu, poszukania pomocy i rady.

Mojżesz, który żył jak odludek, nie miał wielkiego wyboru; wziął za powiernika pierwszego, kto mu się nadarzał z brzegu. Był to młody jeszcze jego kolega, buchalter w tym samym domu handlowym, w którym Mojżesz pełnił obowiązki korespondenta. Abraham, o kilka ledwo lat starszy, pochodził z tego samego co i Mojżesz miasteczka, zkąd też wynikała względna pomiędzy nimi zażyłość; był to młody człowiek, o którym wszyscy mówili, że zajdzie „daleko". Wysoce praktyczny i zdolny, już obecnie zajmował wybitne stanowisko w interesie; pensja i udziały w zyskach musiały mu dawać dość znaczne dochody, które przy jego ambicji, mogły stanowić podwalinę fortuny. Od paru już lat był żonaty, a za żoną, ani zbyt młodą, ani za bardzo piękną, wziął trochę pieniędzy, które kiedyś, w przyszłości, miały również posłużyć do urzeczywistnienia ambitnych planów. Jakkolwiekbądź, Mojżesz najbardziej był z nim zażyłym i uważał go za najwięcej wyzwolonego z przesądów, które mogłyby przeszkodzić zwierzeniom.

Wybór powiernika był do pewnego stopnia szczęśliwym, bardziej jednak chybionym. Nikt, a tembardziej Mojżesz, nie znał głębi serca i umysłu Abrahama. Był to, przy całej swej cywilizowanej powierzchowności, jeden z najfanatyczniejszych umysłów, przenikniętych do gruntu rytualnę wiarą w judaizm; w głębi tego mózgu tkwiły ambitne plany, potrzeba i nadzieja zdobycia majątku; energja i wola człowieka stały na wysokości tych zadań. Niewątpliwie, człowiek taki, jak Abraham, mógł pod wielu względami ułatwić

zadanie, które sobie postawił Mojżesz. Czy jednak było to jego zamiarem?

Jakkolwiekbądź, pierwszy krok, który po namyśle poradził Mojżeszowi, odniósł niespodziewany skutek. List, podyktowany przez Abrahama, a w którym znajdowała się lekko wciśnięta wzmianka o „możebnych skutkach” owej „fatalnej nocy”, trafił do Józi właśnie w chwili, w której zrobiła odkrycie, o którem wyżej. Rezultatem była z jej strony odpowiedź. pod żądany adres nadesłana, którą tu przytaczamy:

„Panie! — pisała Józia — potrzebuję się z panem porozumieć; nie osobiście... nigdy!... przez kogoś obcego...”

Tym trzecim, pośrednikiem, którego mimowoli wciągała w grę delikatność dziewczęcia, musiał być z konieczności Abraham. Nadawał się on do tego najzupełniej. Jakkolwiek żyd i stokroć w głębi serca od Mojżesza fanatyczniejszy, miał formę bez porównania bardziej cywilizowaną. Potrafił on znaleźć nutę, którą trafił do serca dziewczęcia. Józia wyznała mu głęboki wstręt, jaki żywiła do Mojżesza, jednocześnie przecież wyraziła zgodę na poślubienie żyda, o ile ten przejdzie na chrześcijanizm.

— Jestto mój obowiązek wobec dziecięcia, które przyjdzie na świat; rozważyłam to głęboko — mówiło dziewczę — Do tego czasu jednak, nie chcę go widzieć...

Abraham zawładnął wkrótce sytuacją. Stał się on pośrednikiem pomiędzy przyszłymi małżonkami. On pozornie starał się złagodzić kontrasty, jakie dotąd

przedstawiały ich charaktery, usposobienia i nawet położenie w społeczeństwie; on wreszcie ułożył sposób, w jaki najpraktyczniej, w trudnych warunkach zewnętrznych, w jakich się znajdowali, miało nastąpić ich połączenie. Wytłómaczył dziewczęciu, bardzo do tej wstrzemięźliwości skłonnemu, że odkrycie jej wyjątkowego położenia wobec ludzi, którzy ją przygarnęli i wobec poczciwego księdza proboszcza, byłoby tylko nową hańbą.

Zgodziła się, że w chwili, gdy stan jej zaczynał być aż nadto widocznym, nie pozostawało nic innego, jak tylko zniknąć bez wieści z domu zakrystjanów; chwili krytycznej dziewczę miało oczekiwać w domku, wynajętym w jednej z położonych nieopodal wiosek. Ma się rozumieć, Mojżesz z serdeczną gotowością oddał do rozporządzenia Abrahama wszystkie oszczędności, ażeby tylko zapewnić należne wygody tej, która mu zastąpiła wszystkie ideały i ażeby módz kiedyś związać jej rękę ze swoją.

Józia zgodziła się z koniecznością, postawiła przecież jedną kwestję. Do tej chwili oczekiwała odpowiedzi na list, doręczony jej na łożu śmierci przez konającą matkę; odpowiedź, niezmiernie ważna, bo zapewnić mogąca jej i dziecięciu materjalną niezależność, nie przychodziła, a w razie zniknięcia, mogła jej nie znaleźć.

— Rozumiesz pan — mówiła w błotnistej uliczce, gdzie w cieniu wieczora widziała się z Abrahamem po raz ostatni przed opuszczeniem domu zakrystjanów — że chcę dla mego dziecięcia ojca. Ale pra-

gnęłabym także, aby to dziecię nie potrzebowało nigdy jego łaski.

Abraham, którego oczy na każdą wzmiankę o fortunie, zdającej się ewentualnie oczekiwać Józię, świeciły fosforycznym blaskiem, zdołał uspokoić dziewczę. Podyktował on Józi list, skierowany do tej samej osoby, do której pisała jej nieżyjąca już matka, w którym prosiła o odpowiedź pod adresem pana Abrahama X..., głównego buchaltera domu handlowego Z. Z... w Berdyczowie.

— ...Osobistość Abrahama zbyt mi jest blizką— pisała dalej panna Fela — ażebym mogła panu, panie mecenasie, w formie zwykłej, objektywnej opowieści, odtworzyć dalej rozumowo i psychologicznie ten drugi akt mego dramatu. Powiem tedy krótko, że nieszczęśliwe dziewczę usłuchało rad Abrahama i w parę miesięcy potem wydało na świat w jednej z sąsiednich wiosek maleńką dziecinę. Jednakowoż, ani przejście Mojżesza na chrześcijanizm, ani ślub jego z Józią, nigdy nie nastąpiły. Ani ona, ani on nie znali Abrahama. W głębi tej sprawy, od pierwszej chwili, kiedy Mojżesz zrobił go swym powiernikiem, interesowała go tylko jedna kwestja, a mianowicie, że dziecię żyda miało zostać dziecięciem chrześcijańskiem. Fanatyzm religijny kazał mu temu przeszkodzić i w tym celu były skierowane jego obłudne starania. Potem dowiedział się o nadziejach dziewczęcia, opartych na liście matki. Do fanatyzmu religijnego przyłączyła się występna rachuba osobista człowieka, który każdą dro-

gę, choćby drogę występku, uważał za dobrą, gdy prowadziła do majątku.

Abraham osnuł i wykonał zbrodniczy plan. Porwać dziecię, które miała wydać na świat Józia, ażeby nie pozwolić zostać płodowi żyda chrześcijaninem, ukraść jej pieniądze, gdyby takowe miała otrzymać, wreszcie usunąć z drogi Mojżesza, gdyby się temu sprzeciwiał — oto był program Abrahama, który został wykonany co do joty. Dwakroć sto tysięcy złotych, które złożono w domu handlowym Z. Z. w Berdyczowie dla Józi, jako część spadkową jej matki, przy pomocy zręcznego fałszu, zostały przywłaszczone przez Abrahama; dziecię, które wydała na świat Józia, znikło zaraz po urodzeniu; Mojżesz, aby nie mógł interwenjować, został, w skutek bezimiennej denuncjacji, osadzony w więzieniu, o co nie było w owych czasach trudno. Józia, pozostawiona bez opieki, w napadzie strasznej gorączki, pewnego wieczoru zniknęła raz na zawsze z wioski...

Abraham przeniósł się w inne, odległe strony i z latami, powoli, doszedł do miljonów.

Myślał on zresztą od czasu do czasu o złem, które wyrządził i starał się je wynagrodzić. Mojżesz, który niezadługo wypuszczony z niezasłużonego więzienia, znalazł się na jego drodze, został jego wspólnikiem. Abraham—miljoner, ofiarował na cele dobroczynne bez wątpienia więcej, niż wziął na początek fortuny. Wreszcie poszukiwał on uparcie śladów nieszczęsnej swej ofiary, ażeby jej zwrócić zagrabione pieniądze, lecz jego poszukiwania nie miały skutku. Bogacza,

śpiącego na skradzionej fortunie, budził nieraz wśród nocy niepokój, tembardziej, iż w głębi sprawy, była dlań zawsze pewna tajemnica. Dziecię, które powierzył osobom trzecim, swoim pomocnikom, w sprawę zresztą głębiej nie wtajemniczonym, znikło razem z nimi. To zniknięcie niepokoiło Abrahama zawsze i ciągle.

— ...Pozostaje mi jeszcze jedno do dopowiedzenia — pisała w swoim rękopisie panna Fela.—Opatrzność kazała czekać na karę kilkanaście lat, zesłała ją jednak. Abraham zasypiał w spokoju, a Mojżesz, który zresztą ani się domyślał fatalnej roli, odegranej przez swego przyjaciela, powoli gasił w sobie z wiekiem ostatnie iskry żalu za widzeniem, które promieniało na horyzoncie jego życia przez krótką chwilę. Gdy oto spokojne ich życie zostało zamącone. Ktoś trzeci, obcy, a raczej całe stowarzyszenie obcych, stało się posiadaczami ich podwójnej tajemnicy. Zawiadomiono ich, że podwójna ich zbrodnia bynajmniej nie została wykupioną, że istnieją jej ślady i nawet dowody, że wreszcie milczenie tych, którzy wiedzą o zbrodni, trzeba zapłacić... Wówczas Mojżesz pierwszy raz dowiedział się o fatalnej roli, jaką w tej sprawie odegrał Abraham. Ze swej strony Abraham przekonał się, że ludzie, których obrał za narzędzie i którzy znikli wówczas z dzieckiem Józi, odnaleźli się. Nastąpiły wyjaśnienia pomiędzy Abrahamem i Mojżeszem.

Pierwszy chciał stawić czoło eksploatacji, choćby dopuścić do skandalu: obawę kryminalnej odpowiedzialności usuwało przedawnienie. Ale Mojżesz stanął

temu na przeszkodzie. Ten starzec zachował całą głębię uczuć młodości; powiedział on swojemu przyjacielowi: „Zgrzeszyliśmy — zapłacimy...”

Odtąd zaczęło się płacenie starego długu tajemniczemu stowarzyszeniu, które w zamian za ofiary, ponoszone przez Abrahama i Mojżesza, ofiarowało każdemu z nich pamiątkę, wymaganą przez sentymentalnego zawsze Mojżesza: dwie fotografje, matki i córki, oraz krzyżyk, który przypominał ów maleńki, czarny krzyżyk, jaki w chwili skonania trzymała w ręku męczennica, umierająca na poddaszu w Berdyczowie.

— ...Abraham i Mojżesz — kończyła panna Fela — nie mieli odtąd spokoju. Po ofiarach pieniężnych, postawiono im za warunek założenie banku, do którego narzucono im wspólników; żądaniu temu musieli uczynić zadość. Wspólnicy zechcieli potem ową instytucję uczynić polem operacyj, mających na celu wyzysk występku... Żądanie to, Mojżesz i Abraham odepchnęli...

I oto pewnego poranku, odkryto miljonową kradzież w tym banku, utrzymywanym przez człowieka, którego przeszłość czyniła zależnym od najgorszego gatunku łotrów i który *musiał* dopuścić do udziału w przedsiębiorstwie dwóch z pomiędzy nich... Jego wspólnik wykupił swe winy w dniu spełnienia kradzieży — samobójstwem.

— ...Boże mój! — pytała w ostatnim frazesie rękopisu panna Fela — nie wiem, czy Ty mi wybaczysz oskarżenia, które mi się tutaj nasuwają pod pióro, Ty jednak widzisz, że oskarżam winnych jedynie dla te-

go, ażeby pomódz do uniewinnienia oskarżonych bez winy...

. . . .

Na tem kończył się rękopis. Z boku, „Fryga” napisał dużemi literami czerwonym ołówkiem: „Mojżesz — nieboszczyk Halberson; Abraham — stary Ejteles”.

ROZDZIAŁ II.

Papiery Apenszlaka.

Prawdziwy chaos panował we wnętrzu pugilaresu Apenszlaka!

Czego tam tylko nie było... Rachunki, awizacje sądowe, metryki, jakieś zagadkowe notatki pisane żydowskim alfabetem, kolumny cyfr na brudnych świstkach papieru, paszporty, weksle, wreszcie banknoty niedokończone... tak... niedokończone, ponieważ brakło im ostatecznego retuszu i wodnych znaków — oto bogaty materjał, który się zawierał w grubym, skórzanym pugilaresie nalewkowskiego negocjanta.

Zbrakłoby nam miejsca i czasu, gdybyśmy chcieli tak, jak adwokat „Julek” i „Fryga”, tej poświęconej na czuwanie nocy, badać kolejno każdy papierek, wczytywać się w litery żydowskiego alfabetu, znane zresztą dobrze ajentowi policyjnemu i sprawdzać cyfry, rzucone na świstki papieru.

Czytelnik dowie się tedy od nas tylko o ostatecznym rezultacie tego sprawdzenia.

Zawartość pugilaresu przekonywała aż nadto dowodnie, że mniemany Apenszłak, nazywał się w rzeczywistości Rabinersohn i że pod tem nazwiskiem był poszukiwany przez policję Charkowa, z powodu licznych popełnionych tam fałszów i nadużyć. Z innych dowodów można było wnosić, iż oprócz tego, zajmował się on wszelkiego rodzaju zabronionemi procederami, a więc kontrabandą, fałszerstwem plomb, a nawet fałszowaniem banknotów.

Co jednakowoż szczególniej dla nas godnem jest uwagi, w tym pełnym niespodzianek pugilaresie, to list, znajdujący się w jednej z jego przedziałek. List ten, pisany po niemiecku przez trzecią, niewiadomą osobę do Apenszlaka, został odczytany przez Różę, w chwili, gdy znalazła pugilares, schowany tak nierozważnie przez mniemanego jej ojca w koronkach dziewiczego swego łóżeczka; spowodował on właśnie opuszczenie domu Apenszlaka przez Różę.

Oto dosłowne brzmienie listu:

„Odessa.

„Kochany przyjacielu!

„Niechaj Jehowa zachowa w długie i pomyślne lata dni twojego życia.

„Śpieszę odpowiedzieć natychmiast na dwa pytania, które znalazłem w twym ostatnim liście, pełen zadowolenia, że ci mogę oddać choć tę drobną przysługę...

„Pytasz się, czy ze strony tych, w imieniu których powierzyłem ci przybraną twoją córkę, Rajzę, nie będzie żadnych przeszkód, w razie, gdybyś chciał ją wydać za mąż. Ja sądzę, że nie; jak wiesz, dziewczynka ta, dziecko żyda i chrześcijanki (oby ich oboje Jehowa gniewem swoim doścignął), została ci powierzoną, zarówno dla twej i zmarłej twej żony pobożności, ażebyście z niej uczynili dobrą żydówkę, jak i dla tego, że dziecko to mogło być potrzebne „jemu samemu" do pewnych planów... Przed kilku laty, żądałem od ciebie dwóch fotografij twej przybranej córki Rajzy. Była to właśnie chwila, kiedy „on sam" rozpoczął przyprowadzanie swych zamiarów do skutku. Obecnie, o ile wiem, plany te są w znacznej części uwieńczone rezultatem pomyślnym, tak, że, o ile ja sądzę, nie może być żadnych przeszkód względem twoich zamiarów...

„W każdym razie, zapytam jeszcze o to „jego samego" i jednocześnie przedstawię „mu" twoje żądania, co do zapewnienia twej przybranej córce Rajzie posagu. Gdyby to było jeszcze przed kilku laty, mógłbym ci ręczyć za pomyślny skutek; obecnie mój wpływ

na „niego samego” bardzo znacznie się zmniejszył i nawet widzieć się z nim nie jest mi łatwo.

„Tyle mam do odpowiedzenia na twoje pierwsze pytanie. Co do drugiego, moja odpowiedź będzie mniej dokładna. Pytasz się, czy nie znam pomiędzy „naszymi” młodego chłopca, którego charakter i powierzchowność szczegółowo mi opisujesz, a który ma nosić nazwisko Józef, czy Josek Sztiefel?... Takiego nazwiska nigdy nie słyszałem. Ale z twojego opisu muszę przyjść do przekonania, że to nie może być nikt inny, jak tylko jeden z „naszych”, który ma teraz bardzo wielki wpływ na „niego samego”.

„Twój opis nie może się stosować do nikogo innego. Jak się nazywa naprawdę ten młody chłopiec, który tu, w naszych stronach, zrobił już niejedno, nikt nie wie; przybierał on różne nazwiska. Mówią, że jego ojciec zgnił w kryminale. Pomimo swej młodości, bo ma zaledwo około dwudziestu lat, ten chłopiec pójdzie daleko. Jest on chytrzejszy, niż lis i przebieglejszy, niż wąż. „On sam” ceni go bardzo wysoko. Ilość kradzieży popełnionych przez niego, ma być nieprzeliczoną. Mówią, że on ma wielki talent do pisma; jak on zrobi czyje pismo, to nikt nie rozezna, co prawdziwe, a co fałszywe.

„Mówią także, że on umie zmieniać tak swoją osobę, że niepodobna go poznać. W ostatnich czasach był on kochankiem „Złotej Rączki”, która, jak ci już pisałem, robi teraz wszystko co chce u „niego samego”. Powiadają także, iż „on sam” ma zamiar jego i „Zło-

tą Rączkę" obrać za swoich następców, kiedy się usunie. Nie wiem, czy to prawda.

„Żydkowie w naszych stronach, nazywają tego chłopca „Macher".

„Chciałbym ci opisać niektóre jego sprawki, żebyś miał pojęcie o tym człowieku. Mając zaledwie 14 lat, ukradł na ulicy jednemu tutejszemu bankierowi portfel z kilkunastu tysiącami rubli i nie został złapany... Mówią także, że kiedyś podrobił weksel „jego samego" tak, że „on sam" nie poznał fałszu

„Od pewnego czasu nie ma go w naszych okolicach; ktoś mi wspominał, że pojechał do Warszawy pilnować „naszych", którzy robią jakiś duży interes z bankierem Ejtełesem. Wiesz, kochany przyjacielu, jak „on sam" jest przezorny i jaki ma sposób postępowania. Bardzo być może, iż niedowierzając swoim, posłał tam tego chłopca dla nadzoru; jest to tem prawdopodobniejsze, że piszesz, jakoby twój Józef Sztiefel pracował w kantorze u Ejtelesa...

„Więcej nie mam co pisać. Oby Jehowa zachował cię w zdrowiu i zesłał na twą głowę wszelkie błogosławieństwa! Liczę, że jeżeli uda mi się uzyskać dla twojej przybranej córki, Rajzy, posag, zwrócisz mi nareszcie, kochany przyjacielu, wiadome weksle...

„Pozdrawiam cię...

(Tu następował nieczytelny podpis.)

. . . .

U dołu tego listu „Fryga” nakreślił kilka wierszy czerwonym ołówkiem.

Przytaczamy je całkowicie:

„Panna Róża — córka nieboszczyka Halbersona i chrześcijanki (??).

„On sam” — głowa bandy, do której należy Apenszlak,Fajnhand, wspólnicy Ejtelesa, „Złota Rączka”, Meiner, a przedewszystkiem tajemnicze indywiduum, zamieszkałe u Meinera...

„Czy jest to właśnie Josek Sztiefel, inaczej „Macher”?... Sprawdzimy.”

ROZDZIAŁ III.

Tajemnicze Pismo.

Godzina druga po południu, nazajutrz...

Jesteśmy w gabinecie sędziego śledczego, w którym, oprócz urzędnika, znajduje się w tej chwili tylko ajent policyjny. W pokoju panuje milczenie.

„Fryga” blady i widocznie zmęczony bezsennie przepędzoną nocą, siedzi na brzeżku krzesła, na którem prawie przymusem usadził go sędzia. Ten ostatni

przeciąga ręką po czole, pokrytem zmarszczkami i spogląda zadumany w stronę okna.

— Gdyby mi kiedy o tem opowiadano — przerwał sędzia śledczy — nie uwierzyłbym.

— Tak — odrzekł krótko „Fryga".

— Rzecz stanowczo coraz bardziej wchodzi w dziedzinę romansu i coraz mniej stoi na gruncie rzeczywistości — ciągnął sędzia. — Przyznam się. że jestem człowiekiem zbyt pozytywnym, ażeby mi to przypadało do gustu.

Przez chwilę panowało milczenie. Sędzia przeszedł się parę razy przez pokój, wreszcie wrócił do biurka.

— Jednak do pracy!.. — rzekł. — Robota nie czeka. Trzeba raz skończyć z temi nieskończonemi kwestjami i dojść do stanowczych wniosków.

„Fryga ośmielił się twierdząco kiwnąć głową.

— Panie X... — zaczął sędzia uroczyście, nazywając tym razem „Frygę" jego nazwiskiem — może być, że wykraczam przeciwko ścisłym przepisom prawa, wzywając pana w tej chwili do udziału w rozważeniu tej sprawy Sądzę jednak, że nakazuje mi to moje sumienie. Wobec prawa. mógłbyś pan być tylko świadkiem. W rzeczywistości, na jedną chwilę. będziesz pan moim pomocnikiem: pomożesz mi pan znaleźć wyjście z tego labiryntu. Oprócz wyjątkowej znajomości sprawy i poświęcenia, z jakiem starałeś się ją pan badać, daje panu do tego prawo wyjątkowa pańska inteligencja.

— Och! panie sędzio... — protestował „Fryga” półgłosem.

— Nie mówię panu komplementów, wyjaśniam tylko rzecz. Zaczynajmy zresztą, bo i pan chyba potrzebujesz spoczynku. Nie spałeś pan całą noc?...

— O, zdrzemnąłem się nad ranem, na dwie, czy trzy godzinki...

— To niezbyt dużo — roześmiał się sędzia. — Ale do rzeczy, do rzeczy.

„Fryga” przysunął się z krzesłem nieco bliżej do biurka sędziego.

— Otóż, przyszedłszy tutaj, opowiadałeś mi pan w ogólnych zarysach wasze odkrycia, poczynione wczoraj w gabinecie adwokata i rezultaty zbadania powierzonych mu papierów?

— Tak. Przypominam o zastrzeżeniach co do rękopismu panny Feli — wtrącił dość bojaźliwie ajent.

— Pamiętam o tem. Odkrycia te dają nowy materjał w sprawie, który w tej chwili rozważymy. Następnie — dodał sędzia, wskazując na biurko — oto przed nami cały prawie tekst tajemniczej kartki, której resztujące szczątki odkryliśmy dziś w zapieczętowanem do tego czasu mieszkaniu nieboszczyka Halbersona.

Sędzia przez chwilę przyglądał się strzępom papieru, ułożonym na biurku.

— Rzeczywiście, nie brak prawie ani jednego kawałka. Papier jest ten sam. Tak, jak pan to ułożyłeś przed chwilą, jeden strzępek przystaje najzupełniej do drugiego. Jest to całość.

„Fryga" skinął głową.

— Otóż tak, jak obecnie się to przedstawia, mamy następującą kombinację liter, ułożonych w cztery podłużne wiersze.

Sędzia podał ajentowi ćwiartkę papieru, na której w następujący sposób odtworzone było owe pismo:

q b ż o r g *d o p ć y s c* z s i n *s r e* i p a p r *ó s c* e i w a
t *q i w e* i *s d e i* n a n o k y *w* h c a *ś* w z r d *y s r* p ć y *ś*
o ł *z* ą *m* o d a i w *s c e* z r ć *i* b o r z *o n o i* w ó *m* m e z c
o o t y z *c w* o n a t s *s* a k z o r *h c e s r t u* i n e i m i w

— Jak pan widzisz — prowadził dalej sędzia— podkreśliłem te litery, któremi nowoodkryte w izdebce Halbersona strzępki papieru, pozwoliły nam uzupełnić to tajemnicze pismo. Co ono jednak ostatecznie znaczy? Objaśnij mnie pan, bo ja, przyznam się, nic nie rozumiem.

„Fryga" wstał w tej chwili z krzesła, jak gdyby poruszony sprężyną. Uszanowanie, jakie miał dla sędziego, krępowało go nieco. Wreszcie jednak zawołał:

— Ależ to takie proste!

Sędzia uśmiechnął się.

Ajent policyjny wydobył z gorączkowym pośpiechem z kieszeni kawałek ołówka i zaczął pośpiesznie kreślić coś na tym samym kawałku papieru.

— Chwileczkę cierpliwości, panie sędzio— rzekł przedtem.

Sędzia spoglądał na niego z niedowierzaniem.

— Oto jest — rzekł po chwili „Fryga". — Od-

twarzam to pismo tym samym systematem, o którym żona moja pisała w liście.

— Tak?

— Zmieniam porządek liter. Piszę je nie od początku do końca, ale od końca do początku i mamy co następuje...

„Fryga” podał sędziemu kartkę, na której, pod czterema wierszami liter nakreślonemi ręką sędziego, które odtworzyliśmy wyżej, znajdowały się nowe cztery wiersze, rzucone w tej chwili na papier przez ajenta. Wyglądały one jak następuje:

w i m i e n i u t r z e c h r o z k a z s t a n o w c z y t o o
c z e m m ó w i o n o z r o b i ć r z e c z w i a d o m ą z ł o
ż y ć p r z y d r z w i a c h w y k o n a n i e d z i e w i ą t
a w i e c z ó r p a p i e r z n i s z c z y ć p o d g r o ź b ą

Sędzia przyglądał się przez chwilę tym czterem szeregom liter.

— Przypuśćmy — rzekł — że teraz można tu wybrać parę wyrazów. Można się niektórych rzeczy domyśleć. Jednak...

Oczy „Frygi świeciły już obecnie tym gorączkowym ogniem, który go obejmował zawsze wówczas, kiedy widział przed sobą jakąś zagadkę do wyświetlenia; twarz jego odzyskała całą swoją ruchliwość.

— Panie sędzio—rzekł naraz — tak jak to jest, można czytać od razu.

— Od razu?

— Trzeba tylko poprzedzielać wyrazy i postawić znaki przestankowe.

— Przypuszczam — rzekł z półuśmiechem sędzia. — Czytaj pan.

„Fryga” wziął w ręce papier.

— To bardzo proste — rzekł. — Pismo brzmi, jak następuje:

„W imieniu trzech. Rozkaz stanowczy. To, o czem mówiono, zrobić. Rzecz wiadomą złożyć przy drzwiach. Wykonanie: dziewiąta wieczór. Papier zniszczyć. Pod groźbą.”

Przez chwilę panowało milczenie. Sędzia wziął z rąk ajenta papier i przyglądał się mu z uwagą.

— Rzeczywiście! — rzekł. — Trzeba być dzieckiem, żeby tego nie zobaczyć odrazu.

„Fryga” chciał się już zacząć tłómaczyć, że ośmielił się być bardziej przenikliwym, niż sędzia, ale urzędnik mu przerwał:

— Dobrze już, dobrze! Dajmy temu pokój. Przystąpmy czemprędzej do wniosków. Mamy teraz materjał faktyczny. Postarajmy się go ocenić.

Ajent policyjny skinął potakująco głową.

— Powiedz mi pan — rzekł sędzia — jaką jest o tem wszystkiem pańska ostateczna opinia?

— Pan sędzia każe?

— Tak...

„Fryga” zamyślił się na chwilę, wreszcie zaczął:

— Mojem skromnem zdaniem, sprawa jest teraz jasna, jak słońce.

— Tak?

— Opowiadanie panny Feli przekonywa nas najlepiej, kto są wspólnicy Ejtelesa i że niewątpliwie oni, przy, lub bez pomocy indywiduum noszącego miano Joska, lub Józefa Sztiefel, popełnili kradzież, nie mogąc inaczej dobrać się do kasy starego Ejtelesa, strzeżonej przez niego i przez Halbersona i nie zadawalniając się ciągłą, ale powolną eksploatacją firmy, dla swojej występnej korzyści. Halberson popełnił samobójstwo. Czy zbrodniarze kazali się mu pozbawić życia, czy też w załączonym liście znajdujemy tylko rozkaz wykonania pewnej czynności, ułatwiającej kradzież, a samobójstwo było wynikiem zgryzot, z powodu konieczności zastosowania się do tego rozkazu?... To w tej chwili rzecz mniejsza. W każdym razie mamy pewność, że było to samobójstwo i popełnione pod moralnym wpływem bandy, o której wspomina w swem opowiadaniu panna Fela, a której naczelnika nazywa korespondent Apenszlaka wyrazami: „on sam". Jakkolwiekbądź, takie postawienie rzeczy, wyłącza wszelką możebność winy pana Strzeleckiego. Czy pan sędzia na to się zgadza?

— Przypuśćmy...

— Z drugiej strony, pugilares i listy do Apenszlaka dowodzą, że to, co przeczuwałem oddawna, o czem myślałem, jest faktem; dowodzi istnienia bandy. Inne dane, wskazują nam cały szereg osób, które należą tu w Warszawie do bandy, a list do Apenszlaka wymienia wprost tajemniczego zwierzchnika. Pismo, które dziś odkryliśmy, jest jeszcze jednym tego dowodem. Napisano tam: „w imieniu trzech". A więc

banda miała pewną organizację. Sposób napisania listu, mianowicie papier, opatrzony w gwiazdki, a wyrabiany na żądanie Meinera i cyfrowe pismo, przekonywają, że banda posiada nawet pewne specjalne urządzenia, dowodzące jej rozwoju. Słowem, istnienie bandy jest niewątpliwe. Czy pan sędzia podziela i to moje zdanie?

— O tyle, o ile...

„Fryga” spojrzał z pewnym niepokojem na sędziego, na którego ustach błądził zagadkowy uśmiech. Po chwili ciągnął dalej, z większem jeszcze przejęciem się:

— Adwokat, któremu wspominałem o tej bandzie w chwili, kiedy jeszcze mogłem ją tylko przeczuwać, zawsze się uśmiechał. A jednak pokazało się obecnie, że ja mam słuszność. Przyjęcie istnienia bandy za fakt, tłómaczy wszystko i wiąże w jedną całość dziwne wypadki, które się przewijają przed naszemi oczyma. Noc, którą przepędziłem w piwnicach Apenszlaka, przestaje być halucynacją, kiedy znaleziono w jego pugilaresie fałszywe banknoty i dowody, że zamiast poważnego kupca, jest on ściganym przez prawo złoczyńcą. Fałszerz pieniędzy, będący w zbyt dobrej komitywie z Fajnhandem i Lurjem, dowodzi najlepiej, co za jedni są ci ludzie. Piękna Tema, która jest siostrą znanej „Złotej Rączki”, czy może zasługiwać na wiarogodność w chwili, kiedy oddaje, jakoby u niej zostawione przez Strzeleckiego, pieniądze pochodzące z kradzieży? Występki wiążą się tu z sobą w nieprzerwane pasmo... Banda zajmuje się kontra-

bandą, fałszuje plomby i pieniądze, eksploatuje za pomocą szantażu Ejtelesa, okrada go w chwili, kiedy on chce położyć „veto", sprowadza samobójstwo Halbersona, wynajduje fałszywe poszlaki przeciwko Strzeleckiemu, wreszcie zabija „Czerwonego Janka". Jest to cały szereg zbrodni, w którym nic nie ma do czynienia pan Strzelecki.

— Na to ostatnie, zgoda — rzucił uwagę sędzia.

— Jedno jest dla mnie w tem wszystkiem niezupełnie jasne — ciągnął dalej „Fryga" — oto rola tego Joska Sztiefla, kantorzysty z banku Ejtelesa, który, jak to dziś rano już sprawdziłem u rządcy, mieszka i jest rzeczywiście zameldowany u pokątnego doradcy, Meinera. Niewątpliwie jest to to samo indywiduum, które śledziłem owego wieczoru, wychodzące od Temy. Znajduje się więc ono w stosunkach z Meinerem, Apenszlakiem i Temą. List znaleziony w pugilaresie Apenszlaka, wspomina o bliższym jego stosunku ze „Złotą Rączką". Ale jakie jego stosunki do Lurjego? Czy w samej rzeczy, jak przypuszcza w tamtym liście korespondent Apenszlaka, został on tu przysłany w celu kontrolowania wspólników Ejtelesa, z polecenia tego, którego nazywają „on sam"?... Byłaby to prawdziwie jezuicka organizacja. Ale nie ma w tem nic nieprawdopodobnego!...

W tej chwili „Fryga", którego zapał unosił gwałtownie naprzód, zatrzymał się. Spoglądał on przez chwilę na twarz sędziego, na której odbił się sceptyczny uśmiech. Uśmiech ten przywołał ajenta do rzeczywistości.

— Pan sędzia się uśmiecha?— zapytał wreszcie, patrząc z niepokojem na urzędnika.

— Trochę...

„Fryga” był zupełnie skonfudowany, aż się go sędziemu zrobiło żal.

— Pozwoliłem panu mówić — rzekł sędzia — ażeby pana przekonać, że w tego rodzaju rzeczach dobrze jest mieć fantazję, ale nie trzeba się jej dać unosić. W tem, co pan mówiłeś, jest wiele słusznego, niewątpliwie. Ale ostateczne wnioski są zbyt ryzykowne i fantastyczne...

— A więc pan sędzia sądzi? — pytał „Fryga”, z miną wzbudzającą politowanie.

— Sądzę, równie jak pan, że Strzelecki jest niewinny. Ale opieram to na innym systemacie rozumowania, bardziej trzeźwym. Mówiły przeciwko niemu głównie następujące dane: złożenie przez Temę pięciu tysięcy rubli w banknotach skradzionych z kasy Ejtelesa i niewytrzymujące krytyki jego tłómaczenie, co do przepędzenia wieczoru i nocy, podczas których została spełniona kradzież. Otóż obiedwie te rzeczy sprowadza na zupełnie nowy grunt ta okoliczność, że Tema jest siostrą znanej złodziejki „Złotej Rączki”, i wreszcie jej obecne od onegdajszego dnia zniknięcie. Są to dane pozytywne, które pozwalają nawet wytłómaczyć objaśnienie Strzeleckiego co do przepędzenia wieczoru. Dziwnym trafem, mam obecnie w śledztwie inną sprawę, zresztą niczem zupełnie z obecną nie związaną, która jednak wiele nam może pomódz.

Oczy „Frygi” zaświeciły ciekawością.

— W tamtej sprawie idzie o kradzież na kolei, popełnioną zwykłym systematem „Złotej Rączki". Przy okradzionym znaleziono zostawiony przez sprawczynię kradzieży, zapewne przez zapomnienie, maleńki flakonik jakiegoś płynu. Oto tam, widzisz go pan, w pudełku. Dziś rano przyniósł mi go chemik, który zajmował się analizą. Z jego objaśnień, widzę, że działanie płynu, który, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, stanowi własność rodzonej siostry Temy, mogłoby ewentualnie wywołać u Strzeleckiego objawy, tłómaczące stan bezświadomości.

— Ach! ach!

— Obecnie wszystko zależy od zbadania Temy. Jestem przekonany, że gdybym ją miał przed sobą, mógłbym uzyskać stanowczy dowód niewinności Strzeleckiego i oszczędzić mu stawania przed sądem. Umorzyłbym całe śledztwo.

— A jeśli nie znajdziemy Temy? — ośmielił się zapytać „Fryga".

— Kazałem jej szukać. W każdym razie, jej zniknięcie polepszy położenie Strzeleckiego. Musiałby jednak w tym wypadku przejść przez sąd. Może być zresztą teraz pewny uniewinnienia. Te wszystkie drugoplanowe dane, o których pan wspominasz, a o których nie zapomni jego obrońca, stworzą położenie, przy którem skazanie go będzie niemożebnem.

„Fryga" drapał się nielitościwie w nos. Ośmielił się znów wtrącić:

— To jednak bardzo przykre. Zawsze — sąd. Czy jednak rękopis panny Feli nic nie znaczy? A pu-

gilares Apenszlaka? A zabójstwo „Czerwonego Janka”? A wreszcie to tajemnicze pismo, które tu leży na stole?...

— Tylko to ostatnie. Ono właśnie, choć nic pewnego nie wyjaśnia, wytwarza dookoła sprawy tę tajemniczą atmosferę, która nie pozwoli sądowi wydać wyroku skazującego. Rękopis panny Feli?... Przecież zastrzeżono, że sądownie nie może być użyty. Nie powinniśmy tu o nim nawet mówić. Zabójstwo „Czerwonego Janka” jest zupełnie odrębną zbrodnią, nic bynajmniej nie dowodzi jej łączności. Wreszcie pugilares Apenszlaka — dobrze, żeś mi pan przypomniał— może być dowodem występków samego Apenszlaka i posłużyć za powód do skazania jego i jego spólników. Trzeba tylko, żebym pugilares miał w ręku! Powiedz pan to adwokatowi dziś jeszcze.

— Słucham pana sędziego.

— Tymczasem, zanim wyszliśmy jeszcze na zdjęcie pieczęci, wydałem rozkaz, ażeby rozciągnięto nad Apenszlakiem nadzór.

„Fryga” spojrzał na sędziego z podziwem i uszanowaniem. Urzędnik uśmiechnął się.

— Widzisz pan, że i ja się na coś przydam chociaż nie posiadam pańskiej fantazji. Nieprawda?

„Fryga”, pomimo obejścia się sędziego, pełnego dlań względów, był widocznie skonfudowany.

— Ostatecznie, jakie rozkazy pana sędziego? — zapytał.

— Potrzeba mi pugilaresu Apenszlaka, a nadto staraj się pan znaleźć zabójcę „Czerwonego Janka”.

Rozwiń pan w tej sprawie tyle energji, co w tamtej, a napewno się panu uda. Wreszcie — dodał z półuśmiechem sędzia — jeśli pan chcesz, ażeby Strzelecki nie stawał przed sądem, znajdź mi pan Temę, lub jeszcze lepiej... stanowcze dowody, że kradzież została popełnioną przez Lurjego, lub kogokolwiek innego. Przy tej okoliczności, może także dowiedziesz pan istnienia bandy, które jest również dość prawdopodobne...

„Fryga” wyszedł z gabinetu sędziego śledczego ze zwieszoną głową.

ROZDZIAŁ IV.

Likwidacja.

— A więc likwidacja?

— Jak widzisz, nie mamy innego wyjścia.

— Rzeczywiście. Powtórzmy zresztą raz jeszcze systematycznie to wszystko, co przed chwilą raczyłeś mi rzucić w szeregu nieporządnych frazesów. Rzecz jest zbyt ważna; rzucamy zbyt korzystną sytuację i za bardzo narażamy się „naszym”, którzy, jak wiesz, mają dość długie ręce, ażebyśmy nie mieli roz-

ważyć przedsiębranego kroku ze wszystkich stron. Powtórzmy jeszcze raz.

Pan Natan Lurje, na te słowa pulchnego pana Landsbergera, wzruszył energicznie ramionami.

— Z tobą nigdy nie można mówić serjo — rzekł głosem ostrym i wielce różnym od zwykłego, eleganckiego swego sposobu mówienia.

Twarz, którą w tej chwili pan Natan zwrócił do swego interlokutora, nosiła wyraźne ślady zmęczenia. Wspólnik bankierskiego domu „Ejteles i Sp.", wyglądał na człowieka, który nie spał parę nocy; oczy miał zaczerwienione i podkrążone obwódkami. Powieki, odbijające sinym kolorem, ciężko spadały na dół, poruszane co chwila nerwowem drżeniem.

Pulchny pan Joachim był za to ciągle równie różowy i poprawny; w chwili, gdy pan Natan rzucił głosem urywanym i ostrym powyższy frazes, hamburski negocjant czyścił sobie z uwagą paznogcie. Odłożył powoli na bok skomplikowany przyrząd, którym się w tym celu posługiwał i przez dłuższą chwilę przyglądał się swemu towarzyszowi.

— Co ci jest, Natanie? — zapytał wreszcie.

— Nerwy — odburknął ten ostatni.

— Nerwy?... Dziwne! Znamy się przecież nie od dziś, a chyba pierwszy raz słyszę od ciebie o nerwach.

Pan Natan nic nie odpowiadał.

— A więc, niech będą nerwy... To nam nie przeszkodzi skończyć naszej pogawędki. Tylko, ponieważ ty nie możesz, z powodu tych głupich nerwów, rozumować, ja uczynię to za ciebie.

Pan Lurje znów rzucił ramionami.

— Otóż, położenie jest następujące...

Pan Joachim zatrzymał się i namyślał przez krótką chwilę.

— Wybacz — rzekł nareszcie — iż zacznę z daleka, ale to konieczne; zresztą, mamy dziś czas, ponieważ sam mi w tej chwili powiedziałeś, że będzie można działać dopiero jutro. Otóż, korzystając z informacji „jego samego”, z którym tworzymy razem radę tak zwanych „Trzech”, od paru już lat wzięliśmy w obroty starego Ejtelesa i jego przyjaciela Halbersona, którzy, zdaje się, popełnili dwa wielkie błędy: w młodości mieli na sumieniu jakieś grzeszki, na starość zrobili majątek... Nieprawda?

Pan Joachim przerwał sam sobie krótkim, urywanym śmiechem; pan Natan nie odzywał się ani jednem słowem.

— Ale to wszystko jeszcze głupstwo — ciągnął hamburski negocjant. — Największym ich błędem, a głównie tego starego, który już przypieczętował swoje idjotyzmy śmiercią na stryczku, był sentymentalizm, który, pomimo upływu wszelkich przedawnień, przeszkodził im wyrzucić nas precz. Skończyło się na tem, że zamiast wziąć od nich po kilkanaście tysięcy rubli, jak ty chciałeś, kazaliśmy im założyć bank i staliśmy się ich wspólnikami. W ten sposób, każdy z nas mógł urzeczywistnić swoje ideały. Ja mogłem uczynić zadość mojemu pragnieniu rozwinięcia działalności za granicą, poza obrębem tego kraju, który, przyznasz, jest dość barbarzyński, ty mogłeś się osiedlić i grać

rolę poważnej i eleganckiej osobistości w Warszawie, dokąd cię zawsze pociągały kobiety...

Pan Joachim urwał nagle.

— Przyznaj — zaczął po chwili — że te twoje nerwy, to znów z powodu jakiejś kobiety?

Pan Natan roześmiał się z przymusem; pociągnął ręką przez czoło. Podniósł się i przeszedł przez pokój, wreszcie zatrzymał się przed Landsbergerem.

— A więc zgadłeś. Po co hypokryzja? Tak, z powodu kobiety, a raczej z powodu kobiet... Bo jest ich dwie...

— Aż? — pytał pan Joachim, z uśmiechem pół dobrodusznym, pół karcącym — Don Juan z ciebie... Zresztą, pomówimy o tej kwestji potem. Teraz idźmy śladem naszej myśli.

Przybrał znowu minę zupełnie serjo.

— Otóż, było nam bardzo dobrze, jako wspólnikom firmy „Ejteles i Sp.". Oprócz operacyj jawnych, znanych głowie firmy, obracaliśmy jego i jego kasjera pieniądze za kulisami na nasze własne przedsiębiorstwa, maleńką kontrabandę, mały bank złodziejski za granicą, trochę na kupno i sprzedaż kradzionych przedmiotów, słowem, zbieraliśmy ładne dochodziki... Nieprawdaż?

Pan Natan, który po wyznaniu zrobionem spólnikowi, zdawał się odzyskiwać energję, skinął głową.

— Jednem słowem, przez dwa lata każdy z nas zarobił po 40 tysięcy rubelków rocznie, a odliczywszy nawet 30% dla „naszych" i dla „niego samego",

mieliśmy czem uspokoić wyrzuty sumienia, gdyby takowe kiedykolwiek nas napastowały.

W tem miejscu, nawet panu Natanowi, pomimo jego przygnębienia, wystąpił na usta przelotny uśmiech.

— I byłoby wszystko dobrze, kochany Natanie, gdyby nie kobiety, wobec których ty — nie robię ci z tego bynajmniej zarzutu — jesteś słabszym, niż wosk. Zaczęły cię one kosztować trochę za drogo, a ponieważ ja, jako twój spólnik, z konieczności nie chcąc pozostać w tyle, musiałem czerpać ze wspólnej kasy tyleż, co i ty, wydatki nasze wzrastały i oto znaleźliśmy się pewnego pięknego poranku wobec poważnego deficytu. Czy należycie określam sytuację?

Pan Natan skinął głową na znak twierdzenia.

— Jesteś wcale pomysłowym chłopcem. Zażądałeś tedy od naszego głównego wspólnika, jakichś głupich kilkudziesięciu tysięcy rubli, na pokrycie tego deficytu. Ale ten stary kretyn, który tymczasem zaczął się powoli domyślać, jaką dwuznaczną, zakulisową rolę kazaliśmy odgrywać jego bankowi, odmówił wprost i stanowczo. Zdaje się, że oswoił się on nieco z nami, a przy tem wszystkiem trochę ze bardzo lubi pieniądze. Brzydka wada!—dorzucił pan Joachim filozoficznie.

— Ponieważ nie bardzo mogłeś czekać — ciągnął po chwili przerwy — udałeś się z groźbami do jego kasjera, który zdawał się być trochę sentymentalniejszym. Ten stary czyżyk, którego prawdopodobna samobójcza śmierć najlepiej tego dowodzi, ustąpił od razu, szczególniej, kiedyś mu zawrócił głowę obietni-

cą pokazania córki. Wzięliśmy od niego częściowo trzydzieści tysięcy rubli, a kiedy nie mógł, czy nie chciał dać więcej, chowając widać resztę na posag dla swej córuni, przyszła ci do głowy myśl niezmiernie prosta. Postanowiłeś, za moją aprobatą dla tak pięknego pomysłu i korzystając z miękkości starego Halbersona, okraść na naszą korzyść nasz własny bank... Przyznam ci się, iż, nie mówiąc już o względach praktycznych, ta idea podoba mi się niezmiernie z punktu widzenia, że tak powiem artystycznego.

Pan Natan poruszył się gwałtownie.

— Po co te dywersje? — zawołał z hamowaną gwałtownością. — Masz mówić, mów i kończ czemprędzej.

Pan Joachim w odpowiedzi pokiwał głową.

— Ach, te kobiety, te kobiety!...

Po chwili zresztą zmienił ton i prowadził dalej:

— A więc kończmy. Myśl twoja się udała, jak nie można lepiej, za bardzo dobrze. Wziąłeś z górą sto tysięcy rubli, nie ściągnąwszy na siebie najmniejszych podejrzeń. Z Halbersonem zdarzyło się coś dziwnego; przypuszczam, że uczyniwszy ci pewne ułatwienia, miał potem, jak zwykle ludzie zbyt sentymentalni, jakieś głupie wyrzuty i skrupuły, które kazały mu się pozbawić życia. Wreszcie dziwny przypadek postawił w stanie oskarżenia jednego z urzędników naszego banku...

— Tak, Strzeleckiego!...

— To wszystko dodatnie strony sprawy. Ale są i ujemne. Mówisz, że wziąłeś z kasy sto tysięcy rubli,

tymczasem brak tam trzechkroć stu tysięcy... Gdzież jest dwakroć?

— Alboż ja wiem!...

— Pozwolisz, kochany Natanie, że postawię w tej mierze parę hypotez. Tylko się nie gniewaj; nasza stara przyjaźń, a przedewszystkiem wspólny nasz interes, pozwala nam mówić otwarcie. Logika w tem trudnem położeniu, dyktuje nam trzy prawdopodobne przypuszczenia. Albo sam Halberson jeszcze przed nami okradł bank na dwakroć sto tysięcy; albo ty, kochany Natanie, ukradłeś trzykroć, a twojemu przyjacielowi i spólnikowi mówisz o stu tysiącach, ażeby schować na swój wyłączny użytek resztę; albo wreszcie, co najmniej na pozór prawdopodobne, mieliśmy w naszem przedsięwzięciu cichego, nieznanego spólnika, który zabrał sobie lwią część, dwakroć sto tysięcy, ażeby nam zostawić mizerną setkę.

Pan Natan gwałtownie się obruszył.

— Mówiłem ci już... — zaczął.

— Pozwól... pozwól... nie przerywaj, niech ja skończę. Z tych trzech hypotez, pierwsza upada wprost, wobec śmierci Halbersona i niepozostawienia przez niego pieniędzy. Następna byłaby bardzo prawdopodobną, gdyby nie jedna okoliczność. Oto ja, Joachim Landsberger, znam ciebie, mój Natanie, jak zły szeląg i na zasadzie znajomości twego charakteru i studjów, które nad tobą robię od mego przyjazdu, przyszedłem obecnie do tego ostatecznego wniosku, że tym razem przypadkiem mówisz prawdę.

Pan Natan w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

— Pozostaje więc trzecia, nieprawdopodobna hipoteza, która, jak się zdaje, jest właśnie prawdziwą.

— Ależ przekonywam cię o tem od czterech dni! — przerwał gwałtownie pan Natan.

— Wybacz, przekonywasz nietylko ty, ale i fakta. Po namyśle, widzę, że twojego Strzeleckiego musiał „ubrać” ten nieznany ktoś, który się podzielił z nami zawartością kasy Ejtelesa... Jest on mądrzejszy nawet od nas i ma bardzo dobry zwyczaj: popełniwszy kradzież, szczególniej tego rodzaju, uważał za właściwe znaleźć winowajcę dla sędziów i policji, ażeby jemu samemu na pięty nie następowali... Co powiesz o tem?

Pan Natan nie odrzekł nic.

— Otóż i dochodzimy do powodów zamierzonej likwidacji. Ten niepochwytny ktoś, najwidoczniej trzyma nas w ręku i może nam skręcić kark, kiedy zechce. To jasne jak słońce. Jeśli mógł to uczynić z takiem niewinnem jagnięciem, jak Strzelecki, tembardziej nie będzie sobie robił ceremonji z nami.

— A więc zgadzasz się wreszcie na moje wnioski?...

— Poczekaj. Zgodzę się na wszystko, do czego dojdę drogą logiki i rozumowania. Ma się rozumieć, byłoby nieźle z twojej strony, gdybyś mi w tem dopomógł, zamiast robić miny i mruczeć pod nosem.

— Zgoda! — rzekł krótko pan Natan.

— Otóż przyznam razem z tobą, iż takie po-

łożenie jest stanowczo niemożebnem i konieczność wyjścia z niego jest pierwszym powodem, skłaniającym nas do „likwidacji”. Jako drugi powód, uważaliśmy „Czerwonego Janka”. Obecnie jednak dowiadujemy się, że ten chłopczyk nie może nam już szkodzić. Wyczytaliśmy w dzisiejszych porannych pismach, że wczorajszej nocy ten bandyta został sprzątnięty. Co mówisz o tem?

Pan Natan zbierał się z myślą.

— Na pozór, jest to nadspodziewanie dla nas korzystnem. Zdawałoby się, że ktoś umyślnie, widząc, jaką przeszkodą stać się może w naszych planach „Czerwony Janek”, postarał się go usunąć. Jednak w gruncie rzeczy...

— W gruncie rzeczy?...

— Jeśli jest tak rzeczywiście... jeśli ten ktoś nie cofa się przed żadną zbrodnią... jego potęga jest dla nas prawdziwie niepokojącą, prawdziwie straszną...

— Obawiasz się? — zapytał pan Joachim, którego twarz przyoblekła się w tej chwili dotąd niezwykłym mu wyrazem powagi.

— Tak, obawiam.

Przez krótką chwilę panowało milczenie; przerwał je pan Landsberger, którego twarz już się więcej nie śmiała.

— Jakkolwiek, tymczasowo sprawę „Czerwonego Janka”, jako bezpośredni powód likwidacji, usuwamy za nawias...

— Pozostanie i tak innych powodów aż nadto wiele...

— Słucham.

— A więc — prowadził tym razem pan Natan— oto numer drugi: Apenszlak i druga niezbadana historja z ową tajemniczą osobistością, która potrafiła się dostać do wnętrza „fabryki”, rewizja, przymusowa wyprowadzka „fabryki”, opóźnienie robót, jeśli nie zupełna ich kompromitacja. Teraz, kiedy „ta”, jeśli nie zna z gruntu, to przynajmniej wącha sprawę plomb i sprawę „obrazków”, czy myślisz, że nam będzie łatwo puścić w obieg to wszystko, choćby nie było zwłoki w ukończeniu?

Najwidoczniej pan Natan wyrazem „ta” oznaczał policję; co miały znaczyć w jego żargonie „obrazki”, wiemy.

— To rzecz poważna! — zrobił uwagę pan Joachim.

— I to jeszcze nie wszystko. Byłem dziś o siódmej rano u Apenszlaka — widywałem się z nim tak wcześnie dla uniknięcia plotek — i... nie zastałem go. Nie nocował w domu...

— Nieprawdopodobne?

— Pobiegłem do Fajnhanda, który był jego najbliższym... i wiesz, czego się dowiedziałem?

— No?

— Apenszlak, zdaje się, wyjechał, a jego córka, piękna Róża, znikła dzień przed tem...

— Co za córka? Co za piękna Róża?

— Ach, ty nic nie wiesz. To właśnie przyprowadza mnie do rozpaczy. Mówimy otwarcie, a więc nie będę przed tobą ukrywał, że pomiędzy mną a Apen-

szlakiem, istniały projekty małżeństwa między mną, a jego córką...

Pan Joachim, na serjo zdziwiony, spoglądał przez chwilę na Natana.

— Ty... i małżeństwo?

— Tak. Nie powiem, żebym kochał tę dziewczynę, pomimo, że jest to piękność skończona, ale nigdy nie znalazłbym dla siebie odpowiedniejszej żony.

Pan Joachim spoglądał ciągle z podziwem na przyjaciela; kiwał tylko głową.

— Cokolwiekbądź, jej zniknięcie, o którem wspominał mi nieco Fajnhand, a bliższe szczegóły dała stara służąca Apenszlaka, odjazd jego samego, nie wiadomo, czy w pogoni za nią, niepokoją mnie nietylko ze względu na moje osobiste, sercowe interesa, ale i ze względu na nas.

— Rzeczywiście?

— Zapytuję siebie, czy na dnie tego wszystkiego nie ma przypadkiem „tej"?... Wreszcie, praktycznie, jeżeli nieobecność Apenszlaka potrwa, jak trafimy do „fabryki", którą usunął on w pośpiechu w miejsce, jemu samemu tylko wiadome?

— To rzecz mniejsza! — odrzekł pan Joachim.

— Mniejsza?

— Sądzę... Jeśli „likwidacja" ma nastąpić jutro, i tak nie moglibyśmy czekać na „obrazki", które nie będą jeszcze prędko gotowe. Myśl o „obrazkach" należy odłożyć na boku.

— Stanowi to dla każdego z nas trzykroć sto tysięcy rubli straty— zrobił spokojnie uwagę pan Natan.

— Co robić?

— W każdym razie— ciągnął dalej pan Lurje— to druga stanowcza przyczyna „likwidacji”.

— A trzecia? — pytał pan Joachim, który zdawał się znów na chwilę odzyskiwać swą zwykłą wesołość i zimną krew.

— Trzecia? Ta jest najważniejsza. Bank Ejtelesa jest na brzegu przepaści. Po ostatnich niewypłacalnościach, które nam jak grom na głowę spadły, jesteśmy prawie na czysto. Aktywa równoważą passywa, a stary Ejteles, jeśli nie posiada gdziekolwiek schowanej znaczniejszej sumy, o co go zresztą bardzo podejrzewam, może się pewnego pięknego poranku obudzić żebrakiem. Katastrofa musi lada dzień nastąpić. O ile znam starego Ejtelesa, a znam go dobrze, choćby posiadał w zanadrzu miljon, nie dotknie się go, ażeby ratować upadającą w gruzy ruinę swego banku. A więc za miesiąc, dwa miesiące, może za tydzień, bylibyśmy zmuszeni ustąpić z korzystnej pozycji, jaką obecnie zajmujemy, likwidować pod grozą sądów. . bez żadnej korzyści, tracąc wszystko, poddani zawsze przykrym skutkom prawa. Czy nie lepiej uprzedzić likwidację i uskutecznić ją podług swej woli?

Głos pana Natana brzmiał w tej chwili siłą i energją; oczy jego zaczerwienione i podsiniałe, pod ciężko opadającemi powiekami, świeciły fosforycznie. Pan Joachim był całkowicie poważny; spoglądał przez długą chwilę w przestrzeń.

— A więc tak — rzekł w końcu. — Likwidujemy. „Likwidacja” jest koniecznie potrzebną...

— Nareszcie!...

— Pozostaje teraz niemniej ważna kwestja: jak?

Pan Natan zabrał znowu głos; z chwilą, gdy rzecz została zdecydowana przez jego wspólnika w zasadzie, zdawało mu się, że urzeczywistnienie jej nie może przedstawiać i nie przedstawia żadnych poważnych kwestyj.

— To rzecz najmniejsza... — mówił. — Wszystko przygotowałem. Mamy w tej chwili około sześćdziesięciu tysięcy rubli gotówki w kasie, nadto w bankach blizko pięćkroć sto tysięcy, które możnaby uruchomić...

— Razem pięćkroć sześćdziesiąt tysięcy rubli, a dodawszy czterdzieści tysięcy, które nam jeszcze zostają z tamtej historji, razem sześćkroć sto tysięcy. Dla każdego z nas po trzykroć — zrobił spokojnie uwagę pan Landsberger.

— Nie tak prędko... nie tak prędko... Z pięciukroć stu tysięcy, możemy uruchomić nie więcej, niż dwakroć. Podniesienie wszystkiego wywołałoby popłoch. Trzeba ci wiedzieć, że nasz bank, wobec ostatnich wypadków, które dla nikogo nie są tajemnicą, zaczyna stać na wulkanie. Już pokazują nas palcami, jako jutrzejszych bankrutów. Kiedym wczoraj brał zagraniczny paszport, mówiąc, że wyjeżdżam na parę tygodni do Nicei, dla odpoczynku, urzędnicy, którzy wiedzą kto jestem, patrzyli na mnie z dziwnym uśmiechem.

— A więc?...

— A więc, wiedząc, że nie ma innego wyjścia,

dziś poczyniłem już odpowiednie kroki. W kasie, jutro rano, oprócz obecnie tam leżących sześćdziesięciu tysięcy, znajdzie się jeszcze dwakroć. O trzeciej będę, jak się umówiliśmy, na zebraniu „naszych”, o szóstej wieczorem kasa znajdzie się w mojej kieszeni, a o dziewiątej, kurjer wiedeński uniesie nas ku granicy. Rano, będziemy mieli Sosnowice za plecami...

Pan Joachim z przyjemnością spoglądał na pana Natana, którego oczy błyszczały w tej chwili, jak dwa karbunkuły.

— Lubię cię takim — rzekł po chwili. — Ta energja wróży nam powodzenie. Powiedz mi jednak, w jaki sposób dostaniesz się do kasy?

— O, to drobnostka... Od czasu wypadku, ja właściwie trzymam kasę... przy pomocy tego blondyna... wiesz... pana Henryka. Nie to mnie bynajmniej niepokoi.

— A więc i ten słoneczny obraz posiada niepokojące plamy? Jakie?

Pan Natan przeciągnął ręką po czole, przez które przeszła chmura.

— O, plam jest aż zanadto... Pierwsza, to zebranie o trzeciej. Jest ono dla mnie zupełną zagadką!... Co tam będzie? Czy ztamtąd nie uderzy jaki nowy grom? Czego chcą „nasi”? Wszystkiego się można spodziewać.

— Czyby nie było lepiej nie chodzić tam?

— Nie, nie! — protestował pan Natan.—W grze takiej, jaką zamierzamy grać jutro, każde niebezpieczeństwo jawne jest stokroć mniej groźne, niż niebez-

pieczeństwo ukryte. Gdybym nie poszedł tam o trzeciej, mogliby zechcieć zobaczyć nasze karty i przeszkodzić wyjazdowi wieczorem. Są na to dość zręczni i podejrzliwi, a my trochę za bardzo ich oszukujemy. Iść trzeba.

Pan Joachim skinieniem głowy potakiwał spólnikowi.

— Drugie niebezpieczeństwo, to Ejteles. Ten człowiek ma minę, która mnie niepokoi. Wreszcie, jutro, znalazłszy kasę próżną, może wprost zawołać policji i powiedzieć: „Mój wspólnik, Lurje, okradł mnie.” On do tego zdolny. A przyznasz, że pomimo wszystko, „likwidując”, nie chciałbym się znaleźć w pozycji ściganego listami gończemi złoczyńcy.

— Czy to jednak możebne?

— Zobaczymy. Twoje położenie zupełnie inne, lepsze. Pieniądze z kasy znikną razem z moim wyjazdem. Kto je wziął?... Odpowiedź prosta: Lurje. O Landsbergerze nie ma mowy. Landsberger znajduje się w tej chwili urzędownie w Hamburgu, lub gdziekolwiek indziej. W Warszawie jest Pfeifer. Gdyby nawet odkryto, że pod tem nazwiskiem ukrywa się Landsberger, mógł tu przyjechać dla kobiety, dla jakiegoś szaleństwa. Landsberger jednem słowem nie jest skompromitowany. Cały ciężar spada na Lurjego. Rozumiesz?

— Czy nie można tego urządzić inaczej? — zapytał spokojnie pan Joachim.

Pan Natan spoglądał długo w oczy Landsbergerowi.

— Nie można... chyba...

— Chyba?

Pan Natan spuścił oczy i zaczął mówić prędko, zniżywszy głos:

— Byłoby jedno... Gdyby Ejteles popełnił samobójstwo... rozumiesz... samobójstwo? Jego kasjerowi i przyjacielowi mogło to przyjść do głowy. Dla czego on nie miałby tego zrobić?

Pan Joachim spoglądał na Lurjego wzrokiem, w którym się malowało przerażenie; w oczach tego ostatniego świecił ponury ogień.

— Mógłby się, naprzykład, otruć — mówił, zniżając głos do szeptu. — Zażywa tyle lekarstw... A wówczas...

— Wówczas?

— Byłoby wszystko najlepiej. Nie mielibyśmy do czynienia ze wspólnikiem, który okrada wspólnika, ale z bankructwem, połączonem z samobójstwem jednego spólnika i ucieczką drugiego. Rozumiesz?

Pan Natan roześmiał się krótkim, urywanym śmiechem.

Towarzysz jego wstał, zbliżył się do niego i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Rozumiem. Rób co chcesz! Pamiętaj tylko, że w grze twojej jest tylko Lurje, sam tylko Lurje...

Przez długą chwilę pomiędzy wspólnikami panowało milczenie.

— To i wszystko — rzekł pan Natan, podnosząc się. — Do jutra... o dziewiątej na kolei.

Skierował się ku drzwiom pokoju „chambres gar-

nies", w którym odbywała się ta scena. Landsberger go zatrzymał.

— Jeszcze jedno — rzekł. — Małe wyjaśnienie w kwestji osobistej... Mówiłeś o dwóch kobietach. Która jest druga?

— Tema.

Oczy pana Natana znów zaświeciły ponurym ogniem; ściskał pięść.

— Wiesz — zaczął mówić do Landsbergera głosem, w którym brzmiały nuty chrapliwe, poddając się mimowoli potrzebie wywnętrzenia się — ta kobieta doprowadzała mnie do szaleństwa. O ile zawsze marzyłem o Róży Apenszlak na żonę, o tyle pragnąłem zrobić z tej kurtyzany, z tej Temy... moją metresę, moją własną metresę.

Pan Joachim spoglądał na Natana na pół z ojcowskiem pobłażaniem, na pół z litością

— Och, te kobiety, te kobiety!...

Pan Natan wyrzucał potoki słów.

— Ta kobieta .. uważała za jakąś rozkosz torturować mnie. Tak!.,. Ile ona mnie kosztowała, nie uwierzysz. I za to nawet nie posiadałem jej. Nie pozwalała mi dotknąć końca swego palca, podczas kiedy każdy z tych smarkaczów posiadał ją, ile razy chciał... I Strzelecki i książę Stasz i wszyscy...

— Uspokój się, Natanie — perswadował Landsberger.

— O „likwidacji" myślałem już dawno. Marzyłem, że wezmę ją ze sobą, że pojedziemy za granicę... że będziemy sami I wiesz, co się stało... wiesz?

— Cóż?

— Byłem u niej wczoraj. Znikła tak samo, jak Róża...

Mimowolny okrzyk zadziwienia wyrwał się z piersi pana Joachima...

. . . .

Scena ta miała miejsce tego samego popołudnia, kiedy sędzia śledczy konferował z „Frygą".

ROZDZIAŁ V.

Zgromadzenie.

Warszawa posiada zakąty, o których nie ma najmniejszego pojęcia większość tak zwanych „warszawiaków z krwi i kości".

Weźcie naprzykład całe tak zwane przedmieście wolskie, położone za rogatkami tego nazwiska, stanowiące gromadę domów i domków, poprzecinanych wązkiemi i błotnistemi ulicami, których krańce wychodzą na pola, zasiane wiatrakami, czasem na mur przyty-

kającego cmentarza, niekiedy na wyrwy po wykopanej glinie, zwane „glinianką”...

W okolicach tych glinianek, krążą najgorsi bandyci. Wieczorem przejść tu niepodobna. Mieszkańcy sąsiednich domków słyszą nieraz o późnej nocy jakieś dzikie krzyki i charczenia, odgłosy walki i rozpaczliwe wołania. Ktoby się jednakowoż odważał zapuszczać pomiędzy te głębokie wyrwy, w głębi pełne brudnej, zielonawej wody, z boków obrosłe krzakami, śród nocy czarnej jak atrament, zaludnione niewyraźnemi cieniami? Każdy naciąga tylko kołdrę na uszy i próbuje, czy okiennice zamknięte.

Późnym jesiennym wieczorem, w jednej z uliczek położonych tuż na krańcu wolskiego przedmieścia, o parę tylko kroków od „glinianek”, spostrzegamy niespodziewany ruch. W około ciemno. Z daleka tylko wysoki, starożytnej formy rewerber na oleju, rzuca niepewne, drżące smugi blado-żółtawego światła... W skąpych tych promieniach ukazują się od czasu do czasu niewyraźne jakieś postacie. Słychać plusk błota pod nogami. Cienie pukają do parkanu, ukrywającego w głębi domek, raczej chałupkę i po chwili znikają we wnętrzu.

Trwa to już od pół godziny. Wejdźmy przez furtkę wewnątrz podwórza za jednym z pukających. Jest to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna; jego strój, o ile przy bladych błyskach lampki sądzić można, jest bez zarzutu, pełen elegancji. Gdybyśmy mogli się przy świetle przyjrzeć twarzy nieznajomego, przekonalibyśmy się, że jest to Natan Lurje.

Przebrnąwszy kałużę błota, znalazł się on przed chałupką ukrytą w głębi podwórza i wstąpił na wysoki próg sieni, prowadzącej do wnętrza domku. Odpowiedziawszy skinieniem na tajemniczy znak, który mu zrobiła jakaś ukryta za drzwiami w cieniu, osobistość, pan Natan skierował się krokiem pewnym w głąb sionki. Po chwili trafił na drzwi, które otworzył; nastąpiły wkrótce drugie drzwi, za niemi schody, oświetlone niewyraźnem światełkiem lampki.

Kiedy pan Natan spuszczał się po tych schodach, uderzających w twarz ciężkiem piwnicznem powietrzem i zaduchem pleśni, zdala już do jego uszu dobiegł potężny gwar zmięszanych głosów, wybuch piekielnych wrzasków, stłumiony ciężarem piwnicznego muru. Bo był to dziwny dom! Chałupka zdawała się nędzną chatą chruścianą, którą lada podmuch wiatru mógł zdmuchnąć, a piwnice zagłębiały się pod ziemią czerwonym murem cegieł.

Pan Lurje zatrzymał się na środku schodów, których stopnie zwilgotniałe i na pół zgniłe, skrzypiały pod jego stopami.

— Tam gorąco!... — rzekł do siebie. — Tem gorzej!

Zeszedł szybko jeszcze kilka stopni na dół i znalazł się przed drzwiami, których strzegła jakaś nowa, ukryta w cieniu postać. Zamieniwszy z nią parę znaków, pan Natan otworzył drzwi.

Widok, który uderzył jego oczy, rzeczywiście godnym był uwagi. Kilka zwyczajnych, szynkownianych kinkietów na nafcie, bez szkieł, przytwierdzonych do

ścian obszernej piwnicy i kopcących długiemi smugami dymu, jej sklepienie oświetlało zebranie, złożone z dwudziestu do trzydziestu osób. Ginęły one w cieniu, pomiędzy różnej formy przedmiotami, beczkami, pakami i narzędziami zapełniającemi piwnicę. Od czasu do czasu, ukazywały się tylko w bladem oświetleniu kinkietów charakterystyczne głowy, błyskające oczy, krogulcze nosy, gdzieniegdzie rude brody, gdzieniegdzie długie poły żydowskich chałatów. Gdyby ktoś mógł i chciał bliżej się przyjrzeć zebranym, przekonałby się, że było to zgromadzenie wielce urozmaicone: znajdowali się tu kupcy, handlarze, lichwiarze, wyrobnicy, gentlemanowie i nawet .. kobiety.

W głębi piwnicznej izby, na kupie różnych przedmiotów, stał w tej chwili, otoczony kołem głów, młody brunet, o niewielkich bakenbardach. Poznajemy w nim barona von Rajta.

— Ten człowiek — wołał on z dziką energją na chwilę przed przybyciem pana Natana — jest zdrajcą. „On sam", w imieniu którego działam, powierzył mu stanowisko, na którem odnosząc znaczne korzyści, powinien był być pożytecznym „naszym". Tymczasem ten człowiek oszukiwał nas. W domu bankierskim, którego jest wspólnikiem z „naszej" łaski, popełnioną została kradzież. Usunięto trzykroć sto tysięcy rubli...

— Trzykroć sto tysięcy!...

— Dwa miljony!...

Po zgromadzeniu przebiegł lubieżny dreszcz... Przez chwilę jeszcze panował na pół przytłumiony szmer.

— Pieniądze te znajdują się, lub powinny się znajdować w kieszeni tego człowieka! Mam na to dowody i mogę je w każdej chwili przedstawić. Zamiast oddać je „naszym", zachowując część, którą mu nasze przepisy przyznają, ten człowiek zamierzył sobie przywłaszczyć wszystko. Mam tyle władzy, danej mi przez „niego samego", że mógłbym go ukarać sam, bez odwoływania się do was. Ale chcę, ażebyście wy uznali, że on jest zdrajcą i ażeby „on sam" dowiedział się o tem z waszych ust.

Z różnych stron piwnicznej izby odzywały się głosy aprobaty

— Na jaką karę zasłużył, podług naszych zwyczajów, zdrajca? — pytał dalej młody brunet.

— Na śmierć! — odezwało się kilka głosów.

— A oto dowody — rzekł brunet, wydobywając z zanadrza papier.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł pan Natan.

— Co to? — rzekł od razu głosem urywanym i krótkim. — Oskarżają mnie? Kto?

Przez chwilę panowało w piwnicznej izbie milczenie.

— Ja! — odrzekł gardłowym głosem brunet.

Pan Natan obwiódł do okoła dumnym wzrokiem.

— Mnie?

— Tak.

— Mnie?... Jednego z Trzech, którego wszyscy jak tu jesteście, znacie od lat tylu... Ależ to szaleństwo... I o co?

Młody brunet wysunął się naprzód.

— Natanie Lurje — odrzekł głosem chropawym, uderzającym pewną energją — w imieniu „jego samego” i „naszych” zapytuję cię, gdzie są trzykroć sto tysięcy rubli skradzione przez ciebie z kasy Ejtelesa, które należą do nas wszystkich?

Pan Natan zbladł jak trup. Niespodziewanie, niezmiernie szybkim ruchem sięgnął do kieszeni. W jego ręku zabłysnęła broń.

— Tak się postępuje z łotrami!— wyrzucił z pomiędzy zaciśniętych zębów.

Nastąpił strzał.

W chwili jednak, gdy spólnik firmy Ejteles i Sp. ściągał kurek broni, odebrał on w rękę silne uderzenie. Kierunek strzału został zmieniony. Kula zamiast ugodzić młodego bruneta, utkwiła w sklepieniu piwnicy...

Scena ta trwała tylko jedną chwilę. To, co po niej nastąpiło, było jeszcze szybsze...

Kiedy dym wystrzału opadł, można było rozróżnić postać pana Natana rzuconego na ziemię; z kilku pochylonych nad nim osób, które utrzymywały go w bezwładności, młody brunet ściskał mu jedną ręką gardło, w drugiej trzymał szeroki, ostry nóż...

Dziki ryk obecnych witał ten tryumf jednego z walczących.

Obok bruneta klęczała młoda kobieta, która przed chwilą uratowała mu życie zręcznem uderzeniem w rękę Lurjego. Była to „Złota Rączka”.

— Zabij go! — wołała do bruneta.

Brunet podniósł nóż do góry...

Uderzenie miało nastąpić mniej, niż za sekundę. W tej chwili drzwi piwnicy zostały gwałtownie otworzone...

— Uciekać, uciekać! „Ta” idzie!

Wiemy już, co w języku bandytów znaczy „ta”.

Trudno opisać popłoch, który zapanował następnie... W jednej chwili światła pogasły.

W dwie minuty potem, kiedy przez drzwi, któremi niedawno widzieliśmy wchodzącego pana Natana, wkroczyła gromada ajentów, z zapalonemi latarniami, w piwnicy nie było nikogo. Nawet przed chwilą rzucony o ziemię pan Natan, zniknął. Tylko z poza beczki przysuniętej do ściany, wysunął się jakiś cień.

— „Fryga”? — zapytał urzędnik kierujący wyprawą.

— Ja, proszę pana naczelnika...

— Gdzież oni, u licha?

„Fryga” miał w tej chwili minę godną pożałowania.

— Nie wiem — odrzekł, rozkładając ręce!

— Cóżeś tu u licha robił?

Ajent policyjny w paru słowach opowiedział gwałtowne sceny, których był świadkiem, ukryty w kącie piwnicy, wreszcie wyraził przypuszczenie, że zebrani musieli zniknąć przez jakieś ukryte wyjście.

— Znów pudło... — zrobił uwagę urzędnik.

— Niezupełnie, panie naczelniku — ośmielił się odpowiedzieć ajent.

— Jakto?

— Mamy tutaj sporo ciekawych rzeczy, jest czem otrzeć łzy. Oto kontrabanda, a tam dalej prasa do fabrykowania banknotów. Powtóre, jeśli pan naczelnik był łaskaw, jak zamierzał, obsadzić okolicę tego domku strażą, możemy jeszcze złapać niejednego ptaszka... Po trzecie...

Tu „Fryga” podskoczył do góry i uderzył się pięścią w czoło.

— Jakiż ze mnie gap! — zawołał.

Zwierzchnik spoglądał nań zdziwiony.

— Co takiego? — pytał.

— Po trzecie... Za pozwoleniem pana naczelnika, pędzę za tem trzeciem... Nie ma ani chwili do stracenia.

Ajent policyjny wybiegł jak warjat z piwnicy.

ROZDZIAŁ VI.

Trucizna.

Dawno nie widzieliśmy starego bankiera, szefa domu „Ejteles i Sp.”

W chwili, kiedy odbywały się wypadki, o których mowa w poprzednim rozdziale, znajdujemy star-

ca spoczywającego na szeslągu, w znanym już nam gabinecie.

Starzec, rozdrażniony nerwowo, powtarzał tysiąckrotnie, z coraz nowemi, inaczej i silniej akcentowanemi szczegółami, nieskończoną swą spowiedź, spoglądając z niepokojem w oczy córki i szukając w nich rozgrzeszenia.

Abraham Ejteles zaczynał rozumieć, że wina musi być wykupioną. Tymczasem chwytał się półśrodków, które mu podsuwała panna Fela, a któremi były złożenie kaucji i rękopis dostarczony przez pannę Felę adwokatowi „Julkowi"; jednakowoż codzień mniej nieprawdopodobnem zdawało mu się przedsięwzięcie środków stanowczych, wypowiedzenie słowa decydującego, głośne wyznanie win.

Stary bankier przypominał sobie w chwilach, kiedy o tem rozmyślał, słowa, które kiedyś powiedział Halberson: „Zgrzeszyliśmy — zapłacimy". Mojżesz już zapłacił... Teraz kolej na niego.

Na decyzję bankiera na poły już powziętą, wpływał także w znacznej mierze „książę Stasz". Ten pustak, szałaput, z którego śmiała się cała złota młodzież Warszawy, miał dziwnym trafem świeże i gorące serce, które nagradzało próżnię mózgu. Co rana, witając dziadka, przypominał mu Janka Strzeleckiego i pytał, kiedy on będzie wolny? Przekonywał starego bankiera, że trzeba koniecznie uwolnić Strzeleckiego z więzienia, a złe głosy złośliwych umilkną na zawsze.

— Niech dziadzio to zrobi—wołał „książę Stasz"

— niech zrobi... Ja bardzo proszę... jak ta kura grzędy...

Ejteles mimowoli uśmiechając się, obiecywał.

Powoli więc, w głębi jego umysłu formowało się postanowienie. Zresztą kosztowało go ono wiele, zaprzeczyć temu nie można Upokorzona duma i miłość własna, podnosiły głowę na tę myśl. Gorący rumieniec wstydu przypływał nieraz do jego bladej twarzy. Niepokój i rozdrażnienie dręczyły jego nerwy.

Niekiedy był ofiarą halucynacji. Przez parę ostatnich nocy zdawało mu się, że widzi jakąś postać przy swojem łóżku... Wyobraźnia odtwarzała mu rysy pana Natana...

. . . .

W chwili, kiedy znajdujemy starca spoczywającego na szeslągu, umysł jego pracuje.

Przed dwoma godzinami posłał wnuka do adwokata „Julka”, ażeby dowiedział się o stanie sprawy Strzeleckiego. Gorączka paliła starca. Pragnął wiedzieć, czy i kiedy wypadnie mu zrobić ostateczne poświęcenie. „Księciu Staszowi” nie trzeba było dwa razy powtarzać tego polecenia. On i tak, sam, z własnej woli i chęci, odwiedzał ciągle adwokata, dowiadując się o losy Janka, niepokoił go i przeszkadzał w pracy.

Gdy „książę Stasz” wyszedł, starzec na parę chwil zasnął. Przez sen miał dziwną halucynację. Zdawało mu się, że umieszczone w głębi pokoju, zawsze zamknięte drzwi, oddzielające jego pokój od

kawalerskiego apartamentu pana Lurjego, otworzyły się, że wszedł przez nie jakiś człowiek i, korzystając z mroku, który zapadał, posunął się niedosłyszalnemi krokami w kierunku stolika, na którym znajdowała się szklanka z uspakajającym napojem, przepisanym przez doktora Zermana. Człowiek ów, który z postaci zadziwiająco był podobnym do pana Natana Lurje, poruszył szklanką i po króciutkiej chwilce zniknął znów za drzwiami, zamykającemi się za nim bez szelestu.

Starzec zadzwonił na lokaja i kazał mu zapalić lampę.

Teraz spoczywa na szeslągu i obciera pot, który mu występuje na czoło. Myśl o tajemniczej halucynacji mimowoli wraca ku panu Natanowi. — A gdyby to była prawda? — pyta sam siebie, pełen niepokoju. Jego rozgorączkowana wyobraźnia daje się unosić naprzód...

Mimowoli starzec unosi się na szeslągu. Wziął w rękę lampę i drżącemi krokami zbliża się ku drzwiom. Naciska je... mocniej... mocniej... drzwi ustępują bez skrzypu, otwierają się...

Tego nie dość. Bankier energicznym, chociaż drżącym krokiem, kieruje się w stronę stołu, na którym stoi szklanka z napojem. Pochyla się nad nią; lampa w jego ręku drży i kołysze się. Dziwna, nieprawdopodobna rzecz! Kolor napoju jest ciemniejszy i bardziej brunatny. niż przed godziną..

Pan Abraham odruchowo, z głośnym brzękiem szkła, upuścił raczej. niż postawił lampę na stole... Oparł się o jakiś sprzęt, ażeby nie upaść

Przez jego głowę przebiegają wzburzone fale myśli. Stara się powoli, na zimno, rozważyć to, co w tej chwili sprawdził. A więc nie dość, że go okradziono i okradano. Chciano się go jeszcze pozbyć — trucizną. Wszak to nie może być nic innego, jak tylko trucizna.

Krew uder yła do głowy starcowi. Gniew go począł przejmować. Porwał się, chciał wołać na pomoc. Ale ten pierwszy odruch wkrótce przeszedł.

— Po co? — pytał sam siebie — Jakkolwiekbądź, on musi być ofiarą, tak każe logika wypadków. Czy nie lepiej w ten sposób, niż inaczej? Nie będzież stokroć lepiej spocząć w mogile, niż prowadzić dalej tę egzystencję, wypełnioną moralną torturą?

Wziął lampę ze stołu i zbliżył się z nią do biurka. Usiadł w fotelu. Przez chwilę trzymał głowę w dłoniach, jak gdyby dla przyprowadzenia myśli do porządku.

Ujął pióro. Oto kilka wierszy, które rzucił na papier:

„Przed śmiercią, która za parę minut nastąpi, proszę i upoważniam córkę moją, Felę Ejteles, ażeby niezwłocznie przedstawiła sądowi złożony na jej ręce rękopis, opatrzony moim podpisem, który zawiera szczegółowe opisanie wypadków z dawno minionej przeszłości, dowodzących, że Jan Strzelecki nie może być winien popełnienia kradzieży 300,000 rubli z kasy mojego banku. Wina ta możę ciążyć jedynie na Natanie Lurje i Joachimie Landsbergerze, których o to,

jak również i o zamach na moje życie oskarżam. Co własnoręcznie stwierdzam.

Abraham Ejteles."

Kiedy bankier podniósł się od biurka, na jego twarzy malowało się silne postanowienie. Powoli zbliżył się do stołu, na którym stała szklanka z napojem, zabarwionym na kolor brunatny.

Podniósł ją do ust...

ROZDZIAŁ VII.

Na gorącym uczynku.

Za drzwiami dały się słyszeć krzyki.

Na progu ukazały się trzy osoby: lokaj, „książę Stasz" i „Fryga". Lokaj zdawał się być zdziwionym i chciał bronić obecnym przystępu do gabinetu bankiera. „Książę Stasz" starał się mu wyperswadować tę gorliwość. „Fryga", korzystając z tego, posuwał się naprzód.

Nagle zbladł jak płótno; ujrzał w ręku Ejtelesa szklankę z napojem.

— Ach! co za osioł ze mnie... — rzucił głosem, w którym tym razem brzmiał głęboki niepokój, zwy-

kłą apostrofę, wyrażającą jego niezadowolenie z samego siebie. — Zapomniałem o tem zupełnie!

Przysunął się do bankiera i niemal wyrwał mu z rąk szklankę.

Bankier spoglądał nań zdumiony.

— Pan tego napił się? — spytał gorączkowo.

— Nie — odrzekł machinalnie bankier.

„Fryga” odetchnął.

Tymczasem „książę Stasz”, odprawiwszy lokaja, zbliżał się ku grupie, utworzonej przez ajenta policyjnego i bankiera. Ten ostatni pytał wnuka wzrokiem.

— Proszę dziadzi .. — wołał „książę Stasz”— ten pan jest urzędnik policji. Zajmuje się sprawą biednego Janka. Adwokat mówi, że on jest taki energiczny, jak wróbel na dachu. On mnie spotkał na schodach i powiedział, że ma do dziadzi.. ważny... bardzo ważny interes...

Stary bankier odzyskał już nieco zimnej krwi. Zwrócił się do ajenta, który o parę kroków trzymał jeszcze w ręku szklankę i świdrował oczyma leżący na biurku świstek papieru, z kilkoma wierszami, dopiero co skreślonemi przez Ejtelesa.

— Co to ma wszystko znaczyć?... — pytał bankier, głosem jeszcze drżącym ze wzruszenia.

„Fryga” przerwał dalsze słowa pytającemu.

— Przepraszam pana — rzekł — w tej chwili wszystko panu wytłómaczę... Teraz trzeba działać!

Postawił szklankę na biurku i zbliżył się do bankiera.

— Nie mamy chwili do stracenia... I tak ledwo

nie przybyłem za późno. Czy pan wiesz, że tutaj jest trucizna?

Ajent wskazał ręką na szklankę.

— Zresztą — ciągnął dalej — jeśli pan chcesz w tej chwili znaleźć złodzieja, który okradł pańską kasę i który, nie kontentując się tem, chciał pana otruć, proszę za mną...

Bankier i „książę Stasz”, spoglądali na ajenta ze zdumieniem.

— Przedtem jednak dwie ostrożności... Czy masz pan rewolwer?

Bankier odpowiedział twierdząco i wskazał na pół otwartą szufladę biurka.

Za chwilę rewolwer znajdował się w ręku „Frygi”.

— Czy nabity?

— Tak...

Abraham i Stanisław Ejteles dawali się mimowoli powodować energji ajenta policyjnego. Dominował on nad nimi siłą woli, która się przebijała w wejrzeniu i w głosie.

„Fryga” uderzył w dzwonek, stojący na stole; we drzwiach ukazał się służący.

— Pan każe ci zostać tutaj i pilnować tej szklanki. Nikt nie powinien się tego dotykać... Rozumiesz?

— A teraz idźmy — rzekł „Fryga” do wnuka i dziada.

. . . .

W dwie minuty potem, trzej ludzie przeszedłszy ogród otaczający wewnętrzny pawilon, zajęty na mieszkania wspólników, znaleźli się przed oficyną, mieszczącą biura. Drzwi wejściowe od strony ogrodu, były na pół przymknięte...

Był już wieczór; wszyscy pracujący dawno opuścili kantor. Ten jeden fakt już dowodził, że nie na próżno ajent obiecywał staremu bankierowi jakieś odkrycie...

— Prowadź pan do kasy! — szepnął „Fryga” Ejtelesowi u wejścia — tylko bez hałasu...

— Ależ znajdziemy w środku kilkoro drzwi zamkniętych — oponował bankier półgłosem.

Ajent roześmiał się z cicha:

— O, o to bądź pan spokojny...

Starzec postąpił stosownie do żądania ajenta policyjnego

Za chwilę, „Fryga”, trzymając w ręku rewolwer, otwierał zaledwo przymknięte drzwi pokoju kasowego..!

Wchodzący, przy świetle niewielkiej latarni, ujrzeli stojącego, przy roztwartej na roścież kasie ogniotrwałej, pana Natana Lurje.

Z gorączkowym pośpiechem, wydobywał on obiedwiema rękami z głębi kasy, banknoty i papiery wartościowe i wkładał do trzymanej w ręku torebki podróżnej... Był tak zajęty tą czynnością, że nie zauważył nawet wejścia trzech ludzi.

— Oto złodziej — rzekł głośno „Fryga”.

Pan Natan odwrócił się. Torebka podróżna wypadła mu z ręki...

. . . .

Z chwilą, gdy pan Natan Lurje zrozumiał, że został schwytanym na gorącym uczynku i że wymierzony przeciwko jego piersi rewolwer, nie pozwala mu się uciec do żadnych gwałtownych środków, nastąpił u niego zupełny upadek ducha... Na umiejętnie postawione przez „Frygę” pytania, przyznał się do popełnienia kradzieży, a następnie zeznał na piśmie co następuje: „Ja, niżej podpisany, wobec świadków, dobrowolnie przyznaję, że jestem jedynym sprawcą kradzieży i t. d.“ Po otrzymaniu tak cennego dokumentu, gdy we czterech powrócili do domu mieszkalnego, „Fryga” na jedną chwilę tylko opuścił więźnia, ażeby się naradzić nad jego losem w sąsiednim pokoju, ze świadkami zdarzenia. Z chwili tej, pan Natan skwapliwie skorzystał. Wsypał do szklanki z uspokajającym napojem, zapisanym przez doktora dla starego Ejtelesa, truciznę i wypił zabójczy ten dekokt. Kiedy „Fryga” z towarzyszami wrócił do pokoju, zastano go już w konwulsjach. W zaciśniętych rękach trzymał jeszcze flakonik z resztą białego proszku, Obok na stole leżały pieniądze, pochodzące z pierwszej kradzieży... zaledwo reszta, około czterdziestu tysięcy rubli.

ROZDZIAŁ VIII.

Wyjaśnienie.

W gabinecie sędziego śledczego toczy się żywa rozmowa. To „Fryga” zdaje raport ze swoich czynności. Przed chwilą, do tegoż gabinetu przybył mecenas „Julek”, a wręczywszy sędziemu, znany już nam, pugilares Apenszlaka, został zaproszony do wspólnej pogawędki. Obaj prawnicy słuchali zeznań ajenta z coraz częstszemi okrzykami podziwu, wobec coraz to nowych, niespodzianych nowin, jakie im „Fryga” komunikował.

— Co do panny Temy — mówił ajent — obecny jej adres: Czerniakowska Nr. 00, w mieszkaniu niejakiej Szajndli, fanciarki...

— I nie zaaresztowałeś jej pan? — zawołał sędzia.

— O, to zbyteczne — rzekł spokojnie „Fryga”. Tym razem nie zniknie nam, ponieważ primo: jest dobrze, choć zdaleka pilnowana przez moich kolegów, a secundo, nie ma do tego najmniejszej ochoty. Zresztą osobistość panny Temy wobec innych okoliczności, jest teraz prawie obojętną.

— Czy nie za śmiałe twierdzenie? — rzucił uwagę urzędnik.

— Pan sędzia oceni.

„Fryga” rozpiął surdut i wydobył z wewnętrznej kieszeni dużą kopertę z urzędowemi pieczęciami. Było to właśnie przyznanie Natana Lurje.

— Niepodobna, niepodobna! — wołali obaj prawnicy — odczytawszy pismo.

— A jednak to fakt autentyczny. Przyznanie zostało podpisane przy świadkach, a świadkami byli pan Ejteles, jego wnuk i ja...

— To wystarczy — zakonkludował sędzia.

Po chwili zapytał „Frygi” o rewizję, odbytą za rogatkami Wolskiemi.

Ale „Fryga” był wstrzemięźliwym.

Objaśnił tylko, że dowiedziawszy się o miejscu zebrania kilku kontrabandzistów i fałszerzy pieniędzy, zawiadomił o tem swą władzę, która zarządziła rewizję; pomimo wszelkich środków ostrożności i pomimo, że sam „Fryga” ukrył się w piwnicy, będącej miejscem zebrania, wszyscy zgromadzeni zdołali zniknąć przez tajemne wyjście... Przyaresztowano tylko czterech z pomiędzy nich, w okolicy domku; są to niebezpieczni bandyci, przybyli z Litwy!... Przedmioty, znalezione w zajętym domku, nie pozostawiają zresztą najmniejszej wątpliwości co do ich winy, odnośnie do kontrabandy i fałszowania banknotów...

— Oto i wszystko — zakończył ajent policyjny.

— Wszystko?... — zapytał sędzia — a związek tej rewizji z pańską „bandą”?

— Na to... nie ma dowodów.

Sędzia zamyślił się.

— Wybacz mi, panie R..., — sędzia nazwał

„Frygę” po nazwisku — mówię do ciebie, jako człowiek prywatny, którego ciekawość jest w wysokim stopniu podniecona... Czy rzeczywiście pomiędzy fałszerzami z za Wolskich rogatek a Lurjem, istnieje i jaki związek? Kto i w jaki sposób przygotował fałszywe poszlaki przeciwko Strzeleckiemu? Czy są one raczej tylko dziełem przypadku? Dlaczego przy Lurjem znalazło się tylko 40 tysięcy z trzystu skradzionych? Co znaczy dosłownie tajemnicza kartka, którą wczoraj razem odczytywaliśmy? Dla czego Lurje, odrazu zgodził się podpisać przyznanie do winy? Wreszcie, jaka w tem wszystkiem rola owego Joska Sztiefla, zwanego „Macherem”? Oto cały szereg znaków zapytania, na które sądzę, że i pan nawet nie potrafisz znaleźć odpowiedzi...

Na twarzy „Frygi” wybił się tym razem uśmiech prawdziwego zadowolenia z siebie.

— Jeśli o to tylko idzie...

— Więc pan rozumiesz tę sprawę?

— Co do joty! co do najmniejszego szczegółu...

Wykrzyk ten wyrwał się mimowoli z piersi ajenta, który zdawał się go już po chwili żałować.

Sędzia kręcił głową. Adwokat z uwagą przysłuchiwał się tej małej utarczce.

— I mógłbyś pan to nam objaśnić?

„Fryga” namyślał się przez krótką chwilkę.

— Tak, proszę pana sędziego, z dwoma zastrzeżeniami. Jeśli pan sędzia zechce mnie wysłuchać nie w charakterze urzędowym, lecz prywatnym i... jeżeli panu sędziemu wystarczą zamiast stanowczych dowo-

dów, prawdopodobieństwa i przypuszczenia, zresztą oparte na faktach...

W tej chwili adwokat „Julek” zainterwenjował:

— Dla czegóż to, panie Józefie, to rozróżnienie charakteru urzędowego i prywatnego?

„Fryga” roześmiał się z cicha:

— Dla bardzo prostej przyczyny. Ponieważ prawda przypuszczalna, ta, której dowieść byłoby zbyt trudno, a która jest zapewne prawdą rzeczywistą, różni się nieco od prawdy, którą przedstawimy sądowi, a na którą mamy niezaprzeczone dowody.

Ajent zwrócił się teraz do sędziego:

— A więc moje zastrzeżenia?

— Przyjęte... Z góry przecież powiedziałem panu, że jako sędzia, mam dowody, które mi wystarczają. Pytam pana obecnie, jako osobiście ciekawy.

— A więc...

— Zaczynaj pan, panie Józefie — wołał niecierpliwy adwokat „Julek”.

„Fryga” skłonił się na znak zgody.

— Postaram się być zwięzłym i kategorycznym— zaczął po chwili: — kto popełnił kradzież? Czy Lurje, jak się do tego własnoręcznie przyznaje? Tak i nie.

Adwokat „Julek” spoglądał ze zdziwieniem na ajenta.

— To, co w tej chwili panom powiem, będzie wam się zdawało nieprawdopodobnem, a jednak jest to bezwzględna prawda. Owego pamiętnego wieczoru, kasa Ejtelesa została okradziona dwa razy, przez dwóch ludzi. O wpół do dziewiątej zabrał z niej Josek

Sztiefel, zwany „macherem”, z górą dwakroć sto tysięcy rubli, pozostawiając resztę dla następnego złodzieja. Ten ostatni, którym był Natan Lurje, przybył w pół godziny potem, o dziewiątej, i skradł resztę, to jest sto kilka tysięcy rubli...

Twarze słuchaczy, którzy tego wieczoru mogliby się już byli przyzwyczaić do niespodzianek, wyrażały zdumienie. Adwokat nie wytrzymał:

— Ależ to bajki z „Tysiąca nocy i jednej” — zawołał

„Fryga” uśmiechnął się tylko.

— Nie tak prędko, panie mecenasie, nie tak prędko!.. Posłuchajcie panowie jeszcze parę chwil. Dodać należy, iż „macher” (będę go tak nazywał dla skrócenia) wiedział o tem, że po nim przyjdzie Lurje i właśnie zabierał pieniądze na jego rachunek; przeciwnie, Lurje nie miał najmniejszego pojęcia o tem, że już ktoś przed nim zabrał lwią część. To właśnie tłómaczy jego osłupienie, kiedy się nazajutrz, przy protokule policyjnym z książek przekonał, że skradziono nie sto tysięcy, ale trzykroć... Naczelnik w swem zeznaniu wspomniał zapewne o tem panu sędziemu?

— Rzeczywiście.

— Co spowodowało tak skomplikowany sposób spełnienia kradzieży?... Odpowiedź znajdziemy w stosunku „Machera” do Lurjego. Rzeczywiście jest on taki, jak przypuszcza nieznany korespondent Apenszlaka. „Macher” przyszedł pewnego pięknego poranku, dzięki zorganizowanemu przez siebie systematowi szpiegostwa do wniosku, że Lurje

zamierza okraść Ejtelesa na własną korzyść, nie myśląc o podzieleniu się z „naszymi”. To mu dało sposobność do otrucia i wykonania prawdziwie piekielnego planu.

Ajent zatrzymał się i przez chwilę spoglądał na obecnych, szukając na ich twarzach wrażenia. „Fryga” był zwolennikiem niespodziewanych efektów.

— Ten żydek pod swą niepozorną powierzchownością chowa najbardziej ambitne zamiary. Należąc do bandy „naszych”, rozgałęzionej tu, na Litwie, w Prusach i nawet w głębszych guberniach Cesarstwa, bandy, która niewątpliwie istnieje, zajmując się wszelkiego rodzaju przestępstwami, jako to przemytnictwem, kradzieżą, fałszerstwem, podpalaniem, koniokradztwem, szantażem, czasem rozbojem, „Macher” już od dawna, pomimo swej młodości, uplanował sobie, że należy mu się miejsce na jej czele po ustąpieniu „jego samego.” Potrafił on nawet przy pomocy „Złotej Rączki” uzyskać względy „jego samego”; na przeszkodzie stawali mu tylko dwaj inni członkowie rady Trzech, którymi byli właśnie Lurje i Landsberger... „Macher” postanowił ich usunąć i sprawa Ejtelesa miała mu dać do tego sposobność. Zamierzał pozwolić Lurjemu spełnić kradzież, a potem dopiero zdyskredytować go wobec bandy.

„Fryga” odpoczął przez chwilę.

— Wkrótce jednak — zaczął — „macher” zrozumiał, że sposobność zbyt jest dogodną, ażeby z niej w inny jeszcze sposób nie skorzystać. Ten żydek lubi pieniądze i powiadają, że posiada ukryty znaczny ka-

pitał. Przyszła mu do głowy myśl podzielenia się z Lurjem. Kradzież trzechkroć stu tysięcy rubli wymaga takich samych przygotowań, jak kradzież stu tysięcy rubli. Dla czego nie miałby, korzystając z przedsięwziętych przez Lurjego środków, zabrać lwiej części, zostawiając Lurjemu tylko resztkę? Tak też postanowił zrobić. Powiecie może panowie, że skoro zamierzał ukraść 200,000 rs., byłoby dlań równie prostem i korzystniejszem, zabrać wszystko. Zgoda; ale on chciał, żeby kradzież była w gruncie rzeczy popełnioną przez Lurjego i żeby mu posłużyła do usunięcia go ze swej drogi. Wreszcie, zabierając te dwakroć sto tysięcy rubli, zabierał je niejako na rachunek Lurjego i w ten sposób unikał rachunku z bandą. Wszystko, wobec bandy, spadało na Lurjego. Jak panowie widzicie, jest to nie lada ptaszek...

— W samej rzeczy — mimowoli odezwał się sędzia.

— W jakiż sposób jednak sam Lurje zamierzał spełnić kradzież? — zapytał adwokat.

— Właśnie o tem chciałem mówić. Myśl kradzieży powstała już dość dawno w umyśle pana Natana; była ona przedmiotem cyfrowej korespondencji pomiędzy nim, a Landsbergerem. Josek zaś, przejmując korespondencję, był o wszystkiem poinformowany. Lurje, zbadawszy kwestję, przyszedł do wniosku, że kradzież w warunkach miejscowych, nie da się spełnić bez pomocy kasjera. Do kradzieży, było potrzeba co następuje: klucza od kasy ogniotrwałej, klucza od drzwi pokoju kasowego i znajomości wyrazu, na któ-

ry była zamknięta kasa. Pierwszy z tych kluczy pan Natan posiadał, drugi mógł dostać tylko od Halbersona. Kasjer wreszcie mógł mu sam tylko dać wyraz, na który zamknął kasę. Lurje rozpoczął tedy kroki w kierunku Halbersona. Liczył on wiele na uczuciowość starca i na wpływ przeszłości, której wspomnienia grały na sercu starca, jak na rozstrojonej harfie. Zbliżył się do Halbersona i najpierw zaczął mu mówić o jego córce; obiecywał, że mu ją pokaże. Obiecywał mu dać wiadomość o jej matce, która, jak wiemy, zginęła bez wieści. Są nawet pewne przypuszczenia, że pewnego razu próbował podstawić jakąś kobietę, która odwiedziła Halbersona, przedstawiając się jako jeko jego dawny ideał. Słowem, Lurje wkrótce przygotował tak kasjera, że mógł mu powiedzieć, czego żąda... oto złożenia pewnego popołudnia wyrazu w kopercie i klucza od pokoju kasowego przy jego drzwiach. Walka ze skrupułami Halbersona nie trwała długo. Kasjer stawiał przedewszystkiem pytanie: co będzie, gdy odkryją kradzież? Kogo będą podejrzewali? Na to Lurje, wzruszając ramionami, odpowiadał: — Przecież nie pana... Wreszcie już pańska rzecz porozumieć się potem z Ejtelesem. Lurje tłómaczył kasjerowi, że gdyby chciał od siebie usunąć podejrzenia, może to uczynić bardzo łatwo. Obecność kasjera przy spełnieniu kradzieży nie jest potrzebna. Niech na wieczór i noc, kiedy miała być spełniona kradzież, przygotuje sobie dostateczne „alibi", niech przed wyjściem z kasy znajdzie sposób skonstatowania, że pieniądze w niej pozostały, a będzie wszystko

jak najlepiej. Zresztą, zabiera ze sobą swój klucz od kasy ogniotrwałej i może go każdemu pokazać...

— Dobrze wyrozumowane — mruknął pod nosem sędzia.

— Ale Halberson, pomimo wszystko, nie ustępował. Dorzucenie nowej jeszcze hańby do tego wszystkiego, zdawało mu się niepodobieństwem... Halberson, ażeby odsunąć chwilę spełnienia kradzieży, dawał własne pieniądze Lurjemu. W ten sposób do kieszeni Natana przeszło kilkadziesiąt tysięcy rubli... Ale była to bezdenna studnia. Przyszła chwila, kiedy trzeba było wykonać plan... Lurje obiecał uroczyście, po spełnieniu kradzieży, oddać Halbersonowi jego córkę... Za trzy dni miało to nastąpić.

— Ciekawym, zkąd pan możesz mieć te wszystkie szczegóły? — zapytał sędzia.

— O tem później, panie sędzio... Teraz prowadźmy dalej. W tej chwili zaczęła się rola „Machera". Wiedział on dobrze o stanie pertraktacyj z Halbersonem. Ażeby módz podzielić się kasą Ejtelesa z Lurjem, musiał on przedsięwziąć pewne specjalne środki. Należało zrobić tak, ażeby w kasie oprócz stu tysięcy rubli, przeznaczonych dla Lurjego, znalazło się jeszcze dwa kroć dla „Machera". Nadto, jemu był potrzebny klucz od kasy ogniotrwałej, którego nie mógł przecież pożyczyć od Lurjego... Wreszcie „Macher" miał jeszcze jedną rzecz na widoku. W rzeczach zbrodni wyznawał on teorję, której praktyczna doniosłość nie ulega zaprzeczeniu... Zdaniem „Machera", ten tylko przestępca mógł być pewien bezkarności,

który potrafił postawić na swoje miejsce i oddać w ręce sprawiedliwości innego mniemanego winowajcę. Kradzież trzech kroć stu tysięcy rubli była przestępstwem zbyt poważnem, ażeby nie wywołala śledztwa prowadzonego z wyjątkową energją. Idąc po nitce do kłębka, władze sądowe mogły trafić na Lurjego i na „naszych”, a w rezultacie dobrać się do Machera. Ażeby temu zapobiedz, Josek Sztiefel postanowił dać sądom w ręce winowajcę i obrał w tym celu Jana Strzeleckiego.

— Więc to nie zbieg okoliczności? — zawołał adwokat.

— Bynajmniej... Jak panowie wiecie, Jan Strzelecki najzacniejszy w świecie chłopiec, ma przeszłość nieco awanturniczą... Pochodząc z zamożnej rodziny, sierota, pozostawiony bez opieki od najmłodszych lat, już dwukrotnie czy nawet trzykrotnie tracił majątek, bo ma prawdziwe szczęście do spadków... Prowadził on niegdy życie dość hulaszcze, a Paryż, w którym on przepędził kilka lat, zna dobrze. Ostatecznie straciwszy ostatni spadek, wziął się do pracy i od paru lat korzystając ze swej znajomości języków, pracował w branży handlowej. Młody, przystojny, wyrzucający pieniądze, gdy je posiadał, pełnemi garściami, był zawsze ulubieńcem kobiet; dopóki nie został raz na zawsze zdobytym przez pannę Różę, nie przebierał zbytecznie w łatwych miłostkach... Już taka przeszłość mówiła nieco przeciw niemu. Ale „Macherowi” tego było mało. Wynalazł powody nieprzeparte. Piękna Tema, zakochana na zabój w panu Strzeleckim,

a pragnąca zemsty na niewiernym, miała złożyć część pieniędzy, pochodzących z kradzieży, jakoby zapomnianą u niej przez pana Strzeleckiego... Sama „Złota Rączka", która w swych włóczęgach za granicą, pod pseudonimem Juliete Feygain, na pół-studentki, na pół-artystki, znała w Paryżu pana Strzeleckiego, i nawet w przygodach jego życia grała pewną rolę, miała go zwabić na spotkanie i następnie odurzyć swym kordyałem, którym tak często operowała na kolejach... Wreszcie należało tak urządzić, ażeby koperta z wyrazem, zamykającym kasę, znajdowała się chociaż przez chwilę w ręku pana Strzeleckiego...

Adwokat był głęboko zamyślony.

— Tak, to zupełnie możebne...—mówił jak gdyby sam do siebie.

— To ostatnie — ciągnął „Fryga" — mógł załatwić tylko Halberson... Ale w jaki sposób traktować z Halbersonem?... Kto inny znalazłby się tu w kłopocie bez wyjścia, ale nie „Macher"!... Ponieważ pozostawało do chwili wykonania trzy dni, a przez ten czas Lurje nie miał się dla uniknięcia podejrzeń, widzieć z Halbersonem, „Josek" postanowił się podstawić w miejsce Lurjego i w jego imieniu postawić nowe żądania Halbersonowi... Był on zresztą zbyt ostrożny, ażeby działać osobiście. Tym razem użył „Złotej Rączki", a widzenie jej z kasjerem nastąpiło na dwa dni przed kradzieżą w mieszkaniu Temy. „Złota Rączka" w imieniu Lurjego, za którego pełnomocniczkę się przedstawiła, zażądała dodatkowo trzech jeszcze rzeczy: Podniesienia i pozostawienia w kasie

nie stu, ale trzech kroć stu tysięcy rubli, złożenia także i klucza od kasy ogniotrwałej, wreszcie przesłania drugiej koperty z wyrazem przez Strzeleckiego... Była to burzliwa scena pomiędzy „Złotą Rączką", a starym kasjerem, rozbitym dotychczasową walką z żądaniami Lurjego... Wreszcie zgodził się na wszystko. Dziwicie się panowie? Gdybyście znali „Machera", nie dziwilibyście się. Wynalazł on pogróżkę, przed którą nieszczęśliwy Halberson musiał ustąpić. „Złota Rączka" zagroziła mu w imieniu prześladowców w razie oporu, shańbieniem i śmiercią jego córki. W jej głosie były takie przerażające akcenta, że starzec nie śmiał wątpić...

Twarze adwokata i sędziego śledczego były teraz poważne, brwi ściągnęły się.

— W dzień wyznaczony na wykonanie planu, „Macher" posłał jeszcze przypomnienie rozkazów „w imieniu Trzech", na specjalnym papierze, ażeby Halberson nie wątpił o tem, iż ostatnie polecenia otrzymane z ust „Złotej Rączki", pochodzą rzeczywiście od Lurjego. Czy pan sędzia rozumie teraz, co oznacza ta kartka?

Sędzia zamyślił się;

— Rozumiem.

— Resztę panowie wiecie. Halberson postąpił stosownie do zaleceń „Złotej Rączki". Podwójna kradzież odbyła się podług programu Joska Sztiefla, inaczej „Machera". Ciężar oskarżenia spadł na pana Strzeleckiego. Co więcej, stary kasjer, który poświęcił wszystko dla ocalenia czci i życia swego nieznane-

go dziecka, nie potrafił przeżyć tej hańby. Pozbawił się życia, uwalniając złoczyńców od niebezpiecznego świadka. Wczoraj właśnie, na zgromadzeniu bandy „naszych”, Josek Sztiefel miał przekonać swoich o sprzeniewierzeniu się bandzie Lurjego, kiedy przyszła policja. Gdyby nie drugie wyjście, trzymalibyśmy w tej chwili całą bandę w ręku.

Przez krótką chwilę panowało milczenie. Przerwał je adwokat „Julek”.

— Ależ pan chyba jesteś czarodziejem, panie Józefie. Jest to tak proste i prawdopodobne, że wątpić o tem niepodobna. Zkąd jednak pan wiesz to wszystko? Wszak jeszcze 48 godzin temu, kiedy byłeś pan w mojej kancelarji, nie miałeś o tem pojęcia. Jeszcze 24 godzin temu, wczoraj, podczas rozmowy z sędzią, nie wiedziałeś pan o tem...

„Fryga” uśmiechnął się.

— To też wiem to od niedawna. Zresztą, to nie moja zasługa. Trzeba mieć tylko trochę szczęścia. Wczoraj, wyszedłszy od sędziego, spotkałem mojego przyjaciela, dorożkarza Mateusza, który mi opowiedział historję o zemdlonej kobiecie, którą odwoził ze Wspólnej na Czerniakowską. Dobrze to mieć przyjaciół dorożkarzy... Przyszło mi do głowy, czy to nie Tema, pozbawiona przez „Złotą Rączkę” przytomności wiadomym kordjałem... Rzeczywiście była to ona. Potrafiłem ją znaleźć i dowiedzieć się od niej wszystkiego, co ona sama wiedziała. Co więcej, stosownie do jej wskazówek, zdołałem podsłuchać ostatnią konferencję „Machera” ze „Złotą Rączką” w numerze

hotelu Europejskiego, gdzie ona jeszcze wczoraj mieszkała. Wreszcie dziś byłem obecny ukryty na zgromadzeniu „naszych”.

Sędzia przerwał ajentowi:

— I czy nie byłoby w tej chwili sposobu przytrzymania „Złotej Rączki” i jej kochanka w hotelu?

„Fryga” poruszył przecząco głową.

— O, o tem nie może być mowy. Są to za mądre ptaszki! Szczególniej „Macher”, który ma na sumieniu zabójstwo „Czerwonego Janka”, musi być już teraz daleko.

— On? — wołał sędzia.

— Tak, to niewątpliwe. Mam świadków, którzy widzieli go w przebraniu, w którem kiedyś widziałem go u Temy, wchodzącego do hotelu na Nalewkach. Numerowy, który go wprowadził, należał do „naszych”...

Adwokat podniósł się; przechadzał się po kancelarji, pełen myśli, niespokojny. Sędzia znów zapytał ajenta:

— Nie wyjaśniłeś mi pan jeszcze, dla czego Lurje napisał tak łatwo piśmienne przyznanie, które mam przed sobą, dla czego nie zastrzegł w niem, że skradł tylko część pieniędzy?

Przez usta „Frygi” przemknął się uśmiech.

— Widzi pan sędzia... w tem ja jestem może cokolwiek winien... Lurje, pisząc to, był przekonany, że zostanie puszczony na wolność. I rzeczywiście, możeby to nastąpiło, bo obiecałem mu to do pewnego stopnia, gdyby nie pewna okoliczność...

— Jaka?

— Pokazało się — ciągnął „Fryga” z najniewinniejszą miną — że oprócz kradzieży, Lurje chciał jeszcze otruć starego Ejtelesa.

— Niepodobna!...

— Otóż — kończył z oburzeniem „Fryga” — przekonawszy się, że mam do czynienia z takim złoczyńcą, musiałem cofnąć przyrzeczenie. A on wziął to tak do serca, że sam wypił truciznę, przeznaczoną dla starego Ejtelesa.

Sędzia przez dłuższą chwilę spoglądał na ajenta.

— Jakkolwiekbądź — rzekł wreszcie — niewinność pana Strzeleckiego została dowiedzioną.

ZAKOŃCZENIE.

Nie potrzebujemy dodawać, że w parę miesięcy potem nastąpił ślub pana Jana Strzeleckiego z panną Różą, która przed tem przyjęła chrzest...

W dniu ślubu otrzymała ona od nieznanej osoby przez ręce adwokata Julka, sumę trzydzieści tysięcy rubli z napisem: „Dwieście tysięcy złotych—zwrot”.

Bank firmy Ejtelesa i Sp. został zlikwidowany ze stratami, ale bez upadłości. Staremu Ejtelesowi pozostał jeszcze spory kapitał, z którego żyje spokojnie pomiędzy panną Felą i „Księciem Staszem”.

Pan Landsberger, „Złota Rączka” i Josek czyli „Macher”, zniknęli od tego czasu bez wieści... Kilku bandytów schwytanych po rewizji za Wolskiemi rogatkami sądzono i skazano za różne przestępstwa. Apenszlaka uratowała od ciężkich robót śmierć. Pociąg, którym jechał, wykoleił się za Dynaburgiem, a w liczbie ofiar wypadku był i negocjant z Nalewek.

Fajnhand i Majzner, mieli dużo nieprzyjemności, ale w rezultacie nie można im było dowieść niczego stanowczego.

„Fryga” opuścił wkrótce służbę w policji. Dostał on za staraniem „Julka” i Strzeleckiego, posadę urzędnika w jednej z wielkich fabryk na prowincji. Żyje szczęśliwy z Karolcią, wychowując małego Stacha.

KONIEC

Spis rozdziałów.

str.
Wstęp 3

Część I-sza.
EJTELES i Sp.

Rozdział I. Zamknięta kasa. 7
„ II. Dwa miljony. . : 17
„ III. Na śladach 28
„ IV Złota loża. 34
„ V. W Wogezach. 45
„ VI. W izdebce Halbersona. . . . 59
„ VII. Drobne tajemnice Joska . . . 68
„ VIII. Róża Apeuszlak. 76
„ IX. U sędziego śledczego 83
„ X. Dalszy ciąg śledztwa 93
„ XI. Stary Ejteles. 101
„ XII. Dwa listy. 111

			str.
Rozdział	XIII.	„Fryga"	120
„	XIV.	Dramat i sielanka	132
„	XV.	„Fryga" działa	141
„	XVI.	Pan Joachim Landsberger	149

Część II-ga.

NALEWKI.

Rozdział	I.	Kantor realizacji i inkasa	161
„	II.	„Julek" działa	172
„	III.	Tema	192
„	IV.	„Fryga" znajduje	201
„	V.	Iskry	216
„	VI.	Pod ziemią	228
„	VII.	Dwaj wspólnicy	248
„	VIII.	Za kaucją	266
„	IX.	Plajt	284
„	X.	Co robią „Fryga" i Apenszlak?	292
„	XI.	Rewizja	308
„	XII.	„Czerwony Janek"	315
„	XIII.	Jeden dzień z życia Joska	325
„	XIV.	Dzień „Frygi"	354

Część III-cia.

LIKWIDACJA.

Rozdział	I.	Kartka z przeszłości	374
„	II.	Papiery Apenszlaka	404

str.
Rozdział III. Tajemnicze pismo 409
,, IV. Likwidacja 421
,, V. Zgromadzenie 438
,, VI. Trucizna 445
,, VII. Na gorącym uczynku 450
,, VIII. Wyjaśnienia 456
